



Olga BICOS



W Samą Porę

Tytuł oryginału PERFECT TIMING

Dla Andrew, który dał mi skrzydła.

To prosty i wysoki lot, dokładnie pośrodku, między niebem a ziemią

Katastrofa

Odliczanie: 30 dni, 22 godziny, 15 minut

RS

Znów rozmawiała z Erikiem. Siedział po drugiej stronie przejścia i śmiał się z własnego dowcipu. Dusza towarzystwa - Erie Ballas, artysta z szopą siwych włosów i przenikliwym spojrzeniem, geniusz biznesu, który śpiewał arie operowe i opowiadał pikantne kawały. Henry Shanks, przedstawiciel Reck Enterprises, siedział na miejscu przy oknie i przysłuchiwał się Ericowi, żeby choć w ten sposób uczestniczyć w rozmowie. Cherish uśmiechnęła się i przechyliła nad oparciem fotela.

- Słucham?

Warkot silników zagłuszał słowa, więc wpatrywała się w usta Erica...

Trach! Armatni grzmot przetoczył się przez kabinę. Przez sekundę Cherish płynęła zawieszona w powietrzu jak akrobatka na trapezie.

Fotel umknął spod niej, klamra pasów wpiła się w ciało. Miała wrażenie, że coś ją wsysa, szarpie do tyłu głowę i ramiona, połyka w całości. Wypadła z wieżowca, z karuzeli w lunaparku, leci pionowo w dół. Spada, spada... kręci się, wiruje...

Przedmioty fruwały po kabinie, odbijały się od ścian. Cherish zobaczyła reportera „Aviation Weekly” z ustami otwartymi w niemym krzyku. Odłamki uderzały w jej ciało, w twarz i ramiona; coś zwały się na piersi z potworną siłą. Nie mogła oddychać! Samolot spadał, wirował, ziemia ją wsysała... o Boże! O Boże!...

Na ułamek sekundy przed uderzeniem o ziemię Cherish Malone obudziła się zupełnie przytomna.

Poderwała się na łóżku.

- To tylko sen. To nie jest rzeczywistość —powiedziała prędko, jednym tchem. - To tylko sen.

Sięgnęła przez łóżko... Potem opadła na poduszki, próbując złapać oddech, gapiąc się na miejsce, gdzie powinien leżeć Conor. Umysł zarejestrował fakt, że to miejsce jest puste. Puste od jakiegoś czasu.

Zamknęła oczy i wyszeptała:

- Nadejdzie dzień, kiedy tego nie zrobisz.

Powróciły fragmenty koszmarnego snu. Szczegóły, które pragnęła wy-mazać z pamięci, nabierały ostrości. Uśmiechnięty Erie... Henry Shanks przelatujący przezabinę, ciągle przypięty do fotela... usta dziennikarza Otwarte W niemym krzyku... Wszyscy nie żyją!... Conor wynoszący ją i Ale-ca z piekła, w jakie zmieniło się wnętrze samolotu.

Usiadła na łóżku, z kolanami pod brodą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie była skłonna do paniki. Ale teraz histeria chwyciła ją za gardło; posmakowała ją w ustach, wyczuła jej specyficzną woń. Panika sprawiała, że czuła przyływ adrenaliny nawet w palcach. Panika w czystej formie działająca jak narkotyk. Tak opisałby to Alec.

Przycisnęła dłonie do oczu, żeby się opanować. Znowu próbowała sobie przypomnieć, co powiedział Erie ze swojego miejsca po drugiej stronie przejścia. Ale pamięć ginęła w przerażających

obrazach kraksy. Zdawały się czyhać na nią przez całą noc, skryte pod powiekami, by obudzić ją następnego ranka, tak skutecznie i gwałtownie jak radiowy budzik. Cherish Malone wtedy rozumiała, że mimo długiej terapii i ćwiczeń relaksujących nie potrafi uwolnić się od przeszłości.

Już nigdy nie wsiądzie do samolotu.

Uświadomiła sobie, że coś brzęczy cicho, ledwo dosłyszalnie. Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się w półmroku. Pager wibrował na nocnym stoliku niby nakręcona zabawka.

Było późno, słońce sączyło się już przez żaluzje. Minęła chwila, zanim Cherish odzyskała orientację: sobota rano, kolejna zła noc. Próbowwała ode-spać zaległości. Wyłączyła telefon, ale zapomniała o pagerze.

Nie rozpoznała numeru. Naciskała kolejne. Jej asystentka odebrała po pierwszym sygnale.

- Cherish? Dzwonili z Edwards. Złe wieści.

Przez chwilę myślała, że znowu porwał ją nocny koszmar. Obudź się! Ale profesjonalizm doszedł do głosu, Cherish odrzuciła kołdrę i spuściła nogi z łóżka.

- Kto tam teraz jest?

- Chuck. Czeka na ciebie. Boże, Cherish! To miał być rutynowy lot! Nie chciała usłyszeć liczby ofiar. Dobry Boże, ile osób?

- Są dziennikarze? - zapytała.

- Jeszcze nie. Ale nie dotrzesz tam przed nimi.

- Zobaczymy. Powiedz Chuckowi, że zaraz będę.

Cherish Malone, dyrektor public relations Marquis Aircraft, pojechała dokonać oceny zniszczeń. Kolejna katastrofa.

Pulsująca muzyka wypełniła pokój jak bicie serca. Alec Porter lubił słuchać Stonesów, kiedy kochał się z kobietą.

Zdusił papierosa i zerknął na dziewczynę leżącą obok niego w zmiętej pościeli. Podniszczone prześcieradło okrywało ją do pasa. Wyglądała młodo. Była młoda. I szczupła jak baletnica. Leżała zwinięta w kłębek. Alec wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie.

- Cherish - szepnął.

Dziewczyna otworzyła oczy.

- Nienawidzę, kiedy nazywasz mnie jej imieniem. Uśmiechnął się, zatapiając palce w jasne loki.

- Więc dlaczego nosisz perukę? - Ściągnął czapę sztucznych włosów i patrzył jak prawdziwe - brązowe, opadają na ramiona dziewczyny.

- Bo to cię uszczęśliwia. - Mówiąc, patrzyła mu prosto w oczy, jakby zdumiona tym pytaniem. Przecież to oczywiste, że Alec zawsze stoi na pierwszym miejscu.

Westchnął i rzucił perukę w nogi łóżka.

- Śpij - powiedział.

Pokój rozbłysnął nagłym światłem przypominającym błysk flesza, przygasł i rozbłysnął ponownie. Strugi wody uderzyły w szklane panele domu, a grzmot zagłuszył słowa „You Can't Always Get What You Want”. Deszcz sprawił, że wilgotność powietrza stała się niemal nie do zniesienia.

Alec chciał wstać, ale dziewczyna zatrzymała go muśnięciem dłoni.

- Chcę, żebyś kochał mnie tak bardzo, jak kochasz ją. - W jej oczach malowała się determinacja.

Potrząsnął głową.

- To niemożliwe - powiedział, patrząc z uśmiechem w te jasnowidzące oczy. Jej determinacja działała jak magnes, narkotyzowała go, była jednym z powodów, dla których ją kochał. Patrzył, jak się podnosi, nachyla nad nim. Kobieta godna pożądania i taka piękna.

- Z drugiej strony... - Przysunął usta do jej warg. Skończyło się na tym, że sięgnął po perukę. — Załóż - powiedział przymilnie. Dziewczyna zrobiła, o co prosił, a potem i pojękiwała cicho, kiedy szeptał: Tylko ty, kochanie, zawsze ty.

I naprawdę tak myślał... ale dopiero gdy założyła perukę. Tym razem czekał, aż zacznie cichutko pochrapywać, zanim znów usiadł na łóżku. Zasypiała po stosunku, jakby wyczerpała wszystkie siły w akcie miłości. Była taka maleńka. Sierotka Marysia. Śliczna, malutka Sierotka Marysia, która zrobi to, o co ją poprosisz.

Przekreśliła się na bok, gubiąc perukę. Alec sięgnął po pęk sztucznych włosów i obrócił go w palcach. W tym momencie wyczuł obecność Cherish i zdumiała go intensywność tego doznania. Upłynął już przeszło rok.

- Chłuby ci to nie przynosi - mruknął.

Wstał nagi z łóżka, perukę rzucił między prześcieradła. Wyniósł na werandę wiklinowy fotel i usiadł. Dom stał nad brzegiem oceanu. To mu się najbardziej podobało w Nikaragui. Niskie ceny nadmorskich posiadłości i fakt, że mógł tu być nikim. Wynajął dom jako F. Leither, używając jednego z wielu pseudonimów. Nie wiedział wprawdzie, czy to jeszcze kogoś obchodzi, ale... Ale już wkrótce. Tak, już niedługo. Teraz wszystko będzie zależało od wycucia czasu.

Wrócił do domu przez poskrzypujące siatkowe drzwi i jeszcze raz nastawił płytę Stonesów, tym razem tak cicho, że z głośników dobiegał jedynie pomruk. Burza minęła, ale nadal czuło się ją w powietrzu. Chwycił ze stołu paczkę dunhilli i znowu wyszedł na werandę. Huśtał się na krześle, nucąc jakiś kawałek Stonesów.

Przymknął oczy i wspominał Cherish.

Cherish Niezłomna. Cherish Piękna. Cherish, Moja Wieczna Miłość.

Zaciągnął się głęboko, a potem otworzył oczy na świt, który przebijał się przez zwały chmur. W bladym świetle fale zwijały się i połyskiwały jak wnętrza muszli. Pomyślał, że Cherish jest jak te fale. Nic ich nie zatrzyma: burza tylko wzmaga ich siłę.

Może pokonają jego, ale nie zdołają złamać Cherish. Była tak czysta. Jego Walkiria Dobra.

Rzucił papierosa w mokry piasek i wrócił do domu. Włożył spodnie i zrobił sobie kawę, gatunek miejscowy. Była mocna, gorąca i słodka.

Z kubkiem kawy i paczką dunhilli w ręku usiadł przed laptopem i uruchomił program do przesyłania informacji. Przez ostatnich kilka lat nauczył się kilku trików, akurat tylu, by utrzymać się przy życiu.

Wystukał:

Najdroższa Cherish, ktoś próbował mnie dzisiaj zabić. Uważaj na siebie. Skontaktuj się z Conorem. Będzie wiedział, co robić.

Uśmiechnął się, zapalając kolejnego papierosa. Zaciągnął się głęboko, wydmuchał dym przez nos.

- To dla ciebie, ukochana - mruknął.

Kobieta za jego plecami jęknęła przez sen. Nasłuchiwał, czekając, aż się uciszy. Nie znosił tych jej koszmarów. Paskudne zwidy, które czasem doprowadzały ją do krzyku. Tak czy inaczej zaraz ją obudzi. Muszą zdążyć na samolot.

Odwrócił się do komputera. Wystukał ostatecznie zdanie listu: PS. Powinnaś wybrać mnie, maleńka.

2

Horyzont stanął dęba, a potem umknął gdzieś w bok, wchłonięty przez płachtę błękitnego nieba. Chwilę później ziemia wyprysnęła spod spodu i runęła mu na spotkanie.

Conor poczuł, jak siła przyciągania wciska go w fotel. Przesunął drążek leciutko do przodu i słuchał, jak śmigło nabiera życia. Nowy zjazd z pochylni wywołał ucisk w żołądku, pięciopunktowy pas bezpieczeństwa wbił mu się w mięśnie klatki piersiowej.

Uśmiechnął się, kiedy horyzont się wyrównał. Przez tę jedną chwilę Conor Mitchell był beztroskim człowiekiem.

- Och, Boże, Boże! - usłyszał w słuchawkach. Sprawdził godzinę. Zostało jeszcze dwadzieścia minut. Ona nie da rady, pomyślał.

- Ma pani męża na celowniku, Elise. Jeżeli chce go pani zestrzelić, to jest właściwa chwila.

- Dlaczego dałam się na to namówić? - Kobieta siedząca obok w wojskowym mundurze była bliska hysterii. - Ten obiekt jest wycelowany prosto w moją twarz. O to mi właśnie chodziło. Żeby uwiecznić na kasecie wideo, jak rzygam.

- Proszę się skoncentrować na celu. Może go pani zetrzeć z nieba. - Czasem to działało. Odwrócenie uwagi.

Na ekranie opalizujące zielone oko pochwyciło maszynę lecącą przed nimi. Elektroniczny system naprowadzania zlokalizował cel. Elise pociągnęła za spust.

- Umieraj, Davidzie! Umieraj!

- Dobry strzał - powiedział Conor do mikrofonu. Samolot „wroga” posłusznie przekoziółkował i runął w dół, ciągnąc za sobą smugę dymu z ogona, podczas gdy pokładowa kamera wideo filmowała akcję - przebój następnego przyjęcia Elise Walden. - Dobra robota, Elise. Dostała go pani.

Conor przeszedł z pozycji ścigającego na pozycję ściganego, płynnie, bez szaleństw. Nie wszyscy klienci lubili grę va banque,

niektórzy, jak Elise Walden, chcieli tylko wyjść z tego w jednym kawałku.

- Chyba się rozchoruję - jęknęła Elise.

- Marc - powiedział Conor do swojego szwagra - tu Bravo-Alfa-Romeo-Foxtrot. -I do klientki: - Zaraz schodzimy.

- Dzięki... .ci... .Boże...

Marc przemknął obok, wykonując serię doskonałych beczek. Za treningową maszyną ciągnęła się spirala spalin. Conor rozkoszował się widowiskiem. Marc był znakomitym pilotem.

- Pani mąż będzie za chwilę gotowy - zwrócił się do Elise.

Piętnaście minut później Conor opuścił maszynę na pas w Chino. Elise

Walden, kobieta pod pięćdziesiątkę, usiadła na ławce przed hangarem szkoły latania Dogfight Incorporated, gdzie za odpowiednią opłatą można było się pobawić w Top Gun.

Elise położyła na ławce spadochron i hełm i oparła głowę na kolanach. Strój, który miała na sobie, był częścią inscenizacji. Conor podał jej papierowy kubek z wodą. Uniosła głowę, uśmiechnęła się blado.

- Czuję się jak idiotka. - Wzięła kubeczek i machinalnie przeczesła palcami krótkie loki, które jakimś cudem przeżyły pod hełmem bojowym.

Ile potrafi zdziałać lakier do włosów, pomyślał Conor z podziwem.

- Cały ranek tłumaczył mi pan, jak to będzie wyglądało. -
Ścisnęła kubek w dłoniach. - Prawdę mówiąc, myślałam, że umrę tam
w górze.

- To się zdarza - powiedział. Niech wie, że nie jest pierwszą
osobą, która się rozchorowała na karuzeli o pułapie kilkuset metrów.

- Słuchałam, co pan mówił. Niemal widziałam siebie w tym
kokpicie. Myślałam, że tym razem nie dam Davidowi powodu do
pouczeń. „Po co to robisz, kochanie? Tommy byłby uszczęśliwiony,
gdyby był na twoim miejscu” - powiedziała, parodiując męża. -
Tommy to nasz syn - wyjaśniła z uśmiechem. - Chłopcy zwykle robią
takie rzeczy razem. Nie chciałam zostać w tyle. - Potrząsnęła głową. -
Myślałam, że mi się uda.

Conor zerknął w niebo. Do zwierzeń też był przyzwyczajony. Po
wylądowaniu klienci stawali się wylewni, obojętni, czy lot był udany
czy przyniósł rozczarowanie. Zawsze dawał im coś nowego. Otarcie
się o śmierć, posmak nieba, bez znaczenia. Chcieli rozmawiać.

- Jest Marc z pani mężem. - Patrzył, jak szwagier zeskakuje na
płytę i unosi oba kciuki. - Elise, myślę, że chciałaby pani to zobaczyć
- dodał, uznawszy, że Elise ma trochę racji w ocenie starego Davida.

Elise Walden patrzyła ze zmarszczonymi brwiami, jak jej mąż
gramoli się z kokpitu. Byłby upadł na beton, gdyby Marc nie chwycił
go za ramię i nie podtrzymał. Elise, wyczuwając, że coś jest nie w
porządku, podniosła się z ławki i stanęła obok Conora. David Walden,
dyrektor finansowy międzynarodowej korporacji elektronicznej, zrobił

kilka niepewnych kroków, a potem odwrócił się gwałtownie i zaczął wymiotować.

Elise nie zareagowała. Conor pomyślał, że może doznała szoku i dlatego tylko stoi i patrzy. Wtedy uśmiechnęła się.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - mówiła spokojnie, prawie szeptem. - Jestem zameżna od dwudziestu dwóch lat i szczerze kocham męża. - Podała Conorowi kubek z wodą. - Należy się panu sowity napiwek.

- Zawsze staramy się zadowolić klienta.

- Davidzie, moje biedactwo! - podniosła głos, żeby mąż mógł ją słyszeć, i podbiegła do niego. - No już, już... Pomogę ci, kochanie!

Conor wylał wodę z kubka i patrzył, jak z betonu unosi się obłoczek pary. Kolejny piękny dzień w piekle Chino. Zsunąwszy okulary lotnicze, ruszył w stronę znajomej grupy palm i hangarów otaczających kwadratową wieżę kontrolną. Niech Marc skończy z Waldenami. Był w tym dobry. Bratał się z klientami, a jego podniecenie podnosiło temperaturę przeżycia o kilka kresek. Wykrzykiwał rozkazy przy ściganiu, osaczaniu wroga, sprawiał, że gra nabierała realizmu. Nie było to w stylu Conora.

Betonowy horyzont lotniska drgał od żaru. Był to jeden z tych oślepiająco upalnych dni, kiedy niebo jest jasne i bezchmurne. Takie niebo piloci nazywają "jaskrawym błękitem". Człowiekowi wydaje się, że ma nieograniczoną widoczność.

W takie dni Conor tęsknił najbardziej. Tęsknił za hajem, jaki daje pilotowi wyciśnięcie z maszyny jeszcze kilku metrów wysokości,

sprawdzenie - z maską tlenową na twarzy - jak daleko można nagiąć prawa fizyki. Czytał gdzieś, że to normalna reakcja przy manewrach na dużych wysokościach, wynikająca z otarcia się o śmierć, kiedy człowiek widzi tunel światła, a życie przewija mu się przed oczami jak film. Piloci często uzależniają się od uczucia euforii, jaka poprzedza moment utraty przytomności.

Uzależniony. Właśnie! Może on też był uzależniony. I obojętnie, ile godzin zaliczy na marchettim, nigdy nie odzyska tego, co utracił.

Usłyszał za sobą kroki Marca. Szwagier machał na pożegnanie Waldenowi, który gramolił się do swojego sportowego mercedesa, kurczowo uczepony żony.

- Trzeba mu oddać sprawiedliwość - odezwał się Marc. - Facet wytrzymał nadspodziewanie długo. A ona?

- W porządku, dała sobie radę.

Conor zgniótł papierowy kubek i wrzucił do jednego z metalowych bębnow, wykorzystywanych na lotnisku jako pojemniki na śmieci. Kod literowy, jaki nadał Marcowi w samolocie, BARF, oznaczał, że jego pasażer ma dość i jest już pora, aby Marc wykonał kilka ewolucji powietrznych.

Z doświadczenia wiedział, że sprawy układają się lepiej, gdy obie strony wyrażą chęć odwrotu.

Marc obrzucił Conora spojrzeniem od stóp do głowy.

- Wiesz co, stary? Zdaje się, że chudniesz. Conor popatrzył na szwagra sceptycznie.

- Tak myślisz? - Przy swoim wzroście i wadze osiemdziesięciu kilogramów nie wyglądał na zabiedzonego.

- Mizerniejsz. Geena wspomniała o tym jeszcze dziś rano. Martwi się o ciebie. Chce, żebyś wpadł jutro na kolację.

Wspięli się na drugie piętro, gdzie szkoła wynajmowała biuro. Conor uśmiechnął się. Doskonale wiedział, do czego zmierza jego siostra Geena. Biedny Marc.

- Kolacja? - zapytał, wchodząc do gry. - No, nie wiem, Marc. Mam mnóstwo zaległej papierkowej roboty.

I była to prawda. W domu czekała praca magisterska Millera pod tytułem „Zaawansowane techniki utrwalania tworzyw zespolonych”. Materiały zespolone były specjalnością Conora. Do jego uniwersyteckich obowiązków należała ocena prac studentów inżynierii i maglowanie ich podczas prezentacji technicznej, która dawała im stopnie naukowe. Conor wiedział, że szwagra nie zadowoli takie wyjaśnienie, więc czekał, co będzie dalej.

Sięgał już do klamki, kiedy Marc go zatrzymał. Odeszli od drzwi i stanęli przy balustradce.

Patrząc na płomiennorude włosy Marca, Conor przypomniał sobie, kiedy Geena po raz pierwszy nazwała przyszłego męża Szczęściarzem. Marc uznał, że posądza go o nepotyzm; jego ojciec, emerytowany pułkownik lotnictwa, bez trudu mógłby załatwić synowi miejsce w prestiżowej akademii, gdzie się poznali. Ale Geena szybko wyprowadziła go z błędu. „Wyglądasz jak Szczęściarz - wyjaśniła. -

No wiesz, ten gość z pudełka płatków owsianych. Ten krasnoludek". Rudy i piegowaty.

Conor uważał, że właśnie wtedy Marc się w niej zakochał. A Geena była mądrą dziewczyną i chociaż niewątpliwe uległa jego urokowi osobistemu, już wkrótce był jak wosk w jej dłoniach. Właśnie dlatego odważył się teraz za nią czarną robotę.

Marc zdjął okulary lotnicze i zmrużył oczy przed ostrym słońcem.

- Zrobisz mi przysługę i przyjdiesz jutro na kolację?

Conor sięgnął do kieszeni po cygaro. Zapalił. Geena nie pozwalała palić w biurze, a rozmowa z Marokiem mogła się przeciągnąć.

- Spodoba mi się? - zapytał, zaciągając się wolno. Marc wzruszył ramionami.

- Znasz swoją siostrę. Dziewczyna wygląda jak Cindy Crawford i ma umysł Sandry Day O'Connor. A do tego wspaniałą osobowość.

Conor pokiwał głową. Patrzył na drugi koniec płyty, gdzie Citabria ćwiczyła lądowania połączone z natychmiastowym startem.

- Stoję tu i zastanawiam się, jak ci powiedzieć: „Jesteś mi coś winien, stary". I nic nie przychodzi mi do głowy - odezwał się Marc.

Conor wypuścił kółko dymu, zdziwiony, że w ogóle rozważa propozycję - Geena niestrudzenie organizowała mu randki.

Może miała rację. Minął przeszło rok. Dość czasu na gdybania i wątpliwości.

- Lasagna? - zapytał. Marc uśmiechnął się.

- Twoja ulubiona.

Conor klepnął Marca w plecy, weszli do biura. Uderzył w nich podmuch ciepłego powietrza z klimatyzacji posyкуjącej pod oknem. Gwarancja skończyła się w zeszłym tygodniu, a przedwczoraj Marc zauważył wyciek cieczy chłodzącej.

Jednak mimo wszystkich niedogodności szkoła była ich domem. Przed półtora rokiem Conor dołączył do zespołu i spędzał po kilka godzin dziennie w kokpicie wojskowego szkoleniowca. Organizowali wypadu w niebo dla tych, którzy mogli sobie pozwolić na taką przejażdżkę. Marc i Geena utopili w szkole całe oszczędności i mieli poważne kłopoty - zanosilo się na to, że stracą wszystko. Marc zwrócił się do Conora o pomoc. Mnóstwo ciężkiej pracy teraz, powiedział, finansowa rekompensata później; we trójkę dadzą radę.

Marc podszedł do żony i pocałował ją przeciągle w usta. Po dwunastu latach małżeństwa nadal wkładał w to mnóstwo serca. Conor uśmiechnął się, patrząc na nich. Stanowili widok nie lada. Geena, Sophia Loren o drobnych piersiach, całująca swojego marchewkowego męża. Zabawne, cała trójka dzieciaków wyglądała jakby zdarła skórę z Marca.

Conor podszedł do białego kontuaru sprawdzić plan zajęć na przyszły tydzień. Ujrzał gmatwaninę czerwono-zielono-żółtych znaczków. Wszystkie terminy zarezerwowane. To jest moje życie, pomyślał. Ratowanie szkoły, pomaganie Geenie, Marcowi i dzieciakom. Przepchnięcie całej trójki przez college będzie kosztowało majątek. Zaciągnął się cygarem.

- Na zewnątrz, Conor - odezwała się Geena.

Popatrzył na nią z miną niewiniątka, ale wyjął cygaro z ust. Zanim zdążył kiwnąć palcem, Geena miała je już w ręku i gasiła ostrożnie o brzeg kubła na śmieci.

Oddała mu zgaszone cygaro. Powstrzymał się od komentarzy. Dominikańskie. Nie najlepsze, ale i nie najgorsze. Schował cygaro i odwrócił się do Marca, żeby zapytać o rozkład poniedziałkowych zajęć.

I wtedy dostrzegł trzynastocalowy telewizor w kącie postoju. A właściwie twarz kobiety na ekranie.

Przez chwilę miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Geena wyłączyła dźwięk i Conor chwycił pilota z jej biurka, żeby zrobić głośniejsze.

Cherish siedziała przy stole w małej sali, wypełnionej po brzegi dziennikarzami i wyglądała bardzo profesjonalnie, jak zwykle zresztą. Najchętniej nosiła garsonki i spódnice do kolan. Uważała, że dzięki temu ludzie traktują ją poważniej.

- Cher - szepnął, wymawiając jej imię z francuska.

- To ona, prawda? - powiedziała Geena, stając za jego plecami.

- Miłość mojego życia. Marc gwizdnął cicho.

Cherish wyglądała tak samo, a jednak inaczej. Włosy były inne. Krótsze; ledwo dawały się zaczesać za uszy. Twarz wydawała się szczuplejsza. Nie była wymizerowana jak u tych modelek o wystających kościach policzkowych, ale znikła jej dziecięca pulchność, z której tak często żartował.

Kiedyś uważał, że Cherish ma miłą twarz. Sympatyczną. Taką swojską, o jasnym, niewinnym spojrzeniu błękitnych oczu. On miał ciemną karnację swojej matki Włoszki i dziesięciocentymetrową bliznę przecinającą lewą brew i policzek. Wyobrażał sobie, jak wyglądają razem: Czarny Zły Wilk

i Niewinny Blond Kapturek.

Nie widzieli się od półtora roku.

- Na razie nie znamy jeszcze faktów - powiedziała Cherish Malone prosto do kamery wyważonym, stanowczym głosem, który wykluczał kłamstwo lub zatajenie prawdy. Ten ton był jej największym atutem w branży. - Jesteśmy głęboko zasmuceni dzisiejszą tragedią i zdecydowani odkryć jej przyczynę. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie wpłynęło to na realizację programu.

- Był jakiś komunikat od załogi przed katastrofą?

- Ile osób znajdowało się na pokładzie?

Pytania kierowano do Cher, ale ona oddała mikrofon facetowi po swojej prawej ręce. Był to Chuck Odell, kierownik programu i wiceprezes Marquis Aircraft. Conor załapał się na koniec konferencji prasowej.

Nawet nie mrugnęła w powodzi świateł. Pozwoliła mówić Chuckowi. Chodziło o wiarygodność, więc Odell nadawał się do tego lepiej.

- Na pokładzie byli dwaj piloci, inżynier pokładowy i inżynier lotów próbnych - rzekł Chuck z powagą.

- Czy ktoś przeżył?

Chuck zerknął na Cher, pochwycił jej spojrzenie. Przecząco pokręcił głową.

Pytania posypały się ze wszystkich stron. Conor uchwycił błysk paniki na twarzy Chucka Odella, patrzył, jak Cher przejmuje mikrofon i odpiera atak.

- Kiedy odzyskamy XC-23 WingMastera, będziemy mieli dokładny obraz sytuacji. Na tym etapie nie chcemy zgadywać, w jaki sposób i dlaczego samolot uległ katastrofie.

Cholera! - powiedział Conor, słysząc w jej głosie specyficzną nutę. Bała się. Odwrócił się do siostry. - Będę u siebie.

- Jasne! - zawołała za nim Geena. - Nie ma sprawy. Po co oglądać w telewizji kobietę, z którą omal się nie ożeniłeś...

Zatrzasnął nogą drzwi.

Próbował udawać, że ona jest duchem, osobowością telewizyjną, która nigdy nie miała styczności z jego życiem. Aktorką, o której fantazjował tak długo, aż te fantazje wywołały poczucie swojskości. Ale jakiś głos w jego głowie powtarzał: Cher nie jest duchem.

Poczuł znajomy ucisk w piersiach. Wyrzucił z mózgu obrazy z przeszłości. Cher, katastrofa.

Usiadł, próbując wskrzesić nastrój sprzed kilku minut, i poniósł całkowitą klęskę. Z nagłym gniewem przypomniał sobie jej listy. Te cholerne listy! Wysyłała jeden tygodniowo. Przychodziły z czwartkową pocztą. Cher zawsze była bardzo systematyczna. A on

zawsze je czytał i próbował przekonać samego siebie, że brak odpowiedzi wystarczy, aby zerwać łączącą ich więź.

Może by w to uwierzył, gdyby nie wiecznie obecny pomruk telewizyjnego kanału NASA. Tutaj w biurze "Dogflights" i na uniwersytecie, wszędzie. Powtarzał sobie, że wcale nie nasłuchuje jej nazwiska, nie spodziewa się ujrzeć jej twarzy na ekranie, jak dzisiaj.

Właśnie!

Obsesja! Cherish Malone.

O jednym liście myślał szczególnie często. Zaczynał się od słów:
Najdroższy Dupku!

Chcąc Ci udowodnić, jaka jestem żalosna — tylko po to, by dać Ci tę satysfakcję - czekałam do świtu. Ty się oczywiście nie zjawileś.

Na ich ślub. Półtora roku temu zostawił Cherish Malone czekającą przed ołtarzem.

Wiedział o niej wszystko, co można wiedzieć. Że ćwiczy te drobne gesty telewizyjne przez lustrem. Że gra w bilard i nie może się zdecydować, czy kocha czy nienawidzi ojca. Że marzy o zrobieniu doktoratu z inżynierii, a zadowalała się kreowaniem obrazu Marquisa. Informacje nadchodziły w listach, które czytał do znudzenia, nie dlatego, że chciał je czytać, lecz ponieważ na to zasługiwał. W ten sposób przyznawał jej prawo do ostatniego słowa.

Wiedział, nad czym Cherish boleje najbardziej. Po katastrofie nabawiła się lęku przed lataniem. To podważało jej wiarygodność dyrektora public relations w przedsiębiorstwie lotniczym.

No i oczywiście poznała jego, Conora, mężczyznę, którego charakter podsumowała w ostatnim zdaniu tego listu, od którego wszystko się zaczęło.

„Conor, ty idioto! Złamałeś mi serce”.

3

W nagrzonej reflektorami sali było nieznośnie gorąco. - Nalej mi jeszcze wody, Chuck. - Czekala na kolejną serię pytań reporterów, którzy otaczali ich półkolem. Skinęła głową, dając przyzwolenie nowemu facetowi z „Aviation Weekly”. Wbrew rozsądkowi liczyła na coś, co pozwoli jej obrócić katastrofę na korzyść Marquisa.

- Czy to poważne niepowodzenie?

Nie, pomyślała z irytacją. Chcemy, żeby wszystkie nasze samoloty się rozbiły. Dzięki temu moja praca jest interesująca. Ale opanowała sarkazm i skoncentrowała się na odpowiedzi. Normalnie oddałaby ster Chuckowi Odellowi, wiceprezesowi Marquisa. Ale Chuck był dobry w kwestiach technicznych, a konferencja nabierała charakteru osobistego.

- Nie zapominajmy o tym, że prototyp XC-23 WingMaster odbył bezpiecznie dwadzieścia jeden lotów - powiedziała, próbując wprowadzić optymistyczny akcent. Nie ma nic gorszego niż pozostawić dziennikarskie pytania bez odpowiedzi, niby otwarte furtki do spekulacji. Ale dopóki nie odzyskają samolotu, niewiele mogła zdziałać. - XC-23 ma zrewolucjonizować transport powietrzny. Jego nowy płat pozwala zmniejszyć wagę skrzydła o trzydzieści procent.

Poczuła, jak Lori, jej najlepsza przyjaciółka i specjalista od mediów w Marquisie, kopie ją pod stołem. W przeciwieństwie do Cherish, która miała wykształcenie techniczne, Lori Sweeny była rzecznikiem prasowym z krwi i kości i cenzorem inżynierskiego żargonu. Wszyscy wiedzieli, że jeżeli ona czegoś nie zrozumie, pominią to również dziennikarze.

- Celem takiej konstrukcji skrzydła jest zwiększenie wykorzystania energii - powiedziała Cherish, starannie dobierając słowa. Kiedy chciała wypromować przemysł lotniczy w południowej Kalifornii, umieszczali jej wypowiedzi za działem ogłoszeń drobnych. Na pierwszą stronę trafiała dopiero wtedy, gdy samolot ulegał katastrofie.

- Proszę pamiętać, że WingMaster zużywa o jedną trzecią paliwa mniej - kontynuowała. - W ten sposób zmniejszymy znacznie koszty transportu lotniczego. Dzięki konstrukcji skrzydła WingMaster Stany Zjednoczone zajmą należne im miejsce w tej wysoce konkurencyjnej gałęzi przemysłu. Tu nie chodzi tylko o ochronę środowiska, lecz także o utworzenie miejsc pracy, zapewnienie przewagi technologicznej.

Pasja w jej głosie nie była udawana. Przez ostatnie trzy lata wypruwała sobie żyły dla programu XC-23 ; mało brakowało, a oddałaby życie. Półtora roku temu była na pokładzie pierwszego prototypu, kiedy samolot rozbił się podczas zwykłego lotu pokazowego. Zginęło troje ludzi, a ona cudem uniknęła podobnego losu.

Śledztwo wykazało, że katastrofa była wynikiem błędu pilota, i orzeczenie to uratowało program przed kasacją. Marquise wychodził ze skóry, aby przy współpracy Reck Enterprises, najważniejszego wykonawcy WingMaster, wysłać w niebo kolejny prototyp. Robili wszystko, żeby dostarczyć Air Force produkt pierwszej klasy. Aż do tej chwili myślała, że im się udało.

Cherish napiła się wody, zyskując kilka cennych sekund. Może Reck Enterprises, firma z dwudziestomiliardowym kapitałem, przetrwa utratę dofinansowania XC-23, ale nie przetrwa jej Marquis Aircraft. Los dwóch tysięcy pracowników Marquisa zależał od tego, czy uda się jej załatwić nagłówki w prasie, które powstrzymają Pentagon przed likwidacją programu.

- Jeżeli chodzi o dzisiejsze niepowodzenie - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to zarazem spokojnie i beznamiętnie - dopóki nie poznamy przyczyn awarii, trudno przewidzieć efekty...

Powstało jakieś zamieszanie przy drzwiach, narastający gwar stłumił jej ostatnie słowa. Cherish dostrzegła falowanie przebiegające audytorium. Fala załamała się na pierwszym rzędzie i z tłumu wyłonił się mężczyzna, niby Mojżesz rozdzielający Morze Czerwone.

- Co on tu robi, do cholery? - wyszeptał Chuck, zakrywając dłonią mikrofon. - Myślałem, że my mamy się tym zająć.

Russell Reck, prezes i dyrektor Reck Enterprises, wstąpił na podium, poprzedzony przez swój sławny orli nos. Miał pełne, niemal fioletowe wargi i brązowe mądre oczy. Znała tę twarz z okładek „Time'a” i „Newsweeka”.

Russell Reck nie wyróżniał się niczym szczególnym. Pochyłe ramiona, drobna budowa ciała, starannie wymodelowane, ale rzadkie włosy. Prawdę mówiąc, nie było na czym wzroku zaczepić. Dopiero po chwili człowiek uświadamiał sobie, że ten facet wart jest kilka miliardów dolarów.

Ktoś dostawił krzesło i Cherish przesunęła się w stronę Lori, robiąc miejsce.

- O kurczę! - mruknęła Lori. - Niszczyciel we własnej osobie.

Reck rozpiął kaszmirową marynarkę, bez wątpienia uszytą w Mediolanie, i zajął honorowe miejsce przy stole. Skinął Cherish głową i przysunął sobie mikrofon.

- Pozwólcie państwo, że się przedstawię. - Złożył wypiełgnowane dłonie na stole gestem znamionującym niezachwianą pewność siebie. Cherish wyczuła aurę władzy emanującą z tego niepozornego człowieczka. Sala ucichła. - Nazywam się Russell Reck. Jestem prezesem i dyrektorem Reck Enterprises, przedsiębiorstwa, które wraz z rządem i Marquis Aircraft jest odpowiedzialne za skonstruowanie XC-23. - Wyjął jakąś kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozwinął. - Mam tutaj kilka informacji dotyczących katastrofy naszego eksperymentalnego samolotu. Przedstawię je państwu, za pozwoleniem moich współpracowników.

Zwrócił się do Cherish, jakby czekając na przyzwolenie. Cherish siedziała niezdolna wykrztusić słowa.

Przedsiębiorstwa lotnicze i kosmonautyczne często współpracowały przy realizacji projektów, choćby Lockheed Martin,

Boeing i F-22, z LockMar-tem jako głównym wykonawcą. Ale współpraca w dziedzinie przestrzeni powietrznej nie należała do bezpiecznych przedsięwzięć. Przypominała filmy z Indianą Jonesem; trzeba było bardzo uważać, gdzie się stawia stopę. Jeden błędny krok i zatruta włócznia wbijała się człowiekowi w czoło. Idea takiej współpracy polegała na tym, żeby w razie niepowodzenia trzymać się razem, zwartym frontem. Zazwyczaj leżało to w interesie wszystkich zainteresowanych. Zazwyczaj.

Cherish zerknęła na kartkę, którą Reck rozłożył przed sobą na stole. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że spogląda w czarną, głuchą przepaść i czeka, aż ktoś ją popchnie.

Nie musiała czekać długo.

- O siódmej piętnaście rano - przemówił Reck cichym, spokojnym głosem - piloci XC-23 poinformowali wieżę, że usłyszeli huk, po czym natychmiast stracili kontrolę i samolot wpadł w korkociąg. Był to ostatni komunikat odebrany przez wieżę. Pilot nie odzyskał kontroli nad maszyną.

Cherish miała wrażenie, że jej leciutka wełenka garsonki kurczy się, staje się kaftanem bezpieczeństwa. Tego ranka dyrektor public relations w Reck Enterprises, jej odpowiednik, zadzwonił z pytaniem, czy Marquis będzie mógł przeprowadzić konferencję prasową w imieniu obu przedsiębiorstw. Było to bardzo nietypowe, ale zatelefonowała do Chucka i powiadomiła media. A teraz Russell Reck zjawia się z przygotowanym przemówieniem?

- Ze wstępnej analizy danych otrzymanych z samolotu wynika, że maszyna wykonała nagły obrót dookoła osi pionowej i runęła w dół, wpadając w korkociąg, jak przypuszczamy, na skutek błędu konstrukcyjnego...

Cherish wyczuła, jak siedzący obok niej Chuck sztywnieje. Nagły obrót dookoła osi pionowej. Korkociąg. Błąd konstrukcyjny.

Skrzydło. Mówił o skrzydle. O skrzydle zaprojektowanym przez Marquisa.

- Współpracując z naszymi partnerami z zespołu XC-23 - ciągnął Reck - mamy nadzieję odkryć naturę tego błędu najszybciej, jak to możliwe. Mamy pełne poparcie rządu. W tej właśnie chwili dwa helikoptery przeszukują rejon katastrofy, a ekipa specjalistów jest już w drodze na miejsce zdarzenia.

Cherish była coraz bardziej zdumiona. Przed wyjazdem na konferencję zadzwoniła do Air Force. Nikt nie wspomniał o operacji ratowniczej, dowiedziała się tylko, że zamierzają zawiadomić komisję do spraw bezpieczeństwa lotów.

Russell Reck ogarnął wzrokiem salę i stwierdził z zadowoleniem, że obecni chłoną każde jego słowo. Cherish siedziała ogłuszona, niezdolna nawet skonkretyzować nękających ją obaw. Obwini Marquisa. I ma poparcie rządu. Zrzucą to wszystko na nas, podwykonawcę.

- Czy mają państwo jakieś pytania, na które możemy z Chuckiem odpowiedzieć?

Natychmiast buchnął gwar głosów. Narastał z każdą sekundą. Kątem oka Cherish zobaczyła, jak Russell Reck wskazuje kobietę w żółtej garsonce siedzącą w pierwszym rzędzie. Reporterka CNN zerknęła do swoich notatek, otworzyła usta.

- Więc podejrzewa pan, że przyczyną katastrofy...

- Chciałam tylko dodać - przerwała jej Cherish, nie wiedząc jeszcze, co powie - że Marquis i Reck Enterprises współpracowały ściśle nad innowacyjnym projektem XC-23. - Głędzisz, głędzisz... Myśl. Myśl!- Było dla nas zaszczytem móc pracować ręką w rękę z Reck, przedsiębiorstwem, które nadzorowało każdy aspekt obecnego projektu i z którym dzielimy wszystkie nasze osiągnięcia.

Jak również winę, którą próbują zwalić teraz na nas, dodała w myślach. Sięgnęła po rękę Recka, ścisnęła ją, jakby byli kumplami wspierającymi się wzajemnie w trudnych chwilach.

- Z pewnością Russ zgodzi się ze mną, że mimo dzisiejszego niepowodzenia obecny zespół, utworzony przez Air Force, będzie nadal udoskonalał lotnictwo wojskowe i komercyjne.

Lori nabazgrała na żółtej karteczce: „Mogę już odśpiewać »Boże błogosław Amerykę«"?

Cherish uśmiechnęła się z przymusem. Nikt nie zapędzi Marquisa w kozi róg. Nikt!

Patrzyła w tłum, starając się nawiązać kontakt wzrokowy z możliwie największą liczbą słuchaczy.

- Budujemy samoloty eksperymentalne, panie i panowie. To już nie te czasy, kiedy co drugi ulegał katastrofie, jak to miało miejsce w

latach pięćdziesiątych. Bezpieczeństwo jest naszym priorytetem. Ale ryzyko istnieje.

- Ryzyko warte ludzkiego życia? - zapytała reporterka CNN.

- Robimy wszystko, by zminimalizować to ryzyko. - Mówiła prawdę, inaczej nie pozwoliłaby się zwerbować do tej roboty. -

WingMaster zapewni Stanom Zjednoczonym ogromną przewagę... ale nie za cenę życia pilotów-oblatywaczy. Ostatnia faza projektu zostanie wstrzymana aż do wyjaśnienia przyczyny dzisiejszego niepowodzenia. Ale myślę, że Russ -uśmiechnęła się triumfalnie do Recka, z którym nie zamieniła dotąd nawet dwóch słów - zgodzi się ze mną, że wykazalibyśmy się dużą nieodpowiedzialnością, mówiąc o przyczynie dzisiejszej wpadki. - Och, proszę, Boże, chyba nie powiedziałam „wpadki”? Powiedziałam „wpadki”? - bez uprzedniego przeanalizowania danych przez zespół ekspertów i komisję do spraw bezpieczeństwa lotów. Russell?

Reck wziął mikrofon, który podała mu Cherish. Po raz pierwszy zauważyła, że jego oczy mają kształt migdałów, a dolna i górna powieka wyglądają niemal identycznie.

Jaszczurcze oczy, pomyślała, i poczuła się. trochę pewniej. Facet ma miliard dolarów na koncie, ale nie zmienia to faktu, że przypomina jaszczurkę.

- Próba szukania przyczyny katastrofy na tym etapie wydaje się przedwczesna - Reck mówił tym samym autorytatywnym tonem, wycofując się godnie. - Mogę tylko powiedzieć, że sprawa zostanie potraktowana z całą powagą i troską.

- Jak państwo wiecie, komisja dochodzeniowa składa się z niezależnych ekspertów. - Cherish zakończyła akcentem, który zdawał się przemawiać na korzyść Marquisa. - Mamy nadzieję, że będziemy mogli powiedzieć państwu coś więcej podczas popołudniowej konferencji prasowej. Dziękuję, to chyba wszystko...

- Pani Malone! - Gdzieś w końcu sali podniósł się starszy mężczyzna, którego nie znała. - Kiedy ostatnim razem leciała pani samolotem? - zawołał ponad głowami innych.

Pytanie wydało się jej bardzo dziwne.

- Słucham?

Kiedy mężczyzna powtórzył pytanie, Cherish poczuła na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Nie rozpoznała reportera, a znała większość głównych graczy na sali. W jej interesie leżało utrzymywanie dobrych stosunków z dziennikarzami i zawsze myślała, że kupiła sobie odrobinę ich dobrej woli, chroniąc się przed pytaniami tego typu. Teraz stało się jasne, że konferencja przybrała niespodziewany obrót.

Nietrudno było zdobyć tę informację. Z pewnością każdy w branży słyszał plotki: „Babka od public relations w Marquisie boi się latać”. Ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego komuś opłacałoby się koncentrować na niej - takim marginesowym graczu.

- Biorąc pod uwagę osobiste doświadczenia...

- Czy to prawda, panno Malone, że nie lata pani samolotami firmy od przeszło roku, ponieważ nie uważa pani, że są zdatne do latania? Dzisiejsza katastrofa zdaje się to potwierdzać. Marquis jest

konstruktorem skrzydeł używanych dzisiaj w wielu samolotach pasażerskich. Może wyjaśni nam pani, dlaczego trzyma się pani z dala od tych samolotów. Dla dobra nas wszystkich.

Cherish poczuła, jak pod stołem Lori ściska jej rękę.

- Nie wiem, skąd czerpie pan swoje informacje - powiedziała. Nie spodobał się jej własny, zaczepny ton. - W ciągu ostatnich piętnastu lat nie rozbił się żaden samolot komercyjny z elementem konstrukcyjnym Marquisa.

- Osiemnaście miesięcy temu leciała pani... - dziennikarz przerzucił kilka kartek w notatniku - ...leciała pani pierwszym prototypem XC-23 WingMaster. Samolot rozbił się podczas rutynowego lotu.

- Myślę, że odeszliśmy od tematu - powiedział Chuck. Był bardzo zły. - Tamten wypadek nie ma nic wspólnego...

- Tamtego dnia zginęło troje ludzi?

- Błąd pilota nie może być...

- Panno Malone, czy od tamtego czasu leciała pani którymś z waszych samolotów?

- Od tamtego czasu nie leciałam w ogóle żadnym samolotem - odparła. Chuck pochylił się nad stołem z zaciętym wyrazem twarzy.

-I nie jest to częścią jej obowiązków służbowych jako dyrektora public relations. Ja latam naszymi samolotami mniej więcej raz w tygodniu...

- Lot, o którym pan wspomniał... '- Głos Russella Recka docierał do każdego zakamarka sali bez pośrednictwa mikrofonu. - Pierwszy

prototyp obecnego samolotu eksperymentalnego nie miał nawet najmniejszego problemu natury technicznej. Nawet tak drobnego jak zapchany sedes w toalecie...

Nerwowy śmiech przetoczył się przez salę, rozładowując napięcie. Reck rzucił Cherish znaczące spojrzenie, które mówiło, że tym razem nie wolno mu przerwać.

- Komisja ustaliła, że przyczyną katastrofy nie był błąd konstrukcyjny, lecz błąd pilota. - Skrzyżował ramiona na piersiach i pochylił się, ponownie skupiając na sobie uwagę sali.

- Tamtego dnia panna Malone omal nie straciła życia, została wyciągnięta z płonącego wraka wraz z drugim pilotem. Widziała śmierć trojga ludzi. Był wśród nich mój partner Henry Shanks. - Zawiesił na chwilę głos, jakby chciał uczcić chwilą ciszy pamięć zmarłego. - Panna Marlone jest z wykształcenia inżynierem. Orientuje się w budowie tych samolotów. Statystycznie są one najbezpieczniejszym środkiem lokomocji. Ale po przeżyciach tamtego dnia nie dziwię się jej niechęci do latania.

- Dziękuję państwu. - Cherish wstała, kładąc kres dalszym pytaniom. - Na tym zakończymy konferencję. Spotkamy się za trzy godziny. Zawiadomimy państwa, jeżeli dowiemy się czegoś wcześniej. - Odwróciła się do Russella Recka. Wciąż uśmiechnięta, niemal dławiąc się słowami, powiedziała: - Jestem pewna, że nasz zespół zgłosi się do pana po egzemplarz telemetrii. - Miała na myśli eksperymentalne dane przekazywane drogą radiową na ziemię

podczas lotu próbnego. - Współpracując, z pewnością rozwiążemy obecny kryzys w sposób zadowalający oba przedsiębiorstwa.

Zanim Reck zdołał odpowiedzieć, zwróciła się do Chucka.

- Mówiłam właśnie Russellowi, że przejrysz teletę z jego ludźmi.

Chuck Odell przypominał rozzłoszczonego buldoga. Dobiegał sześćdziesiątki, miał siwe włosy, a błękit jego oczu mocno przybladł, ale kiedyś był olimpijczykiem. Zapasy. Waga średnia. Utrzymał formę. W tej chwili wyglądał tak, jakby miał ochotę na kilka rund.

- Publiczne ujawnianie informacji nieznanym wszystkim członkom zespołu nie służy nikomu.

„Niszczyciel” rozciągnął usta w uśmiechu.

- Mój błąd, Chuck.

Nie czekając, aż Chuck dobierze się do Recka i urządzi przedstawienie przed tłumem dziennikarzy, żywo zainteresowanych tą wymianą zdań, Cherish chwyciła go za ramię i skinęła na Lori. Jej asystentka ruszyła w tłum, posługując się swoim krzepkim ciałem jak taranem. Cherish nigdy jeszcze nie widziała, żeby ktoś poruszał się tak zwinnie na ośmiocentymetrowych szpilkach.

Cherish uśmiechnęła się do dziennikarzy i obiecała, że przekaże im więcej informacji przy następnym spotkaniu. Modliła się w duchu, aby do tego czasu zdobyli jakieś konkrety. Nie spuszczała wzroku z farbowanych („Na litość boską, dlaczego mi nie powiedziałaś, że są fioletowe!”) loków Lori. Dopiero przy drzwiach odwróciła się, szukając wzrokiem Russella Recka.

Stał otoczony wianuszkami dziennikarzy, wśród uniesionych mikrofonów i dyktafonów, ale jego jaszczurcze oczy były utkwione w Cherish. Wolno uniósł rękę i zasalutował.

On mógł to wszystko zaplanować, te ataki dziennikarzy, nawet to, w jaki sposób mnie uratował, pomyślała.

- Drań - mruknął Chuck. Przytrzymał przed nią drzwi i tylko dlatego zwrócił na siebie uwagę Cherish. - Przysięgam, powiedzieli mi, że telemetria jest mało ważna.

Jak wszystkie samoloty eksperymentalne, XC-23 WingMaster został wyposażony w czujniki tensometryczne i przyspieszeniomierze. Czujniki przytwierdzono do konstrukcji i podłączono do systemu gromadzenia danych, komputera, który sporządzał odczyty co jedną dziesiątą sekundy i przechowywał dane.

Dzięki telemetrii te dane były przekazywane na ziemię. Reck Enterprises, główny wykonawca, przeprowadzał loty próbne, a tym samym miał kontrolę nad wszystkimi materiałami lotu. Ale jego obowiązkiem było informowanie o nich Chucka.

- Powiedzieli mi, że było za dużo zakłóceń. Że nie dosłuchają się niczego, dopóki tego nie oczyszczą. - Chuck potrząsnął głową, niby rozzłoszczony niedźwiedź. - Bezwartościowe śmiecie, tak mi powiedzieli.

Bezwartościowe śmiecie, które Russell Reck próbował wykorzystać przeciwko Marquisowi.

- Interesujące, że wszyscy ludzie Recka byli albo nieosiągalni, albo zbyt zajęci, żeby przyjść na konferencję prasową - powiedziała Cherish.

- Z ust mi to wyjął - odparła Lori, unosząc jedną starannie wyskubaną brew.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że wysłali nas tu bez żadnych informacji, w ciemno - Chuck potrząsnął głową. - A propos, uratowałaś nam tyłki. Dobra robota.

Cherish zmarszczyła brwi. Nadal obserwowała „Niszczyciela”, zastanawiając się nad przyczyną nagłej paranoi. Ale w tej branży paranoja była złem koniecznym.

Odwróciła się i zeszła ze sceny za Chuckiem, z Lori przy boku.

- Musimy się dowiedzieć, co nawaliło - powiedziała. - Dopiero wtedy będziemy mogli załatwić to, jak należy.

Późnym wieczorem siedziała przy swoim biurku z twarzą w dłoniach. Normalna reakcja - załamanie.

Kiedyś dokonałaby spustoszenia w minibarku w pokoju hotelowym i w ten sposób przebrnęła przez najcięższe chwile. Te małe śmieszne buteleczki znakomicie pomagały opanować dreszcze i wybuchy płaczu. Teraz Lori przejęła wszystkie podróże służbowe.

Bywały chwile, w pierwszych miesiącach po katastrofie, kiedy - jeżeli myślała o niej zbyt intensywnie - traciła zdolność oddychania. Jakby jej ciało zapomniało tej prostej umiejętności. Musiała się skoncentrować, przekonać samą siebie, że tak, jej drogi oddechowe są czyste i pracują bez zarzutu. Oddychanie było tylko kwestią

wciągnięcia powietrza do płuc. Wdech, wydech. Wdech, wydech. No widzisz! Potrafisz!

Uniosła głowę, starała się myśleć o czymś innym. To był długi dzień. Przebrnęła przez trzy konferencje prasowe. Dwie ostatnie poszły gładko, bo ludzie Recka zaczęli z nią współpracować. Przyznali, że dane wymagają głębszej analizy, zanim można będzie ustalić przyczyny katastrofy. Proszę, Boże, niech to nie będzie skrzydło!, powtarzała sobie Cherish. Dopiero przed północą odgwizdano fajrant.

Cherish przymknęła oczy, wyczerpana. Myślała o załodze, o tych ostatnich sekundach, o osieroconych rodzinach...

Wyciągnęła przed siebie ręce nad biurkiem. Nadal drżały.

Stres, brzmiała diagnoza lekarska. Paniczny lęk przed lataniem pasował do tego jak ulał. Tyle godzin kosztownej terapii, a ona nie mogła przebrnąć przez pierwszy etap ćwiczeń wizualnych. „Wyobraź sobie, że wchodzisz powoli po schodach trapu, idziesz w stronę drzwi samolotu...”

Pewnie! A dwie sekundy później... nie mogła oddychać.

Cherish zacisnęła dłonie w pięści, wstała.

Kiedy wszystko inne zawiedzie, pozostaje praca.

Podeszła do szafek katalogowych, zajmujących całą ścianę biura, otworzyła szufladę i przerzuciła zawartość, szukając właściwej teczki. Palcem wskazującym odepchnęła tekturową przegrodkę z napisem „Ballas”. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Erica, jak siedzi

po drugiej stronie przejścia samolotu; obraz odświeżony nocnym koszmarem.

Erie Ballas należał do zespołu pracującego nad XC-23 WingMaster. Jego firma, Joystick, była odpowiedzialna za specjalne tworzywo odrzutowca, grafitowy materiał epoksydowy użyty do wzmocnienia konstrukcji prototypu. Cherish wyciągnęła teczkę Ballasa, przejrzała kilkanaście stron tekstu i obliczeń. Folder zawierał ostatnią pracę Cherish, program realizowany wspólnie przez firmy Erica i Marquisa. Dotyczył badań nad metalami syntetycznymi, najnowszej i budzącej najwięcej emocji teorii tworzyw zespolonych. Erie uważał, że metale syntetyczne są przyszłością aeronautyki, a Cherish podzielała to przekonanie.

Z westchnieniem zamknęła teczkę. W przeciwieństwie do Marquisa, Erie nigdy nie znalazłby się między Reckiem a kowadłem. Nie Erie. Potrafił unikać pułapek prawnych, bo świetnie znał przepisy i nigdy nie polegał na umowach rządowych jako głównym źródle dochodów. Był jego firmy zależał od innowacyjnego wykorzystania taniego rosyjskiego banku mózgów. Taki układ przynosił korzyści obu stronom: Ericowi i rosyjskim naukowcom. Erie przeprowadzał badania po śmiesznie niskich kosztach, zapewniając chleb ludziom, którzy - pozbawieni pracy po upadku Związku Radzieckiego - mogliby ofiarować usługi nie temu, komu trzeba. Saddam na przykład chętnie wykorzystałby kilku fizyków nuklearnych jeżdżących dzisiaj w Moskwie na taksówkach.

- Brakuje nam ciebie, Ericu - powiedziała cicho, wsuwając teczkę na miejsce. - Potrzeba nam więcej takich ludzi.

Wyciągnęła oświadczenie prasowe, o które dopominała się Lori, i zamknęła szarą biodrem. Mijając biurko, spojrzała na uśmiechniętą twarz mężczyzny na zdjęciu.

Odłożyła folder z oświadczeniem i przysiadła na blacie. Podniosła fotografię.

Zdjęcie, oprawione w ceramiczną ramkę z Myszka Miki, którą kupili razem w Disneylandzie, przedstawiało mężczyznę w towarzystwie Pocahontas. Alec nie patrzył w obiektyw, lecz na kobietę w seksownym kostiumie stojącą u jego boku. Promienny uśmiech na jego twarzy mówił, że bardzo podoba mu się to, na co patrzy.

Takim zapamiętała Aleca. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, brązowe oczy zmrużone śmiechem, kolonia piegów na nosie. Na tym zdjęciu wyglądał dużo młodziej niż na swoje trzydzieści dwa lata.

Cherish dotknęła twarzy osłoniętej szkłem. Ciekawe, czy bardzo się zmienił przez ten rok.

Alec Porter. Jeden z najlepszych facetów, jakich znała. Jeden z tych, którzy wysłuchują ciemnych kobiecych sekretów, nigdy nie lekceważą kobiecych lęków i nie próbują ich uśmierzać. Ależ ją potrafił rozbawić. Do łez.

- Mam nadzieję, że dobrze ci się wiedzie w tym... - przypomniała sobie ostatnią pocztówkę, jaką od niego otrzymała - Hondurasie.

Odstawiła fotografię na miejsce i wolno obeszła biurko. Usiadła na krześle i zaczęła bębnić długopisem w blat. Zerknęła na rząd szuflad po swojej prawej ręce.

Nie otwieraj, nie rób tego pierwszego kroku.

Słowa jeszcze nie przebrzmiały w jej głowie, a już sięgnęła do uchwyty szuflady. Otworzyła ją i popatrzyła na fotografię, którą trzymała odwróconą twarzą do dołu. Chwyciła ramkę, nie dając sobie czasu do namysłu.

Jasnobrązowe włosy były krótko obcięte, długie w porównaniu z fryzurą, jaką nosił w wojsku. Wyglądał na przeciętnego faceta. Nic specjalnego, ciemne włosy, piwne oczy; asymetryczny uśmiech. Ale natura ma swoje sposoby, żeby z przeciętnego faceta zrobić przystojniaka - wystarczy wspomnieć Harrisona Forda i Dennisa Quaida. Typowy mężczyzna zwracający powszechną uwagę.

No i była jeszcze blizna. Nie deformowała mu rysów, nie naciągała skóry. Ot, po prostu linia, jakby narysowana cienkopisem.

Bezpośrednio po katastrofie Cherish była półprzytomna ze strachu i nawet nie czuła żaru płomieni. Podniosła wzrok, spojrzała prosto w te piwne oczy, a on uśmiechnął się i wyciągnął ku niej rękę. Po dziś dzień była przekonana, że gdyby nie ten uśmiech, nie ruszyłyby się z miejsca.

Zakochała się w tym właśnie momencie. Conor Mitchell. Jej osobista katastrofa.

Gniewnym ruchem rzuciła fotografię na dno i zatrzęsnęła szufladę. Czekała, aż ból w jej piersiach zelżeje.

Potem obróciła się na krzesło, twarzą do komputera. Cherish - profesjonalistka. Fotografia Aleca stała na swoim miejscu, obok puszki po mrożonym soku pomarańczowym, którą syn Lori przekształcił w przedszkolu w pojemnik na ołówki. Zastanawiała się, dlaczego musiała pokochać Conora, skoro to Alec oddał jej serce. Alec, który położyłby się w kałuży, byleby ona nie zamoczyła drobnych nóżek.

Alec, który wyznał, że ją kocha.

- Może któregoś dnia uda ci się coś z tego zrozumieć, Cherish - powiedziała, włączając komputer.

Ściągnęła pocztę. Próbowwała zebrać myśli, skupić się na wiadomościach, które mogły dotyczyć katastrofy. Przeglądając e-maile, pomyślała, że powinna zadzwonić do Lori i dowiedzieć się, co słyhać w bazie. Dzięki Bogu, były mąż Lori zabrał dzieci na weekend. Nie lubiła zawałać asystentki robotą, ale jako rzeczniczki Marquisa stawały często same przeciwko całemu światu.

Czytała kolejne wiadomości, aż trafiła na list, który sprawił, że zmartwiała przy klawiaturze.

Najdroższa Cherish, ktoś próbował mnie dzisiaj zabić. Uważaj na siebie. Skontaktuj się z Conorem. On będzie wiedział, co zrobić.

PS. Powinnaś wybrać mnie, maleńka.

Odepchnęła się od biurka. Obrotowe krzesło odjechało do tyłu, uderzyło o ścianę.

- Alec?

Przez ostatnie półtora roku przysyłał pocztówki z pozdrowieniami. Raz, dwa razy w miesiącu, widokówki z najslawniejszych miast świata. Nigdy nie podał adresu zwrotnego, żadnego sposobu, żeby się z nim skontaktować. Podobnie jak e-mail, pocztówki były niepodpisane. Ale tylko jedna osoba na świecie mówiła do niej „maleńka”.

„Ktoś próbował mnie dzisiaj zabić... Skontaktuj się z Conorem”.

Cherish skoczyła na równe nogi i pochyliła się nad komputerem. Jej palce fruwały po klawiaturze, robiła błąd za błędem, musiała wracać. Kiedy skończyła, wcisnęła klawisz wysyłający pocztę.

Na ekranie rozbrzysła informacja: „Połączenie niemożliwe. Adresat nie istnieje”.

Przez dwadzieścia minut próbowała wysłać wiadomość, bez większego powodzenia.

- Cholera, Alec! - Usłyszała strach w swoim głosie.

Nie wiedziała, gdzie on jest, nie wiedziała, jak się z nim skontaktować. A sądząc z pocztówek - każda z innego kraju, bez adresu zwrotnego - było to zgodne z życzeniem Aleca Pottera.

Wylogowała się, po czym odłożyła na miejsce dokumenty, które nie były jej potrzebne aż do następnego dnia. Włożyła do aktówki papiery do pracy w domu, starannie wyrównawszy ich brzegi, i wsunęła trzykolorowy długopis do specjalnej przegródki. Sięgnęła po żakiet i zgasiła światła. Jakby wszystko było w porządku, jakby kończył się kolejny zwykły dzień.

Nie miała pojęcia, co robić.

Idąc korytarzem, rozmyślała o dwóch mężczyznach, którzy zmienili jej życie. Spędziła z nimi sześć burzliwych tygodni. Sześć tygodni rozpoczętych jedną katastrofą, a zakończonych drugą.

Nie była pewna, dlaczego mężczyźni jej życia odeszli. Choć nie: wiedziała dokładnie, dlaczego odszedł Conor.

I niestety, dobrze wiedziała, gdzie może go znaleźć.

RS

Lądowanie i start

Odliczanie: 29 dni, 19 godzin, 55 minut

4

Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, Conor Mitchell byłby łyśy. Cherish założyła nogę na nogę i zataczała stopą niewielkie koła, żeby przywrócić krążenie w nodze. Spędziła niespokojną noc, martwiąc się o Aleca i o wczorajszą katastrofę, próbując podjąć decyzję.

Tego ranka zbudziła Lori pytaniem, czy może wysłać odpowiedź Alecowi. Ponieważ Lori nie potrafiła wyczarować królika z kapelusza, Cherish siedziała teraz w zagraconej recepcji biura „Dogfights Incorporated” i czekała na rozmowę z człowiekiem, którego nie widziała od półtora roku, to znaczy od dnia, kiedy porzucił ją przed ołtarzem.

Wyjęła puderniczkę i próbowała poprawić makijaż, podczas gdy klimatyzator zawieszony pod oknem owiewał ją ciepłym powietrzem.

Pomyślała, że może jej się poszczęści z tą łyśiną. Conor był starszy od niej o siedem lat, miał ich trzydzieści osiem, wchodził więc w wiek, kiedy mężczyźni zaczynają tracić włosy.

Geena Lloyd, siedząca za swoim szarym metalowym biurkiem, strzeliła z balonowy i dalej kartkowała „Air &Space”, jakby to było

„Cosmo”. Mała siostrzyczka Conora. Absolwentka Akademii Lotniczej, którą ukończyła z wszystkimi możliwymi wyróżnieniami. Major Sił Powietrznych i jedna z nielicznych kobiet szkolonych do walki na F-15 Eagle.

Cherish czuła, że czasopismo i guma to tylko fasada. W rzeczywistości cała ta masa szarych komórek jest skupiona na jej osobie. Na Złodziejce Wielkiego Złego Brata.

Zatrzasnęła puderniczkę; nie pozostawało jej nic innego, jak pogodzić się ze swoim wyglądem. Nigdy nie miała Geenie za złe jej wrogiego nastawienia. Wpadła w ich życie jak tornado. Wydarzenia po katastrofie pierwszego prototypu zaskoczyły wszystkich. Conor i Cherish nie mieli czasu dla nikogo poza sobą, nie mieli go nawet dla małej siostrzyczki, która była ośrodkiem egzystencji Conora przez dwadzieścia dwa lata.

- To naprawdę potrwa tylko minutę. - Wstała, zwracając się do Geeny. - Może po prostu zajrzę do jego gabinetu i...

- On zaraz wyjdzie. - Geena pofatygowała się na tyle, że uniosła głowę.

- Mam inne spotkania. - Cherish puknęła palcem w zegarek, zmieniając taktykę.

Geena przewróciła stronę.

- Z przyjemnością zajrzę do kalendarza, na pewno znajdzie się jakiś termin w przyszłym miesiącu. - Przeniosła wzrok na Cherish. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że drugiej szansy nie będzie. - W tym

semestrze prowadzi kursy inżynierskie i lata w pełnym wymiarze godzin. Jest bardzo zajęty.

Jasne! Cherish opadła z powrotem na krzesło.

- Wobec tego poczekam - powiedziała. - Skoro już tu jestem.

- Jak sobie życzysz - odparła Geena i strzeliła z gumy.

Niby echo tego dźwięku dobiegł je cichy trzask otwieranych drzwi. Cherish siedziała odwrócona tyłem, ale i tak wiedziała, że to Conor wszedł do pokoju. Była absolutnie pewna, że stoi za jej plecami.

Wyczuwała tego człowieka, jakby miała w sobie radar. Sonar wyłapujący Conora Mitchella.

Wstała. Ubrała się dziś rano z wielką starannością, w szytą na miarę garsonkę w kolorze łososiowym. Była to jedna ze śmielszych pozycji jej garderoby i jedna z bardziej twarzowych. Pomalowała nawet paznokcie lakierem bezbarwnym Lancôme, jakby stworzonym dla kobiet sukcesu. Chciała sprawiać wrażenie profesjonalistki, kobiety, która ma starannie poukładane życie.

Niestety, siadła klimatyzacja w jej volkswagenie i chociaż Cherish przetrwała mężnie cały odcinek autostrady, na szosie.91 był wypadek i wstrzymano ruch. Groziło jej rozplątanie makijażu, uchyliła więc okno, a potem opuściła całą szybę. Osiągnęłyby podobny rezultat, czesząc włosy ubijaczką do jajek.

Odwróciła się wolno.

Nie zmienił się. Żadnych zakoli, siwych włosów, ani grama zbędnego tłuszczu. Wspaniałe, jędrne ciało i przystojna twarz o piwnych oczach.

- Cher - powiedział.

Zastygła w miejscu. W jednej chwili przypomniała sobie wszystko. Że gdy nie musi nosić munduru, najchętniej układa T-shirty. Że dba o sylwetkę i ma gładką oliwkową skórę.

I przypomniała sobie, jak bardzo kochała j ego pocałunki.

- Conor! - Przypomniała sobie również, po co tu przyszła; - Właśnie mówiłam Geenie, że to potrwa tylko minutkę. Wiem, jak dziwna musi ci się wydawać moja wizyta, ale... - Za dużo mówisz. Zamknij się. Natychmiast się zamknij!

Gwałtownym ruchem wyciągnęła rękę, żeby przenieść to spotkanie na grunt zawodowy.

Conor oderwał plecy od ściany i uścisnął lekko dłoń Cherish, potem wskazał jej drzwi do biura... A ona stała wrośnięta w podłogę. Dotknął jej po raz pierwszy Od roku, przywrócił całą tęsknotę, zatopił w jej fałach.

- Tam? - Ocknęła się i wskazała drzwi, jakby nie zapadła przed chwilą w nostalgiczną śpiączkę. Odwróciła się do Geeny. - To potrwa najwyżej minutę - powiedziała, jakby potrzebowała jej pozwolenia.

Brat i siostra wymienili spojrzenia.

Cherish weszła do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na krześle dokładnie naprzeciwko kolejnego metalowego biurka. W

pokoju mieściło się biurko, dwa składane krzesła oraz regał z telewizorem i magnetowidem. Na ścianie wisiała wielka tablica.

Obciągnęła spódnicę i postawiła aktówkę przy nogach. Teczka nie była jej tak naprawdę potrzebna, ale wołała ją mieć przy sobie. Dawała poczucie bezpieczeństwa, była jak zbroja. Symbol powodzenia, dowód, że przynajmniej na polu zawodowym odniosła sukces. Gdyby jeszcze mogła wyciągnąć z niej męża i dziecko, sprawa zostałaby dopowiedziana do końca. „Nie potrzebuję cię, Conor. Nie zraniłeś mnie. Pozbierałam się, jestem dyrektorem poważnej firmy. Nie zwinęłam się w kłębek i nie umarłam, kiedy odszedłeś”.

Oczywiście, listy stanowiły pewien problem. Wysyłała jeden tygodniowo, przez cały ostatni rok. Bardzo długie, bardzo osobiste. Na początku pisała je z gniewu, pragnąc w jakiś sposób zranić Conora. Tak jak on zranił ją. Dlaczego miałyby mieć ostatnie słowo?

Ale z czasem te listy do Conora się zmieniły. Stały się jej terapią, nabrały charakteru pamiętnika. Czuła, że opowiada o swoich koszmarach jednemu człowiekowi, który może je zrozumieć. A zarazem miała wrażenie, że pisze w próżnię, ponieważ Conor nigdy nie odpowiedział.

Teraz te listy stały się ciężarem, który wniosła na własnych plecach do jego gabinetu. One nic nie znaczyły - nie wołałam w nich ciebie.

Dobrze by było!

Drzwi się otworzyły. Czekała, aż Conor przejdzie przez pokój. Nigdy się nie śpieszył - nie był również powolny. Był po prostu

spokojny. Metodyczny Conor. Ktoś, na kim możesz polegać... do czasu, oczywiście, gdy zechcesz wyjść za niego za mąż. Wtedy robił unik i krył się w mysią dziurę.

Patrzyła, jak siada za biurkiem. Sprężyny i skóra krzesła zaskrzypiały.

-Masz może...

Uniosła dłoń, uciszając go.

- Przede wszystkim pozwól mi wyjaśnić, że nie przyszłam, aby rozliczać przeszłość.

Jako dyrektor public relations wiedziała, że musi się przygotować do przemyślenia dzisiejszą strategię, pamiętając, że Alec i Conor nie rozstali się w przyjaźni. Nie mogła rzucić mu e-maila Aleca na biurko i odejść. Dlatego właśnie Alec użył jej jako pośrednika,

Conor wygłosi, rzecz jasna, jakieś żalosne usprawiedliwienie. Następnego dnia po ślubie, który się nie odbył, miał czelność zadzwonić, jakby naprawdę mógł wyjaśnić, dlaczego się z nią nie ożenił. Przez telefon! Rzuciła słuchawkę, odmawiając wysłuchania tego, co miał do powiedzenia. „Czy możesz mi wybaczyć, kochanie? Nie chciałem wyrwać ci serca i usmażyć go na lunch". Nie wysłuchała go wtedy i nie zamierzała wysłuchać teraz.

- Wiedz, że nie żywię do ciebie urazy, Conor - powiedziała wyważonym tonem. - Daliśmy się ponieść emocjom. Nie mogliśmy nad tym zapanować. Katastrofa, twoje odejście z Air Force. Takie

rzeczy zmieniają ludzi. Wir zdarzeń. Daliśmy się porwać - zwłaszcza ja.

Conor odchylił się na krzesło, blizna na twarzy nadała mu groźny wyraz, jakby nie spodobało mu się to, co usłyszał.

- Jak na tym filmie Speed - ciągnęła, jakby w natchnieniu. - To, co Sandra mówi Keanu na końcu. Związki zrodzone w ekstremalnych sytuacjach nie mogą przetrwać. To właśnie my, Conor. Zbyt wiele, zbyt szybko.

Założyła nogę na nogę i odchyliła się na krzesło. Spójrz jaka jestem odprężona. Panuję całkowicie nad sytuacją. Udało się jej roześmiać.

- Doprawdy, pomyśl, żeby się pobrać i żyć długo i szczęśliwie po sześciu tygodniach znajomości... Cóż, miałaś rację. Jakie mieliśmy szanse? Nie, lepiej było odejść, od razu położyć temu kres. Czyste, zdecydowane cięcie. - Wykonała je dłonią w powietrzu. - Przerwać to, zanim popełni się większy błąd.

Mówiła, pragnąc wypełnić ciszę, dystans, jaki stwarzał, kiedy patrzył jej w o-czy. Po długiej chwili, która Cherish wydała się wiecznością, Conor powiedział:

- Chciałem tylko zapytać, czy napijesz się kawy przed tym przemówieniem. Ale widzę, że kofeina ci niepotrzebna.

Czuła, że oblewa się rumieńcem. Kawa. Dokonała błyskawicznego przeglądu ostatnich trzydziestu sekund. Kawa!

Wygładziła spódnice na kolanach i odchrząknęła.

- Czy zamiast kawy mogłabym dostać tępy nóż, którym wykroiłabym z ciebie to podłe, zdradzieckie serce?

Uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Ciekawe, czy ono w ogóle bije? - dodała. Zerwała się z krzesła. -Rzuciłeś mnie w dzień ślubu, ty... ty... draniu! Nie odpowiedziałeś na żaden list, kiedy ciebie potrzebowałam. Byłeś jedynym człowiekiem, który przeżył to, co ja, który dał mi nadzieję zrozumienia... Nie!

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową, unosząc dłonie, jakby chciała powstrzymać atak.

-Nie, nie, nie. Nie robię tego. Przeszłam terapię. Wszystko to już przebolełam. Przebolełam ciebie. - Wskazała go palcem, jakby w pokoju znajdował się jeszcze inny kandydat odpowiedzialny za jej złamane serce. -Całkowicie ciebie przebolełam.

Conor czekał, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Patrzył, jak robi z siebie konkursową idiotkę.

Cherish zamknęła usta. Wróciła do krzesła i podniosła aktówkę. Otworzyła teczkę, wyjęła e-mail Aleca. Pomyślała, że powinna zostawić list na biurku i wyjść. Nie wyszła.

Patrzyła, jak Conor sięga po kartkę, odczytuje wiadomość.

- Otrzymałam ją wczoraj wieczorem - powiedziała. - Od Aleca. Dostrzegła pierwszy przeblýsk emocji. Znała historię ich znajomości, a jednak zaboląo ją, że to Alec wzbudził emocje Conora. Conor upuścił kartkę na biurko, skrzyżował ramiona i czekał.

- Zwykle przysyła pocztówki - powiedziała. - Przynajmniej raz w miesiącu. Wschodnia Europa, Azja, Ameryka Południowa. Kartki z pozdrowieniami, parę słów o pogodzie i ładnych widokach.

O tym, że ją kocha. Że za nią tęskni. Pisał to, czego Conor nigdy jej nie powiedział. To, z czego utratą pogodziłaby się, gdyby dostała Conora. Głupia, głupia kobieto.

Patrzyła, jak Conor odczytuje ostatnie zdanie: „Powinnaś wybrać mnie, maleńka”.

- Nie pisze, jak można się z nim skontaktować ani w jaki sposób mu pomóc - powiedziała, kiedy podniósł wzrok znad kartki i jego oczy zakomunikowały to, co oboje już wiedzieli: „Powinnaś wybrać Aleca”. - Pisze tylko, żebym się z tobą skontaktowała. - Cofnęła się o krok. - Dlatego przyszłam. - Nadal się nie odzywał, więc dodała: - Co mam robić, Conor?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Zamknęła oczy. Pomyślała o Chucku i jego inżynierach, którzy pracowali przez całą noc. O Lori, która samotnie stawiała czoło prasie, podczas gdy ona traciła czas tutaj. Rzuciła wszystko, przełknęła dumę i przybiegła do niego, ponieważ myślała, że Alec może ich potrzebować.

Odwróciła się i zatrzasnęła aktówkę, uświadamiając sobie, że została zupełnie sama. Wyciągnęła rękę do Conora.

- Było bardzo miło. Zadzwoń do mnie, kiedy wykryjesz w sobie tętno.

- Siadaj.

- Można wiedzieć, po co?

- Czy to pierwsza taka wiadomość od Aleca?

- Oczywiście!

Patrzył na nią bez zmruczenia powiek.

- Cóż, dla mnie nie.

- Co ty mówisz? Uważasz, że to jakaś gra, którą Alec prowadzi?

- Wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby tak właśnie uważał.

- Alec umie wpakować się w kłopoty. Nie wiem, co moglibyśmy zrobić w tej sprawie.

Skinęła głową w milczeniu. Ale w głębi duszy porównywała tego niewzruszonego mężczyznę za biurkiem z Conorem, który kochał się z nią z niewiarygodnym żarem i pasją. Z mężczyzną, w którym się zakochała. Z mężczyzną, którego straciła.

- Skontaktuj się z Conorem - zacytowała. - On będzie wiedział, co robić. - Wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że Alec się pomylił. I ja również.

Była już w drzwiach, kiedy usłyszała, jak mówi:

- Nigdy nie znałem wszystkich odpowiedzi, Cher. Wpatrywała się w swoje palce na klamce. Nie odwróciła się.

- Szkoda. - Wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Geena porzuciła biurko i zajęła stanowisko przy drzwiach, gotowa do natychmiastowego ataku. Cherish rozejrzała się po recepcji, szukając karafki z wodą. Wiedziała, że Geena nie będzie marnowała sił na nią. Jej głównym celem był Conor.

Założyła okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnęła się do Geeny.

- Życzę miłego dnia.

Na zewnątrz oślepiło ją słońce. Niemal wpadła na męża Geeny, Marca, który wykorzystał swój niezawodny refleks Toma Cruisa, żeby uskoczyć z drogi i uniknąć kolizji. Nie powiedział ani słowa, tylko przyglądał się jej znad lustrzanych okularów przeciwsłonecznych.

Była taka zmęczona ich milczeniem. Ich tajnym bractwem. Mieli siebie nawzajem, Conor, Marc i Geena. Dynamiczne trio odtrącało każdego, kto mógłby zakłócić sielską egzystencję. Ona i Alec zostali odrzuceni przed laty.

Zasalutowała Marcowi, obeszła go i potknęła się o krawężnik. Niewiele brakowało, a zepsułaby sobie zejście ze sceny. Wyprostowała się i pokuśtykała do samochodu, chroniąc nadwerżoną kostkę. Zatrzymała się dopiero na parkingu przy swoim samochodzie.

Fale gorąca były od nagrzanego asfaltu, zalewały żarem. Cherish grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków. Jakie to dziwne, że Alec nigdy się do nich nie upodobnił, myślała. Mur, jaki Conor i jego siostra zbudowali wokół siebie w dzieciństwie, a potem w Air Fotce, nigdy nie objął Aleca, który wyrastał z nimi jak brat.

Tego wieczora, kiedy Conor wystawił ją do wiatru, nie przychodząc na ślub, Alec starał się go usprawiedliwić. Płakała na jego ramieniu, a on powiedział, że pragnie zająć miejsce Conora.

Ale ona nie kochała Aleca. Nie w ten sposób.

Rzuciła aktówkę na siedzenie pasażera i włożyła kluczyk do stacyjki.

- Zawsze dokonuj złego wyboru. - Silnik nie zaskoczył za pierwszym razem. - Oto moje życiowe motto.

Zostawiła za sobą zakurzoną płytę lotniska i skierowała się ku autostradzie. Zastanawiała się, czy te listy, które wysyłała od roku, nie były czymś więcej niż terapią. A jeżeli próbowała w ten żałosny sposób odzyskać Conora? Pokazać mu, jaka jest interesująca? Kiedy mnie porzuciłeś, Conor, nie znałeś mnie. Ale może wystarczy kilka szczerych zwierzeń.

Myśl, iż mogłaby być aż tak głupia, naprawdę bolała. Ponieważ okazało się, że nie jest dla niego dość interesująca.

Teraz on wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny, dla niej zaś Conor Mitchell pozostał zagadką.

Conor patrzył, jak drzwi się otwierają i wchodzi Geena. Opadła na krzesło przed biurkiem, przerzuciła nogi przez oparcie.

- Zadzwoiłam do Kathy. - Wlepiała w niego brązowe oczy. Geena potrafiła patrzeć na człowieka całymi minutami i nie mrugać. - Odwołałam dzisiejszą kolację.

Czekał. Znał Geenę. To była dopiero rozgrzewka.

- Bo i po co miałbyś się spotkać z idealnie doskonałą kobietą? - Zmieniła ton, jej głos był teraz wyższy, bardziej donośny. - Z kobietą, z którą mógłbyś się ustatkować, założyć rodzinę? Po co to robić, skoro masz Barbie, która składa ci wizyty w biurze?

Conor usiadł wygodniej, pozwalając siostrze wyładować złość. Geena poświęcała tyle energii na nienawiść do Cherish... A były do siebie podobne. Obie uparte i mądre. Cherish była niezwykle zdolna.

Specjalizowała się w badaniach naprężeń skrzydeł na długo przed tym, nim Marquis zaryzykował posadzenie przed kamerami kogoś, kto nie był mężczyzną rasy białej.

- Wiesz co, Conor? Nie rozumiem cię. Trzeba ci lat, żeby się w kimś zakochać. Myślałam że to dlatego, że jesteś wybredny. Co jest z tobą i tą słodką dziewczeczką?

Musiał się uśmiechnąć.

- Cher przekazała mi tylko pewną wiadomość.

- A pirania chce tylko coś na ząb. O tym właśnie mówię. Cher? Imię Cherish jest wystarczająco pretensjonalne. Musisz wymyślać jakieś dziwaczne zdrobnienia?

Geena wstała i nachyliła się nad biurkiem, z dłońmi zaciśniętymi na krawędziach blatu. Była wysoka. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Posłuchaj mnie, Conor. Jesteś najbardziej wrażliwym człowiekiem, jakiego znam. Byłam za mała, żeby pamiętać mamę i tatę. Ty mnie wychowałeś, potem wzięłeś sobie na kark Aleca razem z jego problemami. I zawsze, zawsze miałeś jakiś wspaniały plan. Najpierw, jak wydostać nas z państwowego sierocińca, potem, jak przepchnąć nas przez Akademię. Sobą zajmowałeś się na szarym końcu, my byliśmy na pierwszym miejscu. Miałeś cel w życiu, Conor. Byłeś taki... niezawodny. A potem pewnego dnia przeszedłeś przez te drzwi z kobietą, którą znałeś jak długo? Miesiąc?

- Ile to jeszcze potrwa? - Zerknął na zegarek. - Skoro kolacja jest nieaktualna, wezmę się do jakiejś roboty.

Ale Geena już spacerowała po pokoju. Kobieta w akcji.

- Żenię się dzisiaj, powiedziałeś. Tak po prostu. Jakby to nie miało znaczenia. Nie wiedziałam nawet, że coś takiego jest możliwe w Kalifornii. Jakbyśmy mieli kaplicę z Las Vegas przy sklepie spożywczym. Na domiar złego powiedziałeś to z kompletną martwością w oczach... A to głupiątko przy twoim boku promieniało, takie... takie blond!

- Wiesz co, Geena? Ona jest naturalną blondynką.

To ją przystopowało. Obróciła się, twarzą do niego, chłonąc znaczenie tych słów. Dlatego je wypowiedział. Połączone siły Cher i Geeny to było dla niego za wiele.

Oparła się o regał. Jej oczy błyszczały.

- Dupek - powiedziała, doprowadzona do stanu wrzenia.

- Jędza.

-Kutasowy...

- Geena! Wystarczy! - Marc wszedł do pokoju. Objął żonę, usiadł i wziął ją na kolana. Geena była od niego wyższa, co dawało mu powód do dumy. - Kiedyś was sfilmuję. Geena obszczekuje cię jak rozwścieczony ratlerek, a ty stoisz z rękami założonymi na piersiach, kiwasz głową i jeszcze ją podjudzasz. Więc czego chciał Kopciuszek?

Geena odsunęła ręce Marca, ale pozostała na jego kolanach. Oboje spoglądali na Conora wyczekująco.

Uważali Cher za wroga. Ponieważ pewnego dnia on, Conor Mitchell zrobił coś, co było niezgodne z jego charakterem, coś, czego

nie potrafili wyjaśnić. A Cher stała wtedy u jego boku. No i nie wiedzieli, jak można go o to obwinie. Nie o Cherish Malone powinni się martwić.

Conor potarł bezwiednie bliznę nad okiem, zorientował się, co robi, i szybko cofnął dłoń. Sięgnął po kartkę, którą Cher zostawiła na jego biurku.

- Kłopoty - powiedział. - Alec wrócił.

5

Sydney Shanks Reck poprawiła ramiączko peniuaru . Przeszła bosą przez wyłożony żółtym dywanem korytarz i zatrzymała się pod drzwiami gabinetu Russela. Usłyszała jego głos. Rozmawia przez telefon?

Zawahała się, z ręką zawieszoną nad klamką. Dochodziła jedenasta. Jeżeli będzie dłużej czekać...

Zaśnie nad planami parteru i próbkami tkanin, jak to robiła niemal każdej nocy. Schemat powtarzający się do znudzenia. Ona siedziała na łóżku i czekała, długo czekała... podczas gdy Russell pracował w biurze, które założył tutaj, w ich domu na Harbor Island, i przychodził do sypialni, kiedy ona już spała.

Sydney przysięgła sobie, że dzisiaj będzie inaczej.

Uchyliła drzwi i wsunęła nogę, prezentując nagie udo w rozcięciu peniuaru. Nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła do pokoju.

Niespiesznie przemierzyła cenny dywan, poruszając biodrami w rytm niesłyszalnej muzyki. Russell wciąż mówił do słuchawki.

Kiedy zsunęła ramiączko peniuaru, uniósł rękę:

- Nie teraz! - mruknął.

Sydney zrzuciła papiery z mahoniowego biurka i usiadła na blacie. Russell dalej rozmawiał, rzucając żonie zirytowane spojrzenia.

- Waszyngton - wyszeptał. Znowu Kinnard.

Spróbowała zdławić irytację. Wiedziała, że sprawa musi być ważna, skoro Russell rozmawia o tej godzinie z Josephem Kinnardem. Podsekretarz obrony do spraw badań i rozwoju był najważniejszym kontaktem Russella w ministerstwie obrony. Ale zanim pozwoliła, by opadły ją wyrzuty sumienia, przypomniała sobie, że w przypadku Russella zawsze będzie coś lub ktoś. Reck Enterprises była potężną firmą z udziałami w komunikacji i przestrzeni powietrznej. Jeżeli Sydney na to pozwoli, firma zabierze wszystko, a ona nie dostanie nic.

Zaczęło się, gdy tylko odłożył słuchawkę. Wymówki.

- Daj spokój, Sydney. Wiesz, że mam pełne ręce roboty z tą cholerną katastrofą.

- Już nie chcesz się ze mną kochać?

- Co za głupotę znowu wymyśliłaś? Wybacz, że jestem trochę rozkojarzony, ale przed dwoma dniami samolot, w który wpakowałem pół miliarda dolców, rozleciał się na kawałki. W tej chwili nie mogę poświęcić ci całej mojej uwagi, Sydney.

Rozwiązał krawat. Marynarka od Armaniego leżała już przerzucona przez oparcie fotela. Rozpiął dwa guziki przy

kołnierzyku. Miał pięćdziesiąt siedem lat, a wyglądał na czterdzieści kilka, prawdopodobnie dzięki grze w squasha. Ale mężczyźni takich jak Russell nie ocenia się według ich wyglądu.

Sydney rozpięła następny guzik jego koszuli.

- W tej chwili zadowolę się tym, co zechcesz mi dać. I nie potrwa to długo, obiecuję - wyszeptała, całując go w pierś.

- Dosyć, Sydney.

Polizała jego brodawkę, sięgnęła do klamry paska. Chwycił ją za rękę.

- Powiedziałem „dosyć”.

Popatrzyli na siebie, oboje przestraszeni ostrością jego tonu. Wtedy zrozumiała. Już mu nie wystarcza. Już jej nie kocha.

Wyrwała mu się i wybiegła z pokoju. Russell wołał za nią, zapewniał, że mu przykro. Ale ona pędziła dalej. Minęła hol, wbiegła na schody, zatrzymała się dopiero w sypialni.

Zatrzasnęła drzwi i Osunęła się po nich na podłogę, obejmując się ciasno ramionami. Po raz pierwszy była naprawdę przerażona. Poświęciła wszystko, żeby być z Russellem. Oszukiwała pierwszego męża, partnera Russella, całymi latami żyła w kłamstwie, a potem dźwigała balast wyrzutów sumienia jako wdowa po Henrym. Nie męża opłakiwała, lecz sposób, w jaki go traktowała przez ostatnie lata. Poświęciła wszystko, by zostać trzecią panią Russellową Reck.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Kochanie, otwórz!

- Pierdol się, Russell - krzyknęła. - Odejdź - poprawiła się po namyśle. - W tej chwili jestem na ciebie bardzo zła.

- Widzę. - Cisza. - Wynagrodzę ci to, Sydney. Naprawdę. Możemy gdzieś wyjechać, może do Acapulco. Pamiętasz Acapulco? - zapytał niemal szeptem.

Oczywiście, że pamięta. Byli tam tacy szczęśliwi.

- Kocham cię, Syd. Wiesz o tym. Ale Kinnard mocno napiera. Obiecał Bóg wie co komisji senackiej, żeby ocalić program, a teraz oni czyhają na pierwsze potknięcie, żeby go skasować.

Oparła głowę o drzwi, wiedząc, że gniew nic nie pomoże. Podda się, jak zawsze. Jaki miała wybór, tak naprawdę? Wstała i otworzyła drzwi.

- Ale to boli, Russ - powiedziała. - Nadal boli. Wziął ją w ramiona.

- Wybaczasz mi?

- Nie, nie wybaczeni! - Ale oddała mu pocałunek. - Jeszcze nie. Odsunął ją z pomrukiem gniewu.

- Posłuchaj, ta sytuacja mnie również nie odpowiada. Ale dopóki nie znajdziemy przyczyny katastrofy prototypu, mój czas nie należy do mnie, XC-23 jest powiązany niemal ze wszystkim. Wiele zależy od tego lotu w przyszłym miesiącu.

- Okay. - Przytuliła się do niego. - Okay.

- Grzeczna dziewczynka. - Pocałował ją w czoło, potem pogłaskał piersi przez peniuar. - Mam jeszcze kilka raportów do przejrzenia, zanim będę mógł pójść spać. Poczekasz na mnie?

Westchnęła. -Tak.

Wsparta o futrynę patrzyła, jak Russell przemierza hol ozdobiony japońskimi drzeworytami i cicho zamyka za sobą drzwi. Russell był mężczyzną o niezwykłych zdolnościach, ale stworzył potwora, który teraz sprawował kontrolę nad ich życiem. Wiedziała, że nazywają go „Niszczycielem”.

Cóż, był znakomity w rozbieraniu rzeczy na części pierwsze.

Przeszła bosą przez pokój. Z dołu, z ogrodu dobiegał kojący szum wody w fontannie. Była to granitowa rzeźba, którą zamówiła w zeszłym roku, gdy kupili dom. Prace wykończeniowe przypomniały jej odległe czasy, kiedy pracowała jako zastępca kustosa w Norton Simon. Szczyciła się tym domem. Chciała stworzyć idealną siedzibę dla siebie i Russa.

Podeszła do toaletki i przyjrzała się w lustrze swojej twarzy, drobnym zmarszczkom wokół oczu i ust. Miała trzydzieści siedem lat. Russell był o dwadzieścia lat starszy. Ale była jego trzecią żoną. Pierwsze dwie rzucił, zanim dobiegły czterdziestki.

- Tylko nie zacznij się nad sobą uzalać, Sydney - powiedziała swojemu odbiciu. - Jesteś twarda. Inaczej Russ by cię nie chciał.

Podeszła do łóżka, osiemnastowiecznego weneckiego antyku, który ustawiła na środku pokoju, tak, by widok Pacyfiku za przeszkloną ścianą stanowił dla mebla piękne tło. Wtuliła policzek w jedwabną pościel.

- Będę o ciebie walczyła, Russell - wyszeptała.

Nie pozwoli, żeby Reck Enterprises odebrał jej kolejnego męża.

Minęła pierwsza w nocy, kiedy Russell wspiał się na schody. Był śmiertelnie zmęczony, ale jego umysł nadal pracował na pełnych obrotach. Będzie musiał polecieć jutro Gulfstreamem V do Waszyngtonu pomóc Kinnardowi przekonać tych drani w Hill, że nastąpiło tylko drobne potknięcie, bez wpływu na całokształt przedsięwzięcia. Jezu, Waszyngton! Wyobrażał sobie, co na to powie Sydney.

Nie będzie zachwycona, ale nic na to nie mógł poradzić. Kinnard miał rację - musieli odwrócić kota ogonem. Sprawić, żeby ta katastrofa posłużyła ich celom. Jeżeli dobrze to rozegrają, nie będzie to wpadka, lecz okazja, na jaką czekali.

Przywołał w myślach obraz tej kobiety - Cherish Malone, szefowej public relations w Marquisie. Miał nadzieję, że nie pomylił się w jej ocenie. Półtora roku temu przekonał Josepha Kinnarda, że Malone jest zerem. Elementem bez znaczenia. Ale przez ostatnie dwa dni patrzył, jak radzi sobie z prasą, widział jej szczerą twarz sierotki Marysi zwróconą w stronę kamer i nagle wcale nie wydała mu się taka zupełnie bez znaczenia.

Uważnie obserwował Marquisa przez ostatni rok. Kosztowało go to miliony, ale były to dobrze zainwestowane pieniądze. I pomyślał jeszcze, że Kinnard miał rację w sprawie forsy. Nadarzała się wspaniała okazja, żeby wprowadzić w życie plan „korekcyjny”, jak nazwał go Russell. Kiedy w przyszłym miesiącu końcowy prototyp oderwie się od ziemi, po Marquis Aircraft nie zostanie nawet

wspomnienie. I jeżeli rozegrają partię właściwie, Cherish Malone rozpułynie się w powietrzu razem ze swoją firmą. Problem rozwiązany.

Russell szedł przez hol czując przyływ gorącej krwi w żyłach. Nadal to w sobie miał. Miłość zabijania. Russ Reck. Niszczyciel.

Cóż, to nie był interes dla mięczaków. Dla biednego Henry'ego. To wieczne gędzenie o pracy zespołowej i postępie. Głupia wiara w Erica Ballasa, który myślał, że znalazł kopalnię złota u tych cholernych Rosjan. Nie, Henry nie ogarniał całości. Reck Enterprises wejdzie w nowe tysiąclecie jako główna potęga w branży komunikacyjnej. Henry tego nie dostrzegał. Brakowało mu rozmachu.

Drogo za to zapłacił. Henry Shanks, jeszcze jeden miły facet, po którym się można przejechać.

Biedny Henry, pomyślał Russel. Boże, nadal nie mógł sobie wybaczyć Henry'ego, biednego mięczaka. Henry'ego, który nie skrzywdziłby muchy, który z radością trzymał się w cieniu, pozwolił nawet nazwać firmę nazwiskiem partnera, ponieważ ojciec Recka miał jakieś marne znajomości w liniach lotniczych. Ten przeklęty łobuz, Kinnard. Dlaczego nie mógł trzymać Henry'ego z dala od tej sprawy?

Jezu, wszyscy czegoś od niego chcą, Kinnard, Sydney, duch Henry'ego. Nawet szef ochrony, który z finezją słonia morskiego udawał idiotę reportera. Russell kazał mu zatakować tę Malone, ale specjalnie podkreślał, że należy to zrobić subtelnie! Gdyby nie pilnował ich każdego kroku...

A przede wszystkim, Sydney. Zerknął na japońskie drzeworyty na ścianach. Prawie skończyła wystrój wnętrza. Wkrótce będzie

musiał wymyślić coś nowego, żeby odwrócić jej uwagę od biologicznego zegara, który tykał w niej niby bomba. Jedno jest pewne, on nie pójdzie pod nóż, żeby odwrócić wasektomię. Utrzymał już pięcioro dzieci. Sydney powinna to zrozumieć.

Wchodząc do sypialni, czuł, jak gniew go spowija. Stał się niemal namacalny, pulsujący, kiedy Russ zobaczył, że ona śpi w tym bohomasowym łożu, które uparła się kupić. Zielona jedwabna koszula oplotła ciasno jej uda i Sydney wyglądała bardzo seksownie z kasztanowymi włosami rozrzuconymi na poduszkach. Dlaczego nie poczekała na niego, do kurwy nędzy?! Miał ochotę chwycić ją i potrząsnąć, żeby się obudziła. Po co wyprawiała te hece w jego gabinecie?

- Cholera! - Opanował się siłą woli, odsunął od łóżka i zaczął myśleć rozsądniej. Była druga w nocy. Czego się spodziewał?

Potał twarz rękoma, zmęczony i spięty. Co się z nim dzieje? Kinnard, oczywiście. Facet trzymał go za jaja i nie zawaha się ścisnąć, gdy uzna to za stosowne. Ale Russell nie powinien wyładowywać się na Sydney. Kochał ją. To było niesamowite, ale liczył się z uczuciami żony.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zwinąć się obok niej na łóżku i nie zasnąć, ale był zbyt podminowany. Ten telefon od Kinnarda!

Russell wyszedł i zamknął za sobą drzwi, pozostawiając Sydney jej snom.

Wylądował w ulubionym barze w „Four Seasons”. Tutaj nikt nie wypraszał klientów nawet o drugiej w nocy w powszedni dzień tygodnia. No i był tu znany. Kiedy usiadł na wyściełanym stołku, wyfrakowany barman już nalewał mu porcję dwudziestopięcioletniej szkockiej, którą Russell pijał najchętniej.

On zobaczył dziewczynę pierwszy. Siedziała na rattanowym fotelu i spoglądała przez okno atrium na syntetyczną podświetloną dżunglę na zewnątrz. Dziewczyna wyglądała niewiarygodnie młodo - najwyżej na dwadzieścia lat. Kasztanowate kędziory opadały jej na ramiona. W takich włosach mężczyźni pragną zatapiać palce.

Frustracja po rozmowie z Kinnardem zniknęła w jednej chwili. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Russela, jakby wyczuwając jego wzrok. Miała oślepiająco błękitne oczy. Jezu, była apetyczna, taka drobina z niewiarygodnymi ustami.

Dał znak kelnerce. Dziewczyna piła Kir Royale, zamówił dla niej jeszcze raz do samo. Zdradzał Sydney od czasu do czasu; za dużo podróżował, żeby pozostać wiernym. A dzisiaj... Potraktuje ten raz jako lekarstwo.

Dziewczyna nie uśmiechnęła się, nie dała po sobie poznać, że dostrzega jego spojrzenie. Zawahał się. Sydney! Kochał ją. I musiał zachować ostrożność. Był w niej tak zakochany, że kiedy odmówiła podpisania umowy przedślubnej, nie nalegał, wbrew zaleceniom rady nadzorczej. Może dręczyły go wyrzuty sumienia wobec Henry'ego, ale nie zamierzał zostawić Sydney, jak przedtem Carlę i Megan.

Cholera, nie mógł sobie na to pozwolić.

I nie chodziło tylko o pieniądze. Po prostu nie wyobrażał sobie, aby mógł ją zostawić. Sydney była jego zdobyczą. Piękna, mądra. Na zawsze pozostało dla niego tajemnicą, jak Henry ją zdobył. Gd pierwszej chwili, kiedy wspólnik przedstawił mu nową żonę, Russ wiedział, że musi ją mieć.

Ale Sydney nie rozumiała męskich potrzeb. Gdyby dowiedziała się o zdradzie, z pewnością wyładowała by gniew na jego koncie bankowym.

Kelnerka przyniosła dziewczynie drinka i powiedziała, kto stawia. Dziewczyna skinęła głową i te niesłychanie niebieskie oczy wybiegły mu na spotkanie. Czasem korzystał z usług profesjonalistek - było to o wiele prostsze - ale tym razem coś mu mówiło, że dziewczyna do nich nie należy. Zapowiadała się ekscytująca przygoda.

Uniósł szklanekę w milczącym pozdrowieniu.

Wstała, zabrała ze sobą drinka. Szła ku niemu, mijając rattanowe kanapy, bambusowe fotele i palmy w doniczkach. Światło padające z tyłu odbijało się od połyskliwego materiału obcisłej sukienki. Harmonizowała odcieniem z jej oczami, była elektryzująco niebieska. Dziewczyna usiadła przy barze obok Russella.

- Kelnerka powiedziała, że jesteś naprawdę bogaty. - Mówiąc, spoglądała na jego usta.

Jezu, czy ona nosi niebieskie szkła kontaktowe? Upiła łyk szampana, zabarwionego na czerwono przez creme de cassis. Dostał erekcji, wyobrażając sobie te usta na czymś innym niż brzeg kieliszka.

- Budujesz satelity?

- Między innymi. - Reck Enterprises miał wiele rozgałęzień. A Russell zawsze wierzył w przyszłość komunikacji satelitarnej.

- Więc nad czym pracujesz? - Pochyliła się do przodu, ukazując jędrne piersi. Nie nosiła stanika. Jeżeli to nie było zaproszenie, to nie wiedział, co mogłoby nim być.

W tej chwili nad potężną erekcją. Omal nie powiedział tego głośno. Uśmiechnął się i ujął jej rękę. Paznokcie były krótkie, pomalowane na niebiesko, w tym samym jaskrawym odcieniu co sukienka. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat.

- Interesujący kolor. Wsparła brodę na dłoni.

- Lubię interesujące rzeczy. Jak się nazywasz?

- Russell. - Uznał, że wystarczy jej imię, nie musi znać nazwiska, -A ty?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Opowiedz mi o swoich satelitach, Russell.

Pokazał zęby w uśmiechu, z przyjemnością wchodząc do gry.

- Nie chcesz mi powiedzieć, jak masz na imię?

- Staram się, żeby było interesująco.

Wyjął z portfela pieniądze i rzucił na blat sto dolarów. Zobaczył, jak jej oczy ogromnieją na widok banknotu.

- Obiecuję. - Wstał, wyciągając ku niej rękę. - Na pewno nie będzie nudno.

W łóżku była zupełnie niewiarygodna.

Szybko i z pasją, ruchami, których nawet nie znał. Nie przepadał za perwersją- ale Allison - bo tak miała na imię — to było zupełnie co innego. Kochał się kiedyś z japońską akrobatką cyrkową, która mogłaby się niejednego od niej nauczyć.

Na tym polegał problem z Sydney. Ona chciała „się kochać”. Uczyniła z seksu święty obrządek.

Teraz Allison spała jak zabita na hotelowym łóżku, zupełnie jakby zużyła wszystkie siły na seks i nie miała ich już na nic innego. Ale kiedy się poruszył, żeby wstać, obudziła się.

- Idziesz? - zapytała.

Była niewiarygodnie piękna. Wzburzone loki, wspaniałe błękitne oczy, pąsowe usta. Nagle poczuł, że nie ma ochoty od niej odchodzić. Wiedział, że ponowne spotkanie byłoby błędem. Dużym ryzykiem, przez wzgląd na Sydney. Pieprzyć to! Czynie harował jak dziki osioł przez całe życie, nawet wtedy, gdy każdy normalny człowiek już by przestał? To chyba wystarczający powód, żeby nie trudzić się przestrzeganiem zasad?

I było w Allison coś, co kazało mu spytać:

- Nie miałabyś ochoty na wycieczkę do Waszyngtonu?

6

Po roku czytania listów Conor wiedział wszystko o jej koszmarach. Budziła się, a dźwięki i obrazy tamtego dnia nadal ją prześladowały. Sen był zawsze ten sam. Erie mówi coś do niej ze swojego miejsca po drugiej stronie przejścia, Henry Shanks siedzi po

jego prawej ręce, reporter, którego oprowadzała po samolocie, w fotelu przy oknie. Samolot spada jak kamień.

Prześladowała ją zwłaszcza śmierć Erica Ballasa. Może dlatego, że zawsze go podziwiała. Dobrze im się razem pracowało. Zaproponował jej pracę, kiedy program, który prowadziła dla firmy Erica i Marquisa, umarł śmiercią naturalną po narodzinach XG-23 WingMaster. Ilekroć budziła się z koszmaru, próbowała sobie przypomnieć, co powiedział Erie.

Conor robił to samo po śmierci rodziców, przez wiele lat próbował wskrzesić ich ostatnie słowa, odtwarzał je stale w myślach, ciągle było mu mało.

Rzucił list na stos innych. Zaścielały blat stolika, zostawiając miejsce jedynie na pusty talerz po lasagnii, którą Geena przysłała w charakterze gałązki oliwnej. Wodził palcami po listach Cher, jakby były napisane brajlem.

Conora nie prześladowały nocne koszmary. Sypiał znakomicie. Po prostu przykładał głowę do poduszki i dziesięć minut później świat odpływał. Koszmary dopadały go w biały dzień. Dźwięk miażdżonego metalu, którego nie mógł zapomnieć; nigdy nie słyszał czegoś równie przenikliwego. Krzyki dobiegające z kabiny...twarde uderzenie o ziemię... „Palimy się!”

-Cholera!

Oparł głowę o poduszkę, wyciągnięty na kanapie w saloniku. Zawsze dobrze inwestował pieniądze, a kilka lat temu wszedł w interes z Geeną i Markiem. Zagarnął dla siebie ten mały bungalow na

tyłach, Geena i Marc mieszkali w dużym domu od frontu. Wymarzony dom Geeny.

Myślał, że wróci dzisiaj wcześniej, może przejrzy parę prac, napije się piwa z Markiem albo pogra z dziećmiakami w nintendo. Ale w mrocznych kątach czekały złe duchy. Gnębiły go tak bardzo, że wyciągnął listy Cher, a teraz oglądał ją na wideo. Nagrał kilka jej konferencji prasowych.

Zerknął spod przymkniętych powiek na stary telewizor stojący naprzeciwko kanapy. Nastawiając magnetowid, wyłączył dźwięk. Miała taką wyrazistą twarz. Nie musiał słyszeć słów.

O tak, przekonywać to ona potrafi!

Przed kilkoma godzinami zajrzał do niego starszy syn Geeny, Christopher - dwa charakterystyczne walnięcia w drzwi i do środka wtargnął dziesięcioletni siostrzeniec. Przyniósł lasagnię. Jedli i rozmawiali o szkole, o nowym teleskopie Chrisa i komecie Hale-Bopp, o tych dobrych, prostych sprawach, z jakich składało się teraz życie Conora. Ale po wyjściu Chrisa włączył kasetę z Cher.

Oglądając ją, próbował skupić myśli na tym, co istotne w życiu. Rodzina. Geena, Marc i dzieci, jego pozycja na uniwersytecie, „Dogfights”.

A teraz Cher prosiła go, żeby wszedł z powrotem do jaskini żmij. Badanie przyczyn katastrofy, śledztwo, przesłuchania, wyrok komisji bezpieczeństwa. Pozostawił to wszystko za sobą.

To nie twój koszmar. Nie tym razem. Nie mieszaj się do tego.

Rzecz w tym, że koszmarem Conora był Alec. A Cher, chcąc nie chcąc, będzie potrzebowała pomocy.

Sięgnął po klucz, który przyniósł razem z listami, patrzył, jak się kołysze na łańcuszku.

- Ona mu ufa - powiedział do siebie.

Zamknął dłoń na kluczu, wyobrażając sobie, że to krzepka szyja Aleca Pottera. Ilekroć rzecz dotyczyła Cherish Malone, on, Conor, nie potrafił podjąć właściwej decyzji. Zastanawiał się dlaczego.

Tunguska, Syberia

Samotna postać brnęła przez zasy, zostawiając za sobą bliźniacze koleiny w śniegu. O tej porze roku tundra była pokryta białym kobiercem. Spokojna po burzy, o świcie.

W miejscu, gdzie przed stu laty spadł meteoryt, ziemia ciągnęła się płaska jak talerz. Postać zatrzymała się, szukając czegoś pośród śniegu, wolną ręką zsunęła kaptur kurtki z goreteksu. Kobieta. Arktyczny wiatr smagnął ją w policzek kosmykiem czarnych włosów, kiedy wyprostowała się, wypatrując czegoś na horyzoncie.

Próbowwała sobie wyobrazić, co się tu wydarzyło przed stu laty. Widziała zdjęcia, wypalone drzewa sterczące z ziemi jak wykałaczki, czytała relacje naocznych świadków wydarzeń z tysiąc dziewięćset ósmego roku. „Zobaczyliśmy błysk... sam żar spalił mi koszulę na plecach... całe stado reniferów zostało usmażone jak mięso na rożnie”.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie tę scenę. Rozgniecione drzewa, ko^o rzenie niby skręcone artretyzmem ręce sterczące z grobu. Zniszczenia były większe niż w Hiroszynie, mówiono. Dokonał tego

kosmiczny odprysk, który jakimś cudem spadł tutaj, na ten odludny skrawek ziemi.

Wskazówka licznika Geigera ożyła. Kobieta przykucnęła i zaczęła odgarniać śnieg, aż dogrzebała się do zmarzniętej nagiej ziemi. Gdzieś w oddali rozległo się wilcze wycie.

Czas i cierpliwość to najpotężniejszy oręż - powiedziała. Podniosła kamień i przyglądała mu się w bladym świetle poranka.

- Czas i cierpliwość - powtórzyła, parafrazując Tolstoja. Przez ostatni rok miała jednego i drugiego w bród.

Dwadzieścia minut później Jekaterina Bołkońska zaparkowała skuter śnieżny przed budynkiem z prefabrykatów wzniesionym na drewnianych palach. Połyskujące bielą laboratorium żywo przypominało stację kosmiczną gdzieś na nieziemskiej planecie, jaką wydawała się syberyjska tundra. Syntetyczny materiał ścian zewnętrznych chronił mieszkańców laboratorium i delikatny sprzęt przez dziewięciomiesięcznym mrozem, stromy dach z rzędem paneli słonecznych nie gromadził śniegu. Wchodząc na schody prowadzące do modułowego budynku, otrząsała buty ze śniegu.

W sieni odwiesiła kurtkę. Warkot generatorów przycichł, kiedy weszła do laboratorium, i zanikł zupełnie stępiony przez znajomy szum instrumentów. Ale ona słyszała tylko płacz dziecka.

Uśmiechnęła się do Dymitra, kiedy podał jej płaczące niemowlę. Był Tunguzem, tak nazywano jego naród przed rewolucją. Zmęczony wędrownym życiem, osiadł tutaj, zatrudnił się u Katii i jej męża i z

czasem stał się członkiem rodziny. Do tej rodziny należeli wszyscy niedobitkowie kwitnącej niegdyś firmy Erica Ballasa.

Katia nakarmiła piersią córeczkę i oddała śpiące dziecko Dymitrowi. Założyła obie ręce na kark i przeciągnęła się z cichym jękiem. Czekał na nią dzbanek gorącej herbaty. Napełniła szklanę, zastanawiając się, gdzie podziwają się ich gość.

W laboratorium dziesiątki ekranów połyskiwało wokół komory próżniowej, była tam również maszyna do powlekania i mały MTS - wszystko, czego potrzeba do badania odłamków, jakie znajdowała w miejscu katastrofy. Jej mąż, Walery, siedział przy metalowym biurku pochylony nad instrumentem, który wyglądał jak teleskop wetknięty do góry nogami w blat i podłączony do małego komputera. Mikroskop elektronowy skaningowy. Walery cudem podłączył go do jednego z generatorów, dzięki temu działał.

Podeszła do męża.

- Gdzie on jest? - zapytała, mając na myśli Amerykanina.

Nie oderwał wzroku od małego ekranu, ustawiał właśnie lampę elektronopromieniową na wczorajszym znalezisku.

- Wyszedł - burknął.

Uśmiechnęła się, rozbawiona jego tonem i groźną miną. Walery był z natury podejrzliwy.

Podsunięła mu plastikową torebkę ze skałką znaną rano, a następnie położyła ją na stole.

- No, Walery, co teraz sądzisz o swojej żonie?

Groźna mina zniknęła i na twarzy Walerego pojawił się Szeroki uśmiech.

- Uważam, jak zawsze, że jest genialna. I piękna. -1 ma rację?

Westchnął, po czym okręcił się na krześle, twarzą do Katii.

- Tak ci zawsze spieszo. Trzeba to starannie przeanalizować. A ty natychmiast wyciągasz wnioski. Pochopne...

Uciszyła go pocałunkiem.

- Mój drogi, mam intuicję, podczas gdy ty - spojrzała na niego z Udaną surowością-jesteś tylko jajogłowym naukowcem.

Patrzył na nią z bezgraniczną miłością w oczach.

- To prawda. Mimo to posłuchasz swojego jajogłowego męża i zachowasz ostrożność.

- Ty jesteś ostrożny za nas oboje. A teraz... - Przechyliła się nad jego ramieniem, sięgając do klawiatury komputera. Wystukała kilka komend, przywołała próbkę na ośmiocalowy czarno-biały monitor. - Co dla mnie masz?

- Sama zobacz.

Odchylił się na krześle i sięgnął za siebie po stosik polaroidów. Rozłożył zdjęcia na blacie biurka.

- Tutaj. - Grubym palcem wskazał jedno ze zdjęć. -1 tutaj - powiedział, wskazując drugie.

Uważnie przyglądała się wzorom widocznym pod mikroskopem elektronowym - sieci niteczek przypominających anielskie włosy, zbitych w pęcherzykowate kolonie. Właśnie w tych próbkach spodziewała się odnaleźć odpowiedź - dla pamięci Erica.

- Katia - ostrzegł Walery. - Znam ten wyraz twojej twarzy. Nie sądź pochopnie..

- Jesteśmy tak blisko. Pojadę tam jeszcze raz, jutro po południu - powiedziała, ignorując protesty męża. - Zabiorę ze sobą Georgija. - Przez ostatnie miesiące ona i kilku naukowców, niedobitki „Joystick Incorporated”, przeczesywali teren w poszukiwaniu materiałów pochodzenia meteorytowego, które spadły na ziemię z kosmosu przed stu laty. Walery analizował próbki, powoli zbliżając się do poznania prawdy.

Usłyszała, jak Georgij i Misza otrzepują buty na schodkach. Wraz z Walerym i Katią tworzyli zespół naukowców, który zamierzał dokonać rewolucji o znaczeniu nie mniejszym niż wyjście człowieka z epoki kamienia łupanego.

Tak było przed śmiercią Erica. Zanim Reck Enterprises kupiło i zdławiło jego marzenie. Teraz Katia walczyła o ocalenie instytucji, która ocaliła ją i jej rodzinę od śmierci głodowej. Trzymało ją tu pragnienie, by zakończyć to, co zapoczątkował Erie.

Drzwi do sieni otworzyły się. Katia odwróciła się i patrzyła, jak ich gość wchodzi do laboratorium. Serce podskoczyło jej do gardła. Przypuszczała, że tak właśnie reaguje każda kobieta na pojawienie się Aleca Portera. Przyspieszony puls, fala gorąca.

Zostawił kombinezon w sieni i stał przed nimi ubrany w czarne dżinsy i flanelową koszulę. Uśmiechnął się szeroko. Był niesłychanie przystojnym mężczyzną, w pełni świadomym swojego uroku.

- A mówią, że w piekle nigdy nie pada śnieg. Jekaterina uśmiechnęła się wbrew woli.

- Opuszczasz nas dzisiaj?

- Jeżeli pogoda się utrzyma.

- I niczego nam nie wyjaśnisz? - Podeszła do Pottera i spojrzała mu w oczy. - Nie zaufasz nam?

- Na to wygląda. - Nie przestawał się uśmiechać.

- Zrealizowałeś swój tajemny plan, trzymając wszystkich w nieświadomości. Wyprowadziłeś nas w pole, Porter. Dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Niech pomyślę. - Przyłożył palec do warg i po chwili uniósł go w górę, jakby uderzony jakąś myślą. - Może dlatego, że nie masz wyboru?

Zmarszczyła brwi; nie zamierzała z nim dyskutować, kiedy był w tym dziwnym humorze.

- Jak się z tobą skontaktuję? Potrząsnął głową.

- To ja będę się kontaktował z tobą, moja piękna Katiu.

Prychnęła. Była przystojną trzydziestoosmioletnią kobietą. Wyczuwała, że ten mężczyzna próbowałby oczarować każdą kobietę, nawet osiemdziesięcioletnią staruszkę. Nie rozumiał, a może po prostu ignorował fakt, że Katia nie zwraca uwagi na jego umizgi.

- Ach! - Podeszedł do miejsca, gdzie Walery przygotowywał próbkę. - Nowe znalezisko? - Sięgnął po torebkę ze skałką, uniósł ją wysoko ku fluorescencyjnej lampie, podziwiając skarb.

Odnajdywanie kolejnych fragmentów tej układanki stawało się coraz trudniejsze.

- Kiedy będziesz miała ich więcej? - W jego głosie przebijało podniecenie.

Potrząsnęła głową.

- Trudno powiedzieć. Tak trudno coś znaleźć...

Zakrył dłonią usta Katii, uśmiechnięty, zawsze uśmiechnięty.

Pochylił się nad nią.

- Czas mija, Katiu. Cyk, cyk, cyk... Zabójca Erica umyka.

Musisz pracować szybciej, księżniczko.

Odsunęła jego dłoń.

- Nie mogę niczego obiecać. Muszę mieć więcej próbek.

Ponownie ujął plastikową torebkę i przyjrzał się znalezisku.

- Znajdziesz wszystko, czego ci będzie trzeba - powiedział z niezachwianą pewnością. Potrząsnął głową. - Że też wylądował tutaj, pośród takiej głuszy. Zdumiewający zbieg okoliczności, prawda? Meteor, odłam lodowej komety czy czegoś tam, przemierzył atmosferę, by spaść właśnie na tym odludnym skrawku planety, gdzie nikomu nie mógł wyrządzić krzywdy. Gdzie trzeba było dziesiątek lat, żeby został odkryty.

Te same pytania stawiali sobie inni i dochodzili do niewiarygodnych wniosków. Że meteoryt został nakierowany na miejsce lądowania, że nie był pochodzenia naturalnego.

Pomyślała o Ericu. On też tak uważał.

Erie Ballas był przekonany, że resztki, jakie znajdują w tundrze, są szczątkami pojazdu kosmitów, śladem pozaziemskich odwiedzin. Trwał przy tej teorii z fanatycznym uporem, ale Katia nie podzielała jego entuzjazmu.

- Powiedział, że ma dowód.

- Tak powiedział? Zdumiewające - stwierdził Alec, jakby sam nie sugerował podobnej możliwości, jakby nie przyjechał tu szukać zaginionych dokumentów, które zdaniem Erica stanowiły dowód pochodzenia materiałów zbieranych przez Katię. Dokumentów, których nie zdążył im pokazać.

Alec Porter podszedł bliżej i wyszeptał konspiracyjnie:- Myślisz, że zielone ludki obserwują nas teraz?

W tym momencie tak bardzo przypominał Erica, że to aż zabolowało.

- To był meteor - powiedziała stanowczo. - To samo mówiłam Ericowi. Jestem o tym przekonana.

Pochylił się i musnął wargami jej policzek. Pocałunek był zdawkowy, ale spojrzenie sprawiło, że się zarumieniła, a mleko napłynęło jej do piersi i zapiekło, chociaż dobiera co nakarmiła Erice. Pokręciła głową, kiedy Alec wbiegał na schody, przesadzając po dwa stopnie.

Walery patrzył na nią spod zmarszczonych brwi. Wzruszyła bezradnie ramionami, jakby chciała powiedzieć: Taki już jest Alec! Czego się spodziewałeś? Ale podeszła do męża i otoczyła mu szyję ramionami, żeby go uspokoić.

Walery patrzył na schody, gdzie zniknął Alec Porter.

- Nie ufam mu.

- To dlatego, że ze mną flirtuje. Masz teraz tak niewielu rywali.

Jej mąż miał metr siedemdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilogramów wagi i był łysy, a jeżeli chciał zobaczyć coś, co znajdowało się dalej niż metr od jego twarzy, musiał założyć okulary.

Ale miał najpiękniejsze oczy na świecie, w oprawie długich gęstych rzęs i ciepły uśmiech. Tylko jego kochała.

Westchnęła, obejmując go mocniej.

- Ja też nie wiem, czy mu ufam. Ale musimy spróbować. Dla Erica.

RS

Na oślep

Odliczanie: 25 dni, 12 godzin, 26 minut

7

Doszło do tego, że irytował ją nawet sposób, w jaki ojciec oddychał. Cherish siedziała przy stole w jadalni, naprzeciwko Michaela Malone. Jej dwaj starsi bracia zajmowali miejsca po obu stronach starszego pana: oddział inżynierów w pełnym składzie. Pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, podczas gdy Cherish dziobała widelcem swojego kurczaka i rozkoszowała się ciszą przed następnym atakiem.

Co czwartek stawała w progu rodzicielskiego domu, obładowana artykułami spożywczymi. Wypruwała sobie żyły, żeby przygotować coś specjalnego. Co z tego, że XC-23 WingMaster uległ katastrofie? Czy miało to jakieś znaczenie, że Reck odmawia przekazania danych, które mogłyby pogrążyć lub oczyścić Marquisa i jego projekt? Punktualnie o szóstej panierowała piersi kurczaka i mieszała sos. Podobnie jak matka była skazana na to, żeby dogadzać ojcu.

Jak matka, która porzuciła ojca w zeszłym roku.

- Coś ci powiem! Gdybyś posłuchała mnie trzy lata temu, teraz byłabyś kierownikiem całego programu - powiedział ojciec bez trudu podejmując przerwany wątek. Jego specjalnością było babranie się w

przeszłości. Dzisiaj skupił się na decyzji, jaką Cherish podjęła przed trzema laty. Odeszła wtedy z działu skrzydeł, aby pokierować łączonym projektem Marquisa i firmy Erica. Ojciec był temu zdecydowanie przeciwny.

Teraz potrząsnął głową, ugryzł kęs kurczaka. Przeżuł, przełknął i znów potrząsnął głową.

- Co z tego, że Chuck zaproponował ci stanowisko kierownika? Każdy wiedział, że ten kontrakt z Bal lasem nie przetrwa roku. Brednie o ufoludkach. Miniwłókna. I co z tego masz? - Żucie, przelykanie, potrząsanie głową.

Oto, panie i panowie, gwóźdź programu! „I co z tego masz?”
Prosimy o brawa!

Odłożyła sztucce, splotła palce i oparła podbródek na dłoniach. Niewiele brakowało, żeby tu dzisiaj nie przyszła, w pierwszy czwartek po katastrofie. Wiedziała, że ojciec ma tendencję do wyciągania ciężkiej artylerii w czasach kryzysu: „Dlaczego mnie nie posłuchałaś?” Uwielbiał omawiać sprawy dawno przebrzmiałe.

- Masz całkowitą rację, tato. Powinnam nadal zajmować się analizą naprężenia, siedzieć w tej klitce obok twojej. I może ... -1 może gdybym pracowała naprawdę bardzo ciężko i nie umarła z nudów po trzydziestu pięciu latach obliczania w kółko tego samego, dostałabym w nagrodę tani złoty zegarek - .. może to wszystko by się nie zdarzyło. XC-23 by się nie rozbił...

- Nie twierdzę, że ponosisz winę za katastrofę. - Ojciec uniósł rękę uzbrojoną w skórę chleba. - Ale sama sobie będziesz winna,

jeżeli za miesiąc znajdziesz się bez pracy. - Wzruszył ramionami. -
Ale nie ! Ty chciałaś, żeby twoja praca była interesująca.

Skórka od chleba zataczała teraz kręgi na talerzu, wchłaniając sos. Ojciec włożył ją do ust i dosiadł ulubionego konika.

- Nie powinnaś chcieć więcej, niż masz. Nie powinnaś ryzykować tego, co miałaś w zamian za możliwość zdobycia czegoś więcej. Wróbel w garści, gołąb na dachu. — Przeżuwanie między jednym słowem a drugim.

- No, to teraz masz ją o wiele bardziej interesującą.

Mike, starszy brat, przewrócił oczami. Thomas szybko otarł usta serwetką i wstał od stołu.

- Muszę lecieć - powiedział, klepiąc Cherish po plecach. -
Umówiłem się z chłopakami w Rhino Room. Obiad pycha.

- Dzięki - mruknęła, dodając w myślach: ty tchórze!

Ona i Mike byli typowymi Malone'ami, niebieskoocy i jasnowłosi. Thomas wdał się w matkę i jej rodzinę - ciemne włosy, zielone oczy, krępa budowa.

I w przeciwieństwie do Cherish i do Mike'a, którzy będą tkwili za stołem jeszcze parę godzin po skończeniu posiłku, Thomas miał zwyczaj znikania jeszcze przed deserem. Usłyszała, jak zatrzasnął za sobą drzwi.

- Chuck nie myślał o tym, co dla ciebie najlepsze, kiedy namówił cię na ten program Ballasa, Cherish. W przeciwieństwie do mnie. Twojego ojca. Na wypadek gdybyś o tym zapomniała.

Cherish bawiła się jedzeniem na talerzu. Pamiętała, jak Chuck zaproponował jej objęcie programu, którego celem było przebadanie nowego tworzywa zespolonego jako elementu konstrukcyjnego. Marquise był małą firmą- nieczęsto się zdarzało, żeby mogli sobie pozwolić na tego typu badania. Skorzystała skwapliwie z oferty, wbrew radom ojca.

Rok później program został okrojony, a po zerwaniu umowy w ogóle zniknął z orbity. Wraz z Reck Enterprises firma Erica wygrała konkurs na wykonawstwo XC-23 WingMaster. Wkrótce potem Reck włączył do zespołu Marquisa jako podwykonawcę. Wszystkie zasoby Marquisa ulokowano w lukratywnym nowym projekcie, który obiecywał stały przyływ gotówki. Gdyby nie zaproponowano jej stanowiska w public relations, zostałyby bez pracy.

Teraz, trzy lata później, prototyp uległ katastrofie. Reck Enterprises nie chciało udostępnić im telemetrii, dając wyraźnie do zrozumienia środkom masowego przekazu, że przyczyną katastrofy jest wadliwa konstrukcja skrzydła samolotu. Późno, bo późno, ale przepowiednia ojca zaczynała się sprawdzać. „Złe posunięcie, dziecko, powinnaś się trzymać analizy naprężenia”. Niedługo usłyszy święte, nieuniknione: „A nie mówiłem?”

- Daj spokój, tato. Opuść jej!.- To Mike, ze swoją tradycyjną interwencją. - Psujesz mi apetyt. Naprawdę, siostrzyczko. - Uniósł widelec z kawałkiem kurczaka. - To się nazywa jedzonko! Super.

Ojciec masakrował chleb.

- Może Mike ma rację. Może jestem ostry dla dzieci. Ale byłbym złym ojcem, gdybym nie mówił wam, co mi leży na wątrobie. Widzę, że robisz błąd, nie mogę siedzieć z zasznurowanymi ustami, jak wasza matka.

- To się nazywa „wsparcie duchowe”, tato - powiedziała.

- To się nazywa „stek bzdur”. Niech to będzie dla ciebie dobra lekcja, Cherish. OK, może nie szło ci najlepiej w analizie, ale to się mogło zmienić gdybyś wytrzymała dłużej. Za szybko zrezygnowałaś.

Cherish poczuła jak krew napływa jej do twarzy. „I tu docieramy do sedna dzisiejszego wykładu. Należy podkreślić, że przyda się przy powtórce materiału”. Nie potrafiła wytrwać jako inżynier, spanikowała, umknęła w ciepłą kierowniczą posadkę, najpierw jako kierownik projektu, potem jako dyrektor public relations.

Niestety, zdradziecki cichy głos w jej głowie powtarzał, że może ojciec ma fację. W głębi duszy obawiała się najgorszego: nie czuła się pewnie jako inżynier i umknęła w kierownictwo. Dobrze, że ojciec wyperswadował jej pomysł robienia doktoratu.

- Tato, jeżeli spieprzyłeś już sobie ciśnienie, może mógłbym posprzątać ze stołu? - Mike podniósł się z krzesła i sięgnął po niemal pusty talerz ojca.

- Zostaw to, Mikey. Rozłóżmy szachy - powiedział Michael Malone. -Cherish posprząta.

Mike był faworytem ojca. Jego imiennikiem. Wysoki, przystojny, inteligentny. Właśnie został dyrektorem. Ojciec pęczniał z dumy.

Był również gejem, fakt znany wszystkim ludziom, którzy odgrywali jakąś rolę w jego życiu, wszystkim z wyjątkiem ojca, przed którym starannie ukryli prawdę. Mike i jego kochanek szukali mieszkania. Mówili o zalegalizowaniu związku.

Mike odłożył talerz, pozostawiając sprzątanie Cherish. Po co irytować ojca drobnostkami, skoro wkrótce dokona dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez matkę i przewróci jego świat do góry nogami.

- Zrób kawy, dobrze, Cherish? - powiedział ojciec z przyzwyczajenia. Odszedł od stołu, nie oglądając się nawet za siebie.

Cherish zacisnęła usta. Czasem naprawdę rozumiała, dlaczego mama odeszła.

W kuchni, syjąc kawę do ekspresu - akt będący symbolem podrzędnej roli kobiety w tym domu - powiedziała sobie, że nie będzie się przejmowała ojcem. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

Upłynął prawie tydzień od katastrofy. Ona, Chuck i Lori rozpracowywali zagadnienie pod kątem programu i opinii publicznej. Ale jak dotąd nie udało im się wycisnąć z Recka żadnych konkretów. Cały czas twierdził, że telemetria jest bezużyteczna z uwagi na zakłócenia, a jego dyrektor PR po każdym niszczycielskim przecieku informacji mówił: Ups!

Cherish oparła się o kuchenną ladę, przerażona pracą, jaka ją czekała. Powinna wcześniej wrócić do domu, dobrze się wyspać. Czekwały ich trudne dni. Ojciec miał rację. Jeżeli Marquise przeżyje to

fiasko, rozpocznie się szukanie kozła ofiarnego. Jak dotąd ona i Chuck byli głównymi kandydatami.

- Chyba już pójdę - powiedziała, wychodząc z kuchni. Poklepała się po brzuchu. - Trochę się przejdę. Zrzucę, co się da.

- Przecież jeszcze wczesnie, kochanie.

- Naprawdę muszę, tato. Mam jeszcze sporo do zrobienia i jeżeli zaraz się do tego nie wezmę.

- Daj spokój, Cherish. Już i tak za ciężko pracujesz. Musisz czasem zrobić sobie wolne, trochę odpuścić.

- Może w przyszłym tygodniu, dobrze?

Widziała wyraźnie, co się dzieje: „Uwaga! Wszystkie systemy zostają odcięte”.

- Jak sobie życzysz - powiedział ojciec z urażoną miną. - W ogóle nie musisz tu przychodzić. Radzimy sobie z chłopcami znakomicie.

Próbowała obliczyć, jakie są szanse, że chłopcy zjawią się tutaj, jeżeli ona przestanie gotować. Ale nic nie powiedziała, ucałowała tylko czubek ojcowskiej głowy i pogłaskała go po łysinie.

- W niedzielę wybierzemy się razem do kościoła - obiecała.

- W porządku. - Uściskał ją, udobruchany. Ale kiedy wychodziła z pokoju, zawołał: - Mogłabyś nalać mi kawy przed wyjściem.

Cherish zatrzymała się w trakcie zarzucania torebki na ramię. Upuściła torebkę na krzesło i poszła do kuchni. Popatrzyła na filiżanki na kuchennym blacie. Wiem, że to niebezpieczne, tato. Ale naprawdę, mógłbyś kiedyś spróbować. Punkt pierwszy - czekasz, aż kawa

przesączy się przez filtr. Punkt drugi - bierzesz filiżankę, stawiasz na ladzie, nalewasz kawę...

Dwie minuty później wyszła z kuchni z dwiema parującymi filiżankami. Postawiła jedną przed Mikiem, drugą-ze śmietanką, bez cukru-przed ojcem. Tylko Mike jej podziękował. Ojciec, pochłonięty obmyślaniami następnego ruchu na szachownicy, wydał nieokreślony pomruk.

- Cześć! - zawołała.

Dopiero za drzwiami poczuła, że może oddychać. Wieczór był chłodny. Ojciec mieszkał na wyspie Davenport, w Huntington Beach. Kanał odcinał wyspę od stałego lądu, a jedyny most był tak wąski, że wystarczyło mrugnąć, by go przeoczyć. Ale było tu cicho i spokojnie.

Dom ojca stał na wodzie. Kupił go w czasach, gdy można to było zrobić za niecałe sto tysięcy. Był jego dumą i radością i Cherish nauczyła się kochać Huntington Harbor. Wiatr od oceanu. Smak soli w powietrzu. W czasie świąt domy przybierano światełkami, a mieszkańcy organizowali paradę łodzi.

Wynajmowała dom kilka przecznic dalej. Należał do przyjaciela ojca, który osiedlił się w Miami. Panowie omawiali warunki, na jakich mogłaby go powolutku spłacić.

Im bliżej była domu, tym jej kroki stawały się szybsze, zupełnie jakby uciekała.

Uśmiechnęła się. Kto by pomyślał, że bunt okresu dojrzewania może dopaść człowieka w wieku trzydziestu paru lat?

Cherish myślała często, że gra w bilard jest niezłą metaforą życia.

Jeżeli uderzyć te bile w sam środek, robiły co chciały. Trzeba je było pchnąć ciut z boku, zmusić podstępem do posłuszeństwa.

Weszła do domu. Zapaliła światło, zdjęła buty i cisnęła torebkę na kanapę. W saloniku stał stół bilardowy i czterdziestocalowy telewizor, i niewiele więcej. Natarła kredą koniuszek kija i podjęła grę w miejscu, gdzie ją przerwała. Patrzyła z satysfakcją, jak bila toczy się ku swemu przeznaczeniu.

Z mroku wokół stołu wyłoniła się dłoń i chwyciła bilę, zanim wpadła do bocznej kieszeni.

Cherish podniosła wzrok i ujrzała twarz Conora Mitchella.

Oparła się na kiju, próbując złapać oddech. Serce waliło jej ze strachu i nadmiaru adrenaliny.

- Zabawne, ale nie słyszałam dzwonka. - Wsadziła palec do ucha i potrząsnęła nim, jakby próbowała je przetkać. - Powinnam iść do laryngologa. Te wszystkie koncerty „Grateful Dead”! Teraz to się mści.

Podrzucił bilę i szedł w jej stronę.

- Interesująca randka?

- Och, długo czekasz? - Rzuciła mu współczujące spojrzenie.

Serce się w niej tłukło. - Wracam właśnie z sesji dzikiego, nieskrepowanego seksu z Pablem. - Skrzyżowała ręce na piersiach i wzruszyła ramionami. - Co, mam potargane włosy? Godziliśmy się po tej wielkiej awanturze. Pablo był trochę urażony, że nie noszę

pierścionka zaręczynowego. - Postąpiła krok ku Conorowi, żeby sobie nie myślał! Nie cofnie się przed nim, to pewne. - Ale powiedziałam mu: „Pablo, skarbie, to prawie trzy karaty. Boję się go nosić”.

Uśmiechnął się.

- Nadal gotujesz dla taty w czwartkowe wieczory?

Można jej było wiele zarzucić, ale nie to, że prowadzi nieunormowany tryb życia.

- Jak tu wszedłeś? - zapytała.

Wyciągnął klucz. Wisiał na łańcuszku z miniaturową repliką F-15 w charakterze breloczka i połyskiwał w przyćmionym świetle padającym przez oszklone drzwi. Klucz, który dała mu przed półtora rokiem, a którego on nigdy nie zwrócił.

- Nie czytujesz „Style”? Prowadzą tam dział porad: „jak zachować się kulturalnie”. Zasada numer trzy: nigdy, ale to nigdy nie posługuj się kluczem, odwiedzając byłą narzeczoną.

Rzucił jej klucz. -- Zwracam go. Chwyła klucz jedną ręką.

- Dobry w tym jesteś, Conor. Mówię poważnie. Ćwiczyłeś?

Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Wiedziała, na co się zanosi. Słowa nie były jej potrzebne.

Uniosła dłoń, wstrzymując potok usprawiedliwień, który, jak przypuszczała, zaraz popłynie.

- Pozwól, że zgadnę. - Oparła kij o ścianę, gotując się do walki. - Czy teraz rozpocznie się przemówienie pod tytułem: „Nigdy mnie nie rozumiałaś”?

-W zasadzie...

Cherish usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. Pochyliła się, jakby zamierzała chłonać każde słowo. Szła na całość, ponieważ... Do licha, nie miała nic do stracenia! Godność osobistą poświęciła jakieś osiemnaście miesięcy temu.

-Słucham cię, Conor. W napięciu.

Niespodziewanie uśmiech rozjaśnił mu twarz, przy czym jeden kącik ust uniósł się nieco wyżej. Wyglądał tak seksownie, że bała się na niego patrzeć.

Conor sięgnął po kij bilardowy oparty o ścianę.

- Co powiesz na partyjkę? To nią wstrząsnęło.

- Z tobą? - zapytała. Facet, który rozbił jej serce na tysiąc kawałków i nie obejrzał się nawet, żeby ocenić rozmiar zniszczeń, proponuje jej partyjkę bilarda?

Ale stał przed nią, z kijem w ręku, błyskając uśmiechem, który skróciłby znacznie epokę lodowcową. Podnosił temperaturę jej ciała szybciej niż reakcja termojądrowa.

Popatrzyła na swoje nagie stopy. Bądź silna, dziewczyno!

- Zastanówmy się. - Podniosła się z kanapy. - Jaki mam wybór? Śmierć przez zadławienie, kanałowe leczenie zęba, partia bilarda z tobą. - Wzruszyła ramionami, krzyżując ramiona. - Co tam! Wizyta u dentysty jeszcze nikogo nie zabiła, prawda?

- Nigdy nie wiadomo, Cher. Może pozwolę ci wygrać? Musiała mu oddać sprawiedliwość: znał jej słabe punkty.

- Do stołu! - powiedziała.

Rzecz w tym, że często grywała z Conorem. Chodzili do popularnego w tej okolicy klubu, "House of Brews". Można tam było pograć i wypić grzane piwo. Więc wpadali na Hollywoodzką Blondynę i partyjkę. Conor nigdy jej nie pokonał. Ani razu.

Pocierając kredą koniec kija, wyobrażała sobie, że daje mu prawdziwe baty, wbija kolejne bile, podczas gdy on stoi i patrzy. Ona - Gracz Wyższego Rzędu. Nie! Istota Wyższego Rzędu.

- Przyszedłeś tu w jakimś celu, prawda? - zapytała.

Patrzyła, jak ustawia bile, potem gestem dała mu pierwszeństwo. Bez słowa podszedł do szczytu stołu i ustawił bilę. Bum! Kule rozprysły się jak podrzucone siłą odśrodkową, cztery z nich wpadły do różnych kieszeni.

Jego postawa, sposób trzymania kija, siła uderzenia. Musiał sporo ćwiczyć. Otwierało to przed nią kilka interesujących możliwości.

Przygotowywał się do drugiego strzału.

- Myślałem o tym e-mailu, który Alec ci przysłał.

- Aha. O tym e-mailu, który kazałeś mi zignorować? Kolejna bila trafiła do luzu. Conor odwrócił się do Cherish.

- Jeżeli Alec się z tobą skontaktuje... kiedy się z tobą skontaktuje... To w ogóle nie jest dobry pomysł. Bądź rozsądna, Cher. Choć raz mnie posłuchaj. Zostaw Aleca jego losowi.

Skinęła głową, zagryzając dolną wargę, jakby rozważała jego niesłuchanie mądrą radą. Nie kierowała nim zazdrość. Nie miał prawa

być zazdrosny. Przecież wybrała jego. Oboje wiedzieli, że nie liczył się nikt poza Conorem.

- Trochę się pogubiłam. Może mógłbyś mi wyjaśnić parę spraw. Kilka dni temu spławiłeś mnie, a teraz przychodzisz tutaj, używasz moich kluczy, grasz w bilard, ostrzegasz mnie przed człowiekiem, którego, o ile się nie mylę, uważałeś dotąd za przyjaciela. À propos, czy to nie ten sam facet, który uznał, że warto cię zawiadomić, że ktoś próbuje go zabić?

Wpatrywał się w stół, na pozór obmyślając nowy strzał. Ale ona wiedziała, że tak nie jest. Spędzili ze sobą sześć burzliwych tygodni. Wielu ludzi uznałoby zapewne, że to niedługo, ale dla Cherish było to całe życie.

- Przestań - powiedziała.

Odwrócił się z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Przestań! - Wyrwała mu kij z ręki. - Przestań, przestań, przestań. Przestań układać w głowie to, co mi powiesz. Choć raz w życiu mów do mnie!

Był wyższy, niż pamiętała. Nigdy dotąd nie odniosła wrażenia, że nad nią góruje. Ale nie czuła onieśmienia. Na to była zbyt wściekła. I tym razem Conor poświęcał jej sto dziesięć procent swojej uwagi. Patrzył na nią z takim skupieniem, jakby zamierzał wprowadzić F-15 w korkociąg i wyjść z tego cało.

- Dobrze - niemal wyszeptał. - Dlaczego nie? - Jego uśmiech pasował jak ulał do dziesięciocentymetrowej szramy, która przecinała mu policzek. - Zaraz usłyszysz, prosto z mostu. Wpakowałaś się w

kłopoty. XC-23. Reck. Założę się, że jeszcze nie otrzymaliście kopii telemetrii. Za to codziennie lądujecie na pierwszych stronach gazet. A to nie zapowiada niczego dobrego. Reck wystawia zespół do wiatru. I tego samego dnia, ni stąd, ni zowąd, dostajesz e-mail od Aleca?

- Mógłbyś jakoś przystępniej? - Splotła dłonie, żeby nie dostrzegł ich drżenia. - Nie widzę związku.

Blizna zawsze go wyróżniała, cieniutka linia biegnąca od brwi do policzka. Teraz nadała mu złowrogi wygląd człowieka zdolnego do wszystkiego. .

- Półtora roku temu cudem uszliśmy z życiem z katastrofy maszyny eksperymentalnej. - Była w jego głosie jakaś intymna nuta. - Firmy zaangażowane to: Reck, Marquis, Joystick, działające wspólnie pod rządowym parasolem. Joystick zniknął, zanim opadł kurz po katastrofie, połknięty w całości przez Recka. Teraz mamy kolejną katastrofę w ramach tego samego programu. Słuchasz mnie? Problem ze skrzydłem. Ścisła współpraca z rządem.

- Pracujemy jako zespół. Potrzęsnał głową.

- Marquis zaprojektował skrzydło. Reck Enterprises ma poparcie rządu, zdobywa kontrakty, kiedy w jego interesie nie leży pogrążanie konkurencji. - Uśmiechnął się szeroko, jakby te słowa sprawiały mu przyjemność. - Pożre was żywcem,

- Erie Ballas nie przeżył tamtej katastrofy. Zginął - powiedziała, wskazując różnicę w tych dwóch scenariuszach. - Był mózgiem i sercem swojej firmy, wszyscy to wiedzą. Marquis zachował całą swoją kadrę kierowniczą. I co Alec ma z tym wspólnego?

Ponowne uniesienie kącików ust. Nie w uśmiechu, lecz w ostrzegawczym grymasie.

- Myślę, że wkrótce się tego dowiemy.

Rzucił jeszcze spojrzenie na stół, potem odłożył kij bilardowy. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

-I to wszystko? - zawołała za nim, nie posiadając się z wściekłości. -Otrzymałaś instrukcje, Cherish. Nie dzwoń do nas, my zadzwonimy do ciebie? N

Widziała tylko jego profil, światło księżyca wyostrzało mu rysy. Wyglądał na zmęczonego.

- Posłuchaj, Cher. Przyszedłem tu w określonym celu. Wszystko inne byłoby błędem.

Poczerwieniała. I straciła panowanie nad sobą.

- Uważasz, że ciągle cię kocham! - Cisnęła mu te słowa w twarz, wściekła jak diabli. - Twoja zarozumiałość przekracza wszelkie... - Podeszła do Conora i pchnęła go w pierś. - Posłuchaj, facet. Może nie zauważyłeś, ale się rozwijam, idę naprzód. Skończyłam z pilotami w obcisłych dżinsach...

Chwyił ją ruchem tak błyskawicznym, że umknął jej uwagi. Najpierw poczuła ból, kiedy Conor zacisnął palce na jej ramionach, dopiero potem zrozumiała, że ją dotknął.

Uniósł ją i trzymał ciasno przy sobie.

- Więc z kim się teraz zadajesz, hm? - szepnął jej do ucha. - Z Pablem? Nie sądzę. Ponieważ przez ostatni rok pisałaś do mnie. Otrzymuję te cholerne listy co tydzień. - Słowa były ciche, groźne. -

Potrafie czytać między wierszami, Cher. Błagałaś mnie, żebym wrócił. Żebym ci powiedział, że to była okropna pomyłka, to że nie zjawilem się tamtego wieczora. I nigdy -ani razu - nie wspomniałaś o innym mężczyźnie.

Oddychał ciężko, w zmrużonych oczach był gniew... gniew i coś jeszcze. Wiedziała, że chce ją pocałować.

- To wszystko jeszcze w nas żyje, prawda? - wyszeptała, niemal z lękiem.

Puścił ją, zaskoczony. Nie spodziewał się wstrząsu, jaki wywołało zetknięcie ich ciał.

- Już raz popełniłaś błąd - powiedział od drzwi- - Pomyśl o tym, Cher. Nie znasz się na mężczyznach. - Był już jedną nogą na zewnątrz, kiedy zadał jej ostatni cios. - Aleca znasz jeszcze mniej niż mnie.

Cherish gapła się na drzwi, które zamknął za sobą. Osunęła się dywan, drżąc.

- Cóż - powiedziała, trwając w swoim gniewie, w postanowieniu, że już nigdy nie uroni ani jednej łzy z powodu Conora. - Przynajmniej nadal mnie pragnie.

8

Conor wykręcił na podjeździe, wzbijając w powietrze okruchy żwiru. Przez chwilę siedział z dłońmi na kierownicy. Rozmyślał o wydarzeniach kilku ostatnich dni, rozbierał je na części pierwsze. Próbował zrozumieć, gdzie popełnił błąd.

Może to ta kasetka z konferencją prasową. Może gazety, które przeglądał co dnia, szukając wzmianki o Cher. Może świadomość, że pakowała się w kłopoty.

Spośród wszystkich idiotyzmów, jakie mógł popełnić, wizyta u niej w domu zajmowała niekwestionowaną pierwszą pozycję.

Zamknął oczy. Życie wymykało mu się spod kontroli. Nie potrafił już wejść do domu siostry, bawić się z dziećmi, napić się piwa z Marckiem, a Cher zamknąć w ciemnym kącie świadomości i trzymać ją tam, skazać na to zamknięcie, żeby on mógł prowadzić normalne życie. Nie myśleć. Katastrofa. .. tamten wieczór.

Szybki przechył na lewo! Ster do przodu. Cholera! Odchył steru pionowego!

Otworzył oczy. Było już zupełnie ciemno, dostrzegł Wenus tuż ponad linią sosen. Gapił się przez okno na dom siostry. Gdyby teraz tam poszedł, zapytał Geenę o weekendowy rozkład lotów, udając, że... przejrzałaby go na wylot. Czytała w jego myślach.

Zatrzasnął drzwi wozu i ruszył ścieżką biegnącą między dwoma domami. Woń jaśminu, intensywniejsza nocą, wypełniała powietrze, słodka aż do mdłości. Geena kochała silnie pachnące rośliny. Róże, jaśmin, kapryfolium. Zasadziła kwiatową dżunglę wokół obu domów.

Dzisiaj woń jaśminów przypomniała mu Cher. Jej perfumy, czy może coś, czego używała do włosów. Jednym długim susem przebył dwa schodki prowadzące na werandę i pozwolił, by siatkowe drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Oparł się o nie i patrzył na podwórko.

Przed tygodniem życie było normalne. Przed tygodniem życie było w porządku.

Odkąd Cher weszła do jego biura, nie zaznał chwili spokoju. Więc obmyślił plan. Pojedzie do niej, ostrzeże ją i wróci do domu. Klasyczny brawurowy wypad na terytorium wroga i szybki odwrót.

Tyle przynajmniej był jej winien. Gdyby nie on, Alec nie próbowałby jej skrzywdzić. To on, Conor, ponosi odpowiedzialność za Aleca. Mniej więcej na tych falach nadawał jego mózg. Klarowna, słodka, umiłowana logika.

Zacisnął palce na siatce. Po prostu źle odczytał przekaz, nie wiedział, że tak bardzo pragnie ją zobaczyć.

Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy stał koło Cher przy cholernym stole bilardowym, tak blisko, że czuł jej oddech na ustach, czuł jego smak. Co powiedział Proust? Smak Madeleine... Właśnie tak do odczuwał. Smakowanie jej. Wspominanie. Tamten dziki rajd serca w całym ciele.

„To ciągle w nas żyje, prawda?”

- O tak! - powiedział cicho.

Odwrócił się, ze złością wetknął klucz do zamka, myśląc o butelce Stoli, którą trzymał w lodówce właśnie z myślą o wieczorach taki jak ten, kiedy powietrze było aż ciężkie od wspomnień. Obrócił klucz. Tylko do połowy.

Drzwi nie były zamknięte.

Zmarszczył brwi. Przemknęło mu przez myśl, że może Geena weszła po coś, otworzyła drzwi kluczem i zapomniała zamknąć. Ale

odrzuć tę możliwość, w chwili gdy wszedł do pokoju. Wyczuł czyjąś obecność.

Sięgnął do kontaktu. Lampa na suficie rozbliła niby fotograficzny flesz nad głową Aleca siedzącego na kanapie.

Rozjaśnił włosy i ostrzygł. Teraz jego oczy wydawały się nienaturalnie zielone. Barwione kontaktówki, pomyślał Conor. Prawdziwe włosy Aleca był niemal czarne. A oczy brązowe, tak ciemne, że niemal nie odróżniało się źrenic od tęczówek.

Alec uśmiechał się do Conora, odchylony na oparcie kanapy, z ramionami rozłożonymi wysoko na poduszkach. Zawsze miał charyzmę aktora. Potrafił wejść do pokoju i rozjaśnić go uśmiechem.

- Szmata czasu - powiedział.

Conor rzucił klucz na półkę ze stereo i oparł się o konsolę telewizora. Kupił cały ten sprzęt parę lat temu. Zgodnie z najnowszą modą telewizor i stereo należało ukryć w szafie albo komodzie.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał. Alec cmoknął.

- To ja powinienem mieć pretensje. Dostałeś dziewczynę, no nie? - Strzelił palcami, jakby go olśniło. - Zaraz, chwileczkę, już sobie przypominam! Nie dostałeś dziewczyny. - Twarz mu się zmieniła, stała się wroga. - Zostawiłeś ją przed ołtarzem, wyplakującą serce.

Conor nie zamierzał z nim dyskutować. Alec był ostatnią osobą, przed którą próbowałby się usprawiedliwić.

- Trochę zmieniłeś wygląd.

Alec wzruszył lekceważąco ramionami.

- Podobno blondyni są w cenie. Wiesz, byłem z nią wtedy. - W jego głosie brzmiała teraz powaga, zabierał ich obu w tamten czas. - Nie miałeś prawa jej zranić.

Odgrywał rolę Aleca-Supergościa, ale Conor nie zamierzał dać się nabrać.

- Przed czym teraz uciekasz, Alec? - Minął rok od ich ostatniej rozmowy, pojawienie się Aleca nie mogło być zbiegiem okoliczności.

- Jakie kłopoty tym razem sprowadzisz na Geenę? - Przypomniał w ten sposób Alecowi, że Geena i jej dzieci mieszka ją w sąsiednim domu. Wierzył, że obchodzi go jeszcze los ludzi, których kocha.

- Byłem ostrożny. - Alec wstał. Podeszedł do regału z książkami, nie krępując się. Zdjął z półki Moby Dicka, przekartkował i odłożył na miejsce. -Zostawiłem ich daleko w tyle.

- Ich? Może te tajemnicze siły, które próbują pozbawić cię życia?

- Więc dostałeś mój e-mail. Jak się miewa nasza Cherish? Ucieliście sobie dzisiaj miłą pogawędkę?

Conor próbował zachować nieprzenikniony wyraz twarzy. Przez cały dzień odnosił wrażenie, że ktoś go obserwuje. Tłumaczył sobie, że cierpi na paranoję, że nagłe pojawienie się Cherish wytrąciło go z równowagi. Teraz wiedział, że to nie była paranoja.

Alec kręcił się po pokoju.

- Wiesz, zrobiłem to dla ciebie. - Zdjął przykrywkę ze słoja z cukierkami i zanurzył rękę w karmelkach, które wsypała tam Geena. - I wcale nie liczę na to, że mi się zrewanżujesz. Ale pomyślałem sobie,

że jeżeli was spiknę... reszta robi się sama. - Wzruszył ramionami. -
Po tym, jak ją wyrolowałeś, trzeba było śmiertelnego zagrożenia, żeby
zgodziła się z tobą zobaczyć.

- Cały ty, Alec. Serce na dłoni.

Alec skrzywił się słysząc sarkazm w jego głosie. Wziął cukierek
ze słoja, odwinął z papierka i włożył do ust.

-I jak było, Conman? - zapytał, używając dawnego przydomka
Conora. - Słyszałeś muzykę? Widziałeś fajerwerki, kiedy przybiegła
do ciebie?

Alec spojrzał na swoje buty, drogie Ferragamo. Czubkiem
pantofla potarł przez spodnie łydkę. Zawsze lubił ładne rzeczy.

Kiedy znów podniósł wzrok, uśmiech miał szatański.

- A może pole jest wolne?

- Chcesz Cherish? - Conor skrzyżował ramiona na piersiach,
wyprostował się. - Zgadza się?

Alec się roześmiał.

- To mi się podoba. Ty jej nie chcesz, ale nikt inny nie może jej
mieć.

- Tylko ty, Alec. Zostaw ją w spokoju.

Alec podszedł do Conora, wrogi, buńczuczny. Był od niego
trochę niższy.

- To samo powiedziałeś półtora roku temu. - Trącił Conora
dłonią w pierś. - Ustąpiłem ci, a wiesz dlaczego? Myślałem, że należy
ci się trochę szczęścia. Biedny Conman, przez całe życie urabiał sobie

ręce dla mnie i swojej małej siostrzyczki. Byłem ci coś winien.

Myślałem, że ją kochasz.

Conor odsunął jego ręką.

- Jakoś nie zauważyłem, żebyś mi ustępował. Wręcz przeciwnie, widziałem, jak dzień po dniu uruchamiasz na jej użytek sławny wdzięk Portera.

Alec wykrzywił lekceważąco usta.

- Byliśmy tylko przyjaciółmi.

- „Powinnaś wybrać mnie, maleńka?” - zacytował ostateczne zdanie e-maila.

- Więc jednak go przeczytałeś, i to uważnie. Hej! Rzuciłeś ją. Po tamtym wieczorze nie masz żadnych praw.

Conor chwycił go za przód starannie odprasowanej koszuli, obrócił wokół siebie i pchnął na ścianę, niemal unosząc w powietrzu.

- Wiesz, kim jesteś, Alec? Jesteś trucizną. Tyle że ubierasz się jak cukiereczek. Ale ja widziałem zgniliznę w środku. Mnie nie oszukasz. Teraz już nie.

Alec zamachnął się, ale jego ramię przeszło powietrze. Conor zrobił unik, ręka skoczyła mu niemal odruchowo, lądując na szczękę Aleca. Porter zatoczył się do tyłu i uderzył plecami w ścianę. Wsparł się o nią, potrząsnął głową. Dotknął dolnej wargi. W kącie ust zebrała się krew.

- Długo na to czekałeś. - Alec sięgnął do marynarki po chusteczkę. - Nie ufałeś mi, odkąd poznałeś prawdę o Geenie. - Przytknął chusteczkę do ranki. - Byliśmy tylko dziećmi.

- Zawsze masz jakieś usprawiedliwienie, co, Alec?

- Wiesz, na czym polega twój problem, Conor? Przez wszystkie te lata, kiedy ratowałeś mój tyłek z takiej czy innej opresji, wytworzyłeś sobie mój obraz. - Złożył starannie chusteczkę i schował do kieszeni. - W twoim pojęciu ludzie się nie zmieniają. Nie mają prawa.

- Znam cię, Porter. Ty się nigdy nie zmienisz.

Alec zmrużył oczy, jego twarz kojarzyła się Conorowi ze szczurem schwytanym w pułapkę.

- Ale nikogo nie zabiłem, prawda? A ty, Conor Doskonały? Zabiłeś tych biednych ludzi w samolocie, a teraz pozwalasz, by ciebie zabiła twoja własna pamięć. Weź się w garść, Conor. Zostaw przeszłość za sobą, zanim cię zniszczy.

- Wynoś się.

- Chciałem ci pomóc. Byłem gotów skłamać przed komisją bezpieczeństwa - zrobić wszystko, żeby cię kryć. Ale ty mi na to nie pozwoliłeś. Święty Conor, ideał chłopięcych cnót. Nie zniósłbyś myśli, że zaciągnąłeś wobec mnie dług.

- Jakie to dla ciebie łatwe - nawet krzywoprzysięstwo w twoich ustach wydaje się tylko drobną przyjacielską przysługą. Wiesz, masz rację. Nie chcę, żebyś spotkał się z Cherish. Powiem więcej - mówił wolno, wyraźnie, żeby nie było nieporozumień - jeżeli zbliżysz się do niej, wyrwę ci serce.

Alec zaczął się śmiać, trzymając się za boki.

- Prawda, jestem Dużym Złym Wilkiem, a ty uratujesz przede mną swoją słodką Cher.

Zakrztusił się i zakaszłał. Kiedy znów podniósł wzrok, powiedział:

- Zabijają mnie. - Przestał się śmiać, ale nadal się uśmiechał. -1 Cherish też - dodał na wypadek, gdyby Conor nie słuchał. - Ty, staruszkule, jesteś na Czystych wodach. Możesz odejść wolno, możesz dalej bawić się w opiekuna Geeny i jej potomstwa i nikogo to nie obejdzie. Ale kiedy usłyszysz w wiadomościach o szóstej o tragicznym, śmiertelnym wypadku Cherish Malone... Cóż... - Wzruszył ramionami gestem, który mówił: „A co mi tam!”

Idąc do drzwi, otarł się o Conora, chociaż miał dość miejsca, by obejść go łukiem. Zatrzymał się z ręką na klamce, jakby nagle zmienił zdanie.

- Może kraczę - powiedział. - Może się mylę. Ale ciebie to i tak nic nie obchodzi, prawda? Jakie to ma znaczenie, jedna ofiara mniej, jedna więcej na koncie.

Otworzył drzwi. Odwrócił się w progu.

- Byłbym zapomniał! Zostawiłem coś dla ciebie na stole. Słodkich snów, Conman.

Conor czekał, aż drzwi się zamkną. Odruchowo podniósł rękę do blizny na twarzy, jakby chciał ją zdrapać. Zawsze wynajdywał usprawiedliwienia dla Aleca. Nie dostrzegał zła czyhającego wewnątrz. Aż było za późno.

Alec Porter miał kłopoty. I jeżeli będzie musiał, pociągnie za sobą Cher.

Conor rozejrzał się po pokoju. Bungalow miał kiedyś własny garaż, ale poprzedni właściciel rozbił ścianę i przerobił go na przestronną kuchnię z aneksem jadalnym. Conor urządził tam sobie małe domowe laboratorium.

Widział stół z miejsca, gdzie stał. Leżała na nim duża brązowa koperta. Ruszył w tamtą stronę. Serce waliło mu w piersiach, kiedy przyglądał się kopercie.

Była opatrzona pieczęcią „poufne”, a w prawym górnym rogu widniały znajome insygnia Reck Enterprises: stylizowany glob w otoczeniu czterech gwiazdek. Kiedy ją otworzył, ze środka wypadła na stół dyskietka i kilka kartek papieru spiętych spinaczem.

Conor patrzył się na zaginioną telemetrię drugofazowego prototypu XC--23 WingMaster.

Alec włączył długie światła i przyspieszył do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Wynajęty kabriolet mknął wyludnioną szosą, wiatr smagał Alecowi twarz, rozjaśniał myśli. Rozmowy z Conorem zawsze miały coś z nieba, coś z piekła.

Poczuł, jak pager wibruje mu na biodrze. Trzymając kierownicę kolanami, włączył wewnętrzne światło i przeczytał wyświetlone cyferki, dotykając jednocześnie rozciętej wargi. Kciukiem wystukał numer na komórce. Odezwał się pierwszy.

- Powiedz mi.

- Najpierw ty musisz powiedzieć, że mnie kochasz.

Uśmiechnął się. Było mu dobrze. Ona zawsze tak na niego działała.

- Kocham cię.

Usłyszał długie westchnienie na drugim końcu linii.

- Masz to powiedzieć tak, żebym ci uwierzyła, głuptasie.

- Kooocham cię!

- Teraz lepiej. Zgadnij, gdzie jestem? Nie, nie zgaduj, nie uda ci się. Jestem w apartamencie. Hotelowym. Noc kosztuje tu tysiąc dolarów. Zerknęłam na cennik, kiedy się meldowaliśmy. Czekam na Russella Recka. Rozmawia w sąsiednim pokoju przez telefon.

Gwizdnął. Naprawdę mu zaimponowała. Przyleciała do kraju zaledwie przed tygodniem.

- Szybka robota.

- Teraz powiedz, że mnie kochasz.

- Nad życie. ' Nastąpiła krótka pauza.

- Prawie ci uwierzyłam, Alec. Telefon piknął. Rozłączyła się.

Pokiwał głową z uśmiechem i odłożył komórkę na siedzenie obok.

- Co za kobieta!

Wjechał na autostradę, kierując się w stronę plaży.

9

Rano Cherish obrała długą drogę do pracy - Pacific Coast Highway, aż do Newport. Cel misji: wywiać z głowy pajęczę nici, jakie oplatały jej umysł od wczorajszego wieczora.

W Jamboree, dobrze znanym z owocnych wypraw z Lori do Bloomington, wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, kierując się z powrotem do Seal Beach. Opuściła szybką przeciwsłoneczną, uśmiechnięta. Czekają ją jeszcze piętnaście minut muzycznej terapii.

„Peach Union” grzmiał z głośników tak głośno, by dało się wyczuć basy. Mijając słone bagna przy Huntington Beach i ostrą sylwetkę Catalina Islandha zachodzie, Cherish patrzyła na ryczące fale, palmy targane wiatrem i wieżę elektrowni. Był piękny dzień. Musiała zmrużyć oczy, żeby dostrzec brązową mgiełkę nad Long Beach.

W okolicy plaży Bolsa Chica idylliczne piękno moczarów i urwistych brzegów wzmogło terapeutyczne działanie muzyki. Cherish kochała bagna, zamierzała się cieszyć widokiem mokradeł, dopóki jakieś przedsiębiorstwo budowlane nie osuszy ich i nie pokryje siecią osiedli. Naftowe żurawie wyznaczające linię nadmorskiej autostrady pochylały i prostowały szyje wahadłowym ruchem nakręcanej zabawki, rytmicznie, hipnotyzująco.

W tym momencie idealnego spokoju prawda objawiła jej się z całą ostrością, uderzyła w zmysły z taką samą siłą, jak muzyka w radio.

Cała ta terapia, listy, które pisała... Kolosalny błąd. Nie powinna przeboleć Conora, zapomnieć i wybaczyć. Powinna wyryć sobie to doświadczenie w sercu, dbać o nie jak o skarb, który ustrzeże ją w przyszłości od podobnych klęsk.

Stała się dla Conora łatwą zdobyczą. Byli jedynymi ocalałymi z katastrofy, ona, Conor, Alec... Dlaczego nie mieliby trzymać się razem, sprawdzić, jak ta tragedia wpłynie na ich życie?

Samo przeżycie katastrofy wydawało im się czymś niesłychanym, skoro zginął ktoś tak dynamiczny jak Erie Ballas. Cherish odczuwała potrzebę jakiejś zmiany w życiu, która upamiętniłaby ocalenie.

Nie spodziewała się, że po latach robienia kariery obierze tak typowo kobiecą drogę... małżeństwo, założenie rodziny. Tylko w ten sposób mogła wyjaśnić, dlaczego rzuciła się na Conora z okrzykiem: „Moja druga połowa!”

Sam akt zakochania się nie był oczywiście celowy. Gdyby miała coś do powiedzenia w tej kwestii, nigdy nie wybrałaby pilota oblatywacza ze skłonnością do stoicyzmu. Nigdy w życiu! Gdyby miała jakąkolwiek kontrolę nad biegiem zdarzeń, wybrałaby Aleca. Wróbla w garści.

Cherish zmieniła stację radiową, wspominając, jak to było między nią i Alekiem. Uczucie dopasowania. Już tamtej pierwszej nocy, kiedy zatrzymano ich w szpitalu na obserwację. Przyłgnęli do siebie, zaspokajając jakąś wzajemną potrzebę. Cherish lubiła opiekować się ludźmi... ojciec, bracia. Alec zaś lubił być obiektem troski. Telefony z zapytaniem o zdrowie. Domowe ciasteczka. Króciutkie liściki: „Mam nadzieję, że sobie radzisz”, i e-mailowe przesyłki: „Zadzwoń do mnie; miałem parszywą noc”.

Rozumiał nawet jej stosunek do ojca. Rozumiał, że wbrew pozorom nie pozwala mu kierować swoim życiem. Michael Malone był przeciętnym facetem. Lubił piwo. Rzucił palenie, kiedy okazało się, że mu szkodzi. Kupował kupony na loterię, a w weekendy pracował w ogródku. I nie lubił, kiedy jego dzieci przechodziły trudne chwile, więc starał się ingerować w ich życie.

Widząc, jak lawiruje przez rodzinny obiad niby przez niebezpieczne wody, Alec nadał jej przydomek Cherish Dobra.

Za to Conor! Telefony, ciasteczka, troskliwe liściki ! Nie trzeba było wielkiej znajomości natury ludzkiej, by zrozumieć, że tego nie cierpi. Nie życzył sobie jej troskliwości. Wyglądało na to, że w ogóle nic od niej nie chce. Z pewnością nie chciał czekoladowych piegusków i podziękowań za uratowanie życia. Zrozumiała to po tygodniu. Więc zaprzestała prób.

I zgadnijcie, kto zjawił się pod jej drzwiami kilka dni później?

Cherish zdjęła nogę z pedału gazu, odtwarzając w myślach tamtą scenę. Otworzyła drzwi i zobaczyła go w progu. Conor Mitchell. Mężczyzna, który wyciągnął ją z płonącego samolotu. Mężczyzna o rozwiniętych mięśniach trójgłowych i piwnych marzycielskich oczach.

Porwał ją w ramiona i obrzucił filmowym spojrzeniem, zapowiadającym Wielką Chwilę. Spojrzeniem, które pozostawia kobietę bez tchu, z jedną trzeźwą myślą w głowie! „No dobra, Harrison, jestem twoja!”

Nie czekał, aż ona coś powie, po prostu ją pocałował.

Po pięciu minutach byli już nadzy, plątanina nóg i rąk na podłodze w przedpokoju.

Cherish zjechała z autostrady, w głąb lądu, w stronę Marquis Aircraft, a wspomnienia przeszywały jej mózg z siłą migreny.

Nie było na nich siły. Wyznawali zasadę: seks najpierw, konsekwencje później. Po tym pierwszym zbliżeniu w przedpokoju wszystko w jej życiu zaczęło się kręcić wokół seksu. Wokół wspaniałego, zaspokajającego, niekończącego się seksu.

Conor był cudownym kochankiem. „Czy tak dobrze, kochanie?” Jakby można to zrobić lepiej? „Spełnij się dla mnie, Cher. Jeszcze raz”. Aż do tamtej chwili była przyzwoitą, katolicką dziewczyną... Co oznaczało, że utraciła dziewictwo po, a nie przed ukończeniem dwudziestu lat. Zanim poznała Conora, spała tylko z jednym mężczyzną. Była właściwie dziewicą w swojej grupie wiekowej.

I nigdy przedtem nie miała orgazmu. A teraz miewała go regularnie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. „Jeszcze raz, Cher”.

Dlaczego na tym nie poprzestała? Nie zwała tego na hormony? Wysocy, samotni mężczyźni z mięśniami trójgłowymi i piwnymi oczami nie stukali codziennie do jej drzwi. To jasne, że na nią działał.

Sądząc po wczorajszym wieczorze, nadal działa.

Cherish zatrzymała się przed budką strażnika, żeby pokazać legitymację, i czekała, aż wpuści ją na dyrektorski parking. Muzyczna terapia z wolna traciła moc. Cherish przypomniawszy sobie wczorajszy niedoszły pocałunek.

Poważny błąd!

Coś jej się nie zgadzało w tym życiowym równaniu. Chłopak ratuje dziewczynę z płonącego samolotu. W porządku. Chłopak postanawia poślubić dziewczynę. Chłopak wystawia dziewczynę rufą do wiatru. Dziewczyna wyciąga cenny wniosek: chłopak jest świrem, i po raz drugi pakuje łapy do ognia, nie nauczywszy się niczego.

Wjechała na swoje miejsce parkingowe i chwyciła aktówkę z przedniego siedzenia.

- Nie możesz wrzucić do jednego worka wszystkich intensywnych erotycznych odczuć do faceta, który uratował ci tyłek, i opatrzyć etykietką „miłość”. - Wypowiedziała te słowa na głos, jakby liczyła na to, że w ten sposób dłużej je zapamięta. - Dlatego właśnie spieprzyłaś sprawę.

Trzy minuty później przeszła pod transparentem „Marquis Aircraft -my damy Ci skrzydła” i skierowała się w stronę kompleksu biurowców, laboratoriów i drzew eukaliptusowych ciągnących się za główną bramą.

W holu pokazała strażnikowi legitymację i nie zwalniając nawet kroku, machinalnie otworzyła aktówkę do sprawdzenia. Musi wyrzucić Conora z myśli - razem z jego mięśniami trójgłowymi - i skupić się na obowiązkach służbowych. Czekają ją spotkanie z Chuckiem. Zawiadomiła o nim Lori, żeby wziąć szefa w dwa ognie. Chuck był zdecydowanie przeciwny zastosowaniu taktyki siły, bojkotował wszystko, co pachniało konfrontacją z Reckiem, największym klientem firmy. Ale tego ranka Cherish otworzy mu

oczy. Conor miał rację przynajmniej co do jednego: dostawali łomot w mediach i nadszedł czas, by zapomnieć o dżentelmeńskich obiekcjach. Wóz albo przewóz.

Była jeszcze na dziedzińcu, kiedy syrena zawyła, po czym zaczęła pulsować rytmicznie. Cherish zatrzymała się, zdumiona. Alarm pożarowy?

Ruszyła szybszym krokiem, potem zaczęła biec w stronę głównego biura. Jako szef public relations była informowana o każdym ćwiczeniu przeciwpożarowych. Z tego, co wiedziała, na dzisiaj nie zaplanowano żadnego próbnego alarmu.

Wszędzie otwierały się drzwi budynków i laboratoriów rozmieszczonych wokół głównego dziedzińca. Ludzie z plakietkami identyfikacyjnymi zawieszonymi na szyi lub przypiętymi do klap kręcili się po dziedzińcu w przekonaniu, że są to tylko ćwiczenia... Cherish rozejrzała się gorączkowo. Wypatrywała smugi dymu, kogoś, kto machałby do niej, próbując zwrócić na siebie uwagę, wskazać miejsce katastrofy.

- Panno Malone!

Odwróciła się. Mężczyzna w mundurze szedł ku niej, błyskając plakietką identyfikacyjną. Szef straży przeciwpożarowej, pomyślała z ulgą. Miał lustrzane okulary słoneczne, mundur strażaka i czapkę zsuniętą nisko na czoło w ochronie przed słońcem. Mężczyzna wskazał budynek po jej prawej ręce. Cherish pobiegła tam, zastanawiając się, co to wszystko ma znaczyć.

Dotarła do drzwi zaledwie kilka sekund po szefie straży, ale w środku go nie dostrzegła. Korytarz i pokoje szybko pustoszały, pracownicy Marquisa mijali ją w drodze do wyjścia. Cherish uśmiechała się, żeby nie wywołać paniki. Najpierw musi porozmawiać z szeryfem. Ale hol i biura były puste.

Ktoś chwycił ją za przegub i szarpnął. Potknęła się, niemal upadła na podłogę. Czyjeś ramię otoczyło ją w talii. Duża dłoń - dłoń mężczyzny -zatkła jej usta i pociągnęła do tyłu.

Próbowała się zapierać, kopać. Ale mężczyzna wciągnął ją z korytarza do jednej z wysokich sal naprzeciwko pustych biur.

Kopała i waliła mężczyznę po nogach aktówką, dopóki nie wypadła jej z rąk. Napastnik odciągał ją od okien. W ostatniej chwili odkręciła się, wyrywając rękę. Ale on chwycił ją za ramię i tym razem przytrzymał mocniej.

Opadła na niego bezwładnie, chcąc go zmusić, by ją niósł. Zatoczyli się oboje, uderzyła plecami o jakiś ostry kant. Próbowała się czegoś przytrzymać i zawadziła ręką o stos książek i teczek. Zwały się z hukiem na podłogę. Namacała jakiś tom. Chwyciła. Zamach. Buch!

-Kurde!

Puścił ją. Cherish przeszła kilka kroków na czworakach, potem skoczyła na nogi i sięgnęła do telefonu na biurku. Wystukała numer ochrony. Jeden sygnał... połączenie zostało przerwane. Ktoś sięgnął ponad jej ramieniem i nacisnął widełki.

- Cholera, Cherish! Podbiłaś mi oko!

Krzyk zamarł jej w gardle. Odwróciła się, spoglądając z niedowierzaniem w twarz szefa straży pożarnej. Podczas walki stracił czapkę, okularów też już nie miał.

-Alec?

- We własnej osobie, maleńka.

Chłoneła go wzrokiem, rejestrując zmiany. Wydawał się wyższy, potężniejszy. Miała wrażenie, że wydorósł, chociaż jego piegowata twarz nie była ani o dzień starsza.

Alec.

Jasnowłosa, opalony, wymuskany Alec. Ubrany w mundur strażaka, z plakietką „Largo” przypiętą do kieszeni na piersi.

- Wybaczam ci - powiedział z uśmiechem. - Tę śliwę pod okiem. Boże, stęskniłem się za tobą.

Pocałował ją.

Nigdy przedtem tego nie robił. Nawet wtedy, gdy starał się ją przekonać, że popełnia błąd, obierając Conora za przedmiot swoich uczuć. Jego wargi były twarde i zarazem zachłanne. Namiętny pocałunek. Rozchylił usta, a ona odpowiedziała tym samym, z niedowierzaniem smakując Aleca i wszystko to, za czym tęskniła przez ostatni rok, gdy pracowała dzień i noc i udawała, że nie potrzebuje ciała mężczyzny przy swoim, jego warg na swoich ustach...

- Wydaje ci się, że to jego pragniesz. - Słowa padały w rytm jego oddechu na jej wargach. - Aleja ci udowodnię, że jest inaczej. Tak naprawdę nie jego chcesz.

To byłoby łatwe, pomyślała, pozwolić na ten pocałunek, odwzajemnić go. Kochał ją. Słyszała to w jego głosie, widziała w jego oczach. Nie byłaby sama...

Nie byłaby z Conorem.

Alec zareagował natychmiast na jej nagły bezruch, przestał ją całować. Słyszała jego ciężki, urywany oddech. Odsunął się o krok, wypuszczając ją z ramion. Na jego twarzy malowało się zdumienie.

Potrząsnął głową.

- Kurde, to nie do wiary! Ty go nadal kochasz. Odwróciła się. Oparła obie dłonie na biurku.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

- Hej! - wyszeptał, już innym, łagodnym tonem. Odwrócił ją ku sobie i przytulił. Pocałował w czubek głowy. - W porządku. Przepraszam. Pospieszyłem się. Ale tak mi Ciebie brakowało. To się już nie powtórzy. Obiecuję. - Muskał ciepłymi wargami jej czoło, powieki, usta. Uniósł ku sobie jej twarz, palce zatopił w jej włosach.

Zawsze był niewiarygodnie przystojny. Ujrzawszy go po tylu miesiącach tęsknoty poczuła, że traci oddech. Tak bardzo brakowało jej tego chłopięcego uśmiechu, tańczącego światełka w oczach.

- Poczekam na Ciebie - powiedział. - Nie będę Cię ponaglał, Cherish. Sama mi powiesz, kiedy będziesz gotowa.

Wróciło jej poczucie rzeczywistości.

- Alec! - Odepchnęła go, nadal nie wierząc, że tu jest. W przebraniu, w jej biurze, w pilnie strzeżonym obiekcie, teoretycznie niedostępnym dla intruzów. - Co się dzieje?

- Musiałem się z tobą zobaczyć. - Łobuzerski uśmiech rozjaśnił mu twarz, Alec był znowu dawnym sobą. - Widziałem się wczoraj z Conorem. Boże. Pomyśleć, że nadal czujesz miętę do tego niedojdy. Nie... - Położył jej dłoń na ustach żartobliwym gestem. - Nie odpowiadaj. Żadnych gorszących szczegółów.

Odsunęła jego rękę, ale jej nie puściła. Trzymała ją mocno w obu dłoniach. Zawsze potrafił ją rozbroić kilkoma słowami, uśmiechem.

- Nie przyszedłeś tutaj, bo jesteś zazdrosny o Conora - stwierdziła. Jego twarz się zmieniła, brwi się zbiegły, wargi utworzyły jedną wąską linię. Wyglądał teraz zaskakująco poważnie, inny Alec. Ścisnął mocno jej rękę.

- Jest niedobrze. Bardzo niedobrze. A oni postarają się o to, żeby to zabrzmiało bardzo wiarygodnie. Nie zdziwię się, jeżeli im uwierzysz.

- Alec, przerażasz mnie.

- Wiem. Przykro mi. Rzecz w tym, że jeżeli powiem za dużo... Zawsze byłaś niezależna. Nie jesteś potakiwczem, któremu można wmówić, co się chce. Kiedy usłyszysz, co będą mówić o mnie, o tym, co zrobiłem albo jeszcze zrobię...

Położył dłoń tuż nad jej piersią, przycisnął mocno. Gest wydał się jej niezwykle intymny, wewnątrz dłoni na jej bijącym sercu.

- Chcę, żebyś słuchała sercem. Zrobisz to dla mnie, maleńka? Będziesz słuchała samym tylko sercem?

- Dobrze - powiedziała bez tchu.

- Niech Conor im wierzy. Do diabła! Będzie chciał uwierzyć. Od czasu katastrofy jest między nami sporo złej krwi. - Jeszcze jeden rozbrajający uśmiech. Alec pochylił się i wyszeptał konfidentycznie:
- Mam wrażenie, że już mi nie ufa.

- Jestem tego samego zdania. - Przypominała sobie ostrzeżenia Conora. Miała wrażenie, że jej serce jest dwa razy większe, niż pozwalają na to rozmiary klatki piersiowej.

- Ale ja wierzę w ciebie, maleńka.

Tulił ją przez chwilę, a ona wcale nie chciała, żeby przestał. Pragnęła, żeby ją pocieszył, tak jak to robił kiedyś.

- Zmieniłem się, Cherish. Tym razem nie będę grał fair. Tamten Alec należy do przeszłości - powiedział miękko. Odsunął się, unosząc ku sobie jej twarz. - Kocham cię. Czy on powiedział ci kiedyś te słowa?

Milczała.

- Nie usunę się. Nie będę miłym facetem i nie pozwolę, żeby mi cię zabrał. Nigdy więcej.

Nie zdążyła nic powiedzieć; Alec odwrócił się i odszedł. Obejrzał się, już z ręką na klamce, i pokazał dołeczki w policzkach.

- Miał swoją szansę. Teraz moja kolej.

Przesłał jej dłonią pocałunek i wymknął się na korytarz. Cherish opadła na najbliższe krzesło. Podniosła rękę i musnęła palcami wargi.

- Kurde blaszka - powtórzyła ulubione powiedzonko Lori.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzi, zapatrzona w przestrzeń, porównując pocałunek Aleca i ten wczorajszy, niedoszły, ten, o którym starała się nie myśleć przez całą noc.

Po chwili oprzytomniała na tyle, by wstać i pozbierać swoje rzeczy. Kiedy kilka minut później weszła do swojego gabinetu, dzwonił telefon. Wpatrywała się w niego dobrą chwilę, nie rozumiejąc, co oznacza ten dźwięk. Odebrała i odezwała się niemal szeptem:

- Cherish Malone.

- Jestem w klubie. - To była Lori. - Przyjdź tu, byle zaraz!

Ponieważ знаła Lori nie od dziś, rzuciła słuchawkę i wybiegła z pokoju. Klub znajdował się w tym samym korytarzu, za rogiem. Pękał w szwach, ludzie stali w grupkach, rozbrzęczeni jak pszczoły. Musiała się przepchnąć przez tłum, żeby zobaczyć ekran telewizora.

Mężczyzna spoglądał z powagą w obiektyw. Spiker jednej ze stacji; Cherish słuchała z niedowierzaniem.

Nie wiedziała, że Lori stoi za jej plecami, dopóki przyjaciółka się nie odezwała.

- Słyszysz? Dasz wiarę?

Przypomniała sobie, co powiedział jej Alec. Stało się coś potwornego. Teraz bała się naprawdę.

Russell wyszedł spod prysznic, osuszając włosy ręcznikiem. Wydawało mu się, że słyszy głosy w sypialni, ale podreptał po mokrych kafelkach. W ciągu ostatnich paru dni odkrył, że Allison

miewa złe sny. Naprawdę złe. Ubiegłej nocy obudziła się z krzykiem, czepiając się go, cała złana potem.

Ale tym razem gadał telewizor, nie ona. Skakała po kanałach, wsparta o zrolowaną poduszkę i zapatrzona w ekran, niewiele mniejszy od kinowego. Była golusieńka. Leżała na brzuchu pośród skotłowanych prześcieradeł z uniesionym apetycznym tyłeczkiem.

Oparł się o futrynę i patrzył. Nogi trzymała w górze, skrzyżowane w kostkach, i wyglądała w tej pozycji zarazem seksownie i bardzo dekoracyjnie. Już wcześniej pomalowała paznokcie na bladoniebieski kolor, lakierem kupionym w hotelowym sklepie z pamiątkami. Splatała i rozplatała nogi, rysując w powietrzu powtarzający się wzór. Russell stał i rozkoszował się widokiem.

Wezbrała w nim fala ognia i przetoczyła się przez ciało, wywołując nie lada erekcję pod szlafrokiem. Jego serce należało do Sydney - ona była jego prawdziwą miłością- ale nie mógł się jakoś nasycić Allison, nie panował nad swoim pożądaniem. Bo i dlaczego miałby to robić?

Wiedział jednak, że podejmuje olbrzymie ryzyko. Co wieczór dzwonił do Sydney, grając na zwłokę. „Jutro wsiadam do Gulfstreama, kochanie. Obiecuję”. Odwieszał słuchawkę z postanowieniem, że nazajutrz rano będzie już w swoim prywatnym odrzutowcu. Postępował głupio. Zbyt się afiszował z Allison. Ale jakoś nie wydawało mu się to ważne. Może fakt, że przeciągał strunę, dodawał uroku całej tej zabawie.

Rankiem wyszukiwał kolejny pretekst, by opóźnić wyjazd o jeszcze jeden dzień. Jak dzisiaj. Widząc Allison nagą na łóżku, pomyślał, że powinien zadzwonić do Sydney. „Kinnard ciśnie mnie w sprawie XC-23. To mnie dobija, Syd! Ale muszę zostać”. Poprosi o jeszcze jedną noc w raju.

- Hej! - Allison odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Gęstwiną loków opadła na jedno ramię, kiedy podsunęła wyżej poduszkę i odsłoniła kształtną pierś. - Czy to nie o twojej firmie mówią? - Widząc, co pochłania jego uwagę, przewróciła oczami i nastawiła telewizor głośniej.

- Dwudziestego piątego kwietnia ostrzeżyliśmy Reck Enterprises. - Głos zadudnił z podwójnych głośników. Kamera ukazała zbliżenie twarzy sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Bładoniebieskie oczy patrzyły w obiektyw bez mrugnięcia. - Na dzień przed tym tragicznym zdarzeniem wiedzieliśmy, co się stanie jeżeli Reck dopuści do lotu XC-23 WingMaster. Decyzja Recka, by zignorować nasz apel, kosztowała obywateli tego kraju miliard dolarów i życie niewinnych ludzi. Nie zapominajmy o pilotach i członkach załogi, którzy zginęli w sobotniej katastrofie.

Russell opadł na łóżko. Co, u diabła...?

- My, członkowie Stowarzyszenia Milenijnego, rozumiemy, że można wątpić w dokładność naszych informacji. Ale całkowicie je zignorować mógł tylko ktoś, kto według naszych kryteriów lekceważy życie ludzkie. Uznać nas po prostu za maniaków... - Mężczyzna potrząsnął głową ze smutkiem. - Przesłaliśmy Reck Enterprises kopię

żądań terrorystów; zaprosiliśmy przedstawicieli firmy do naszych biur, by mogli obejrzeć dyskietkę, którą otrzymaliśmy. Podaliśmy dokładną datę, kiedy ma nastąpić detonacja bomby, a mimo to przeprowadzono zaplanowany lot próbny.

Zadzwonił telefon przy łóżku. Russell zignorował go, bez reszty skupiony na twarzy, która wypełniała ekran. Chłonał każde słowo mówiącego.

- Jak rany! - Allison przysiadła obok niego. - Wiedziałeś o tym? Że w tym samolocie była bomba?

Bomba! To niemożliwe. Wrak, który złożyli w hangarze w Edwards, wykazałby. ..

Ale oni z góry zakładali, żeby powodem katastrofy był błąd konstrukcyjny. Nawet nie brali pod uwagę innej możliwości... Jezu Chryste! Bomba.

-Nie możemy ryzykować, że Reck Enterprises ponownie zignoruje nasz apel. Dlatego skontaktowaliśmy się ze stacją telewizyjną. Nazywają się Marduk, co ma odniesienie, jak się wydaje, do naczelnego boga religii babilońskiej. - Zerknął na kartkę, którą trzymał w ręku. - Jeżeli kwota dwóch milionów pięciuset trzydziestu dwóch tysięcy dolarów nie zostanie wypłacona w sposób przedstawiony poniżej, Marduk storpeduje następny lot próbny XC-23 WingMaster przeczytał i podniósł wzrok. - Mamy nadzieję, że informując opinię publiczną, zmusimy Reck Enterprises do wstrzymania prób i unikniemy następnej katastrofy.

Twarz mężczyzny zniknęła. Jego miejsce zajęli dwaj spikerzy - kobieta i mężczyzna. Telefon dzwonił nieprzerwanie. Russell wiedział, kto dzwoni. Wiedział, że nie przestanie, dopóki on nie odbierze.

-Halo?

- Czy ty to oglądasz? - spytał Joseph Kinnard. - Czy ty to, kurwa, oglądasz?

Russell pomyślał, że chyba ma atak serca.

- Conor? Chodź tu, człowieku!

Słyszając wołanie Marca, Conor przybiegł do salonu z trzyletnim siostrzeńcem, Johnem, na plecach. Bliźniacza siostrzyczka Johna, Alexa, poganiała go od tyłu. Conor miał pomóc bliźniakom wyszykować się do przedszkola, ale jak zwykle skończyło się to dziką gonitwą po domu i zabawą w rodeo. Rzuciwszy spojrzenie na Geenę, Conor postawił siostrzeńca na kanapie.

- Co się stało? - zapytał. Nie podobał mu się wyraz twarzy siostry. Geena zwróciła się do starszego syna.

- Chris? Idź pomóż bratu i siostrze zapakować rzeczy do przedszkola. Chris popatrzył na matkę, gotowy zaprotestować, ale Geena rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, których dzieci wolą nie ignorować.

- Chodźcie, dzieciaki - powiedział Chris zbolalym głosem, zaganiając bliźniaki z powrotem do holu.

Geena odwróciła się do Conora.

- Chodzi o XC-23. - Wskazała na znieruchomiącego Marca, który stał przed telewizorem z kubkiem kawy w ręku i wpatrywał się w ekran.— Mówią, że to była bomba.

Conor postąpił krok i patrzył z niedowierzaniem, jak twarz spikera znika i na ekranie pojawia się zdjęcie mężczyzny.

-.. .mamy powody przypuszczać, że mężczyzna na tym zdjęciu jest odpowiedzialny za podłożenie bomby, która w Sobotę rano spowodowała katastrofę XC-23 WingMaster...

Geena coś mówiła, ale Conor jej nie słyszał. Patrzył na fotografię, która wypełniła ekran. Dłoń Geeny zacisnęła się na jego ramieniu. Zamrugął, chcąc uwolnić się od hipnotyzującej twarzy i wszystkiego, co sobą reprezentowała.

Christopher wszedł do pokoju, minął wujka i rodziców i zatrzymał się przed telewizorem. Zmarszczył czoło, zdradzając te same objawy niedowierzania, co dorośli obecni w pokoju.

Wyciągnął rękę i dotknął znajomej twarzy, która uśmiechała się do nich z ekranu.

-Mamo! -Odwrócił się twarzą do rodziców Conora. - To wujek Alec. Oni mówią, że wujek Alec jest terrorystą.

10

Niszczyciel siedział pośrodku grupy potakiwaczy i faworytów. Jaszczur-cze oczka, na wpół przymknięte, nadal nasuwały Cherish niemiłe skojarzenia; zastanawiała się, co się kryje za tym drętym

spojrzeniem. Cały czas myślała o Alecu. Wiadomość o zamachu nie schodziła z serwisów informacyjnych przez cały weekend.

Mówcą wytypowanym na ten poniedziałkowy poranek był szef ochrony Reck Enterprises, mężczyzna w sportowej marynarce w kratkę i koszuli za małej o parę numerów. Inżynierowie na sali wyglądali przy nim jak prezenterzy mody. Widać było, że kiedyś trenował, ale mięśnie zmieniły się w tłuszcz przed wielu laty. Nosił peruczkę. Marnej jakości.

Nazywał się Sharps, co było szczytem ironii. Gdyby to zależało od Cherish, epitafium ku pamięci Leo Sharpsa brzmiałoby: „Był idiotą pośród kretynów”.

- Oto co wiemy o Stowarzyszeniu Milenijnym. - Sharps, spotniały mimo klimatyzacji, rozdawał kartki spięte spinaczem.

- Rzeczywiście są w to zamieszani? - Joseph Kinnard siedział obok Recka, drugi po Bogu w biurach Reck Enterprises. Ubiór Kinnarda, mężczyzny niespełna sześćdziesięcioletniego, zdradzał to, czego brakło Sharpsovi - klasę. Jasnoniebieska francuska koszula zdawała się rozświetlać mu twarz, garnitur jeszcze niedawno wisiał w sklepie Saville Row. Krótko przystrzyżone siwe włosy były pamiątką z czasów, gdy pełnił funkcję koordynatora tajnych operacji CIA. Cherish miała wrażenie, że siedzi naprzeciwko przedstawiciela odchodzącej w przeszłość, ale jeszcze dziarskiej arystokracji, kogoś, kogo widuje się na okładkach popołudniówek, z ramieniem wokół Ivany Tramp.

W pewnym stopniu wrażenie odpowiadało prawdzie. Kinnard zajmował jedno z tych eksponowanych stanowisk, które trwają mimo zmian administracji. Jako podsekretarz obrony do spraw badań i rozwoju, przez ostatnie dziesięć lat był odpowiedzialny za przydział dotacji, co zbiegło się -zupełnie przypadkiem, rzecz jasna - z rozkwitem Reck Enterprises. Ludzie mówili, że kiedy Kinnard ma katar, Reck kicha.

- Zapewniam, że ci Milenijni to gromada popaprańców. - Sharps otarł chusteczką pot z czoła i usiadł. - Mamy tu powtórkę z Heaven's Gate. Kto mógł przypuszczać, że spełnią groźbę?

Okna sali konferencyjnej wychodziły na sielankową przystań w Newport. Jachty i skunery o białych żaglach podskakiwały na falach obok małych plastikowych łodzi motorowych, które kojarzyły się Cherish z disneylandzką wyprawą po dżungli. Otaczało ją tyle szkła, że usprawiedliwiało to wrażenie zamknięcia w szklanej kuli. Nawet ściany łączące salę z holem były przeszklone, żeby każdy mógł zobaczyć chmarą zapracowanych mrówek w środku. Zastęp ochroniarzy i wojskowych okupował stół, wystarczająco długi, by pomieścić delegacją ONZ. Cherish pomyślała, że trzeba kompasu, by odnaleźć drugi koniec.

Joseph Kinnard i jego świta w składzie: generał lotnictwa, attaché w randze pułkownika i policja wojskowa, otaczali wypolerowany dębowy stół. Interesującym uzupełnieniem ekipy był Luis Lebredo. Agent specjalny Luis Lebredo. Po piątkowym

komunikacie telewizyjnym FBI oficjalnie przejęło śledztwo w sprawie katastrofy XC-23 WingMaster.

Lebredo wyglądał na trzydzieści parę lat - o dobre dziesięć lat młodziej niż pozostali mężczyźni na sali. Miał gęste ciemne włosy, latynoskie rysy, oczy, którym nie umykał żaden szczegół, i nos złamany więcej niż raz. Ubrany był w tradycyjny granatowy garnitur. Sądząc z nieufnych spojrzeń, jakimi obrzucał wszystkich obecnych, nie należał do marionetek Kinnarda i Recka.

Ale prawdziwą niespodzianką był człowiek siedzący na przeciwnym końcu stołu. Conor Mitchell.

Miał ciemnooliwkowy T-shirt i minę, która mówiła, że niewiele go obchodzi, co powiedzą Kinnard, Reck czy Cherish, ale chciałby, żeby to już zrobili. Miał co innego do roboty. Jego włosy były mokre, jakby dopiero co wyszedł spod prysznica. Wszedł do pokoju przed pięcioma minutami, w chwili, gdy Cherish zaczerpnęła swój ostatni swobodny oddech.

Kinnard przekartkował raport, który rozdał Sharps, po czym rzucił spięte kartki na stół, niespecjalnie zainteresowany treścią.

Sharps odchrząknął. Spoglądał to na Kinnarda, to na Recka.

- Myślę, że dla wszystkich obecnych jest jasne, dlaczego nie potraktowaliśmy tych gróźb poważnie. - Ponieważ nikt się nie odezwał, mówił dalej: - Stowarzyszenie Milenijne założył przed pięcioma laty niejaki Dean White.

- Dean White. Ten, który dostał Nobla, zgadza się? - Chuck, wyraźnie zmęczony, spojrzał na następną stronę raportu. Jego białe

brwi tworzyły most nad nosem. Razem z Lori i Cherish reprezentował Marquisa.

- Ten sam - odpowiedział Sharps z uśmiechem. - Opracował teorię ujednoczenia globalnego. Wiecie, elektromagnetyzm, silne i słabe oddziaływania jądrowe, przyciąganie. Duża rzecz. A pięć lat później - bach! Facet twierdzi, że nawiązał kontakt z kosmitami.

- Nie chrzań! - Główny inżynier Recka upuścił memorandum na stół, jakby go nagle sparzyło.

- Właśnie! I tu zaczyna się odcinek „Archiwum-X”. Prawdziwy odłot, z gatunku „widziałem UFO”. Stowarzyszenie Milenijne powstało, kiedy White znalazł współtowarzyszy, innych ludzi odwiedzanych przez kosmitów. Tylko że tamci goście nie zostali obdarzeni wiedzą ścisłą. Są o wiele bardziej... transcendentalni. - Uśmiech Sharksa mówił, że powinni mu przyznać punkty za użycie trudnego słowa. - Chodzi im raczej o coś w rodzaju spotkania umysłów, na spacerze, po kolacji, albo podczas kontemplacyjnej sesji na werandzie. - Podniósł memorandum i zaczął czytać: „Opisują ten kontakt jako pojawienie się jasnego światła, po którym następuje uczucie euforii”.

Wzruszył wymownie ramionami. Stek bzdur.

- A co znaczy ESP? - zapytał dyrektor programu Recka, przerzucając stronę.

- Jako bonus otrzymują coś w rodzaju poznania ponadzmysłowego. Następuje wyostwienie zmysłów - powonienia, słuchu, wzroku - a także umiejętność odgadywania cudzych pragnień.

Jakaś dziwna charyzma. Dar z zaświatów. Mają kilka znanych osobistości w swoich szeregach.

- Martę Sims, zeszłoroczny Złoty Glob - odezwała się Lori z miejsca obok Cherish. Poświęciły całą noc, żeby się przygotować do tego zebrania. Ale w przeciwieństwie do Cherish, której bezsenna noc pozostawiła ciemne kręgi pod oczami i kofeinowy haj, Lori wykorzystwała z dobrym skutkiem baterię kosmetyków i wyglądała świeżo jak stokrotka. Lancôme nic ci nie pomoże, jeżeli nie wyjmiesz go z szuflady, zbeształa się Cherish w myślach.

- Zgadza się. - Sharps stał już na pewnym gruncie. - Według White'a i jego grupy, ci kosmici - oni nazywają ich „Inni” - wrócą na przełomie wieku. W dwutysięcznym pierwszym. Wrócą po swoich nawróconych.

- Pamiętam, jak PanAm robił listę rezerwacji miejsc na pierwszy lotna Księżyc - odezwał się ktoś i komentarz wywołał nerwowe śmieszki wokół stołu.

Szef ochrony uśmiechnął się, widząc, że być może nie będzie tak źle. Wyjdzie na to, że faktycznie powinien zlekceważyć grupę.

- Istnieją jakieś dowody ich nadnaturalnych zdolności? - pytanie zadał agent specjalny Lebredo. Cherish zauważyła, że nie facygował się czytaniem memorandum, które spoczywało nietknięte obok jego wypiełgowanych dłoni.

-Najmniejszych.

- A jednak - powiedział Lebredo - w ich szeregach znajdują się ludzie wybitni. Choćby Erie Ballas.

Reck zmarszczył czoło.

- Dean White był doradcą Erica w Harvardzie. Zatrudnił White'a jako konsultanta, kiedy ten zaczął zdradzać zainteresowanie tworzywami zespolonymi.

Przez ostatnie dwadzieścia lat wykorzystywano do budowy samolotów grafitowe tworzywa zespolone, chociaż odnosiło się to raczej do lotnictwa wojskowego niż pasażerskiego. Włókna grafitu osadzone w plastiku epoksydowym tworzyły komponenty strukturalne, które były mocniejsze, sztywniejsze i lżejsze niż metal. Bombowiec B-2 był tego najlepszym przykładem. Do jego konstrukcji wykorzystano materiał zespolony ze specjalnym pokryciem, które absorbowało radar, dzięki czemu samolot był niewykrywalny. Cherish wiedziała, że Dean White pracował z Erikiem nad wynalezieniem materiału zespolonego przyszłości.

- Stowarzyszenie Milenijne to nonsens - stwierdził Reck. - Ale Dean opublikował kilka wartościowych prac. Miniwłókna, metale syntetyczne. Erie przywiązywał ogromną wagę do jego teorii. Osobiście uważam je za zbyt ezoteryczne.

- Mówi się, że White miał dostęp do tajnych rosyjskich dokumentów - wtrącił Sharks. - Relacje ludzi o UFO, wrak statku kosmicznego. To miało stanowić przełom w pracy nad nowym materiałem zespolonym, czymś rewolucyjnym.

- Czy to nie oni twierdzą, że odkryliśmy technologię do bombowca B-2 i silikonowy chip z Roswell? - zapytał główny inżynier z szerokim uśmiechem.

Salę przebiegł krótki śmiech, do którego nie przyłączył się Chuck.

- Może faktycznie trafił na ślad czegoś - powiedział. - Publikacje White^ były dziwaczne, ale możliwe do przyjęcia. Rozmawiałem z kilkoma naukowcami z rosyjskiej Akademii Nauk. Ludzie z Pentagonu na wzmiankę o Roswell wznoszą oczy do nieba. Co innego Kreml. Rząd rosyjski traktuje sprawę zaskakująco poważnie. Może dlatego, że wiedzą coś, czego my nie wiemy?

- To prawda, że Ballas był wybitnym członkiem grupy White'a - powiedział Lebreto. -1 pracował z Rosjanami. Istnieje więc powiązanie.

- Może bym się z tym zgodził - rzekł Reck - gdybym nie znał Erica osobiście. To był idealista. Chciał wykorzystać tanią myśl technologiczną Rosji. - Wzruszył ramionami. - Wiele firm to robiło. Po upadku Związku Radzieckiego pojawiło się mnóstwo bezrobotnych fizyków i inżynierów, mężczyzn i kobiet z niebezpiecznym bagażem wiedzy. Próbowaliśmy rozładować sytuację, trzymać naukowców poza zasięgiem ekstremistów. - Pokręcił głową. - Było z tym mnóstwo zachodu.

- W rosyjskiej Akademii Nauk płacą pensję niezależnie od tego, czy się coś zrobi czy nie - wtrącił Sharps, chcąc pokazać, że i on coś wie.

- A jednak Ballasowi się udało - powiedział Lebreto.

- Miał szczęście i znalazł kilku w miarę utalentowanych inżynierów, którzy zgodzili się pracować za grosze. - Sharps próbował poluzować zbyt ciasny kołnierzyk koszuli, potem wyjął chusteczkę.

- To była podstawa jego przedsiębiorstwa - finansowa, nie ideologiczna - wyjaśnił Reck. - Trzeba oddać Ericowi sprawiedliwość. Był charyzmatycznym człowiekiem, motywował ludzi. A jego firma była na tyle mała, że mógł utrzymywać osobisty kontakt z Rosjanami. Ale Stowarzyszenie Milenijne? Jestem przekonany, że był to z jego strony jedynie ukłon w stronę Deana White'a.

- Kiedy się dowiedziałeś o groźbie terrorystów? - zapytał Chuck. Odchylił się na oparcie i masował skronie jak człowiek walczący z migreną.

- W ogóle się nie dowiedziałem. - Reck potrząsnął głową. - Ale popieram decyzję moich ludzi. Mieliśmy odłożyć realizację miliardowego projektu tylko dlatego, że zażyczyła sobie tego jakaś grupa świrusów?

„Tylko dlatego, że powiedzieli, że wysadzą nasz samolot?” - napisała Lori na raporcie, podkreśliła dwukrotnie i podsunęła Cherish.

Ale Lori wiedziała, że lepiej trzymać język za zębami. Omówili strategię z Chuckiem, zanim tu przyszli. Optował za taktyką „poczekamy, zobaczymy”. Dopóki Reck nie zaciskał wokół nich pętli, nie chciał mu się narażać.

- Prototyp był strzeżony - powiedział Sharps wyzywająco.

- Tak czy inaczej, wyleciał w powietrze - odparł Lebrede.

- Jest jasne, że coś przeoczyliśmy - przyznał Reck. Potrząsnął głową, jakby dźwigał na barkach ciężar tej straty. Zanurzył palce w myszowatych włosach. - Wszyscy pracujący nad XC-23 zostali dokładnie sprawdzeni. To nie jest wprawdzie tajny program, ale niewiele mu do tego brakuje. - Pochylił się, z oczami wbitymi w Lebreda. - Mam nadzieję, że pańscy ludzie pomogą nam znaleźć lukę w systemie bezpieczeństwa.

- Skoro sprawa nie ma związku z Ballasem, skąd się wzięli ci goście? Całe to Stowarzyszenie Milenijne? — zapytał Chuck.

- Kto to wie? - powiedział Sharps. - Może pomyśleli, że to będzie zabawne, po katastrofie w San Diego i samobójstwach Heaven's Gate. Może wiedzieli, że nie potraktujemy ich poważnie i wyjdziemy na idiotów?

- A terroryści, ta grupa Marduka? - pytał dalej Chuck. - Co o nich wiemy? Czy doniesienia telewizyjne pokrywają się z prawdą? Wiecie, kto stoi za tym zamachem?

Lori ścisnęła dłoń Cherish pod stołem. Zbliżała się chwila prawdy.

Kinnard skinął w stronę asystentki, atrakcyjnej młodej kobiety, która wyglądała, jakby dopiero co wyszła ze szkoły prawniczej, z włosami przyciętymi na pazia, w ciemnej garsonce. Kobieta wstała, żeby rozdać teczki, po jednej każdemu z trzech dyrektorów obecnych na sali.

Cherish wpatrywała się w teczkę leżącą na stole przed Chuckiem. Była to jedna z tych teczek, do której dostęp jest

ograniczony i kontrolowany, opatrzona kartą wpisów i wypisów. Z przodu miała przypiętą kartkę ze stemplem „Tajne” i czerwone obwódki. Poniżej ktoś wystukał na maszynie: Alec Porter.

- Oczywiście wiemy, kto za tym stoi - odezwał się Kinnard. - Nie ma wątpliwości.

Chuck przejrzał zawartość teczki i podsunął ją Cherish. Wszyscy słyszeli doniesienia CNN, które podało wiadomość jako pierwsze.

Dłońmi trzęsącymi się z emocji Cherish Otworzyła teczkę. W środku znajdowała się fotografia, z rodzaju tych, jakie robią człowiekowi w wojsku - Alec w mundurze, młodzińczy, uśmiechnięty.

-Wygląda na to, że Porterowi odbiło po katastrofie pierwszofazowego prototypu. Niestety, takie rzeczy się zdarzają - powiedział Kinnard.

Cherish zerknęła na Conora, ale on siedział rozparty na krześle, z miną człowieka, który nie jest zainteresowany przedmiotem dyskusji i którego ona w ogóle nie dotyczy.

- Mamy dyskietkę, którą otrzymał White - zabrał głos agent Lebrede. -Nazwisko Marduk skojarzyło się panu Kinnardowi z pewnym wydarzeniem z życia Portera. Przypomnił sobie, że Porter został zestrzelony w Zatoce i spędził jakiś czas w irackim więzieniu. Siedział z mezopotamskim uczonym, więzionym za poglądy niezgodne z aktualnym reżimem. Porter wrócił do kraju i zaczął studiować religię babilońską, mówił nawet trochę po arabsku. Miał bzika na punkcie Internetu, najnowszego oprogramowania.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedział Kinnard. - Alec Porter był zawsze niesubordynowany. Odbijało mu. W jego aktach znalazło się kilka niepocholebnych opinii. Miał problemy z podporządkowaniem się władzy wojskowej. Jego sygnał wywoławczy mówi sam za siebie: Dzikus. -Uniósł teczkę. - Tutaj jest napisane, że uziemili go po tym, jak próbował rozbić F-15 podczas lotu pokazowego. Zniknął, kiedy wezwano go przed FEB. - Odmowa stawienia się przed komisją bezpieczeństwa lotów położyła kres karierze wojskowej Aleca. - Kto wie, co robił przez ostatni rok.

- Na szczęście zostawił kilka dyskietek komputerowych w swoim mieszkaniu. Dzięki temu, że Joseph - Lebrede ponownie skinął w stronę Kinnarda - udostępnił nam laboratoria kryminalistyki w Quantico, mogliśmy je dokładnie zbadać. Dyskietki wysłane do Stowarzyszenia Milenijnego mają te same cechy charakterystyczne, co dyskietki znalezione w mieszkaniu Portera.

- Co to znaczy? - zapytała Cherish.

- Każde urządzenie mechaniczne, a więc także dysk, pozostawia swój specyficzny znak, podpis. Niewiele osób o tym wie, ale nie ma identycznych znaków. Tak jak laboratorium balistyczne potrafi dopasować kulę do broni, z której została wystrzelona, tak my możemy dopasować dyskietkę do dysku komputerowego. Przyznaję, że to nie zawsze się udaje. Mieliśmy trochę szczęścia.

- Do tego dochodzi profil psychologiczny — uzupełnił Reck, stukając palcem w teczkę. - Może go pani przeczytać.

Cherish znalazła odpowiednią kartkę i przebiegła wzrokiem treść, a każde słowo raniło jej serce.

Zachowania maniakalne... Skłonności narcystyczne...
Schizofreniczna osobowość...

- Air Force tolerowały Portera, ponieważ był znakomitym pilotem. Ale jak wynika z jego akt, był skłonny do zachowań odbiegających od normy.

- Nie wierzę w to.

Nie chciała powiedzieć tego głośno. Kinnard rzucił jej przelotny uśmiech.

- I tu może nam pani bardzo pomóc. Pani i pułkownik... doktor Mitchell, obecny na sali. Wy znaliście go najlepiej.

Ton wypowiedzi, drobna gafa z rangą wojskową Conora, zawierały insynuację. „Jesteście tutaj, żeby nam pomóc, ale i tak wam nie ufamy”.

- Jesteśmy przekonani, że kontaktuje się z panią- powiedział Lebrede. I nie było to pytanie.

Słowa, obrazy przecięły jej mózg niby błyskawica. „Bardzo niedobrze... Zachowania odbiegające od normy... Alec wie, jak wpakować się w kłopoty”. Zdawała sobie sprawę, że jej wahanie trwa zbyt długo.

Potrząsnęła głową, jakby chciała się obudzić z koszmarne snu.

- Pisuje do mnie. Przysyła widokówki z całego świata.

- Kiedy otrzymała pani ostatnią wiadomość? - Lebrede wziął na siebie prowadzenie tej rozmowy.

-Przysłał mi e-mail do biura. - Nie skasowała go. Zresztą, jej komputer nie był bezpieczny. Dolary przeciw orzechom, że odczytali i skopiowali wszystko, co w nim miała.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ona i Conor nie zostali zaproszeni tutaj z przyczyn zawodowych, lecz prywatnych.

- Co pani odpowiedziała? - pytał dalej Lebrede.

- Nic. - Wzruszyła ramionami, zmuszając się, żeby nie patrzeć na Conora. - Próbowałam wysłać e-mail, ale okazało się, że nie przechodzi. Prosiłam nawet asystentkę, żeby się tym zajęła. - Ruchem głowy wskazała Lori. - Nic z tego nie wyszło.

Lebrede skinął głową.

- Mógł wysłać e-mail z fałszywym adresem. Ma pani te pocztówki?

- Tak. - Tym razem nie mogła sobie pozwolić na wahanie. Wybiegała myślą naprzód, próbując przewidzieć, jakie zasadzki kryją jej odpowiedzi. „Słuchaj sercem”, powiedział Alec. Och, Alec, w co ty się wpakowałeś? - Ale one na nic się wam nie przydadzą. Nigdy nie podał adresu zwrotnego.

- Jest niezwykle ważne, żebyście z nami współpracowali - odezwał się Reck, bez wątpienia w imieniu Lebreda i Kinnarda siedzących po jego obu stronach.

- Oczywiście - powiedziała.

Zapadła długa, przeciągająca się cisza, zamierzona prawdopodobnie jako forma nacisku. Cherish zdawała sobie sprawę, że w ten sposób próbują skłonić ją do dalszych wynurzeń. Nawet się

nie poruszyła. Nie próbowała przekładać, porządkować papierów. Jak dobry żołnierz czekała w bezruchu na dalsze rozkazy.

Lebredo zwrócił się do Conora.

- Nasze akta wskazują...

- .. że Alec Porter jest, praktycznie biorąc, moim bratem - Conor odezwał się po raz pierwszy. - Wychowaliśmy się w tym samym sierocińcu. Wystąpiłem do sądu o opiekę nad Alekiem i moją siostrą, kiedy skończyłem osiemnaście lat. I nie, nie kontaktował się ze mną. Ale jeżeli to zrobi, natychmiast was o tym powiadomię.

- Jeżeli zdołamy opanować sytuację przed majem...

- Dobry Boże, Russell! Nie myślisz chyba, że przeprowadzimy lot finalnego prototypu? - zapytał Chuck z niedowierzaniem. - Najpierw trzeba to wszystko wyjaśnić. Dowiedzieć się, co się stało.

- Lot się odbędzie - odparł Reck bez wahania. - I tak jesteśmy opóźnieni. Wiesz o tym, Chuck. Obetną nam budżet, jeżeli ten prototyp nie poleci.

- Może tu chodzi o zemstę - wtrącił Sharps pospiesznie. - Porter był drugim pilotem pierwszego prototypu; wini nas za fiasko swojej kariery. W jego mniemaniu cały WingMaster powinien się zawalić, jak zawaliła się jego kariera. I nie dotknęłoby to twojej firmy, prawda, Chuck? Nie utopiłeś w tym pół miliarda dolarów.

- Zależy nam na powodzeniu tego programu nie mniej niż Reckowi. Może bardziej. - Twarz Chucka przybrała zacięty wyraz, który osadził Sharpsa na miejscu. - Przez swoje zaniedbanie

pozwoilię zginąć ludziom. Nie uważasz, że czas zastosować normy bezpieczeństwa?

Sharps mruknął coś niewyraźnie.

- Oczywiście, że Russell wprowadzi konieczne środki ostrożności - powiedział Kinnard, chcąc pokazać, że popiera decyzję kontynuowania prób. - Ulegając terrorystom, niewiele zyskamy. Sytuacja zmieniła się o tyle, że teraz wiemy, co nam zagraża. Finalny prototyp będzie strzeżony przez FBI dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stuprocentowe zabezpieczenie.

- Dlaczego pięćset trzydzieści dwa tysiące? - zastanawiał się głośno Lebrede. - To musi coś znaczyć. Dlaczego nie okrągłe dwa miliony?

- Też się nad tym zastanawiałem - powiedział Kinnard. - Taka konkretna suma.

- Może zbiera fundusze na operację dla chorego przyjaciela? A może tyle wynosiła emerytura, którą stracił, kiedy został zwolniony. Kogo to obchodzi? - powiedział Sharps. - Najważniejsze, że mamy gościa. A wy nam pomożecie. - Przeniósł wzrok z Cherish na Conora.

Conor wyprostował się na krześle.

- Masz rację. Powinniśmy sobie wzajemnie pomagać. Pracować jako zespół. - Wyjął papiery, które przyniósł ze sobą, a których Cherish przedtem nie dostrzegła. Teraz nie mogła oderwać od nich wzroku. Kilka kartek spiętych spinaczem. Położył je przed sobą na stole, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Na pierwszej stronie widniała adnotacja: „Reck Enterprises: poufne”.

- Skąd to masz? - Sharps wyrzucił te słowa wraz z potokiem śliny, zbyt ciasny kołnierzyk zaczął go dławić. Wyglądało na to, że guzik zaraz puści.

- Znalazłem w swojej skrzynce pocztowej na uniwersytecie. - Conor sprawiał wrażenie zupełnie rozluźnionego. - To jest odczyt telemetrii ostatniego lotu próbnego, czytelny w stu procentach. Najwyraźniej komuś nie spodobało się, że próbujecie go utajnić. - Spojrzał zimno na Recka. - Byłbym ostrożniejszy na pana miejscu, jeżeli naprawdę chce pan przetestować finalny prototyp. To tylko takie przyjacielskie ostrzeżenie - zakończył z uśmiechem.

Reck zachował spokój.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan to oddał - powiedział cicho. Conor wzruszył ramionami. Pchnął plik kartek przez stół. Reck przytrzymał je opuszkami palców.

-I wszystkie kopie, jakie pan sporządził - dodał, nie spuszczać oczu z Conora.

Conor uśmiechnął się i rozparł na krześle.

- Nie przypominam sobie, żebym sporządził kopie. Chuck nie mógł przegapić takiej okazji. Wstał.

- Nie wiem, co się tu dzieje, ale jestem oburzony taktyką, jaką obrała wasza firma względem Marquisa. Powiedziano mi, że jest problem z oczyszczeniem odczytu telemetrii. Teraz okazuje się, że wasza firma celowo ukryła przed nami ten dokument. Fakt, że nie

możemy sobie wzajemnie ufać, bardzo utrudni naszą współpracę, panowie - powiedział, zdobywając punkt dla Marquisa.

Wiceprezes Marquisa zebrał swoje papiery i ruszył w stronę wyjścia. Cherish i Lori poszły w jego ślady. Chuck odwrócił się, już z ręką na klamce, i obrzucił salę konferencyjną majestatycznym spojrzeniem.

- Zdaję sobie sprawę, że Reck Enterprises jest głównym wykonawcą i może robić, co mu się podoba, ale my jesteśmy waszym głównym podwykonawcą i członkiem ekipy. Zaslugujemy na to, żeby traktować nas z szacunkiem. Proponuję, żebyście popracowali, panowie, nad odzyskaniem naszego zaufania. Potem zastanowimy się wspólnie, jak walczyć przeciwko terrorystom.

Cherish wymaszerowała za Chuckiem. Zamykająca pochód Lori zdrowo trzasnęła drzwiami.

Energicznym krokiem przebyli korytarz, minęli oszklone drzwi z napisem „Reck Enterprises - Krok w przyszłość”. Marquisie trio stanęło przed baterią wind, dumając nad przyszłością swej małej firmy.

Lori nacisnęła kilkakrotnie guzik przywołujący windę, jakby to mogło przyspieszyć sprawę.

- Dranie - powiedziała, przerywając ciszę.

- Aha! - zgodził się Chuck. - Zastanawiam się tylko, co by się stało, gdyby Dean White nie ujawnił sprawy.

Reck obarczyłby Marquisa winą za katastrofę.

W tym momencie Cherish usłyszała, jak za ich plecami otwierają się szklane drzwi do części biurowej budynku, poczuła na szyi chłodny powiew klimatyzacji. Zanim zdążyła się odwrócić, ktoś chwycił ją za łokieć. Spojrzała prosto w twarz Conora.

- Co ty wyprawiasz? - Chuck wszedł między nich, gotowy interweniować. Podobnie jak Lori, znał historię znajomości Cherish i Conora.

- W porządku, Chuck - uspokoiła go. Wlepiając oczy w Conora powiedziała: - Mam nadzieję, że kłamałeś, mówiąc, że nie sporządziłeś kopii odczytu telemetrii.

- Powiedziałem, że nie pamiętam, żebym ją robił. - Ujął Cherish za ramię i poprowadził w stronę klatki schodowej, zostawiając resztę zespołu Marquisa przy windach. - Właśnie sobie przypominałem.

Allison znowu krzyczała przez sen.

Alec spojrzał na nią znad otwartej książki. Jakby się trochę uspokoiła, pojękiwała tylko cichutko. Byli razem w łóżku, w motelowym pokoju, gdzie Alec założył coś w rodzaju kwatery głównej. „Blue Waves Inn” miał małe bungalowy przy autostradzie, na samej plaży. W nocy słychać było tylko szum fal. Allison przewróciła się na bok, twarzą do Aleca. Płakała przez sen.

Kiedy znowu krzyknęła, zamknął z trzaskiem książkę i odłożył na nocny stolik. Postanowił, że będzie ignorować jej wrzaski. Zerknął za zegarek. No, czas ruszać.

- Wstawaj, pączusiu. - Potrząsnął dziewczyną.

Otworzyła oczy, przenikliwie niebieskie. Patrzyła na niego w milczeniu, jeszcze nie całkiem rozbudzona, potem usiadła.

Prześcieradło owinięte wokół talii nie zakrywało jej piersi.

- Mówiłam, żebyś mnie nie budził - odezwała się. Chwycił jej podbródek, unosząc ku sobie twarz dziewczyny.

- A ja powiedziałem, że jeśli będziesz wrzeszczeć, to będę cię budził - odparł. Uśmiechał się, ale w jego głosie brzmiała nutka napięcia. Wiedział, że sprawia Allison ból, trzymając ją tak mocno, że kiedy cofnie rękę, będzie miała zaczerwienioną skórę. Ale te jej sny! Skóra mu cierpła na samą myśl.

Zaczęła się trząść. Oplotła się chudymi ramionami w pasie. Reagowała zawsze tak samo: próbowała opanować dreszcze, oplatając się ramionami. Po jakimś czasie położyła się zwinięta w kłębek u jego boku.

- To był dobry sen.

Alec pogłaskał ją po włosach. Jego gniew minął tak szybko, jak się pojawił. Zastanawiał się, co może być dobrego w takim śnie. Cała Allison!

- Opowiedz mi o Conorze - powiedziała.

No właśnie, cała Allison! Budziła się z tych koszmarów i chciała, żeby jej opowiadać, jak małemu dziecku. Najbardziej podobała się jej historia o katastrofie samolotu.

Alec otoczył ją ramieniem. Była taka szczupła, niemal koścista. Zauważył, że Cherish też zeszcupiała przez ostatni rok. Ale Cherish

nie była jak Allison, nie przypominała modelek z reklam perfum. Nie, Allison w ogóle nie była podobna do jego Cherish. .

Ostatniej nocy wyrzucił perukę. Widział ją teraz z łóżka w koszu na śmieci. Loki przesypywały się przez krawędź, przywodząc na myśl niezidentyfikowaną ofiarę wypadku samochodowego. Po tym, jak zobaczył Cherish z bliska, ta peruka... Cóż, nie miał aż tak bujnej wyobraźni.

- Więc mam ci opowiedzieć o Conorze? - Gładził włosy Allison, myśląc o Cherish. O tym, że ją widział, całował.

Nigdy przedtem jej nie całował, chociaż myślał o tym. Często. Odkrycie, że nadal kocha Conora, doprowadziło go do szału.

- Conor to porządny facet. Taki cholernie nudny, porządny facet. Dlaczego kobiety zawsze lecą na porządnym facetów?

- Ja nie - powiedziała, sięgając po jego dłoń.

- Nie - uśmiechnął się. - Ty nie.

- Opowiedz mi o bliźnie.

Może to jest ten wielki atut Conora, pomyślał Alec. Sposób w jaki nosi swoje blizny. Z takim stoickim spokojem. Idzie po prostu swoją drogą, nie oglądając się na nic. Tak dobrze zniósł małe życiowe tragedie, śmierć rodziców, ciążę Geeny, przesłuchanie przez FEB.

- Geena i Conor - zaczął tonem, jakim rozpoczyna się opowiadanie dla dzieci. Jak bajkę o Czerwonym Kapturku. - Geena i Conor trafili do sierocińca po kilku latach spędzonych w rozmaitych rodzinach zastępczych. Ja trafiłem tam od razu, jako jednostka nieprzystosowana.

- Conor ci pomógł - podpowiedziała Allison.

- Było tam dwóch chłopaków, którzy lubili mnie bić. - Nie mogli zrobić mu nic, czego nie zrobiono mu wcześniej, mocniej, boleśniej. – Miałem osiem lat. Pamiętam, że płakałem i machałem rękami. Zmoczyłem spodnie. - Roześmiał się na to wspomnienie. Mówienie o tym nie przynosiło bólu. –I wtem pojawił się Conor. Górował nad nami. Prawie mężczyzna. Złapał obu chłopaków za kołnierze koszul, tak że nogi dyndały im w powietrzu. Przynajmniej tak to zapamiętałem.

- Jeden z nich miał nóż.

To było niesamowite. Patrzył, jak ten nóż przecina policzek Conora. Znaczący go na resztę życia.

- W szpitalu powiedzieli mu, że straci oko. - To pamiętał. I Geenę, okropnie zapłakaną. Conor już latał. Jakiś program dla dyskryminowanej młodzieży, sponsorowany przez miejscowe lotnisko. Alec stał przed Conorem, szukał oznak nienawiści w jego twarzy. Aż do tego dnia był znienawidzony przez wszystkich. Dlatego tylko, że istniał.

- Już wtedy myślał o Air Force. Latanie było dla niego wszystkim. Gdyby stracił oko...

- Ale cię nie obwiniął... Alec potrząsnął głową.

- Powiedział, że to nic wielkiego. - Roześmiał się. - I powiedział to tak, że mu uwierzyłem. „Stracę oko. Nic wielkiego. Życie toczy się dalej”.

- Była sprawa, kiedy nie stawiał się na własny ślub. Alec dumiał nad tym przez chwilę.

- Może faktycznie po raz pierwszy w życiu coś schrzanił. Każdy, kto znał Conora, wiedział, że on się nie chce żenić. - Znów się roześmiał. - Bał się. Była to jedyna rzecz w życiu, jakiej się bał.

- Zadbaleś o to, żeby nie przyszedł na ślub - ponagliła go.

- Kochałem ją... On miał wątpliwości. Trochę mu pomogłem, mówiąc prawdę o Geenie.

Skrzywił się na to wspomnienie. Ile razy ranił Conora? Ranił go do granic wytrzymałości, bezskutecznie. Zresztą, o co tyle krzyku? o niego i Geenę? o coś, co zdarzyło się przed tylu laty?

Ale wtedy nie myślał rozsądnie. Geena była dla Conora wszystkim. Była jedyną osobą, której Alec nie powinien skrzywdzić.

-1 była Cherish, kobieta, którą kocham. - Zmarszczył brwi. - Trzymałem ją w ramionach, pozwoliłem, żeby się wypłakała. Cherish Dobra. Ten moment, taki doskonały. - Tak bardzo jej pragnął. Cherish. Kobieta, która wydobyła z niego wszystko, co dobre.

- Zaskoczyła mnie - powiedział.

- Bo nie chciała za ciebie wyjść? - zapytała Allison.

- Nieee. Wiedziałem, że będą z nią problemy. Zaskoczyło mnie, że ona nadal go kocha. Złamał jej serce, ale wciąż go kochała.

Allison usiadła na łóżku. Odwróciła ku sobie jego twarz.

- Nie powiedzialesz mu o Geenie tylko dlatego, żeby nie poszedł na ślub i sprawił zawód Cherish. Miales inny powód.

Alec patrzył jej w oczy, słuchał uważnie. Czasami mówiła zadziwiająco mądre rzeczy, jakby w natchnieniu. Byłby głupcem, gdyby nie słuchał.

Tym prawdopodobnie zafascynowała Recka i wiele innych mężczyzn i kobiet. Allison zdawała się wiedzieć, czego człowiek pragnie. I dawała mu to, jak prezent, w chwili, gdy najbardziej tego potrzebował.

- Tamtego wieczora chciałeś, żeby cię nienawidził - powiedziała.
-Uznałeś, że zasługujesz na jego nienawiść.

Nienawiść? Alec rozważał jej słowa, zastanawiając się, co ma na myśli. Odgarnął kosmyk włosów, który przylgnął jej do ust. Czy naprawdę chciał, żeby Conor go nienawidził? Cholera, może i tak! Z pewnością zasłużył sobie na nienawiść Conora.

- Uwierzy, kiedy dowie się o bombie? - zapytała. N
- Bez wątpienia...

Jednak się zawahał. Przypomniał sobie tamtego czternastolatka z zabandażowanym okiem. „Nic wielkiego”. Nagle zwątpił, czy Conor rzeczywiście uwierzy.

- Nie wiem - powiedział.

Na nocnym stoliku zaczął popiskiwać zegarek. Alec wyskoczył z łóżka i wyłączył budzik. Dopiero teraz przypomniał sobie, po co go nastawił.

- Muszę lecieć, pączusiu. - Klepnął Allison w pupę.

Chwycił przygotowane wcześniej ubranie i książkę pod tytułem Zaawansowana elektronika w zastosowaniu praktycznym.

Kombinezon był biały, z wszytym w kieszeń logo agencji ochroniarskiej Beechwood. Zastanowił się, czy ma czas na prysznic, i uznał, że zdąży.

Kilka minut później do kabiny weszła Allison.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - zapytała, oplatając mu szyję ramionami.

- Znasz plan. - Pocałował ją i zaśmiał się głośno. Nakrył dłońmi piersi dziewczyny, wystawiając ich ciała na uderzenia wody. Co tam! Najwyżej się trochę spóźni.

11

Nie mów mi, że uwierzyłeś w te bzdury o Alecu? - Cherish spacerowała tam i z powrotem po pokoju, boso. Zrzuciła buty, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi mieszkania.

Conor rozłożył się na jej kanapie, przez co największy mebel w pokoju wydał się zaskakująco mały. Cherish nie mogłaby usiedzieć, nawet gdyby zależało od tego jej życie. Miała wrażenie, że doświadcza czegoś, co w języku komputerowców nazywa się zawieszeniem systemu. Miała wrażenie, że powinna się zresetować. Nie była w stanie dłużej analizować informacji. Nie potrafiła skupić myśli.

- Pytanie brzmi: dlaczego ty w to nie wierzysz? - odparł Conor spokojnie. Stopy trzymał oparte o stolik do kawy. Przyjechali do niej, ponieważ dom znajdował się niedaleko biura Recka i zapewniał prywatność.

- Więc to niemożliwe, żeby spreparowali profil psychologiczny?
-zapytała z sarkazmem.

- Mówisz o spisku rządowym? To były jego akta z Air Force.

- Nie twierdzę, że był to „rząd” - powiedziała, rysując w powietrzu znak cudzysłowu. - Ktoś inny.

Conor energicznie potrząsnął głową.

- On uciekł, Cher.

- Akt winy? Naprawdę kupiłeś ten bełkot Kinnarda? - Ona miała inną teorię na temat zniknięcia Aleca.

- A dyskietki? Dopasowali je do jego laptopa.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się w stronę stołu bilardowego, automatycznie koncentrując się na układzie bili, żeby nie myśleć o winie Aleca. Uderzyć lekko z lewej i do bocznej kieszeni.

- Nie wiem - powiedziała po chwili.

Ale nie zabrzmiało to przekonująco. Alec terrorystą? Po katastrofie pierwszego prototypu spędzili wiele godzin na rozmowach o sprawach, które nabrały znaczenia dopiero wtedy, gdy życie ofiarowało im drugą szansę: o ludziach, których kochali, o rzeczach, które zamierzali jeszcze zrobić. Wysadzanie w powietrze samolotów nie było jedną z nich.

Chwyciła bilę i pchnęła ją po stole, celowo niszcząc doskonały układ. Zastanawiała się, czy wykazuje mądrość czy tylko upór. A jeżeli się myli? Conor zostawił ją czekającą przy ołtarzu. Może z reguły źle oceniała ludzi?

- Napisał, że ktoś próbuje go zabić. Dlaczego? - Trzymała się tego, dając Conorowi więcej pytań niż odpowiedzi. - Facet otrzymuje pogróżki. Tydzień później oskarżają go o zamach terrorystyczny. Nie wyczuwasz zmywy? Nie wydaje ci się to trochę dziwne? - Wiedziała, że Conor odrzuci każdą teorię, która uczyni z Aleca bohatera. - Zapomnijmy o tym, czego nie wiemy. Pomówmy o człowieku, którego znamy. O Alecu. Naprawdę uważasz, że jest zdolny zabić kogoś z zimną krwią?

Czekała, obserwując go bacznie. Niemal odetchnęła z ulgą, widząc zmianę na jego twarzy.

- Widzisz? Nie jest zdolny do morderstwa.

- A ty co? Czytasz w ludzkich umysłach?

Cherish zepchnęła jego stopy ze stolika i usiadła na kanapie, patrząc mu w twarz

- Okay, mierzysz zdolność oceny charakteru czasem, jaki się spędzi z daną osobą. - Pochyliła się do przodu, wsparta łokciami o kolana. - Nie uważasz, że to, przez co razem przeszliśmy, kondensuje czas, zmienia zasady? - Położyła rękę na sercu, w tym samym miejscu co Alec przed paroma dniami, gdy prosił, by uwierzyła w jego niewinność. - Mam wrażenie, jakbyśmy znali się całe życie.

- Interesująca teoria - powiedział.

- Więc powtarzam pytanie. Wierzysz, że jest zdolny do morderstwa? Myślała, że jej nie odpowie. Ale potem przypomniała sobie, że Conor nigdy nie odpowiada bez zastanowienia. Trzeba było

mieć do niego cierpliwość. Poczekać, aż sprawa ukaże mu się pod właściwym kątem i będzie mógł ją ocenić po swojemu.

- Kiedy Alec miał dziewięć lat - powiedział - poprosił mnie, żebym pomógł mu zabić ojca.

Odebrała to jak cios. A wyraz jego twarzy mówił, że na tym nie koniec. Czekwała na dalszy ciąg, wiedząc, że nic dobrego nie usłyszy.

- Nie żeby facet nie zasłużył - powiedział Conor przeciągle. - Wsadzili Aleca do sierocińca właśnie po to, żeby chronić go przed tym draniem. Ale Alec nie działał w afekcie. Rozważał sprawę na zimno. Chciał, żebym mu pomógł opracować niezawodny plan. Spodziewał się, że wymyślę coś genialnego. To jego słowa, nie moje.

Serce waliło jej tak mocno, że Conor musiał widzieć drganie bluzki. Dum-dum, dum-dum.

-I co mu powiedziałaś?

- Że pomogę mu się uwolnić od starego, że będę go chronić. Chociaż to nie była prawda. Nie byłem nawet pełnoletni. Dopiero zaczynałem myśleć o tym, jak nas stamtąd wyciągnąć. - Conor potrząsnął głową. - Alec stwierdził, że to mu nie wystarczy. Powiedział, że ktoś musi umrzeć, on albo ojciec. Odebrałem to jako groźbę samobójstwa.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Słowa „Alec” i „samobójstwo” wykluczały się wzajemnie.

- Czytałaś jego akta, Cher. Maniakalne zachowania. Osobowość schizofreniczna. Wysoki poziom inteligencji. Pozwól, że rozwinę ten

temat. Życie Aleca było piekłem na ziemi. Nie sądzisz, że to go mogło trochę wypaczyć?

Zawsze myślała, że Alec jest sierotą, jak Conor i Geena. Dlatego tak lubił te rodzinne obiady u jej ojca, dlatego się na nie wpraszał. Nie pytała o szczegóły. Mieli dość problemów i bez wspomnień z dzieciństwa. Teraz ujrzała jego uśmiechniętą twarz, piegi, wesoły chochlik w oczach. Samobójstwo?

- Ty i Geena jesteście normalni.

- Nikt nie wykorzystywał nas jako worki treningowe za każdym razem, gdy system uznał, że tatuś i mamusia rozwiązali swoje problemy i znów możemy być jedną szczęśliwą rodziną.

Przysunął się tak blisko, że czuła jego oddech na policzku.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego Alec nie pije? Miał dość alkoholu jako dziecko. Kiedyś rodzice naszprycowali go heroiną. Uznali, że to będzie świetny żart zobaczyć swoje dziecko na haju. Pomyśl o tym, Cher. Wyobraź to sobie. Wyobraź sobie, co wyrasta z takiego dziecka.

Są sprawy, o których człowiek po prostu nie chce wiedzieć. Obrazy, których nie chce widzieć. Trochę ich się zebrało przez ten ostatni rok. Co-nor dodał jeszcze jeden do jej kolekcji.

Wstała, niezdolna myśleć trzeźwo. Popatrzyła na bliznę Conora. Kiedyś powiedział, że to pamiątka po wypadku z dzieciństwa. Myślała, że spadł z roweru albo coś w tym rodzaju. Teraz zrodziły się wątpliwości.

Nie pytaj, Cherish, nie chcesz wiedzieć, powiedziała sobie.

- Czy Alec zabił ojca?

Conor nie odpowiedział. Dopiero po chwili potrząsnął głową.

- Nie. Jego rodzice umarli na skutek przedawkowania.

Zamknęła oczy. Te wszystkie tygodnie, te wszystkie długie rozmowy, ale o tym ani słowa. Opowiadał jej o Conorze i Geenie. O Air Force. Zakładała, że...

Przez chwilę zastanawiała się, czy ten mężczyzna, który tak niedawno trzymał ją w ramionach, który ją całował, mówił, że ją kocha... Zastanawiała się, czy Conor nie ma racji. Może Alec naprawdę jest kimś obcym.

Ale po chwili otworzyła oczy i potrząsnęła głową.

- Nie wierzę. Nie jest mordercą. I myślę, że ty też zdajesz sobie z tego sprawę.

Conor wstał i pochylił się nad nią. Cherish przypomniała sobie podobną sytuację sprzed paru dni, kiedy próbował ją onieśmielić wykorzystując dwudziestocentymetrową przewagę wzrostu. Nie udało mu się wtedy i nie uda mu się teraz.

- Musisz mi powiedzieć - nalegała.

Odwrócił się, potrząsając głową, jakby sprawa była beznadziejna. Wiedziała, że Alec i Conor nie rozstali się jak przyjaciele, chociaż żaden nie chciał na ten temat rozmawiać. Obojętne, co było przedmiotem ich sporu, nie zmieniło to postawy Conora, który przed salą pełną ludzi przyznał, że uważa Aleca za brata.

- Nie wiem - powiedział posepnie. - Zawsze myślałem...

Myślałem, że gdyby Alec był zdolny do morderstwa, zabiłby swojego starego.

Doznała niebotycznej ulgi. Tylko takiego zapewnienia potrzebowała.

- Więc co się dzieje?

Conor popatrzył na nią ostro, blizna na twarzy stała się jakby wyraźniejsza.

- Nic dobrego. Alec był u mnie w czwartek wieczorem.

Zmusiła się, żeby siedzieć cicho. Nie była pewna, czy powinna powiedzieć Conorowi o swoim spotkaniu z Alekiem, o tym, że być może Alec obserwuje ich teraz, śledzi z ukrycia.

- Wychodząc, kazał mi obejrzeć prezent, jaki zostawił. Na stole znalazłem to.

Conor uniósł dyskietkę i papierową teczkę. Sięgnęła po teczkę. W środku znajdowała się kopia odczytu telemetrii.

- Alec dał ci telemetrię? - Wstrzymała oddech, a potem się uśmiechnęła, pojąwszy znaczenie tego faktu. - Próbuje nam pomóc.

- Może. - Conor patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. - Albo po prostu próbuje nas w to wrobić.

- Dwa miliony pięćset dwadzieścia trzy tysiące dolarów. - Joseph Kin-nard założył nogę na nogę, ukazując drogie pantofle. Zdawał się smakować słowa na języku, jak dobre wino. - Dlaczego to brzmi tak znajomo?

- Rozumiem - odparł Russ. Byli w jego gabinecie, on, Kinnard i Sharps. Komfortowe czarne skórzane meble i unikatowe afrykańskie maski na ścianach tym razem nie podziały kojąco na Russella.

Wszyscy obecni doskonale wiedzieli, gdzie zetknęli się z taką liczbą.

Spotkanie z Kinnardem nie poszło dobrze. Wszystko to wywarło złe wrażenie - fakt i że teczka dostała się w ręce Mitchella, bomba, Stowarzyszenie Milenijne. Kinnard nie lubił niezalutowanych spraw, a Porter był niewątpliwie jedną z nich.

- Russell - powiedział Kinnard z nieodgadzionym wyrazem bezbarwnych oczu. - Wdepnęliśmy w gówno.

- Wiem.

- I wiesz, gdzie mam tego cholernego agenta FBI, prawda? - ciągnął Kinnard. - Przegląda każdy świstek papieru na moim biurku. Powiedz mi, Russell, jak ja mam w tych warunkach prowadzić interesy?

Russell pomyślał o delikatnych operacjach, jakie przeprowadzał Kinnard. Jeżeli Lebredo zacznie węszyć...

Russell zwrócił się do swojego szefa ochrony, żeby na nim wyładować złość.

- Od tej chwili chcę mieć wgląd we wszystko, co przechodzi przez twoje biurko, rozumiano?

Sharps wydawał się zaszokowany atakiem, komicznie uniesione brwi niemal zniknęły pod tupecikiem.

- Czy ma pan pojęcie, ilu świrów.

- Gównu mnie to obchodzi - odparł Russell. - Obchodzi mnie to, że jeden z tych świrów wysadził mój samolot i że mogłem temu zapobiec. Masz pojęcie, co się stanie, jeżeli nie przeprowadzimy próby tego prototypu?

-Oczywiście...

- Więc rusz tyłek i zadbaj o to, żeby te świry nie weszły nam w paradę. Do cholery, Sharps! Wiedziałaś, co się święci.

- Pracuję nad tym, sir - powiedział Sharps. Wyjął chustkę i otarł pot z górnej wargi i karku. Russell czekał tylko na to, żeby podniósł tupecik i otarł łysą czaszkę. - Jak ten pilot dobrał się do tych papierów? To jest technicznie niemożliwe.

Russell rozważał w myślach możliwość, że Conor Mitchel ma dostęp do tajnych archiwów Reck Enterprises. Odrzucił taką ewentualność. Conor był nikim. Byłym pilotem oblatywaczem, który wykładał studentom teorię materiałów zespolonych. Nie stanowił zagrożenia.

Co innego Alec Porter.

- Ktoś dał Mitchellowi te akta - wszedł Sharpsowi w słowo. - Ktoś, kto zyska na tym, że rzuci mi zgniłe jajo w twarz. Znajdź tego człowieka, a znajdziesz lukę w naszym systemie bezpieczeństwa. I być może znajdziesz Por-tera.

Sharps skinął głową, schował chusteczkę.

- Jest taka firma, którą wykorzystuję czasem do delikatnej roboty.

- Nie muszę znać szczegółów - powiedział Russell. - Miej tylko na oku Mitchella i tę cholerną babę, Malone.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, szokującym dźwiękiem w ciszy gabinetu. Ale prawdziwym wstrząsem był dla Russella widok Sydney z płomiennorudymi, lekko zwichrzonymi lokami, z sekretarką deptającą jej po piętach.

- Mówiłam, że ma pan konferencję - usprawiedliwiała się sekretarka.

- W porządku, Dolores - powiedziała Sydney, przysiadając na brzegu dyrektorskiego biurka. - Ci panowie właśnie wychodzą.

- To nie jest odpowiednia chwila. - Russell próbował opanować gniew, przez wzgląd na Kinnarda. Tego mi tylko brakowało! Najpierw ten cholerny Kinnard zmusza go do cyrkowych akrobacji, a teraz Sydney domaga się bisów.

Do diabła! Patrzył na uszczęśliwioną Sydney siedzącą na biurku i czuł, że zbliża się do granicy wytrzymałości. Największy i najbardziej ryzykowny interes życia wymykał mu się z rąk. Nie miał czasu dla Sydney i jej antyków!

Nakazał sobie spokój. Nie ma sensu panikować. Udowodnił wielokrotnie, że jest urodzonym zwycięzcą, udowodni i tym razem. Przejął po ojcu milionową firmę i przekształcił ją w wielomiliardowe przedsiębiorstwo. Co z tego, że ojciec, niewdzięczny drań, nigdy nie przyznał, że to jego zasługa. Był zbyt zajęty płaszczaniem się przed swoim pierworodnym, idiotą, który doprowadził go w końcu do bankructwa.

Cóż, Russ nie był życiowym nieudacznikiem jak jego brat.
Wręcz przeciwnie.

Sydney założyła nogę na nogę, ukazując piękne uda pod gustowną garsonką Chanel.

- Chwila jest idealna. - Popatrzyła na zegarek, Cartiera wysadzanego brylancikami, który kupił jej na Gwiazdkę. -
Zobaczmy... Mogę ci poświęcić pięć minut, potem mam następne spotkanie.

Nie wierzył własnym oczom. Jej głos, rozogniona twarz. Piła!
Wstał.

- Panowie, musicie mi wybaczyć. Dolores - powiedział do intercomu - przyślij mi lunch tutaj. - Zwrócił się do swojego szefa ochrony. - Z pewnością masz coś do omówienia z Josephem; Spotkamy się za... powiedzmy za dwadzieścia minut. - Zamierzał spławić Sydney w niecałe trzy.

Kinnard i Sharps opuścili gabinet, przy czym Sharps próbował przekonać Kinnarda, że wszystko jest pod kontrolą. Kiedy zostali sami, Russell przyjrzał się żonie. Nie uszły jego uwadze ani zaczerwienione oczy, ani potargane włosy.

-Piłaś.

- Och, nie, kochanie! Po prostu wznosiłam toasty i liczyłam swoje miliony. Widzisz, Russ, będę bardzo bogatą kobietą, kiedy się ze mną rozwiedziesz.

Russ usłyszał dzwoneczki alarmowe. Jezu!

- O czym ty mówisz? - Błyskawicznie przeobraził się w urażonego męża. - Chcesz się ze mną rozwieść? Teraz? W środku tej całej bryndzy, dlatego że nie poświęcam ci czasu?

-Kim ona jest?

To go przystopowało. Russell był żonaty już dwa razy. Widział ten wyraz na kobiecych twarzach. O kurwa!

Ale gdy szło o małżeńskie zdrady, kierował się zasadą: „Kiedy wszystko inne zawiedzie - zaprzeczaj!”

- Oskarżysz mnie o to, że cię zdradzam? Na litość boską, Syd. Weź się...

- Jest młoda. Lubisz młode kobiety. I jest blondynką. - Wydeła pełne wargi, jakby się nad czymś zastanawiała, potem potrząsnęła głową. Otworzyła torebkę i sięgnęła do środka. - Może jednak nie. Było już za dużo tych blondynek: Megan i Carla - wymieniła imiona jego pierwszych żon.

- Ale z pewnością jest słodziutkim maleństwem, które po prostu musiałeś mieć.

-Oszalałaś...

Rzuciła zdjęcia na biurko.

- Jak niedyskretnie! Wygląda na to, że byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem.

Były to zdjęcia Allison. Stała u jego boku w waszyngtońskim hotelu, znudzona, podczas gdy on rozmawiał z Kinnardem. I później, w klubie „21”, przy stole, trzymała rękę na jego dłoni.

- Coś podobnego! Muszę być medium - powiedziała Sydney ze łzami w głosie. - Młoda, chociaż nie blondynka. - Łzy zaczęły spływać po jej twarzy. - Zostawisz mnie, Russell?

Russ odetchnął z ulgą. Nie chciała rozwodu. Bała się, że on ją zostawi. Wstał i podszedł do żony. Opadł przed nią na jedno kolano i ukrył twarz na jej udach.

- Ona nic dla mnie nie znaczy, Syd. Kocham cię. Jesteś dla mnie wszystkim. - Wycisnął nawet kilka łez, spoglądając na żonę. Jezu! Jeżeli Sydney go teraz zostawi, w samym środku tego bagna... - Kocham cię, Syd.

Osunęła się na podłogę obok niego, otoczyła go ramionami.

- Muisz przestać się z nią widywać.

- To wszystko przez stres, Syd. Dopadł mnie. Zacząłem się z nią spotykać dopiero przed tygodniem. To bez znaczenia. Zupełny drobiazg.

- Zadzwoisz do niej dzisiaj. Powiesz, że wszystko skończone.

- Gdy tylko stąd wyjdiesz, kochanie. Boże, kocham cię!

Wstał, biorąc Sydney w ramiona. Znów zaczął ją całować, zaskoczony tym, że jej pragnie, chce się z nią kochać teraz, zaraz.

- Wybacz mi, kochanie. Wybacz.

Oddawała mu pocałunki, nie mniej podniecona niż on. Ale potem się odsunęła.

- Obiecałeś. Dzisiaj - powiedziała. - Gdy tylko stąd wyjdę.

Zrozumiał, że ma szlaban. Nie będzie gorącego seksu na jego biurku

jak w dawnych dobrych czasach, jeszcze za życia Henry'ego. Szkoda. Wsparł głowę o jej czoło, dysząc ciężko. -To się już nie powtórzy.

Czuł, jak ona drży w jego ramionach. Ale kiedy podniosła wzrok, dostrzegł w oczach żony stalowy błysk, który mu się nie spodobał.

- Dopilnuj tego - powiedziała ostrym tonem.

- Syd, chyba nie jesteś samochodem?

Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, nie rozumiejąc pytania. Potem potrząsnęła głową i postąpiła ku drzwiom. Z ręką na klamce, jeszcze raz potrząsnęła głową.

-Nie. Wyszła.

Powoli odzyskiwał oddech.

W porządku, ale niewiele brakowało.

Odwrócił się, sięgnął do telefonu i wykręcił numer zewnętrznej linii. Wiedział, że tak będzie najlepiej. Musiał się skoncentrować na XC-23 Wing-Master. Nie może się rozpraszać.

Aparat Allison włączył się po drugim sygnale. Zostawił wiadomość.

„Musimy się spotkać. W tym samym miejscu co zwykle, o zwykłej porze. Tym razem bądź punktualnie. Mam ci coś ważnego do powiedzenia”.

Odwiesił słuchawkę, już spokojniejszy. Tak, Syd miała dobry pomysł. Jego życie było wystarczająco skomplikowane. Kinnard, pieprzone FBI. Nie należało przesadzać. Mało brakowało, a by

przedobrzył. Przy następnym spotkaniu powie Allison, że wszystko skończone.

Sydney usiadła za kierownicą swojego sportowego mercedesa coupe. Russ nie opuści tej kobiety. Wiedziała to z pewnością, która ją samą zaskoczyła.

Wcisnęła guzik zapalniczki i czekała. Drżącymi palcami wygrzebała z torebki papierosa. Kiedy zapalniczka wyskoczyła, przypaliła go i zaciągnęła się głęboko. Rzuciła palenie w zeszłym roku. Od dymu dostaje się zmarszczek.

Pieprzyć zmarszczki.

On nie zostawi tej kobiety.

A nawet jeżeli zostawi tę, znajdzie sobie następną. Robił to już przedtem, zanim ją poznał.

Jej małżeństwo legło w gruzach. A ona poświęciła Russellowi wszystko. Wszystko.

Nadal z papierosem w ręku, złożyła ramiona na kierownicy i opuściła na nie głowę.

Płakała cicho. Nie wiedziała, co robić.

Piętnaście minut później jechała autostradą, wolno, uważnie, pamiętając o tym, że piła, co z tego, że niedużo. Alkohol dodał jej odwagi. Szampan. Dzięki Bogu ma jeszcze jedną butelkę w lodówce.

Kiedy skręciła na podjazd, miała rozmazany tusz i szminkę na całej twarzy. Pokuśtykała do domu i rzuciła klucze na granitową konsolę. Zawsze trzymała w lodówce butelkę Cristal. Teraz strzeliła

orkiem, patrząc, jak piana wypływa niby gejzer. Napiła się prosto z butelki.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Trochę oszołomiona, pozwoliła mu dzwonić, zanim w końcu poszła otworzyć. Harbor Island była prywatną własnością, solidna brama odgradzała ją od świata. Ale można było zaparkować na lądzie i przejść pieszo.

Pomyślała, że to pewnie jakiś kumpel Russa szuka szefa. Od sobotniej katastrofy wszyscy w zakładach biegali jak koty z poparzonymi ogonami. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie tę scenę. Trofiejna żona Russella otwiera drzwi, z tuszem spływającym po policzkach.

Ale w progu ujrzała mężczyznę w roboczym kombinezonie. Przytrzymał ją za łokieć, kiedy się zachwiała, tracąc równowagę. Trochę jej było wstyd, gdy uświadomiła sobie, że się zatacza z butelką szampana w ręku.

Odgarnęła włosy z twarzy, próbowała oprzytomnieć.

-Tak?

Wyglądał młodo, z włosami przystrzyżonymi na jeża na czubku głowy i długimi rozjaśnionymi pasmami z boku. Oczy miał intensywnie zielone. Uśmiechnął się, machnąwszy jej przed nosem jakimś formularzem. Na piersiach miał plakietkę identyfikacyjną z nazwiskiem i fotografią.

- Jestem z firmy ochroniarskiej. Dzwoniła pani w sprawie zawieszenia systemu?

Przypomniała sobie niejasno, że w zeszły czwartek coś nawaliło. Ale nawet w stanie oszołomienia zdawała sobie sprawę, że nie dzwoniła do firmy. Miała dość roboty z prywatnymi detektywami pilnującymi jej zdradzieckiego małżonka.

- Pewnie mój mąż dzwonił. - Takimi sprawami zwykle zajmował się Russ. Zaczęła zamykać drzwi. - To naprawdę nieodpowiednia chwila. Proszę przyjść innego dnia.

Ku jej zaskoczeniu, wsunął nogę w szparę, uniemożliwiając zamknięcie drzwi.

- Takich rzeczy lepiej nie odkładać, pani Reck - oznajmił. - Ja tylko naprawiam systemy, nie doradzam klientom, ale zdrowy rozsądek mówi mi, że taka kobieta jak pani nie powinna z tym zwlekać.

Pozwoliła mu otworzyć drzwi. Miał chłopięcy uśmiech i teraz zrobił z niego dobry użytek. Piegi dopełniły wizerunku szczerego młodego człowieka.

- Obiecuję, nawet pani nie zauważy, że tu jestem. - Wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam. Jestem bardzo sympatyczny. Załatwię to raz dwa”.

Uśmiechnęła się, chociaż nie czuła się sobą dzisiejszego ranka. Tyle łez. Zwykle nie płakała. Była kobietą czynu. Dlatego została żoną jednego z najpotężniejszych mężczyzn na świecie.

Traciła go. Tak samo jak Carla, jak Megan. Ustaw się w kolejce...

- Tak, oczywiście - powiedziała, starając się zatrzymać wirowanie w głowie. - Ma pan rację. - Spojrzała na plastikową plakietkę. - James. Wejdz. Panel kontrolny jest...

- Wiem, gdzie on jest, pani Reck. Proszę się mną w ogóle nie kłopotać. To potrwa tylko chwilę.

Patrzyła, jak znika w głębi domu i westchnęła, opierając się o rzeźbioną futrynę olbrzymich drzwi wykonanych na zamówienie. Gapiała się na hol, na złoczone lustro komponujące się znakomicie ze stołem o marmurowym blacie. Oba antyki kupiła za ciężkie pieniądze w Nowym Orleanie. Wstrzymała oddech, a potem roześmiała się do wielkich oczu wyglądających z lustra.

- Co się z tobą stanie, ty głupia? - zapytała kobietę w lustrze.

Chusteczką higieniczną starła tusz z twarzy, wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. W holu opadła na chippednale'owską kozetkę, chwiejąc się na boki.

Russell ma romans.

Dzwonił do niej trzy razy, żeby powiedzieć, że jego pobyt w Waszyngtonie się przeciągnie. Będzie poza domem dłużej, niż się spodziewał. Zawsze chodziło tylko o jeden dzień. A następnego ranka dzwonił z tą samą historyjką, przepaszając.

Jakby była idiotką. Jakby nie potrafiła dodać dwóch do dwóch.

Teraz wszystko stało się jasne. Jego brak zainteresowania seksem. Nią.

Ukryła twarz w dłoniach, zgięta w pół, z ustami wykrzywionymi bólem, otwartymi w niemym krzyku. Czego się spodziewałaś,

Sydney? Russell jest bogatym, potężnym człowiekiem. Człowiekiem z wizją. Ale nigdy nie był wierny. Dlaczego uważałaś, że z tobą będzie inaczej?

Teraz inna kobieta zajmie jej miejsce - następna pani Russellowa Reck wystąpi.

- Dobrze się pani czuje?

Podniosła wzrok, zamglony szampanem i bólem. Oczy miała pełne łez. Przed nią stał facet z firmy ochroniarskiej. Jak on ma na imię? Spojrzała na plaketkę. „Systemy zabezpieczeń Beechwood. James”.

- To niczego nie rozwiąże. - Bardzo łagodnie wyjął jej butelkę z ręki i odstawił na okrągłą tacę, która stała na pikowanej otomanie. „Ostatni krzyk mody w dziedzinie stolików do kawy”, powiedział dekorator wnętrz.

James ukucnął przy kozetce.

- Problemy w domu? - zapytał. - Kłopoty z dziećmi?

- Nie mam dzieci. - Megan i Carla miały przynajmniej dzieci, na które mogły przelać swoją miłość. Ale nie Sydney. Zajmowała zbyt dalekie miejsce w tej kolejce. .

- Więc mąż? Zmarszczyła czoło.

- To chyba nie pana interes?

- Więc nie napiłaby się pani filiżanki kawy? Nie wyplakała na przyjaznym ramieniu?

Sposób, w jaki to powiedział... z tym łobuzerskim uśmiechem. Przemknęło jej przez głowę, że tak to się właśnie odbywa. Znudzona

żona ,zaniedbywana przez zapracowanego męża. Przystojny czyściciel basenu... słodki chłopak naprawiający systemy zabezpieczeń.

A on był chłopcem, dużo młodszym od niej. I dość przystojnym, chociaż nie w jej typie. Sydney zawsze podobali się silni mężczyźni. Mężczyźni mający władzę. Nie jakieś tam muskularne chłoptasie.

Pokazałabyś Russellowi...

- Kurczę! - James wstał i cofnął się o krok. - Ma pani wypisane na twarzy „nie” dużymi literami. Szkoda. - Ujął jej rękę i patrząc na palce, pogładził je kciukiem. Potem pocałował kłykcie i puścił rękę, zanim zdołała ją cofnąć. - Ale jeżeli mąż nie zmądrzeje, proszę do mnie zadzwonić. Zawsze można mnie znaleźć przez firmę. - Mrugnął. - James. Proszę im powiedzieć, żeby przesłali mi numer na pager.

Niemal zafascynowana jego brawurą patrzyła, jak wypełnia jakiś formularz i kładzie na tacy obok butelki szampana. Zauważyła, że zakreślił długopisem swoje imię.

- Pójdę już. To była tylko usterka przełącznika w głównej sypialni. -Przeniósł wzrok na butelkę szampana i pokręcił głową. - Lepsza byłaby kawa i przyjacielskie ramię, ale pani wola.

Pod kombinezonem rysowały się prężne mięśnie. Nie przesadnie rozdęte, jak to bywa u facetów spędzających pół życia na siłowni, ale miłe dla oka.

James wzruszył ramionami i przyłożył dłoń do daszka czapki.

- Proszę pamiętać. Wystarczy telefon.

Po chwili usłyszała, jak zamykają się za nim drzwi wejściowe. Nie mogła zapomnieć jego spojrzenia. Patrzył na nią, jakby siłą wzroku chciał ją namówić na miłość.

Wyobraziła sobie, że się kochają. Jak z Russellem, kiedy była jeszcze żoną innego mężczyzny.

Zamknęła oczy. Rzecz w tym, że pragnęła tylko Russella. Swojego męża. Zawsze pragnęła tylko jego.

12

Tutaj. - Końcem długopisu Conor wskazał linijkę tekstu na ekranie. -I tutaj. Co o tym sądzisz?

Wpatrywała się w cyfry. Coś było nie w porządku, ale nie potrafiła powiedzieć, na czym polega ta nieprawidłowość. Odgarnęła włosy z twarzy, zbyt zmęczona, by myśleć. Trochę zardzewiała w public relations. Upłynęło sporo czasu, odkąd analizowała dane tego rodzaju.

- Nie wiem. — Potrząsnęła głową. -1 kolejna filiżanka kawy wcale nie rozjaśni mi w głowie.

- To może być wszystko. Drobną turbulencją. Uderzenie wiatru. Mówił do siebie, wpatrując się w liczby, całkowicie pochłonięty szukaniem rozwiązania. Znała ten wyraz jego twarzy.

Cherish zaniósł kubki do zlewu, zostawiając Conora sam na sam z liczbowym problemem. Przypomniała sobie te tygodnie po katastrofie, kiedy spędzał całe godziny w jej kuchni, zapatrzony w ekran laptopa. Próbował wykryć przyczynę katastrofy.

Przed półtora rokiem zeznał przed komisją bezpieczeństwa, że pilotowany przez niego prototyp zachowywał się anormalnie, nie reagował na jego polecenia. Wszystkie trzy prototypy WingMaster miały elektroniczny układ sztucznej stateczności i sterowania. Conor kontrolował ster, który z kolei przekazywał komputerowi polecenia pilota. Ale tak naprawdę pilotował komputer.

Conor uważał, że przyczyną awarii mógł być właśnie pokładowy komputer. Okazało się jednak, że sprawdzono go przed lotem i nie stwierdzono żadnych usterek.

Orzeczenie nie przekonało Conora. Co wieczór przeczesywał Internet, szukając informacji o innych katastrofach, o analogicznych sytuacjach. Próbował zrozumieć, co się stało tam w górze, kiedy stracił panowanie nad sterami.

Bał się, że komisja bezpieczeństwa uzna błąd pilota za przyczynę katastrofy, i tak też się stało. Orzeczenie komisji zakończyło jego karierę.

Cherish wsadziła kubki pod strumień wody i obserwowała Conora. Patrzył w ekran z takim napięciem, jakby lada chwila miał znaleźć odpowiedź. Jakby wystarczyło wcisnąć jeszcze jeden klawisz, wydać jeszcze jedno polecenie, żeby wszystko stało się jasne.

Zakreśliła wodę, zacisnęła palce na kurkach. Nie idź tą drogą, Cherish! Nie będzie współczuła Conorowi. Mowy nie ma. To wszystko należało już do przeszłości... przesłuchanie... katastrofa. Zresztą Conor świetnie sobie radził jako wykładowca na

uniwersytecie i współwłaściciel szkoły pilotażu. Nie będzie się o niego martwiła. Już nie.

Zerknęła na zegarek.

- Słuchaj, Chuck i Lori czekają na mnie. Może gdy spojrzysz na to świeżym okiem...

- Aha. - Wstał, przeciągając się. - Mogłabyś dostarczyć mi kopię raportu z badań naprężenia skrzydła? Muszę sprawdzić odkształcenie. Porównać je z danymi lotu.

- Jasne. Jeżeli uważasz, że to się na coś przyda. Zmarszczył brwi, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

- Może. Jeśli coś jest nie w porządku.

Dwie rzeczy kazały mu podejrzewać, że tak jest. Reck zataił dane przed Marquiseem z jakiegoś sobie tylko znanego powodu, to po pierwsze. Po drugie, Alec dużo ryzykował, żeby dostarczyć mu telemetrię.

Cherish oparła się o kuchenny blat. Conor stał odwrócony profilem, pochylony nad laptopem. Widziała bliznę przecinającą policzek. Wydzielał pewien rodzaj energii, świadczący o tym, że pochłania go zagadka, cieszy proces odnajdywania kolejnych elementów układanki.

Pokręciła głową; byli zupełnie inni. Ją wątpliwości zadręczały, gapiała się w te liczby z jedną myślą - bylebym ich tylko nie zawiodła! Aleca i Conora, Marquisa. Conor dostrzegał możliwości, jakie stwarzały te dane.

- Dlaczego dałeś Reckowi telemetrię? - Wiedziała, że musiał mieć po temu jakiś powód.

Uderzył klawisz „page up”, przywołując poprzednią stronę tekstu.

- Reck zamierza przeprowadzić próbny lot najdalej za miesiąc. Pomyślałem, że dobrze będzie mu uświadomić, że nie jest bezkarny. Może przestanie skracać terminy.

- Wiele straci, jeżeli nie wyśle w powietrze tego prototypu. Może nawet więcej niż przyznaje - zauważyła. - Nie wydaje ci się dziwne, że on przywiązuje taką wagę do dotrzymania terminu lotu? Czy ten kontrakt jest aż tak ważny?

- Może zyski przedsiębiorstwa są mniejsze niż dane oficjalne. Może ten kontrakt jest wyjątkowy.

Potrząsnęła głową, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Alec dostarcza raporty telemetrii, Reck upiera się przy wysyłaniu w powietrze prototypów, które ktoś wysadza w powietrze.

Ponownie zerknęła na zegarek.

-Naprawdę muszę iść. - Przygryzła wargę, głęboko zamyślona. W końcu uznała, że pewnych spraw nie da się owinać w bawełnę. - Może powinniśmy umówić się na później? - zapytała wprost.

Conor przyglądał się jej przez chwilę. Wyraźnie widziała, jak coś mu kielkuje w tym doktorskim mózgu. Skinął głową w stronę saloniku i wstał.

Miała ogromną ochotę zostać. Był taki pewny, że pójdzie za nim do salonu. I poszła.

Patrzyła, jak Conor siada na kanapie. Robił to tak długo, że w międzyczasie ugotowałyby jajko. No, jej zarzucano, że chodzi, jakby się wiecznie spieszyła na pociąg.

Nie wiedziała, dlaczego, prawdopodobnie z niewyspania, doznała czegoś w rodzaju halucynacji. Ujrzała scenę z przeszłości. Zwykły piątkowy wieczór: stali z Conorem w zatłoczonym barze, czekając na stolik. I nagle, zupełnie niespodziewanie, Conor ją pocałował.

Wydawał się taki zadowolony z siebie, że starszy pan stojący obok uśmiechnął się i powiedział: „Pilnuj się jej, młody człowieku”. Conor przytulił ją i odparł, że takie ma plany. Wszyscy patrzyli na nich z sympatią, ktoś się roześmiał.

To wtedy zrozumiała, że Conor ją kocha. W tej właśnie chwili Conor Mitchell zakochał się po raz pierwszy w życiu. Po prostu wiedziała, że nigdy przedtem nie okazał kobiecie swoich uczuć. Przynajmniej nie publicznie.

Poczuła się kimś wyjątkowym. Niech będzie za to przeklęty.

A teraz, kiedy jestem tak strasznie przygnębiona...

Teraz czekał, żeby do niego dołączyła, najwyraźniej miał jej coś do powiedzenia. Wzruszyła ramionami i usiadła przy nim, ale milczała. Tym razem niech on mówi.

- Pozwól, że ci wyjaśnię, co jest grane - powiedział z namysłem, starannie dobierając słowa. - Alec uważa, że wpakowałaś się w kłopoty. Dlatego do mnie przyszedł, żeby mnie ostrzec. Wygląda na to, że znów mamy niewielkie szanse. Ty i ja. Będziesz musiała

zadzwoić do Marquisa albo wysłać faks i zawiadomić firmę, że bierzesz urlop na parę dni. Od zaraz.

Czekała. Wydawało się jej, że wie, dokąd on zmierza.

- A ty tutaj zostaniesz? - Oby się myliła. - Ze mną? Skinął głową.

- Będzie najlepiej, jeśli się wprowadzę.

Siedziała spokojnie, bardzo spokojnie. On nie mógł mówić tego poważnie. Mówił poważnie.

Zastanawiała się, jak powinna zareagować. Jak sformułować odpowiedź, żeby nie było żadnych niedomówień i wątpliwości?

- Twierdzisz - powiedziała rzeczowym tonem, jakby istniało prawdo- . podobieństwo, że pomysł ze wspólnym zamieszkaniem jest realny - że będę bezpieczna tak długo, jak długo ty będziesz mnie pilnował?

- Można to tak ująć.

- No wiesz, ujmowanie myśli w słowa to moja praca.

Nawiedziło ją jeszcze jedno wspomnienie. Wypłakiwała sobie oczy na ramieniu Aleca, zrozumiałwszy, że Conor nie zjawi się na ślubie. Tamta straszna rozpacz teraz powróciła, zwałając się jej na piersi.

Kiedy następnego ranka zadzwonił, nie dała mu dojść do słowa. Nie chcę wysłuchiwać usprawiedliwień, Conor. Nie dzwoniło do mnie wczoraj ze szpitalnej izby przyjęć, przypuszczam więc, że nie masz nic do powiedzenia...

W gruncie rzeczy nie chciała znać prawdy - nie zniosłaby jej. Conor był wyjątkowy. Należał do niej, przynajmniej tak myślała. Alecowi wystarczyło dziesięć minut z kelnerką przy omawianiu menu, by poznać historię jej życia. Z Conorem rzecz miała się inaczej. Nie był nieśmiały, ale cenił sobie prywatność. Niewielu ludzi wpłynęło na jego życie - liczyło się tylko kilku wybranych. Geena i Marc, jego siostrzeniec Chris i bliźniaki. I ona. Cherish. Ją też wybrał.

A potem po prostu zmienił zdanie... Albo też odzyskał zdrowy rozsadek.

- Już omówiłem to z Markiem - powiedział. Najwyraźniej udawał, że nie dostrzega wyrazu niedowierzania na jej twarzy, a może po prostu postanowił go zignorować. - Uznaliśmy, że nie powinnaś się wprowadzać do mnie, przez wzgląd na Geenę i dzieci. Marc zastąpi mnie w szkole pilotażu tak długo, jak to się okaże konieczne. Muszę jeszcze załatwić sobie zastępstwo na wydziale. W ostateczności możesz jeździć na zajęcia ze mną. Przyniosłem trochę rzeczy. Na dzisiejszą noc.

Założył nogę na nogę w taki sposób, że kostka spoczywała na kolanie. A zatem zamierza zostać na dłużej. Ciekawe!

- Może zadzwoń od razu - zaproponował po dłuższej chwili milczenia.

- Do pracy? A tak, oczywiście. To znaczy, jeżeli naprawdę uważasz, że powinnam.

Chciałabym cię zabić, udusić gołymi rękami!, dodała w myślach. Potrząsnęła głową. Doprawdy, powinna kontrolować te odruchy.

Zerknął na zegarek.

- Mam zadzwonić po pizzę na kolację? Skinęła głową.

- Świetnie. Z przyjemnością zjem pizzę. Tym razem z szynką i ananasami, dobrze? - Powiedziała to tak, jakby rzeczywiście zamierzała podjąć tę znajomość w miejscu, w którym ją przerwali. Conor tak właśnie się zachowywał.

Skrzywił się. Nie przepadał za szynką i ananasem, ulubionymi dodatkami Cherish. Przez te tygodnie po katastrofie, ilekroć zamawiali pizzę, Cherish dostosowywała się do gustu Conora. Pepperoni. Dodatkowy ser.

Wstał z kanapy.

- Chcesz zadzwonić pierwsza?

- Nie, nie, proszę bardzo.

Wiedział, gdzie jest gabinet, więc bez wahania ruszył do drzwi. Znał dobrze rozkład domu, mieszkał tu z nią po wypadku.

Kiedy zniknął za drzwiami, Cherish podniosła się z kanapy. Wzięła torebkę i założyła buty.

Są rzeczy, których kobieta musi doświadczyć, żeby je pojąć.

Siedziała już za kierownicą i sięgała do klamki, kiedy ktoś chwycił drzwi. Popatrzyła na jego rękę, na długie smukłe palce. Prawa dłoń. O ile dobrze pamiętała, Conor jest praworęczny. Zatrzaśnięcie drzwi nie byłoby miłym gestem.

Otworzył je szerzej i przykucnął w szparze.

- To dla twojego dobra, Cher - powiedział, po czym dodał na pociechę - Wierz mi, ja też nie jestem zachwycony.

Przekreśliła kluczyk w stacyjce. -Cher...

Włączyła wsteczny bieg.

- Co ty wyprawiasz...?

Docisnęła pedał gazu. Conor musiał uskoczyć, żeby drzwi go nie znokautowały.

W połowie podjazdu przyhamowała.

- Możesz wyświadczyć mi przysługę?! - wrzasnęła - Zamknij za sobą drzwi. Wystarczy wcisnąć ten czerwony guzik i zatrzasnąć. Nic trudnego. Ach, jeszcze jedno. Wprowadzasz się. Cóż, jeżeli mam być szczerą, wolałabym znaleźć się z powrotem w tym samolocie i patrzeć, jak ziemia biegnie mi na spotkanie. Już raz ocaliłeś mi życie, Conor. To wystarczy, zaufaj i Drugi raz bym tego nie zniosła. Nie tego od ciebie oczekuję. Już nie.

Ruszyła z wizgiem opon.

Russell czekał, aż drzwi windy się otworzą. Spojrzał na swojego rolexsa. Za czterdzieści pięć minut był umówiony z Sydney w „Hobbit”. Z» żywszy na ich wcześniejszą rozmowę, nie powinien się spóźnić.

Postukiwał niecierpliwie nogą. Wiedział, że czekają go ciężkie chwile Jezusa, co za dzień! Kinnard nie pomylił się co do tego gościa z FBI. Lebrede zajrzał do jego gabinetu późnym popołudniem, zadawał mnóstwo pytań i domagał się akt, których Reck wolałby nie pokazywać nikomu, w żadnych okolicznościach. Zakładał, że Lebrede

będzie miał dość roboty z zabezpieczeniem następnego lotu próbnego. Jeżeli mają odbyć go w terminie, BI musi przysiąc fałdów. Lebedo nie powinien mieć czasu na węszenie.

Kinnard reagował nerwowo. Stary drań miał mnóstwo szkieletów w m jej szafie, więcej niż Reck Enterprises... chociaż ten ostatni był wspólną własnością. XC-23 WingMaster. Russell uważał, że poradzą sobie z Lebts do. Prawdziwym problemem było odnalezienie Aleca Portera i zneutralizowanie go bez powiększania liczby ofiar.

Drzwi windy się otworzyły. W recepcji powiedziano mu, że Allison jest już w pokoju. Russ szedł szybko korytarzem, mijając egzotyczne hawajskie kwiaty w chińskich wazach, aranżacje wysokości człowieka. Wiedział, że się z nim stanie, jeżeli rząd unieważni kontrakt na WingMaster. Przegrał. Postawił wszystko, na jedną kartę. Dzięki Kinnardowi.

- Cholera - mruknął, próbując poluzować kołnierzyk koszuli. Nie chciał nawet o tym myśleć.

Otworzył drzwi pokoju plastikową kartą i wszedł do środka. Światła były zgaszone, kotary zaciągnięte. –Co u...?

Wtedy ją zobaczył. Czekwała na niego.

Siedziała na wielkim łóżku, upozowana jak dziewczyny z rozkładówki „Playboya”. Była zupełnie naga, jeżeli nie liczyć jego krawata wiszącego na szyi.

Rozwiązała go powolutku, pozwalając, by ześlizgnął się po nagich piersiach. Nawet nie zauważył jego braku. Teraz nie będzie już mógł oderwać od niego oczu.

- Ona myśli, że ja chcę zostać następną panią Reck. - Głos miała lekko schrypnięty, jakby od płaczu. - Aleja nie tego pragnę.

Jednym szybkim ruchem zawiązała koniec krawata na swoim przegubie, węzeł zarzuciła na słupek od baldachimu. Wyglądała niewiarygodnie młodo, z ustami w podkówkę, przywiązana do łóżka.

- Pragnę tylko dać ci szczęście, Russell.

Zbliżył się, oszalały z żądz, zahipnotyzowany jej widokiem. Sydney i obiad zupełnie wyleciały mu z głowy.

13

Jekaterina Bołkońska spoglądała na małego aniołka śpiącego w jej ramionach.

- Widzisz ją, Ericu? - wyszeptała. - Tam, w niebie?

Była w pokoju na piętterku, zamienionym w sypialnię dla dziecka. Trzy pokoje na piętrze miały ścięte ściany, przez wzgląd na spadzisty dach. Miejsca starczało tylko na podstawowe meble, ale ten nowy dom wydawał się Katii pałacem. Moskiewskie mieszkanie zmieściłoby się całe w pokoju dzieciennym.

Nucąc cicho, myślała o czasach przed poznaniem Erica Ballasa. Pracowała w Akademii Nauk. Żywili się ziemniakami i kapustą. Związek Radziecki upadł, rządowe programy rozplynęły się w powietrzu. Taksówkarz zarabiał kilka razy więcej niż inżynier.

A potem, za namową rządu USA, amerykańskie przedsiębiorstwa zaczęły zatrudniać rosyjskich inżynierów i naukowców. Była to współpraca korzystna dla obu stron. Firma zatrudniała rosyjskiego inżyniera za parę dolarów dziennie. On miał na chleb, a firma miała nowe perspektywy.

Kiedy Erie zatrudnił ją i Walerego w Joysticku, Jekaterina przysięgła, że nigdy tego nie pożałuje.

- To były dobre czasy, prawda, Ericu?

Podniosła głowę na dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Walery. Zmarszczył brwi, widząc łzy w jej oczach. Otarła je szybko.

Walery stanął za żoną i popatrzył na śpiącą córkę. Potem objął Katię.

- Ja też za nim tęsknię - powiedział. Tak dobrze ją znał, ten jej Walery.

- Był taki szczęśliwy z powodu Eriki - Nie mogła ukryć emocji. - Pamiętasz ten wieczór, kiedy mu powiedzieliśmy?

Zaprosili Erica na kolację. Ugotowała jego ulubione danie, faszerowaną kapustę. On i Walery pili za przyszłość. Dziesięć tygodni później Erie już nie żył.

Walery wziął ostrożnie niemowlę z ramion żony, położył w kołysce i nakrył kołderką. Stali objęci, patrząc na śpiące dziecko.

- Otrzymaliśmy przekaz z Ameryki - powiedział Walery po chwili. -Od Aleca Portera.

- Papiery! - Było to pierwsze, co jej przyszło do głowy. Ostatnia nadzieja. - Papiery Erica? Znalazł je?

- Nie, Katia. Rozmawialiśmy już o tych sekretnych papierach. Wątpią, czy w ogóle istnieją.

- Erie twierdził, że tak - odparła, ale zmarszczyła czoło, bo też miała wątpliwości. Czas im się kończył, a ona dreptała w miejscu. Od tygodnia, od chwili wyjazdu Portera nie znalazła ani jednej próbki.

Popatrzyła na Walerego. Alec Porter rzadko się z nimi kontaktował. Czyli materiały ze Stanów muszą być ważne.

- Obiecał, że nam pomoże - powiedziała.

- Teraz ty pokładasz nadzieje w pojazdach kosmitów? -

Westchnął ciężko. - Chodź zobaczyć, co pan Alec Porter ma nam do powiedzenia.

Drżącymi palcami wciskała klawisze, otwierając załącznik do e-maila. Spojrzała na ekran:

Pozdrowienia z Ameryki,

Nie udało mi się uzyskać dokumentów Erica. Może to was zainteresuje.

Na ekranie pojawił się tekst, wzory matematyczne, tabele danych. Katia przesuwała strony, starając się ocenić jednym rzutem

oka rodzaj i znaczenie informacji. W końcu dotarło do niej, co przysłał Alec.

- Walery? - Przywołała pierwszą stronę, przeczytała jeszcze raz.

- Walery! To nie są dokumenty Erica. To coś o wiele lepszego!

Powtarzała sobie, że to niemożliwe, że ma halucynacje, ale przejrzawszy ponownie cały materiał, musiała przyjąć do wiadomości jego treść. Czekala na to całe życie.

- Znalazł - wyszeptała, ściskając rękę męża. Żaden naukowiec nie mógłby oderwać wzroku od ekranu. Nie będzie już musiała szukać pozaziemskich próbek, grzebać w zamrożonej ziemi, Otrzymała odpowiedź.

- To niesamowite - powiedział Walery z niedowierzaniem. - Formuła. Marzenie Erica.

- Tak - odparła z uśmiechem. - Teraz od nas zależy, czy potrafimy je wcielić w życie.

Alec wylogował się z komputera.

- Nieźle jak na jeden wieczór pracy - mruknął do siebie.

Sięgnął po aktówkę i poprawił krawat. Na nosie miał okulary, na głowie perukę. Ale nie podobał się sobie jako rudzielec.

Przeniknięcie do Reck Enterprises było zaskakująco łatwe. Zatrudnili go na umowę zlecenie jako specja od komputerów. W świecie rządzonym przez banki danych przyjęcie nowej tożsamości nie przedstawiało żadnych problemów. ,

Wychodząc, błysnął plakietką identyfikacyjną i uśmiechnął się do strażnika. Było już po godzinach pracy - jedyna pora, kiedy spec od komputerów może coś zdziałać, nie zakłócając pracy całej firmy.

- Cześć, Ralph - pozdrowił umundurowanego strażnika.

- Dobry wieczór, panie Drax. Mówią, że tym razem to jakaś wyjątkowa paskuda. Cały dzień się na niego skarżyli.

Wirus, do którego go wezwano, był faktycznie paskudny. Pluskwa doskonale znana Alecowi, który sam ją wpisał w system Reck Enterprises.

- Dlatego wezwali mnie. - Mrugnął do strażnika. - Pogromcę wirusów. Alec opuścił biurowiec, pogwizdując cicho.

Wróciwszy do swojego bungalowu na plaży, wziął prysznic i wyszedł z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem. Allison zostawiła mu koszyk pomarańczy - bała się, że nie będzie się właściwie odżywiać. Wziął jedną i zwałił się na łóżko. Wsunął do laptopa dyskietkę przeschmuglowaną z Reck Enterprises i obierając pomarańczę przejrzał katalog, który wysłał dzisiaj do Jekateriny Bołkońskiej.

- Założę się, że poczciwy Walery trzyma się teraz za głowę. Schował dyskietkę i otworzył jedną z szuflad holenderskiej komody. Wyjął kombinezon firmy ochroniarskiej, którego używał wcześniej i sięgnął do kieszeni po złożoną kartkę papieru. Zmienił stację w radiu i rozciągnął się na łóżku.

Zepsuł system alarmowy w domu Recka w czwartek w nocy, zaraz po tym, jak rozstał się z Conorem. Dzisiaj wystarczyło go tylko podłączyć. To wtedy natknął się na elektroniczny notatnik Sydney

leżący na nocnym stoliku. Teraz, nucąc piosenkę ELO, rozwinął karteczkę, na której nagryzmolił rozkład dnia Sydney.

10.00 Ryan. Siłownia.

Uśmiechnął się na myśl o nowym wyzwaniu.

- Biedna Sydney. Szkoda cię dla tego drania.

Cherish znowu rozmawiała z Erikiem.

Byli w samolocie, Erie siedział obok Henry'ego Shanksa, przedstawiciela Reck Enterprises. Odbywał się lot próbny pierwszofazowego prototypu. Po drugiej stronie przejścia siedzieli Cherish i reporter „Aviation Weekly”. Eric, w szczytowej formie, śmiał się z własnych dowcipów.

W pewnej chwili przechylił się przez oparcie fotela i wyszeptał jej do ucha:

- Zostaw tych pajaców i przejdź do mnie.

Cherish tylko się uśmiechnęła. Ale potem zaczęła się zastanawiać. Właściwie dlaczego nie? Mogłabym poprowadzić badania.

Erie wizjoner, który wyzwalał w ludziach umiłowanie ryzyka. Nie dosłyszała ostatnich słów Erica, przechyliła się ku niemu.

- Słucham? - zapytała z uśmiechem.

Podobał się jej Erie, siwowłosa czarodziej o migotliwych niebieskich oczach, śpiewający arie operowe.

Patrzyła na jego wargi, próbowała odczytać słowa...

Buch! Huk przetoczył się przez samolot, ogłuszający jak wystrzał armatni.

Fotel wymknął się spod niej, pociągając ją w tył. Spadała, spadała... Boże w niebiosach... Wirowała w przestrzeni.

Reporter uczeplił się jej ręki, z ustami otwartymi w niemym krzyku. Wyglądał jak dziecko z nogą uwieczoną między szynami kolejowymi, wpatrzone w nadlatującą lokomotywę. Dziecko, które wie, że umrze. Nie rozumiejące dlaczego. Proszę, nie...

Zaczęli koziółkować. Przewrót w przód, w bok. Kabina stała się wnętrzem tornado. Fruwające przedmioty. Coś uderzyło ją w ramię, przecięło policzek. Straszna siła zwała się na piersi, tamując oddech. Samolot był dziką bestią, rzucającą się w szalonych skokach, ryczącą z wściekłości. O Boże, Boże...

Cherish zakryła twarz i uskoczyła przed czymś lecącym z boku. Z głową w dłoniach, próbowała się ochronić przed fragmentami przedmiotów tnącymi powietrze niby kule. Fotel obok niej zadrżał i odchylił się do tyłu, dłoni reportera zsunęła się z jej ramienia. Odwróciła się, by mu pomóc...

Nie ma głowy! O, Boże, on nie ma głowy! Sam tułów przypięty do fotela!

Henry Shanks przepłynął obok, uwieczony w fotelu, z ramionami wyciągniętymi przed siebie. Patrzyła, jak uderza we wręgę i robi w niej dziurę.

Czarna dziura... wysysająca tlen .. .wir pełen gwiazd...

Światło gwiazdy, jasnej gwiazdy, pierwszej gwiazdy, jaką widzę dzisiaj Chyba dzisiaj umrę...

Cherish usiadła na łóżku, budząc się na ułamek sekundy przed tym, jak samolot roztrzaskał się o ziemię.

Skuliła się pod zagłówkiem, dysząc ciężko. To tylko sen, tylko sen.

Nie wiedziała, jak długo leżała, powtarzając w kółko te dwa słowa. W końcu odrzuciła kołdrę i wstała na uginających się nogach.

W kuchni chwyciła jedną z pamiątkowych disneylandzkich szklanek, których kolekcja świadczyła o tym, jak często odwiedza „najszcześniejsze miejsce na ziemi”. Wsparta o zlew odkręciła kurek. Wypiła dwie szklanki wody, jedną po drugiej, tak szybko, że woda wypływała jej z ust na brodę i szyję.

Bała się, że pewnego dnia nie obudzi się i jej ciało uderzy o ziemię.

Zastanawiała się, czy umrze we śnie. Czy jeżeli nie obudzi się przed katastrofą, serce wybuchnie jej w piersiach? Czy śmierć, której uniknęła wtedy, dopadnie ją teraz, w snach?

Uczepiła się obu rękami kuchennej lady. Zamknęła oczy i wyszeptała:

- Odejdź.

Ale obraz Erica trwał przed jej oczami. Widziała jego twarz, patrzyła na jego usta, poruszające się w rytm słów, które wypowiedział przed katastrofą. Zacisnęła powieki. Już, już miała wychwycić słowa. Drżała z wysiłku.

Nic.

Nie mogła sobie przypomnieć. Nie miała pojęcia, co Erie jej powiedział. Ale była pewna, że słyszała słowa na chwilę przed tym, nim wybuch wstrząsnął kabiną.

Cherish opadła na kuchenne krzesło. Była wyczerpana, ale wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie. Obracała w dłoniach szklanekę. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, kiedy jeden koszmar przeszedł w następny. Nadal słyszała słowa Aleca: „Słuchaj sercem”.

To, co przeczytała w jego aktach. To, co powiedział Conor. Alec terrorystą?

Wiedziałyby, gdyby rzeczywiście nim był. Ich trójkę łączyła silna więź. Jasne, że nadszarpnęli ją trochę, uciekając od siebie. Ale znów byli razem, jakby ta gumowa linka skurczyła się i cofnęła ich na dawne miejsce. Wrócił nawet Conor.

- No właśnie. Co my z nim zrobimy? - zwróciła się do Myszki Miki na szklance.

Pytania, pytania. A Miki milczała.

Cherish spojrzała na zegarek. Nieludzka godzina.

- Hej, Cherish, co powiesz na partyjkę bilarda? Owszem, z przyjemnością - odpowiedziała i bosy podreptała do saloniku.

Najlepszy przyjaciel dziewczyny o pierwszej w nocy. Stół bilardowy.

Wielki dębowy potwór zajmował niemal cały salon. Z uśmiechem przesunęła dłonią po filcowym blacie, o którym jej bracia mówili, że jest różowy. W rzeczywistości miał piękny odcień fiołkowego różu. Odkupiła stół od Lori za sto dolarów. Po rozwodzie

Lori uznała, że „Gary'emu nie będzie już potrzebny”. Cherish uśmiechnęła się, sięgając po kij. Biedny Gary.

- Dziewiątka w boczną kieszeń - powiedziała. Była już mniej roztrzęsiona. Koncentracja, jakiej wymagała gra, rozwiała nocne widziadła.

Wtedy dostrzegła cień przesuwany się po oszklonych drzwiach, po jej prawej ręce.

Zamarła w bezruchu. Cień pojawił się ponownie, jakby ktoś szukał wejścia do domu.

Zostawiła w kuchni zapalone światło, do saloniku dochodziła tylko blada poświata. Z miejsca, gdzie stała, nie było widać, czy drzwi są zamknięte. Mieszkała w bezpiecznej okolicy. Czasem zapominała o zachowaniu ostrożności.

Przypomniała sobie ostrzeżenie Conora. Sądził, że coś jej grozi.

Trzymając kij bilardowy w obu rękach, podeszła do telefonu z zamiarem wezwania policji. Ale się zawahała.

Zerknęła na rozsuwane drzwi. A jeżeli to Alec? Wzywając policję, narobi mu nie lada kłopotów. Podeszła do drzwi, nadal z kijem w ręku. Jeżeli się pomyliła, dźgnie nim intruza w głowę.

Rozsunęła drzwi, starając się nie robić hałasu. Wstrzymała oddech, potem wytknęła głowę na zewnątrz.

Wypuściła powietrze z płuc.

- Na miłość boską... To nie był Alec. Gorzej. Conor.

Oparła kij o ścianę i wyszła do niewielkiego ogródka, otoczonego ozdobnym żelaznym parkanem. Zawsze uważała, że

maleńka fontanna świetnie by tu pasowała. Jakby mogła sobie na nią pozwolić!

Boso podeszła do furki. Conor stał oparty o ogrodzenie i mrużył oczy przed dymem cygara, który rysował wokół jego głowy leniwy wzór. Stanęła tuż obok, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. Nie było dziś na niebie białej smugi komety Hale-Boppa. Conor patrzył na Jowisza.

- Myślałam, że będziesz spał pod drzwiami mojej sypialni - zagadnęła. - Jak zamierzasz bronić mnie przed bandytami, stojąc tutaj?

Wyjął cygaro z ust i uśmiechnął się.

- Mam swoje sposoby.

- Jasne. Telepatyczny bojownik to ty.

Otworzyła mu furkę i gestem nakazała iść za sobą. Była pierwsza w nocy, a ona nie miała już sił z nim walczyć.

- Nadal pijesz kawę bez mleka? A propos, nie będziesz palił tego paskudztwa w moim domu.

Pokiwał głową.

- Ty i Geena. Jedna warta drugiej.

Dziesięć minut później stali naprzeciwko siebie przed lodówką, każdy ze swoim kubkiem kawy w ręku, i zawzięcie milczeli. Conor wyglądał na zmęczonego. Linia blizny stała się wyraźniejsza, co nie czyniło go ani na jotę mniej przystojnym.

Cherish dmuchała do kubka, żeby ostudzić kawę.

- Powiedz mi, Conor, czy łysienie jest w twojej rodzinie genetyczne?

- Tak się składa, że nie, Cher.

- Doprawdy! - Upiła łyk kawy. Co za szkoda.

Zachowa te piękne gęste włosy. I nie zrobi się gruby. A ona oszukuje samą siebie, jeżeli sądzi, że łysina i otyłość coś by tu zmieniły.

- Słuchaj, trochę niezręcznie to dzisiaj wyszło - powiedział. Omal się roześmiała. Niedopowiedzenie roku!

- Nie sądzę, żeby to była kwestia semantyki. Chcesz trzymać wartę przed moimi drzwiami w nocy? Jeździć za mną do pracy? - Wzruszyła ramionami. - Za swoje trudy otrzymasz jedynie „pa, pa” na do widzenia. - Uniosła kubek. - I od czasu do czasu kubek kawy.

- To mi wystarczy.

- Chyba nie zamierzasz się bawić w Kevina Costnera z Bedyguarda.

- Chyba zamierzam. Teraz ona się uśmiechnęła.

- To mi przypomina opowiadanie Sartre'a. Czytałeś Bez wyjścia?

- A opublikowali je w „Private Pilot”? Skrzywiła się.

- Francuska klasyka egzystencjalizmu. Wyobrażenie piekła.

Troje ludzi w pokoju bez wyjścia, doprowadzających się wzajemnie do szału.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem. Alec, ten trzeci, był z nimi duchem, jeżeli nie ciałem.

- Co powiesz na partyjkę bilarda? - zapytała.

- Zaczynamy! - powiedział, idąc za nią do salonu.

Conor czuł się naprawdę paskudnie.

Zrozumiał, że ma kłopoty, w chwili gdy wyszła ubrana tylko w T-shirt. Wiedział, że Cherish woli T-shirty niż seksowne peniuary. Lubiła za duże, sięgające ud koszulki z cienkiej bawełny.

Rzecz w tym, że cholerstwo prześwitywało. W świetle latarni padającym pod kątem mógł zobaczyć wszystko.

Nie powinienem sprawdzać, dlaczego zapaliło się światło w kuchni, pomyślał.

Powinien zostać na ulicy, palić cygaro i dalej przekonywać samego siebie, że ostrzeżenia Aleca są mocno na wyrost, i że traci sen na darmo.

A teraz stał w jej salonie, a Cherish grała w bilard pół metra od niego, ubrana tylko w T-shirt. Cóż, potraktuje to jak sprawdzian swoich zasad moralnych.

Cherish pochyliła się nad stołem, składając się do strzału. T-shirt powędrował w górę, odsłonił cudowną linię pośladka. Patrząc na nią, Conor zaczął się zastanawiać, czy nie o to właśnie Alecowi chodziło. Rzucić mu ją w ramiona i czekać na rezultaty.

Samorzutne spalanie.

Zamknął oczy, mówiąc sobie, że potrafi to wytrzymać. Na tym właśnie polegał problem z Cherish; zbyt wiele spraw wokół niej działo się samorzutnie. Zbyt często łapał się na tym, że postępuje bez ostrożnej, dogłębnej analizy. A przecież był pilotem. Potrafił wbić

sobie w pamięć moduł działania, tak aby w sytuacji kryzysowej kierować się wyłącznie odruchem. Powtarzał sobie teraz w myślach swoje zadanie, skupiał się na tym, co ważne: mieć ją na oku, upewnić się, że nic jej nie grozi.

Otworzył oczy i dalej chłonał jej obraz.

Przypomniawszy sobie, kiedy po raz ostatni się kochali. Tutaj, w tym domu.

Cher obeszła stół, skoncentrowana na grze. A on nie potrafił oderwać od niej oczu. Upłynęło tyle czasu...

Z Cherish wszystko było zawsze „naj”. Najwspanialszy seks, jaki zdarzył mu się w życiu, najpiękniejsze chwile. Największe obawy.

Conor odłożył kij i podszedł do niej od tyłu. Miał wrażenie, że ktoś wyłączył mu mózg. Jakiś słaby wewnętrzny głos, prawdopodobnie głos zdrowego rozsądku wołał rozpaczliwie, żeby się zatrzymał. Ale on odwrócił dziewczynę ku sobie, poniechawszy wszelkiej walki wewnętrznej. Głos rozsądku będzie musiał pójść w ślady rozumu.

Podniosła oczy, zatopiła wzrok w jego twarzy. Conor wiedział, że nigdy nie zapomni tych oczu.

Przesunęła językiem po wargach, robiła to, kiedy była zdenerwowana. Albo podniecona.

-Co ty robisz?

- Żebym to ja wiedział! - Pochylił się, aby ją pocałować.

Przeszłość wróciła w ułamku sekundy. Cud bycia z nią, piekło ostatniego roku, bez niej. Posadził Cherish na stole bilardowym, przechylił do tyłu. Czuł jej miękkie uda, czuł, że wraca do domu. Boże, jak on za nią tęsknił. I jak bardzo jej pragnął. Tylko pocałunek, pomyślał. Nic więcej.

Uniosła ramiona, żeby go objąć, i natychmiast je cofnęła. Ale jej wargi rozchylały się pod jego wargami.

Odsunął się, czekał na jej reakcję. Patrzył, jak otwiera oczy, jakby ona także budziła się z cudownego snu. A potem ujrzał w jej oczach błysk zrozumienia. Wiedziała, dokąd prowadzą te pocałunki.

Ból. Gniew.

Uderzyła go. Z całej siły w policzek. Chwilę później lgnęła do niego całą sobą.

Otoczyła mu szyję ramionami, wbiła paznokcie w kark, próbowała wtopić się w jego ciało. Pragnął jej równie mocno, pragnął znowu czuć, stopić lód, który ściał mu wewnątrz przez ten ostatni rok.

Chwycił Cherish za pośladki, wsuwając palce pod majteczki, i trzymał ją tak, jakby już niczego w życiu nie pragnął. Czuł gorącą skórę pod dłońmi i pragnął więcej... aż do chwili, gdy zrozumiał, że Cherish nie podąża za nim.

Odpychała go dłońmi zwiniętymi w pięści. Dyszała ciężko, oczy miała pociemniałe z emocji. Słysząc było tylko ich ciężkie oddechy i postukiwanie bili. Wpadały na siebie i toczyły się po stole niby rozbite atomy.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała.

- W porządku. - Próbował złapać oddech, wracała mu przytomność. Dzięki Bogu, jedno z nich zachowało rozsądek.

I wtedy Cherish chwyciła go za koszulę, opadła plecami na stół i pociągnęła za sobą.

Przetaczali się po stole, bile odbijały się od krawędzi, wpadały na nich i mknęły w inną stronę. Cherish wsunęła mu ręce pod koszulę, przywarła wargami do jego ust. Przesunęła dłonie na jego piersi i rozchyliła uda. Jęknął, kiedy oplotła go nogami.

- Nie wierzę, że to robię. O, Boże, powstrzymaj mnie - błagała, przyciągając go z całej siły.

Razem przypominali niedokończony eksperyment. Już przedtem igrali z ogniem. Teraz, jak dzieci, które niczego się na nauczyły, dopraszali się o więcej. Nie, on tego nie przerwie.

Wtedy usłyszał, że ona płacze.

- Już dobrze. - Odsunął się, łapiąc oddech. - Mogę przestać. Potrząsnęła głową. Leżała na stole z rozrzuconym rękami, pokonana.

Łzy spływały jej po skroniach i ginęły we włosach rozsypanych na fiołkoworóżowym filcu.

- Dlaczego mnie zostawiłeś, Conor?

Wstrzymał oddech.

Ponieważ tak bardzo starałem się przejąć twój entuzjizm do życia, uczynić go własnym. Odbierałaś katastrofę jako drugą szansę. Dla ciebie nie była totalną porażką. Usłyszał tę odpowiedź w swojej głowie, była logiczna i klarowna.

Próbowałem żyć dalej, sprawić, by życie miało sens. Ożenić się, założyć rodzinę. Ale kiedy powiedzieli mi, że rozbiłem samolot, zrozumiałem, że na to nie zasługuję.

- To przez katastrofę, prawda? - wypowiedziała na głos jego myśli, ponieważ on tego nie potrafił. - Patrzysz na mnie i wszystko wraca. Alec i ja jesteśmy z tym nierozzerwalnie związani.

Usiadła. Zawsze tłumaczyła sobie jego milczenie, zamieniała na słowa. Jak tego ranka, kiedy zadzwonił, żeby wyjaśnić, dlaczego nie przyszedł na ślub. Cherish rzuciła słuchawkę, dzięki czemu wszystko stało się łatwe.

- Alec powiedział mi o komisji bezpieczeństwa. Próbował im wyjaśnić. Powiedział, że nie byłeś sobą. - Potrząsnęła głową, z oczami pełnymi łez. - Tak bardzo chciałam stać się rozwiązaniem twoich problemów. - Nadal wypełniała słowami jego ciszę, muskała dłońmi jego koszulę, wygładzając fałdki, żeby materiał leżał gładko na skórze. - Chciałam ci pomóc przejść przez najgorsze. - Jej oczy połyskiwały w świetle księżyca wpadającym przez oszklone drzwi. - Tego wieczora, kiedy nie przyszedłeś, uświadomiłeś mi, że jestem częścią problemu, nie do rozwiązania.

- Mylisz się. Możesz obwiniać tylko mnie - powiedział gniewnie. Ujęła jego twarz w dłonie. Miała takie drobne ręce. Łagodne i miękkie.

- Chyba powinnam cię nienawidzić, Conorze Mitchell.

- Nienawiść dobrze by ci zrobiła, Cher.

Ale nienawiść nigdy nie była jej mocną stroną. Zrozumiał to, czytając jej listy. Pojął, że Cher jest wielkoduszna i potrafiłaby mu wybaczyć. Gdyby potrafił wybaczyć sam sobie.

Westchnął i przyłożył czoło do jej czoła.

- Myślę, że powinniśmy iść do łóżka. Spłonęła rumieńcem.

- Tak po prostu! - Odepchnęła go. - Myślisz, że pójde z tobą do łóżka? Lubił tę przezroczyść jej skóry, która przy lada wzruszeniu przybierała odcień głębokiego różu.

- Miałem na myśli pójście spać.

- Właśnie! - Zarumieniła się jeszcze bardziej. - Ja również to miałam na myśli. Pójście spać.

Musiał się uśmiechnąć.

Ześlizgnął się ze stołu bilardowego, wziął Cherish na ręce i zaniósł do sypialni. Ważyła tyle co nic, wydawała się jeszcze mniej materialna, niż zapamiętał. To go zaniepokoiło, nasunęło myśli o cierpieniu, o tym, co przeszła przez te półtora roku.

Położył ją ostrożnie na łóżku. Chciał się odsunąć, ale trzymała go mocno za szyję.

- Nie odchodź. - Zabrzmiało to tak, jakby powierzała mu tajemnicę. Ale nie skorzystał z zaproszenia, chociaż dotąd nie zważali na konsekwencje. Działali według zasady: „Kochajmy się najpierw, myślimy potem”.

Pochylił się nad nią i odgarnął pasemko za ucho. Chciał jej po prostu dotknąć.

- Nie spałem z kobietą od pół roku - powiedział. - Randka w ciemno, zaaranżowana przez Geenę. To była miła dziewczyna, rozumieliśmy się. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. Nazwałem ją twoim imieniem. W bardzo nieodpowiedniej chwili. Od tamtej pory nie spałem z żadną kobietą.

Zamknęła oczy. Wyglądała tak, jakby ją uderzył. Może nie powinien nic mówić. Chciał ułatwić sobie sytuację. „Posłuchaj, Cher. To byłby cholerny błąd, gdyby taki napalony facet wpakował ci się do łóżka”.

Ale ona nie wyglądała na kobietę gotową rozpląnąć się w jego ramionach.

- Już nigdy nie będę cię kochać - powiedziała z nutą przekonania w głosie. —Nie pozwolę ci się skrzywdzić po raz drugi.

Skinął głową.

- Bardzo mądrze z twojej strony. - Próbował się odsunąć. Ale ona przytrzymała go znowu.

- Chcę tylko, żebyś mnie przytulił - szepnęła. - Dobrze?

Jej sen. Pewnie dlatego obudziła się o pierwszej w nocy, poszła do kuchni i zapaliła światło... To z kolei sprawiło, że on porzucił swój posterunek na ulicy i przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

Wiedział, że te sny doprowadzają ją do obłądu. Wystarczyło, by zamknęła oczy, a koszmar już na nią czekał.

Usiadł na łóżku, zdjął buty i ułożył się obok niej.

Wspólne łóżko, ale żadnego seksu.

Tak zdecydowała Cherish. A on musiał się z tym pogodzić.

Ptaki. Rankiem zawsze było mnóstwo ptaków, zwabionych ziarnem, które Cherish sypała na pomost.

Kiedy się obudziła, słońce sączyło się przez żaluzje. A ptaki śpiewały.

Conor siedział na brzegu łóżka.

Wspomnienie nocy uderzyło w nią z siłą kaca. Conor. Stół bilardowy. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Ale kiedy je znów otworzyła, Conor nadal siedział na łóżku.

To nie był sen. Pocałunki Conora, jego ciało tuż przy jej ciele.

Usiadła wpatrzona w jego plecy.

- Myślę, że ta ostatnia noc rozstrzyga kwestię. Muszę cierpieć na jakiś defekt umysłowy. To tłumaczyłoby również, dlaczego nie wyciągam wniosków z przeszłości. - Potrząsnęła głową. - Wyobrażasz sobie coś podobnego! Zastęp lekarzy wystawia mi doskonałe świadectwo zdrowia, a ja cierpię na poważną chorobę.

-Jaką?

- Skretynienie.

Odwrócił się ku niej bez uśmiechu.

- Miałeś się śmiać - powiedziała. - To był żart. Pomyślałam, że pomoże nam przebrnąć przez ten kłopotliwy moment.

- Kłopotliwy. - Ich oczy się spotkały. Czekali, kto z nich powie pierwszy: „Jeżeli chodzi o tę noc...”

Pochylił się i wziął coś z podłogi. Tenisówki. Już przedtem zauważyła, że w lewej robi się dziura na palcach.

Założył but, zawiązał sznurowadła, a potem oparł obie ręce na kolanach.

- Najgorzej jest ci w nocy. Brakuje ci zdrowego, głębokiego snu, bez koszmarów. Zawsze sypiałaś jak kamień.

Uświadomiła sobie, że Conor cytuje zdania z jej listu.

- Potrafisz wyrazić swoje myśli - kiwnął głową, jakby sam sobie przyznawał rację. - Chyba to lubię w twoich listach najbardziej. Niewiele w nich słów, a tyle treści. Teraz zasypiasz z wyczerpania i do końca walczysz ze snem. Boisz się go. Boisz się, że się nie obudzisz „Że nie będzie tam Conora, żeby wyrwać mnie śmierci”. - Odwrócił się, spojrzał na nią.— Wierzysz, że to, co cię prześladowe, śmierć, której umknęłaś, w końcu dopadnie cię we śnie, w mroku. A ja nie będę mógł ci pomóc. Ponieważ nie było mnie wtedy, gdy najbardziej mnie potrzebowałaś.

Podniósł drugi but.

- Pewnie nie przytoczyłem tego dokładnie.. - Nie uczyłem się na pamięć. Ale chyba taki był sens. - Założył tenisówkę, zawiązał sznurowadło. - Cher, jestem tutaj. Nie odpychaj mnie. Wcale tego nie chcesz i oboje o tym wiemy.

- Chyba nie powinnam była pisać tych listów, prawda?

Po chwili zrozumiała, że Conor nie zamierza odpowiedzieć. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby dodać. Nie martw się, Conor. Niczego od ciebie nie oczekuję. Pieprzyć to!

Wymierzyła mu kopniaka w pośladek. Poderwał się na równe nogi.

- Nie masz cela - powiedział z uśmiechem.

- Stałeś odwrócony w złą stronę.

Ciszę rozdarł przeraźliwy dźwięk budzika. Był to model podróżny, składany jak puderniczka. Wpatrywali się w niego, dopóki nie opadł z sił. A potem, zupełnie bez powodu, Cherish zaczęła się śmiać.

Conor zachował kamienną twarz, ale widziała, że opanowuje się ostatkiem sił. Koniec rundy pierwszej, pomyślała.

Odetchnęła głęboko, spojrzała na sufit.

- Co teraz, szefie? - zapytała.

- Skoro nie potrafię namówić cię na kilka dni urlopu, mogę przynajmniej zrobić kawę - odparł i wyciągnął do niej rękę.

Siedzieli przy kuchennym stole. Poranne światło rzucało na wodę turkusowe, różowe i fioletowe błyski. Z kuchni miała przepiękny widok na kanał. Widok za milion dolarów. Co to powiedział agent nieruchomości? Lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Chyba naprawdę powinna kupić ten dom.

Spojrzała na Conora siedzącego po drugiej stronie stołu. Żuł kawałek grzanki i porównywał zapis telemetrii w jej laptopie z kopią raportu naprężenia skrzydła, który przyniosła wczoraj do domu. Alec powiedział jej kiedyś, że Conor potrafi rozwiązywać w pamięci najbardziej skomplikowane równania. Uznała, że robi to w tej chwili.

Przesunął kilka stron na ekranie, jakby porównywał dane z tym, co wyczytał w raporcie.

- Zauważyłaś, co się stało ze skrzydłem? Wstała i obeszła stół, żeby zajrzeć mu przez ramię.

- Dlaczego dane się zmieniają?

Różnica była niewielka, ale zwróciła jej uwagę. Potrząsnęła głową.

- Nie powinny się zmieniać.

Przesunął tekst kilka stron w dół i wskazał miejsce na ekranie.

- Odchylenia są za duże, odkształcenie zbyt wysokie.

- To niemożliwe. Spójrz tutaj. - Wskazała kolumnę cyfr, - Przy tym obciążeniu odchylenie nie zgadza się z naszym projektem.

- A więc zmieniono albo materiał, albo projekt, jedno z dwojga. Zamrugła powiekami. Coś w tym jest, pomyślała.

- Reck zmienił nasz projekt skrzydła - powiedziała, wiedząc, że innej możliwości nie ma.

Po katastrofie pierwszego prototypu, w której zginął Erie, Reck Enterprises kupiło Joystick - w geście dobrej woli, jak wtedy mówiono – żeby przejąć kontrakt nad badaniami materiałowymi programu. Grafitowe tworzywo zespolone, którym Reck zdecydował się pokryć skrzydło, nie wytrzymałoby nacisku wykazanego w odczycie telemetrii. Nie tylko ono, ale w ogóle żadne istniejące tworzywo. Można było liczyć, że taki materiał zostanie wynaleziony za dziesięć, dwadzieścia lat.

- Mój Boże - powiedziała, przetrawiając to wszystko w myślach.
- Zmienili nasz projekt skrzydła. A potem, kiedy samolot się rozbił i okazało się, że ich projekt był wadliwy, próbowali zwalić winę na nas, na Marquisa. W paradę weszła im grupa Marduka, która przypisała zasługę sobie. - Odwróciła się do Conora. - To dlatego Alec zostawił ci dyskietkę z telemetrią. Żebyśmy wiedzieli, co knuje Reck.

- Może. - Conor nie wydawał się przekonany, jakby nie mógł się zdecydować, komu ufa mniej: Reckowi czy Alecowi.

Na stole zabrzączał pager. Wyświetliła wiadomość i ze zmarszczonymi brwiami odczytywała słowa przesuwane się na małym ekranie.

- Muszę iść.

Conor chwycił ją za rękę. Popatrzyła na niego z irytacją.

- To Lori. Czeka na mnie. - Podsunęła mu pager, żeby mógł odczytać wiadomość. Lori chciała omówić dzisiejsze oświadczenie w związku z XC--23. „Kawa, 8.45. Starbucks”.

- Dobrze. - Puścił jej ramię. - Spotkamy się później. Ja też muszę załatwić parę spraw.

Potrząsnęła głową.

- Co ja mam z tobą zrobić?

Ale on wpatrywał się w komputerowy ekran i analizę naprężenia, stracony dla niej i dla świata.

- Proszę, wyświadczyć mi przysługę - powiedziała. - Nie wprowadzaj się podczas mojej nieobecności.

Na dworze śpiewały ptaki, świeciło słońce. Cherish wsiadła do samochodu zastanawiając się, dlaczego Lori umówiła się z nią na kawę. Lori miała bzika na punkcie zdrowego odżywiania. Zwykle spotykały się w „Juice Me”, kawiarence w pobliżu zakładów, gdzie podawano herbatę ziołową, ulubiony napitek Loru

Piętnaście minut później Cherish weszła do „Starbucks” i ujrzała Aleca. Siedział na samym środku sali i czytał „USA Today”.

- Miałem nadzieję, że na chwilę spuści cię z oczu. - Uśmiechnął się znad gazety. Cherish domyśliła się, że mówi o Conorze.

Alec ubrany był w obcisły biały T-shirt i równie obcisłe dżinsy. Na lewym ramieniu miał tatuaż, przedstawiający smoka, o ile ją wzrok nie mylił. Charakterystycę dopełniały kolczyk w uchu i szkła kontaktowe, które zabarwiły tęczówki na dziwaczny żółtawy odcień.

Cherish przysunęła sobie krzesło i usiadła. Nie zamierzała tracić czasu na pogawędki i pytania w rodzaju „Skąd masz numer mojego pagera?”

- Co się dzieje, Alec?

- Zapowiada się ładny dzień. - Odłożył gazetę. - Dwadzieścia jeden stopni. Uwielbiam kalifornijski klimat.

- Na twoim miejscu przystąpiłabym do rzeczy. Jeżeli chodzi za mną FBI, dopadną cię za jakieś pięć sekund. Wcale nietrudno cię rozpoznać.

- Nie chodzi za tobą FBI. Śledzą każdy ruch Conora, bo są pewni, że to z nim się skontaktuję. - Pochylił się nad stołem i zniżył

głos. - Nie wiedzą o naszym poprzednim spotkaniu. - Mrugnął porozumiewawczo. - A poza tym trudno mnie rozpoznać.

- Czy Reck zmienił projekt skrzydła Marquisa? - zapytała Cherish. Nadal nie widziała innego rozwiązania.

- Koncentrujesz się nie na tym, co trzeba, kochanie. Conor nie popełni tego błędu. To dlatego dałem dyskietkę jemu, a nie tobie. Ten facet zrobił pieprzony doktorat w jednej z najlepszych instytucji na świecie. Oboje wie- , my, że jeżeli ktoś rozwiąże tę zagadkę, to tylko Conman.

- Ale nie bez mojej pomocy? - Domyśliła się, że i ona będzie miała w tym swój udział. - Będzie mu potrzebne dojście do miejsc, do których tylko ja mam dostęp.

- Mądra dziewczynka! - Nagle jego twarz spoważniała. - Nie wysadzam, powtarzam, nie wysadzam samolotów. Pomyślałem, że będzie zabawnie dowiedzieć się, kto to robi. A przy okazji uratować własny tyłek, rozumiesz?

- Mniej więcej. A te groźby, o których pisałeś w e-mailu? Skontaktuj się z Conorem. On będzie wiedział, co robić.

Znów ten uśmiech Dennisa Zawadiaki.

- Musiałem was jakoś spiknąć, no nie?

- Nikt nie groził ci śmiercią?

- Tego nie powiedziałem... Zapewne nie powiadomiłbym cię o tym, gdybym nie doszedł do wniosku, że powinniście razem pracować. Ciężko mi to przyznać, ale zawsze stanowiliście doskonały zespół.

- Okay. Ktoś próbuje cię zabić. Trochę za dużo wiesz. Teraz przypisują ci autorstwo zamachów bombowych. I chcesz, żebyśmy się dowiedzieli, kto naprawdę za tym stoi.

- I wolałbym, żebyście to zrobili prędko, zanim zginie ktoś jeszcze. Ja, na przykład. - Jednym łykiem dopił kawę, zwinął gazetę i wsadził sobie pod pachę. - Conor cię nie docenia. Ja bym nie popełnił tego błędu.

- Nie. Coś mi mówi, że nie.

Odsunął krzesło i wstał. Obszedłszy stół, pochylił się nad Cherish i szepnął jej do ucha:

- Będę ci pomagał w miarę możliwości. - Pocałował ją w policzek w sposób, który wywołał rumieniec na jej twarzy. - Mam nadzieję, że kiedy to się skończy, wybierzesz odpowiedniego mężczyznę.

Nie próbowała go zatrzymać. Nie wiedziała, czy nie są obserwowani, nie chciała wystawiać go na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Potem uderzyła ją inna myśl. A jeżeli to Alec stanowi dla niej zagrożenie?

Patrzyła, jak odchodzi. Rozejrzał się, założył okulary przeciwsłoneczne i zniknął w tłumie.

Wybrać odpowiedniego mężczyznę. To samo powiedział Conor.

Jakby największym jej problemem w tej chwili był wybór partnera na rozbieraną randkę.

Nie upłynęło nawet dwadzieścia minut od chwili, gdy zaparkował samochód przed domem, kiedy zapukała do drzwi.

- Wejdz, Geeno - zawołał.

Wiedział, że to siostra. Nikt poza nianie pukał, ani Marc, ani bliźniaki. Chris używał własnego sygnału - bębnił w drzwi, po czym wpadał, nie czekając na zaproszenie. Poza tym, tylko Geena zauważyłaby jego nocną nieobecność. Przyszła, żeby o tym porozmawiać. Kiedy chodziło o jego życie prywatne, Geena wykazywała zdolności psa gończego.

Usiadła na stołku obok brata. Analizował dane lotu w jadalni, gdzie w kącie przy oknie trzymał unikalną Toshiba, którą Chris nazywał Penetratorem.

- Spałeś z nią? - zapytała Geena,

- Pieprzyłem ją całą noc - odparł, nie odrywając wzroku od ekranu. - Nadal niezła z niej dupa.

Kącikiem oka dostrzegł, że Geena przymyka powieki. Nie takiej reakcji oczekiwał. Zwykle znajdowała szybką ripostę na jego wulgaryzmy. Ale dobiło go dopiero to, że zaczęła płakać.

Zdjął ręce z klawiatury i odwrócił się w jej stronę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Spałeś u niej w domu. Zostałeś na całą noc. Ale nie kochałeś się z nią?

- Robisz z igły widły.

- Gdybyś z nią spał, prędzej byś umarł, niż komuś o tym powiedział. Miała rację.

Geena potrząsnęła głową i otarła łzy.

- Miałam nadzieję, że tu chodzi o seks. Ale nie, prawda? -
Znowu zamknęła oczy. - Proszę, powiedz mi, że nie jesteś w niej
zakochany. Nie wiem, czy wyraziłam się dostatecznie jasno: skłam,
jeżeli musisz.

- Geeno, jestem już dużym chłopcem. - Odwrócił wzrok. - Dam
sobie z tym radę.

- Okay. Nie zapytasz mnie, co mam przeciwko niej.
Prawdopodobnie nie chcesz wiedzieć. Ale powiem ci, tak czy inaczej.
Ta kobieta zrobiła ci z mózgu sieczkę, Conor.

- Masz rację, nie chcę tego słuchać. - Odwrócił się z powrotem
do komputera, chwycił mysz.

Geena wstała i pochyliła się nad bratem.

- Miała ci pomóc otrząsnąć się po katastrofie. Ale ona wywróciła
twoje życie do góry nogami i poszła dalej swoją drogą, szczęśliwa jak
ptaszek. To jej nie dotknęło w żaden sposób, rozumiesz? Żyje sobie,
jakby nigdy nic.

-A ja nie?

Przytrzymała jego dłoń, żeby nie mógł zmienić strony na
ekranie. -Nie, Conor. Z całą pewnością nie.

Nie spierał się z nią. Skrzyżował tylko ramiona i odchylił się na
oparcie krzesła, czekając, aż minie atak siostrzanej troski. Zastanawiał
się, jak jej to wytłumaczyć. „To ja schrzaniłem sprawę, nie Cher”.

- Więc sądzisz, że nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za to,
co się stało?

- Nie był to najpiękniejszy z twoich postępów, przyznaję. Ale to jest część gry. Gdyby cię kochała, nie pozwoliłaby ci się tak łatwo wykrecić. Myślisz, że Marc nie świrował? Kiedy zapytałam, czy się ze mną ożeni, omal nie dostał ataku serca. Widziałam, jak rozważa opcje. „Jeżeli powiem »nie«, czy nadal będzie ze mną sypiać? Czy mnie zostawi? Czy mogę grać na zwłokę?” Ale ludzie, którzy się kochają, nie poddają się tak łatwo. Trzymając się z dala, unikając konfrontacji, przyznała ci rację. Jako małżeństwo stanowilibyście katastrofalną parę. Miałeś dość rozumu, by to przerwać, zanim sprawy zaszły za daleko.

Pomyślał o listach Cher, które pisała sumiennie co czwartek. Nie chciał teraz o tym myśleć. O wczorajszej nocy też nie.

- Gdyby cię kochała, nie przyszłaby do ciebie dopiero teraz, gdy dostała e-mail od Aleca.

Zastanawiał się, co zrobić, żeby siostra zamknęła jadaczkę. Tkwili w tej historii z Alekiem po uszy. Tkwili razem. Ale znał Geenę. Wrośnie w to krzesło, będzie go nękać, dopóki nie otrzyma odpowiedzi.

Potrząsnął głową, myśląc o tygodniu, jaki go czekał. Będzie z Cher dzień i noc. I musi jakoś się opanować, żeby znowu czegoś nie schrzanić, jak wczoraj w nocy.

- Posłuchaj, Cher i ja nie próbujemy wskrzesić przeszłości. Tamta sprawa jest już zamknięta. - Obrazy ze stołu bilardowego mignęły mu przed oczami, ale je odpędził. - Poszedłem tam, bo myślę, że ona ma kłopoty.

Już to przedyskutował z Markiem. Ale Geena! Z nią nie chciał o tym mówić. Teraz nie miał wyboru.

- Będę u niej spędzał teraz dużo czasu. Dopóki się nie dowiem, co jest grane.

- To przez Aleca? Musisz ją przed nim bronić? - Rzuciła te słowa jak oskarżenie. - Kto wie, czy nie są siebie warci. Nie pomyślałeś o tym?

- Geeno, ktoś grozi zamachem bombowym. Jakiś szaleniec twierdzi, że jeśli XC-23 wystartuje, rozleci się na kawałki. Tym szaleńcem ma być Alec.

Wstrzymała oddech. Po raz pierwszy poruszyli ten bolesny temat, którego dotąd starannie unikali.

- Uważasz, że on to zrobił? - zapytała.

Conor westchnął i opuścił głowę na piersi. Geena wiedziała, że w Alecu jest coś dzikiego, że potrafi być nieobliczalny. Oni, ludzie, których skrzywdził najbardziej, nie potrafili ocenić, do czego jest zdolny.

Conor przypomniał sobie przydomek Aleca: Dzikus.

Wstał i przyniósł Geenie komórkę. Nagryzmolił kilka cyfr na karcie papieru, podał kartkę siostrze i czekał, aż skończy czytać.

- Spójrz na kwotę, jakiej domagają się terroryści w zamian za pozostawienie XC-23 w spokoju.

Wpatrywała się w dziwną sumę. Odwrócił telefon w jej rękę i wskazał plakietką z numerem.

- Pamiętasz jego stary trik? - zapytał. - W ten sposób wysyłał zakodowane informacje. Nazywał tę metodę „szybki Bond”.

Geena popatrzyła na numer telefonu. 2532.

15

Sydney opadła na matę, zdyszana, zlane potem. Ból rozrywał jej mięśnie

- Wspaniale. - Ryan, osobisty trener, wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. - Zrób sobie małą przerwę i...

- Nie. Mogę zrobić więcej. - Z dłońmi na karku, zwinęła się w kolejnym skłonie. Zamknęła oczy i wolno wypuściła powietrze. Szarżowała przez cały trening. Dodawała kilogramy, zwiększała liczbę ćwiczeń i nie zwracała uwagi na ból wykręcający mięśnie.

Trener odwrócił wzrok, udając, że nic nie dostrzega. Znał Sydney i wiedział, że nie ma sensu pytać. Zresztą odpowiedź miała wypisaną na zmęczonej twarzy, w czerwonych, zapuchniętych oczach. Starzejąca się żona, która chce zatrzymać czas. Skupiła się na bólu, brzucha, wykorzystywała go.

Wczoraj wieczorem Russell kazał jej czekać czterdzieści pięć minut w restauracji. Dopijała drugi kieliszek chardonnay, kiedy w końcu raczył się pojawić. Przyszedł, ciągnąc za sobą smugę słodkich perfum, wspomnienie kwiatów pomarańczy i grzechu. Sydney używała zupełnie innej marki, „Joy” Patou.

- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa... - Puściłaś mu to płazem. Ty tchórze!

Siedziała naprzeciwko Russella przy stole, przelykała kęs za kęsem i zachowywała się tak, jakby wszystko było w porządku. Brzydka scena w biurze, potem pojednawcza kolacja i państwo Russellowie Reck byli znowu jedną drużyną. Zapach kwiatu pomarańczy unosił się nad stołem jak widmo.

Potem Reck wrócił do biura, a ona pojechała sama do domu.

„Kolejny kryzys w pracy, Syd. Nic na to nie mogę poradzić, kochanie”.

Kryzys, kryzys.

Skupiła się na bólu mięśni. Nie napinaj szyi. I ciągnij, ciągnij! Tylko ból fizyczny mógł zagłuszyć tamten głos - Tchórz! Przytłumić uczucie, że pęka jej serce.

Ryan chwycił ją za ramię.

- Już dosyć, Sydney. Zrobisz sobie krzywdę.

Opadła na matę i zagryzła wargi, kiedy fala bólu przetoczyła się przez rozluźnione mięśnie brzucha. Pragnęła zwinąć się w kłębek na podłodze i płakać. Mój mąż mnie zdradza!

- Dwadzieścia minut na rowerze i damy sobie na dzisiaj spokój, dobrze?

Skinęła głową, tym razem przyjmując jego pomocną dłoń.

Dwadzieścia minut na rowerze... i czterdzieści na deptaku, dodała w duchu. Co innego mogła robić? Wrócić do pustego domu i spotkać się z kolejnym natchnionym dekoratorem wnętrz?

Godzinę później, wyczerpana i obolała, opadła na ławkę w szatni i zdjęła buty, adidasy ze specjalnym podbiciem. Rozmasowała stopy,

niemal pojękując z rozkoszy. Podobno proces starzenia najbardziej uwidacznia się właśnie na stopach - zniekształcenia kości, odciski i inne deformacje. Stopy Sydney były w kiepskim stanie, wymagały specjalnego obuwia.

Ukryła twarz w dłoniach. Henry nigdy by jej nie zdradził. Wierny, kochający Henry. Był taki dumny z jej kariery zastępcy kustosza i tak niezmiernie wdzięczny za każdy okrucuch uwagi, jaki mu poświęcała. Dlaczego nie potrafiła tego docenić?

Wychodząc z szatni pół godziny później, nadal zadawała sobie to samo pytanie. Może w gruncie rzeczy była masochistką? Może prosiła się o to, by dostać cieżki od losu. Nie wiedziała, co robić z tymi prostymi darami, jakie ofiarowywał jej Henry.

Szła na oślep i niemal wpadła na mężczyznę stojącego w pobliżu głównego wyjścia. Chwycił ją za łokcie i podtrzymał, z takim uśmiechem, jakby rozpoznał w niej znajomą. To nie zdarzało się często - zwykle ludzie rozpoznawali Russella.

I wtedy przypomniała sobie, kim jest ten mężczyzna.

- James? - Gość z firmy ochroniarskiej.

- Więc pamiętasz!

Postąpiła krok do tyłu, wysunęła się z jego ramion.

- Trudno byłoby zapomnieć. Chodzisz na tę siłownię? - Zadając to pytanie, wiedziała już, że spotkanie nie było zbiegiem okoliczności.

- Śledzisz mnie?

- Ależ skąd. Nic podobnego. Po prostu... - Odwrócił wzrok i przeczesał palcami farbowane włosy. - Do licha! - Wyciągnął rękę i

dotknął opuszkami palców jej dłoni. Był to rozbijający gest, niemal chłopięcy. - To głupie, no nie? Przychodzić tu, żeby się z tobą zobaczyć?

Zdawała sobie sprawę, że jest w tej chwili rozbita i podatna na wpływy. A przed nią stał młody mężczyzna, który ją śledził, zadurzony po uszy. Słodki podarunek, który los podsunął jej w chwili, gdy czuje się odrzucona i niekochana. Chcesz cukierka, dziewczynko?

Skrzyżowała ramiona na piersiach, worek gimnastyczny dyndał jej na plecach.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę?

- Zostawiłaś otwarty Filofax na nocnym stoliku. - Wzruszył ramionami. - Hej, nie wściekaj się. Naprawiałem system i pomyślałem... Kurde, wiem, że nie powinienem. - Zwiesił bezradnie ramiona. - To wszystko brzmi kretyńsko.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową, nagle bardzo zażenowany. Kto wie, czy się nawet nie zaczerwienił?

- Już znikam. Życzę szczęścia, Sydney.

Pozwoliła mu odejść kilkanaście kroków, potem zawołała. - James?

Odwrócił się z taką miną, jakby ofiarowała mu najpiękniejszy prezent. Drugą szansę. Przybiegł z powrotem.

- Masz ochotę na kawę? - zapytała.

- Tak - wziął ją za rękę. - Nawet wielką ochotę.

Allison siedziała po turecku, równie zasłuchana jak inni uczestnicy kręgu: pięć kobiet i trzech mężczyzn, nie licząc lekarki prowadzącej grupę. Allison uczestniczyła w zajęciach raz w tygodniu.

- Nazywają to przerwą w życiorysie. - Dziewczyna, która przedstawiła się jako Harriet, wydawała się dziwnie oderwana od rzeczywistości. – Moja trwała prawie trzy godziny. - Podniosła zielone, łagodne oczy. Brązowe włosy nosiła rozdzielone pośrodku przedziałkiem i podpięte małymi wsuwkami. Była młoda, mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. - Nie potrafiłam się doliczyć trzech godzin.

Allison czekała. Słyszała tę opowieść wielokrotnie, najczęściej od dziewcząt w typie Harriet. Mogłaby powiedzieć, co będzie dalej. A Harriet dopiero zaczynała.

-Nocowałam u Rachel. Postanowiłyśmy wybrać się gdzieś wieczorem. Rachel podejrzewała, że Tommy ją zdradza. Tommy to jej chłopak. Chciała pójść do knajpy i sprawdzić, czy Tommy jest tam z tą wiedźmą, Christiną. Jechałyśmy tam, kiedy to się stało. - Dolna warga zaczęła jej drżeć. - Zostawili Rachel w samochodzie. Zabrali tylko Myrę i mnie. Ale Myrze nic nie zrobili - powiedziała zdławionym głosem. - Tylko mnie. Tylko mnie.

Doktor Simons usiadła obok Harriet i położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

-Mów dalej.

Harriet skinęła głową, wierzchem dłoni ocierając łzy.

- Kiedy się obudziłam, zobaczyłam światło. Nie potrafiłam powiedzieć, skąd pochodzi. Nie było tam lamp ani nic takiego.

Zobaczyłam Myrę. Leżała obok. Na takim połyskliwym stole, jakby metalowym albo coś w tym rodzaju. Wyglądała, jakby była w śpiączce.

Allison przeniosła wzrok na starszą kobietę, siedzącą naprzeciwko niej w kręgu. Kobieta słuchała uważnie, jak wszyscy. Ale Allison widziała, że coś w tej historii ją niepokoi.

Kobieta dobiegała sześćdziesiątki. Ubrana była w tradycyjną granatową spódnicę i białą bawełnianą bluzkę. Miała jasne włosy i zaokrągloną figurę, świadczącą o tym, że nie zawraca sobie głowy odchudzaniem. Allison obserwowała ją prawie od początku sesji.

- Nie przypominali istot ludzkich - Ciągnęła Harriet. - Byli naprawdę dziwacznicy. Wysocy, chudzi, z tymi wielkimi oczami, bez włosów i z szarą skórą. Oczy. Właśnie te oczy widzę, kiedy nie mogę spać. - Harriet popatrzyła na doktor Simons, mała zagubiona dziewczynka. - Tylko te oczy, zawieszony w próżni, zataczające kręgi...

- To zupełnie naturalne - zapewniła ją doktor Simons. Kobieta naprzeciwko Allison zmarszczyła czoło.

Harriet zerknęła na swoje ręce, złożone na kolanach, miętoszące materiał dzinsów.

- Robili mi różne rzeczy. Wbili mi strasznie długą igłę w podbrzusze. Chciałam krzyknąć, coś zrobić. I chyba krzychałam. - Potrząsnęła głową. - Nie pamiętam wszystkiego. Nawet w hipnozie. Dlatego przyszłam do doktor Simons. Moja mama słyszała o tej książce Tajemnicze porwania.

Uśmiechnęła się do doktor Simons, która ujęła ją za rękę.-
Uważała, że taka terapia może pomóc.

- Bardzo dobrze, że przyszłaś - zapewniła ją lekarka. -
Rozumiemy, przez co przeszłaś, Harriet. - Skinęła w stronę innych
członków grupy. -Już nie jesteś sama.

Harriet wybuchła płaczem.

- Moja mama myśli, że zwariowałam. Uważa, że byłam z
chłopakiem albo coś i teraz czuję się winna, więc wymyślam jakieś
dziwaczne historie. - Podniosła oczy pełne łez. - Ale ja tego nie
wymyśliłam. Nawet bym nie potrafiła. Nie oglądam Archiwum-Xam
nic takiego. I Myra. Ona też tam była. Nadal ma koszmary.

Doktor Simons skinęła głową.

- Kiedy zaczęły się te sny?

Starsza pani, której przyglądała się Allison, wstała i wyszła
cicho. Słuchacze nie zwrócili na to uwagi, pochłonięci dziwną
opowieścią Harriet. Nieraz zdarzało się, że członkowie grupy
opuszczali krąg. Doświadczenia innych uprowadzonych były często
bardzo stresujące. Podczas gdy Harriet ciągnęła swoją opowieść,
Allison również wstała i podążyła za kobietą.

Złapała ją przy windzie. Czekały patrząc, jak na tablicy
wyświetlają się kolejne cyfry. Allison uśmiechnęła się, napotkawszy
wzrok nieznajomej.

- Jest pani trochę wytrącona z równowagi - odezwała się, kiedy
kobieta odwzajemniła uśmiech. Allison była o dobre trzydzieści lat
młodsza. - Historia Harriet tak na panią podziałała?

Z początku kobieta nie odpowiedziała. Dopiero kiedy rozległ się cichy dzwonek windy, wyszeptała:

- Chciałam po prostu zapalić papierosa. Pomyślałam, że wyjdę na chwilę.

- Mogę się przyłączyć? - Allison ruchem głowy wskazała balkon na końcu korytarza. - Bardzo sympatyczne miejsce. Można sobie popatrzeć na surfingowców po drugiej stronie autostrady.

Allison wiedziała, że kobieta pójdzie za nią.

Gdy znalazły się na balkonie, przypaliła nieznajomej kobiecie papierosa i patrzyła, jak zaciąga się głęboko. Zauważyła, że ręce jej drżą.

- Jestem Allison - przedstawiła się.

- Mary. - Nieznajoma jakby się trochę uspokoiła. - Mary Wescott. Mary zaproponowała jej papierosa, ale Allison potrząsnęła przecząco głową.

- To może człowieka zabić. - Roześmiała się na widok zdumionej miny Mary. - Chciałam z panią porozmawiać. Nie palę. Dlaczego wyszła pani z sali?

Mary spoglądała w milczeniu na ocean, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Surfingowcy podskakiwali na wodzie niby czarne foki, czekając swojej fali. Ulice zapelniali młodzi ludzie na wrotkach, w strojach plażowych i miłośnicy surfingu w mokrych kombinezach opinających ciała, z deskami wetkniętymi pod pachy. Długowłosa mężczyzna o skórze spalonej na brąz palił trawkę przed błyszczącym nowym Starbuckiem. Wyglądał jak relikwiarz dawno minionych czasów,

kiedy dzielnica znana była bardziej z rozruchów czwarto lipcowych. Przy wejściu na molo jakiś młodzian w sandałach grał na kobzie; pudło instrumentu rozłożone u jego nóg zachęcało do składania datków.

- Historia tej dziewczyny.. - odezwała się po chwili Mary. Skrzywiła się. -Zapisałam się do grupy, bo myślałam, że... - potrząsnęła głową i strzepnęła popiół z papierosa. - Nieważne. Popełniłam błąd, przychodząc tutaj, to wszystko.

Allison przytaknęła, ponieważ wiedziała, co Mary ma na myśli. Przychodziła na sesje doktor Simons regularnie w poszukiwaniu osób właśnie takich jak pani Wescott, osób, u których historie opowiadane przez innych uczestników kręgu wywoływały konsternację. Odwiedzała dziesiątki grup, ale rzadko znajdowała to, czego szukała. Dzisiaj odnalazła Mary.

- Zaczęło się od tego niesamowitego białego światła - powiedziała Allison, patrząc, jak mewy walczą z wiatrem. - Nie pamiętasz nawet, kiedy zatrzymałaś samochód i wysiadłaś. Byłaś sama, a potem, nagle, już nie. To światło, cudowne białe światło otaczało cię, pochłaniało. To było miłe uczucie. Wspaniałe. Jakbyś znowu była dzieckiem w ramionach matki.

Kobieta przestała palić i patrzyła na Allison z otwartymi ustami.

- Oni nie są zielonymi ludkami - Allison odwróciła się ku Mary. - Nie są wysocy, szarzy ani łysi. W ogóle nie są cieleśni. To raczej doznanie -jakby ktoś siedział w twojej głowie i mówił, że cię kocha. I nagle uświadamiasz sobie, że już nigdy nie będziesz samotna.

Papieros wyslizgnął się z palców Mary i upadł na posadzkę.

- Zauważasz pewne zmiany. - Allison wsparła się łokciami o balustradę. - Skóra staje się czystsza, zmarszczki mniej widoczne. Może mąż pyta cię, czy używasz nowych perfum, bo pachniesz tak ładnie. Czujesz się jak na haju. - Roześmiała się. - Nagle stajesz się super kobietą. Twoje zmysły się wyostrzają, nabierają intensywności. I wiesz o ludziach różne rzeczy. Nie czytasz w ich myślach, nie! Ale wiesz, czego im w danym momencie potrzeba do szczęścia.

- Tak! Mój Boże, tak!

- I wiesz, jak im to dać, prawda, Mary? Ludzie lgną do ciebie, są tobą zafascynowani, jakbyś nagle rozwinęła w sobie nieznaną im cechę. Tobie to nie przeszkadza, ponieważ teraz wiesz, co to znaczy być naprawdę kochaną. Masz tę miłość w sobie przez cały czas. I dzięki niej masz tyle do zaoferowania!

Oczy Mary były pełne łez. Zamknęła powieki i uśmiechnęła się z wyrazem niebotycznej ulgi.

- Tylko sny cię niepokoją- ciągnęła Allison. - Mąż mówi, że krzyczysz przez sen. Próbujesz mu wyjaśnić, że to nic złego. Błagasz, żeby cię nie budził. Że to tylko pogarsza sprawę. Musisz wyśnić sen do końca. To niemal bolesne, ta intensywność pierwszego spotkania z nimi. Pamiętasz je,, starasz się być cierpliwa, czekasz. Ale pamięć o nich wraca tylko we śnie.

Kobieta skinęła głową.

- Nigdy nie chcę się przebudzić. Allison sięgnęła do torebki.

- Masz rację, przyście tutaj było pomyłką.

Wręczyła Mary wizytówkę. Wydrukowano na niej wielkimi literami „Millennium”, a poniżej drobnym drukiem adres.

- Oto miejsce, gdzie powinnaś pójść. - Wzięła Mary pod ramię i wprowadziła z powrotem do budynku. Kochała ten moment - kiedy nowy członek odkrywa, że są inni jemu podobni, kiedy stawała się świadkiem ich radości i ulgi. Ona czuła to samo, gdy w końcu znalazła pomoc.

- Następne spotkanie jest w czwartek wieczorem - powiedziała do Mary. - o ósmej.

- Będziesz tam?

- Oczywiście. - Allison wcisnęła guzik windy i patrzyła, jak zapalają się kolejne cyferki na tablicy. - Teraz jestem twoim opiekunem.

Siedzieli obok siebie na winylowej kozetce w restauracji. Przy kawie Sydney opowiedziała mu całą tę żalną historię. Od czasu do czasu James ścisnął jej dłoń. Wiem, jak cierpisz, kochanie. Ten facet to drań.

Ale Sydney nie powiedziała mu wszystkiego. Zachowała swoje małe, brzydkie sekrety. Nie wspomniała o Henrym, swoim pierwszym mężu. Nie powiedziała, że zasługuje na wszystko, co ją obecnie spotyka. Los nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Kazał ci czekać w restauracji, a sam obrabiał panienkę? - Potrząsnął głową. - Nie zasługujesz na to. Nikt na to nie zasługuje.

Przyłożył dłoń do policzka Sydney i obrócił ku sobie jej twarz. Wykorzystywał każdy pretekst, by jej dotknąć, a ona nie miała nic

przeciwko temu. Ta miękka, troskliwa pieszczota jego palców. Od dawna nie dotykał jej tak żaden mężczyzna.

- Zamierzasz puścić mu to płazem? Dlaczego?

Wzięła łyżeczkę oblepioną kryształkami cukru i zamieszała stygnącą kawę. Nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Nie rozumiesz nas, mnie i Russella.

- Sydney! - Wydawał się taki przejęty, z tymi zielonymi oczami, w których płonęła młodzieńcza pasja. - Będę z tobą szczery. To jest Kalifornia.

Masz gościa w garści. Połowa wszystkiego, co posiada, jest twoja. - Kiedy nie odpowiedziała, odwrócił się i zaklął cicho. - Podpisałaś intercyzę!

-Nie.

Gwizdnął cicho i jego brwi wystrzeliły w górę.

- Więc możesz go przyszpilić.

Ten James naprawdę coś w sobie miał. Coś obezwładniająco charyzmatycznego. Jakby w końcu znalazła kogoś, kto ją rozumie...

- Dlaczego ja tu siedzę i ciebie słucham? - Wcale nie zamierzała wypowiedzieć tych słów na głos.

Pochylił się, odgradzając ją ciałem od mrocznej sali. Zbliżył wargi do jej ust.

- Ponieważ zależy mi na tobie.

Pocałował ją delikatnie. Tak czule. Ten pocałunek ją uwiódł, odpowiedziała natychmiast rozchyleniem warg. Och, Boże! To było perwersyjne. Ten młody człowiek pożerał jej usta tak zachłannie, że

nie mogła złapać tchu. Ile czasu minęło, odkąd czuła w sobie tę gorącą falę, jakby chciała czym prędzej podążyć tam, dokąd ten pocałunek mógł doprowadzić.

Odsunął się, pogładził jej szyję, a potem przyłożył palce do miejsca, gdzie bił puls.

- Upłynęło dużo czasu, prawda?

W pierwszej chwili myślała, że mówi o seksie. Faktycznie, minęło dużo czasu. Była rozpalona jego dotknięciem, gotowa. Ale potem uświadomiła sobie, że on nawiązuje do tego, co powiedział wcześniej. „Upłynęło dużo czasu, odkąd komuś na tobie zależało”. Jakie by to było łatwe. Pójść do jakiegoś anonimowego hotelu i słuchać, jak James mówi o miłości. Nagle zrozumiała, co mógł czuć Russell, tę falę adrenaliny wywołaną zainteresowaniem młodej dziewczyny. Wyobrażała sobie, jakie ciało ma James, młode, jędrne, muskularne. Teraz ona była starszym, bogatszym, potężniejszym partnerem. Pławiła się w adoracji młodego człowieka, pragnęła go pochwycić, jakby był cenną nagrodą. Czuła pokusę.

Zamknęła oczy.

-Nie mogę.

Gdyby poszła teraz z Jamesem, byłoby to ostatnim gwoździem do trumny, w której pochowałaby swoje małżeństwo. Stałaby się jedynie plikiem dokumentów dla rady nadzorczej, którą Russell obarczyłby formalnością wypłacania jej alimentów. Tak jak innym jego byłym żonom.

Pochwyciła torebkę i wstała od stolika.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. - Może jednak Henry w swojej dobroci czegoś ją nauczył.

James podążył za nią. Gdy wyszli na ulicę, chwycił ją za ramię.

- Nie odchodź, Sydney. Chcę tylko porozmawiać. Poznać cię lepiej. Chcę ci pomóc.

Ale ona potrząsnęła głową, nareszcie odzyskując rozsądek.

- To nie jestem ja. - Kiedy zdradzała Henry'ego, nie czuła się podła. Ale wtedy zrobiła to z miłości, nie z rozpacz.

- Przepraszam, ale to się nie stanie - powiedziała stanowczo. Nie pozostawiła mu cienia wątpliwości, że mówi poważnie. - Rozumiesz? Nie chcę, żebyś za mną chodził. Nie przyniosłoby to nam nic dobrego.

Alec patrzył, jak Sydney się oddala. Miała taki zabawny, energiczny chód, jakby spieszyła się na ważne spotkanie. Albo przed czymś uciekała. Świetny tyłek, pomyślał z dużym żalem. Wystrychnęła go na dudka, nie ma co.

Skrzywił twarz w grymasie, wyjął papierosa, zapalił. Tak, bez wątpienia zrobiła z niego batona. Wydmuchał kłęb dymu.

-I przy okazji spieprzyła mi cały dzień - mruknął.

16

Cherish siedziała przy biurku w swoim gabinecie, ze słuchawkami na uszach. Słuchała szumu oceanu i wyobrażała sobie, że wchodzi na pokład samolotu. -

Obrazy migały jej przed oczami niby klatki slajdów. Klik, klik i następny. Zobaczyła siebie, jak spogląda w górę długich metalowych

schodów, rozważa następny krok. „Spokojnie, tylko spokojnie”. Słowa przepływają przez nią jak strumień, przynosząc posmak spokoju, każą wierzyć, że tym razem, tak, tym razem... Ale obraz blednie, znika, zastąpiony następnym.

Zobaczyła swoją rękę uczeptioną barierki. Palce próbują wtopić się w metal. Ziemia pod jej nogami zadrżała, umknęła w dół, w imitacji turbulencji. Twarze, pamięta te przerażone twarze - reporter, Henry i Erie - widziała każdą z nich jak w talii coraz prędszej tasowanych kart. Wspomnienia stały się tylko migawkami, zamazaną plamą. Trzy, dwa, jeden.

Cherish zerwała słuchawki z uszu i rzuciła je na biurko. Ukryła twarz w dłoniach. Osunęła się na oparcie fotela, a powietrze zdawało się rozsadzać jej płuca, wciągane z dziwnym świstem.

„Wyobraź sobie, że wypełnia cię białe światło...” Powtarzała w duchu te słowa jak mantrę, próbowała się uspokoić. Ale upłynęło dobre piętnaście minut, zanim znów otworzyła oczy. Poczwała, że łatwiej jej oddychać. Westchnęła i zerknęła na malutkie krążki taśmy, nadal obracające się w magnetofonie.

Wyjęła kasetę, trzymając ją kilka centymetrów od twarzy.

- Kolejna udana inwestycja.

Po katastrofie samolotu poszła, za namową matki, do psychoterapeutki. Kobieta powiedziała jej o kasetach relaksujących i nauczyła ćwiczeń wizualnych, podczas których Cherish miała sobie wyobrazić, że wchodzi spokojnie na pokład samolotu. Gdyby ćwiczenie się nie powiodło, miała sobie wyobrazić, że światło wnika

w jej ciało przez czubek głowy, wypełniając ją ciepłem, i uchodzi palcami. Teoretycznie przejście światła powinno ją odprężyć. Miało ją popchnąć na te metalowe schodki do samolotu.

Pozwoliła, by głowa opadła jej do tyłu. Pamiętała, co powiedział Conor tego ranka, kiedy wywlókł na światło dzienne jej wszystkie lęki. „Jestem tu teraz, Cher. Nie odpychaj mnie. Nie chcesz tego i oboje o tym wiemy”.

Uświadomił jej, że nadal go potrzebuje.

Gdyby tylko mogła wejść do tego samolotu...

Drzwi gabinetu otworzyły się i Lori wsadziła głowę do środka. Oczy ujęte w ramki sztucznych rzęs, rude loki ułożone tak, by tworzyły modne pejsy. Lori rzuciła Cherish jedno spojrzenie, weszła i zamknęła za sobą drzwi.

Cherish uniosła kasetę i uśmiechnęła się słabo.

- Próbować zawsze warto. Lori zerknęła na magnetofon.
- Wiesz, u Bloomindale'a dają prezenty przy zakupie kosmetyków. -A kiedy Cherish się zawahała, dodała: - Chodź! Itak musimy jechać do Newport po te analizy. To po drodze.

Cherish cisnęła kasetę do kosza na śmieci, natrafiła wzrokiem na fotografię Aleca, zmiotła ją z biurka i wrzuciła do tej samej szuflady, w której spoczywało zdjęcie Conora. Zatrzasnęła szufladę nogą.

- Już idę. - Chwyciła torebkę. Zakupy. Najtańsza forma terapii.

Russell minął salę wystawową, nie patrząc nawet na setki modeli w gablotach, obiekty czci publicznej. Każdy model ilustrował kolejny etap wspinaczki Reck Enterprises ku potędze. Dzisiaj jego firma i

przedsiębiorstwa przez nią kontrolowane pokrywały pięćdziesiąt dwa procent zapotrzebowania rynku na satelity i samoloty, zarówno cywilne, jak wojskowe. Nie dziwota, że sala wystawowa pękała w szwach. Wojenne trofea Niszczyciela. Na honorowym miejscu stała jednostka doświadczalna załogowej kapsuły z lat sześćdziesiątych.

Głuchą ciszę wielkiej sali przerywał tylko szum klimatyzacji i echo kroków Russella. Był wtorek, szósta po południu. Zwiedzający wyszli już dwie godziny temu. Gdyby nie strażnik przy drzwiach i człowiek czekający na Russella w środku, sala wystawowa wyglądałaby na miejsce opuszczone, zaludnione tylko przez miniaturowe samolociki, rakiety i satelity.

Russell skierował się w stronę działu satelitów, zdobiących ścianę niby wynaturzone ozdoby choinkowe. Joseph Kinnard stał odwrócony bokiem, z rękami założonymi do tyłu i uniesioną twarzą, jakby naprawdę oddawał się aktowi czci.

Pegaz był najpotężniejszym satelitą, jakiego stworzyła myśl ludzka, obsługującym wszystkie technologie przyszłości: komórki, Internet, pagery. Jego potencjał był nieograniczony. Mając Pegaza, Russell stałby się potentatem świata telekomunikacji.

Rzecz w tym, że technologia, która mogła powołać Pegaza do życia, jeszcze się nie narodziła. Potrzebny był rewolucyjny materiał, włókno tak lekkie i mocne, że można by wysłać potężną konstrukcję bezpiecznie na ziemską orbitę a zarazem przewodzące prąd tak skutecznie, jak nadprzewodnik mikroskopijnych rozmiarów.

- Spójrz na niego, Russell - powiedział Kinnard z nabożną czcią.
- Oto tworzymy imperium telekomunikacji.

W powietrzu zawisła niewypowiedziana groźba. Twoja przyszłość, Russell. Przyszłość twojej firmy.

Kinnard przycisnął palce do kształtnego czoła, jakby próbował zwalczyć migrenę.

-Co słychać?

- Nic dobrego. - Russell czuł, jak cierpnie mu skóra. Miał do przekazania złe wieści. „Kot zjadł kanarka”. Cholera jest przecież dyrektorem naczelnym wielomiliardowej firmy, a nie pachołkiem Kinnarda. - Nie wiem, jak to się stało, ale odczyt telemetrii, który przyniósł Conor, jest prawdziwy. To kopia oryginału.

Po raz pierwszy Kinnard zdradził oznaki zdumienia. Odwrócił się gwałtownie, z rękami założonymi z tyłu, komicznie wytrzeszczonymi oczami, które w tym świetle wydawały się zupełnie bezbarwne.

Rzecz w tym, że sfingowali odczyt telemetrii, zmieniając dane, aby wykazały normalne naprężenia skrzydła. To dlatego Russell zwlekał tak długo z podaniem odczytu do publicznej wiadomości, a nawet do wiadomości podwykonawcy, Marquisa. Dzięki serii genialnych posunięć - strategii wymagającej połączonych mocy Kinnarda i Russella - udało im się dokonać tego w całkowitej tajemnicy. Zamierzali właśnie przekazać poprawiony odczyt Marquisowi, kiedy wlaźł im w paradę Dean White ze swoją

konferencją prasową. „Dowiedzieliśmy się, że nasze ostrzeżenia zostały zignorowane...”

- Jezu Chryste! - Kinnard odwrócił się, jakby tego było już za wiele.

- Mitchell nie ma żadnego doświadczenia z danymi tego rodzaju - dodał Russell prędko. Tego im tylko brakowało, żeby jakiś uniwersytecki cymbał zainteresował się danymi lotu. - Z tego co wiemy, mówił prawdę; nie zrobił nawet kopii.

Kinnard zamknął oczy.

- Czy to wszystko nie wskazuje na Dzikusa? - Miał na myśli Aleca Portera.

Russell wypuścił powietrze, które dotąd wstrzymywał w płucach.

- Obawiam się, że tak.

- Prawdopodobnie ma teraz niezły ubaw, a my jaja w kleszczach. Mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu, w cieniu modelu Pegaza.

- Od tej chwili pozostawiasz sprawę w moich rękach, Russell - powiedział Kinnard.

Chłód przeniknął Russella. To samo przytrafiło się biednemu Henry'emu, pomyślał.

- Chyba trochę przesadzasz, Joseph? Zresztą, kto uwierzy Porterowi? Z jego przeszłością! Potrzebujemy tylko...

Kinnard odwrócił się, z oczami wbitymi w Russella niby dwa promienie lasera.

- Potrzebujemy tylko jednego. Żebyś się wreszcie, kurna, zamknął i zrobił, co ci mówię. Ja podejmę właściwe kroki, a ty się podporządkujesz. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Tak.

Kiedy Kinnard odszedł, Russell wyciągnął chusteczkę. W Bogu nadzieja, że ten drań nie wystawi go do wiatru. Gdyby coś przytrafiło się Mitchellowi albo tej Malone i gdyby powiązano to z Reck Enterprises, dorobek życia Russella ległby w gruzach.

Otarł spotniałe dłonie, mówiąc sobie, że Joseph Kinnard był kiedyś szefem tajnych operacji pieprzonego CIA. Wiedział, co robi. I ten program był ważny dla Josepha. Dla nich obu.

Russell pamiętał, kiedy Joseph po raz pierwszy poruszył z nim temat Ballasa. Eric był bliski odkrycia włókna ostatecznego, węglowych nanorurek. Technologia nano to technologia przyszłości. Tworzywa z nanorurek byłyby praktycznie niezniszczalne, byłyby również dobrymi przewodnikami elektryczności - a więc nie tylko przeniosłyby Pegaza ze sfery marzeń w rzeczywistość, ale mogłyby dokonać rewolucji w komputerach, zmniejszyć ich rozmiary, zwiększyć tempo pracy. Nie można pozwolić, by Ballas posiadał tak ważną technologię, powiedział wtedy Kinnard. Ballas, który oskarżał rząd o hamowanie badań i technologii w przestrzeni kosmicznej. Ile razy Russ słyszał Erica mówiącego, że współpraca z rządem wyrządza nieodwracalne szkody, że rząd ogranicza konkurencją, przyznając lukratywne kontrakty w oparciu o kryteria polityczne? Pieprzyć tego, kto ma najlepszy pomysł.

Ballas chciał odciąć rząd i Kinnard wiedział o tym. Erie wierzył, że załatwi sprawę przy pomocy Rosjan. I niewiele brakowało, by tego dokonał.

Za to Russell zawsze był człowiekiem Kinnarda, tak ściśle powiązany z rządem, że Kinnard mówił mu, kiedy ma pierdnąć. Kinnard przyszedł więc do Russella i obiecał główną nagrodę, klucz do przyszłości. Ale za pewną cenę.

Napierali na niego ze wszystkich stron. Kinnard mu groził, Sydney mu groziła.

Tylko Allison zdawała się go rozumieć. Wciąż rozpamiętywał ich ostatnią wspólną noc, jej wonne obietnice snuły mu się po głowie. „Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy, Russell...”

Oczami duszy widział ją, jak się przywiązuje do tego cholernego łóżka, zupełnie naga. Słyszał słowa padające z pięknych, zmysłowych ust. „Nie możesz sobie pozwolić na rozwód. Ona ma wszystko. Ja nie chcę nic. Niech zostanie panią Russellową Reck. Ale nie może mieć twojego serca, Russ. Ono jest moje”.

Uświadomił sobie, że to prawda. Już nie kochał Sydney. Pragnął tylko Allison.

Allison i Pegaza.

17

Cherish, wsparta o kontuar, patrzyła, jak japoński szef kuchni formuje penisa z kupki ryżu na grillu. Dodał dwie skorupki jajka u podstawy, co wywołało nerwowe chichoty widzów popijających sake.

Penis był nakierowany na jedną z kobiet, ubraną jak dziewczyna z rozkładówki „Playboya”. Kiwała się leciutko na stołku, zdrowo wstawiona. Dla ukoronowania dzieła kucharz wycisnął kroplę białego sosu z plastikowej butelki na czubek ryżowego penisa. Widownia zareagowała owacjami.

Cherish przytknęła wargi do ocukrzanej krawędzi kieliszka. Był wypełniony różową miksturą o nazwie Cosmopolitan. Znała ją z opowieści najstarszego brata, Mike'a. Napój smakował jak poncz, a działał jak wysokoprocentowy alkohol.

Rzuciła niedbałe spojrzenie w drugi koniec baru, gdzie stał Conor, uwięziony między dwoma biznesmenami. Dyskutowali zawzięcie, pogryzając orzeszki. Conor pił piwo, prosto z butelki.

Uśmiechnęła się i upiła łyk Cosmopolitan. Niewiele było rzeczy, których Conor nie cierpiał bardziej niż włóczenia się po barach. I właśnie dlatego przyszła. Skoro Conor chce ją śledzić, będzie musiał pocierpieć.

Cherish miała na sobie wąską, skórzaną spódniczkę do pól uda. Lori namówiła ją na kupno. „Zaufaj mi, Cherish. Wyglądasz w niej o pięć kilo szczuplej”. Muzyka dla kobiecych uszu. Po Conorze pojawiło się kilka pęknięć w zbroi, które Cherish starała się zatuszować za pomocą joggingu i wypraw do sklepów z kosmetykami. To drugie okazało się o wiele bardziej uzależniające niż sport. Obecnie miała już wszystko, czego potrzebuje dziewczyna, by wyglądać „naturalnie”.

Ze spódnicy nie była zadowolona. Nie dało się w niej usiąść wygodnie na stołku barowym i nie zrobić z siebie widowiska. Dotąd nie miała odwagi jej założyć i spódnica leżała upchnięta w szafie razem z innymi nietrafionymi nabytkami.

Lori opuściła rękę i wbiła akrylowe paznokcie w udo przyjaciółki, chcąc w ten sposób zwrócić jej uwagę. Cherish odwróciła głowę. Facet śliniący się nad Lori był niski, krępy, pięćdziesięcioparoletni i miał jaśniejszą skórę w miejscu, gdzie zwykle nosił obrączkę. Koszula rozpięta do pasa ukazywała grubą złoty łańcuch z krzyżem, na wpół zagrzebany w gęstwinie włosów na piersiach.

Lori puściła nogę przyjaciółki.

- Co sądzisz, Cherish? - zagadnęła. Zrobiła wielkie oczy i napisała sobie na czole literę „N” - nieudacznik.

Cherish zareagowała prawidłowo.

- Przykro mi, Lori. Nie zwracałam uwagi. Patrzyłam na Marco. - Ruchem głowy wskazała Conora. - Zastanawiałam się, czy postępujesz mądrze.

- Co przez to rozumiesz? - Lori, uosobienie niewinności, odchyliła się do tyłu.

Cherish zwróciła się bezpośrednio do pana Disco.

- Widzisz tego dużego faceta przy barze?

- Aha. - Pan Disco przyjrzał się dyskretnie Conorowi.

- To były Lori. - Eksmąż Lori był siedem centymetrów niższy od niej, miał niespełna metr sześćdziesiąt. Inżynier, który nie

skrzywdziłby muchy, nie dał jednak szczęścia żonie. Zwłaszcza od czasu, gdy zaczął adorować pewną kobietę poznaną w podróży służbowej. Cherish uważała, że Lori świetnie sobie poradziła w tej sytuacji. Zamiast rozwalić głowę Gary'ego, rozbiła jego komputer za pięć tysięcy dolarów, używszy do tego celu jego kija golfowego.

- Właśnie wyszedł... Kiedy to było, Lori? Jakiś tydzień temu?

Lori przewróciła oczami.

- Nawet nie. - Pociągnęła łyk dzinu z tonikiem. - Marco potrafi być taki upierdliwy.

- Co to znaczy „wyszedł”? - zapytał facet, a oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

- Wyszedł z więzienia - wyjaśniła Cherish. - Siedział za pobicie jakiegoś biedaka, który zainteresował się Lori.

Lori pokiwała smętnie głową.

- Mówi, że jeżeli on nie może mnie mieć, nikt nie dostąpi tego szczęścia.

Facet zerkał dyskretnie na Conora, który w tej chwili wyglądał na kogoś zdolnego do morderstwa. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, stał odwrócony do nich bokiem, ukazując policzek z blizną.

- Nie wiem, Lori - Cherish zbliżała się do finału. - Myślę, że powinniśmy iść już do domu, zanim komuś znowu stanie się krzywda.

Pan Disco zapłacił za swojego drinka, oglądając się już na drzwi.

- To chyba dobry pomysł.

- Dość długo to trwa - powiedziała Lori, mieszając słomką w szklance. Stosowała specjalny kod na określenie mężczyzn w barach. „N” czyli nieudacznik, „G”, czyli gracz. Jak dotąd przy pomocy Conora pozbyły się dwóch nieudaczników i jednego gracza.

- Nie rozumiem, dlaczego uparłeś się przy barach - odezwała się Cherish. Lori wyznawała teorię, że spotka swoją drugą połowę, jeżeli odwiedzi wystarczającą liczbę barów. - Dlaczego nie skorzystasz z serwisu randkowego?

- Daj spokój! „Wysoki, samotny biały mężczyzna szuka odpowiedniej partnerki”. On kłamie, ja kłamię. Potem na moim progu pojawia się Tomcio Paluch i oboje jesteśmy rozczarowani. Należę do osób, które przebierają w pomidorach. Lubię wybrać te najlepsze, zanim dam je do zważenia. - Siorbnęła ze szklanki. - Więc jak długo zamierzasz go tak trzymać na dystans?

- Udaje macho. - Cherish wzruszyła ramionami.

- Rany! Wiesz co? Naprawdę szkoda, że wam się nie udało. To jest pomidor, którego bym chętnie wybrała.

- Skoro lubisz taki typ mężczyzn - odparła Cherish.

- No wiesz, on nie jest przystojny w konwencjonalny sposób - powiedziała Lori ze skupieniem. Zmarszczyła brwi i położyła palec na ustach. -Dobre ciało, to fakt. I ta blizna sprawia, że twarz wydaje się bardziej interesująca, nie sądzisz? Bardziej męska. A może to kwestia ust. Ma ten asymetryczny uśmiech, od którego kobietę przechodzą ciarki. Kiedy się uśmiecha...

- W porządku, Lori, możesz przestać.

-I sposób bycia. Tak, to chyba to. Sama zobacz. W barze jest tłok, a mimo to... - Lori zakreśliła wokół siebie koło. - Jest wokół niego przestrzeń. Jemu nikt nie wchodzi na głowę.

Cherish zerknęła mimowolnie w tamtą stronę i ujrzała Conora popijającego piwo Corona.

Zmarszczyła czoło i odwróciła wzrok.

- Facet ma duże „K”. -Duże„K”? -Kłopoty.

- No cóż, kochanie - powiedziała Lori z uśmiechem. - Wygląda na to, że właśnie stracił cierpliwość. Idzie w naszą stronę.

Cherish nie odwróciła głowy. Nie musiała. Już czuła, jak jeżą się jej włoski na karku.

Zobaczyła, że Lori sięga po torebkę. Wiedząc, co zamierza przyjaciółka, chwyciła ją mocno za rękę.

- Obiecałaś! - Trzymała Lori kurczowo. - Powiedziałaś, że nie wystawisz mnie do wiatru, pamiętasz?

- Kłamałam. A poza tym obiecałam Gary'emu że wrócę wcześniej. -Lori była w zaskakująco dobrych stosunkach ze swoim byłym, zważywszy przyczynę rozvodu. Cherish sądziła, że to ze względu na dzieci. Gary bardzo się przydawał, kiedy Lori chciała wyjść z domu, a opiekunki zawiodły.

Lori zajrzała przyjaciółce głęboko w oczy.

- Musisz to zrobić, Cherish. Rozumiesz to, prawda? Musisz zwyciężyć smoka.

- Zapewniam cię, Lori, że w tej chwili nie muszę pokonywać nikogo. -Cherish nie puszczała jej ręki.

Lori uwolniła się, odginając palec po palcu.

- Wiem, że teraz mi nie wierzysz, ale robię to dla twojego dobra.

Ciao, mała! Daj mu popalić!

Cherish patrzyła, jak Lori znika w tłumie. Sięgnęła po drinka i opróżniła kieliszek jednym łykiem, krztusząc się lekko. Wiedziała, że smok stoi tuż za nią, ale nie zamierzała dać tego po sobie poznać.

- No dobra, idziemy - usłyszała jego głos. Odwróciła się z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Conor? - Rozejrzała się po barze. - Myślałam, że nie lubisz takich miejsc.

Spojrzał na zegarek.

- Brakuje tu tylko muzyki disco. Disco! Dlaczego o tym nie pomyślałam?

- Wychodzimy stąd.

- A niby dokąd mielibyśmy pójść? - zapytała.

- Do hangaru w Edwards. - Rzucił pieniądze na kontuar. - Jeżeli wyjdziemy zaraz, powinniśmy zdążyć. Potrzebny mi kawałek skrzydła, a nie mam wejściówki. Na szczęście dla nas wszystkich. - pociągnął ją za rękę - ty masz.

„Potrzebny mi kawałek skrzydła”.

Jakby to było takie proste. Wystarczy wejść do strzeżonego budynku, mijając strażnika uzbrojonego w M-16. A potem zabrać kilka odpadów, które są skrupulatnie ewidencjonowane właśnie dlatego, żeby nie wyparowały z zakładów.

Kaszka z mlekiem.

Księżyc zalewał płytę lotniska i wieżę kontrolną niesamowitym światłem. Baza lotnicza Edwards leżała w korycie wyschniętego jeziora; kilometry równiny otoczonej drzewami i bylicą. Przed pięćdziesięcioma laty Chuck Yeagar złamał tutaj barierę dźwięku w czymś w rodzaju rakiety ze skrzydłami. Jaskrawopomarańczowy Bell X-1, ze słowami „Glamorous Glennis” wymalowanymi na nosie, nadal wisiał w muzeum przestrzeni kosmicznej w Smithsonian. Dzisiaj w Edwards lądowały promy kosmiczne, był to również poligon eksperymentalny dla samolotów Air Force i NASA, miejsce, gdzie rozbił się drugofazowy prototyp WingMaster,

Znajdowali się na parkingu tuż przed głównym pasem startowym, dziesięć mil za główną bramą. Dotarli tu dzięki przepustce Cherish. Gdzieś z boku majaczył trzydziestometrowy hangar, w którym umieszczono szczątki zebrane z miejsca katastrofy. Była to normalna procedura przed orzeczeniem przyczyn awarii.

Dochodziła ósma wieczorem, Conor pokonał drogę do Edwards w rekordowym czasie i Cherish pożałowała wypitego drinka. Federalni i inspektorzy wojskowi powinni już skończyć pracę... Im mniej ciekawskich oczu, tym lepiej.

Pracownicy poszli do domu, ale ochrona pozostała. Wyniesienie z hangaru choćby kawałka papieru było niemożliwe. –A jednak tu jesteśmy - powiedziała.

Conor przerzucił kilka kartek notesu zapisanego gęsto liczbami.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - zaprotestowała Cherish, po raz setny obciążając spódnice.

- Ujdzie.

Serce waliło jej w piersiach, jakby ono również nie mogło uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Przyjeżdżając tu w środku nocy, machając strażnikowi przepustką w bramie, miała wrażenie, że znalazła się w filmie z James Bondem.

- Może powinniśmy ustalić hasło czy coś w tym rodzaju.

- Kogut pieje o świcie. - Conor schował notatnik i pchnął ją lekko naprzód.

- Patrzcie państwo, co za poczucie humoru! - mruknęła. Ruszyła w stronę hangaru, trzymając się zacienionych miejsc.

Byli w połowie płyty, kiedy Conor kazał się jej zatrzymać. Przyciągnął dziewczynę blisko i wyszeptał jej wprost do ucha: To tylko zwiad, Cher. Nie ryzykuj. Będę czekał na ciebie w samochodzie.

Po czym zniknął.

Cherish zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła przed siebie.

Nie kryj się. Nie przysłaś kraść. Miała prawo tu być.

Przy wejściu do hangaru czekał wartownik z M-1 6. W olbrzymich, harmonijkowych drzwiach mieścił się odrzutowiec cargo normalnej wielkości. W tej chwili zielonkawe wrota były opuszczone, wartownik pilnował zwykłych drzwi, wyciętych w gigantycznym panelu. Były otwarte, ale zagrodzone łańcuchem.

Idąc w stronę strażnika, wyciągnęła przepustkę.

- Jestem z Marquisa. - Szła dalej, jakby nie było nic dziwnego w tym, że wchodzi do hangaru o ósmej wieczorem, ubrana w skórzaną

minispódniczkę i pantofle na wysokich obcasach. Czuła się jak Mata Hari.

Strażnik zagroził jej drogę.

- Przykro mi, ale to zastrzeżony teren.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że to samolot jej firmy leży w kawałkach na podłodze.

- Panna Malone? - odezwał się głos z wnętrza hangaru. Wydał się jej znajomy, ale rozpoznała mężczyznę dopiero, gdy podszedł do łańcucha zagradzającego przejście. Wysoki, przystojny, w typie hiszpańskim, ubrany w klasyczny garnitur w białe prążki.

Luis Lebredo, agent FBI, który zdominował wczorajsze zebranie w kwaterze Russella.

- Wydawało mi się, że rozpoznaję pani głos - powiedział.

- Pan Lebredo. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Nie spodziewałam się pana tutaj.

- Ani ja pani. - Skinął głową strażnikowi i ten zdjął łańcuch. - Panna Malone z pewnością jest na liście osób upoważnionych. Chce pani wejść i się rozejrzeć?

Przypomniała sobie, co powiedział Conor. „Nie ryzykuj”. Ale zamiast wycofać się, Cherish, weszła do hangaru, a Lebredo umocował łańcuch.

- Co pan tu właściwie robi? - Postanowiła ruszyć do ataku, na wypadek gdyby Lebredo sam miał ochotę zadać jakieś pytania. - Wyřęcza pan komisję dochodzeniową? To zespół powołany do

badania takich właśnie przypadków. Są neutralnymi ekspertami w dziedzinie katastrof lotniczych.

Konstrukcja prototypu majaczyła za nimi niby potężne ranne ptaszysko. Inżynierowie dołączyli oderwane części kadłuba do dźwigarów, próbując odtworzyć samolot i zbadać naturę uszkodzenia. XC-23, prototyp odrzutowca cargo, był stosunkowo niewielki, o połowę mniejszy od Boeinga C-17 Globemaster. Pierwszy i drugi prototyp zostały wykonane w skali jeden do dwóch. Zgodnie z założeniami programu pełne wymiary miał osiągnąć dopiero model ostateczny, który montowano obecnie w zakładach Recka w Palmdale.

Hangar przypominał aluminiową pieczarę na stalowych dźwigarach. Szczątki skrzydeł leżały na podłodze po obu stronach kadłuba niby fragmenty układanki. Cherish podeszła do skrzydła leżącego najbliżej drzwi. Rozejrzawszy się, dostrzegła kilka odłamków tak drobnych, że zmieściłyby się we wnętrzu dłoni.

Nie miała pojęcia, jak je zwędzi na oczach Lebrede.

- Śledztwo prowadzi FBI. - Agent stanął obok niej. - Mamy własny, wyszkolony personel.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego. - A co z Marquidem?

Zostaliśmy wyeliminowani?

Wyglądał na rozbawionego.

- Szuka pani materiału do oświadczenia prasowego?

- Oczywiście! Marquis jest niewielką firmą. Jeżeli ludzie uwierzą, że jesteśmy celem jakiegoś szalonego terrorysty, zaczną

zadawać pytania. Skoro jeden z samolotów Marquisa się rozbił, czy pozostałe są bezpieczne? To mogłoby być katastrofalne dla firmy. - Postąpiła krok w jego stronę, podniosła głos. - Aż do chwili, gdy to zostanie ustalone, przyszłość firmy stoi pod znakiem zapytania. W każdej chwili nasi klienci mogą zacząć się wycofywać z już zawartych kontraktów, twierdząc, że brak publicznego zaufania do naszych produktów uniemożliwia sprzedaż samolotów z firmowym skrzydłem Marquisa.

Gestykulowała żywo, naśladując Lori. Odwróciła się, jakby chciała wskazać kadłub, i torebka wysunęła się jej z dłoni. Miała nadzieję, że wyglądało to na przypadek. Kosmetyki firmy Lancôme, w takim asortymencie, że mogłaby na ich bazie otworzyć niewielki sklep, rozsypały się na wszystkie strony.

-Cholera! - W jej głosie zabrzmiała szczerza troska. Przykucnęła, żeby podnieść kosmetyczkę, cień do powiek Duo i dwie pomadki, wdzięczna za zeszłoroczny amok kosmetyczny. Mnóstwo dobra potoczyło się po podłodze i zmieszało z odłamkami skrzydła. Sięgając po puderniczkę, zgarnęła jednym ruchem kawałek pokrycia tej samej wielkości i ukryła w dłoni. Modliła się, żeby Lebreto nic nie zauważył.

Wstali oboje, Lebreto podał jej kilka przedmiotów, które podniósł. Cherish wrzuciła je do torebki, gdzie chwilę wcześniej ukryła odłamek. Spojrzała na agenta, czekając na jakąś gwałtowną reakcję z jego strony. Ale on patrzył na nią bez emocji.

- Przepraszam, że się uniosłam - Zaczerpnęła głęboko powietrza. Jedną ręką przyciskała do siebie torebkę, drugą przyłożyła do skroni, jakby nekłała ją migrena. Przez cały czas coś krzyczało jej w głowie: „Mam kawałek pokrycia! Federalny stoi tutaj, a ja mam kawałek pokrycia!” ,

- Nie powinnam tu przychodzić. Nie w tym stanie rozdrażnienia.
- Miała nadzieję, że Lebreto nie słyszy walenia jej serca. - Tylko nie odcinajcie nas od informacji, dobrze?

- Dowiedcie się wszystkiego, co musicie wiedzieć.

- Tego się właśnie obawiam.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi, oczekując, że w każdej chwili Lebreto zawoła: „Stop! Złodziejka!” Przeszuka jej torebkę, A może to była pułapka. Czekał aż ona wyjdzie na zewnątrz, a potem ją zatrzyma, złapie na gorącym uczynku.

- Panno Malone!

Była metr od wyjścia. Odwróciła się, próbując zachować obojętność. Podszedł, ujął Cherish za rękę i położył na jej dłoni szminkę.

- Znalazłem to pod kadłubem.

- Dzięki - powiedziała z uśmiechem. - Wenus - wymieniła nazwę koloru. - Zeszłoroczny model. Kurczę, w tej chwili już nie do zdobycia!

Wstrzymywała oddech do chwili, gdy znalazła się w samochodzie. Wślizgnęła się do wozu i zamknęła za sobą drzwi.

- Ruszaj! - nakazała.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Nie powiedziała słowa aż do chwili, gdy minęli bramę i ruszyli w stronę autostrady.

- Masz? - zapytał.

Uniosła odprysk poszycia o średnicy dwunastu centymetrów.

- A jak myślisz, misiu!

18

Fragment skrzydła leżał między nimi na ladzie, tuż obok małego notesu wielkości dłoni Cherish. Do tego właśnie notesu zaglądał Conor w drodze do Edwards. Chociaż nowy - papierowa naklejka z ceną błyszczała jeszcze bielą - był już w połowie wypełniony notatkami, wykresami i obliczeniami. Conor odrobił lekcje.

Wziął do ręki odprysk, obrócił w palcach.

Byli u niego, w domu wtulonym w kameralne wzgórza nad Chino. Siedzieli na wysokich stołkach, prawie takich samych jak te w barze, który opuścili przed paroma godzinami. Od tamtego czasu świat przewrócił się do góry nogami. Minęła dziesiąta wieczór.

- Wtedy zacząłem się zastanawiać... - Conor przedstawił Cherish swoje obliczenia, a teraz omawiał wnioski takim tonem, jakby przeprowadzał obronę pracy doktorskiej. - A jeżeli nie zmienili projektu, tylko materiał?

Cherish ostrożnie chwyciła odłamek, żeby się nie skaleczyć o ostre krawędzie. Przypominał cienki, twardy kawałek połyskliwego włókna szklanego, o brzegach postrzępionych jak oberwany rąbek spódnicy. Ciemnoszara farba złuszczyła się niemal całkowicie.

- Jest w tym coś dziwnego. - Zmarszczyła brwi. Conor uśmiechnął się lekko.

- Bardzo dobrze!

Przez chwilę zastanawiała się, jakie to uczucie być jedną z jego studentek pierwszego roku inżynierii. Może spodziewałaby się nudnego semestru, może nawet żałowała, że się zapisała. Potem do sali wykładowej wchodzi on, Profesor Przystojniak. „Będę prowadził zajęcia z analizy strukturalnej...”

Do czego byłaby zdolna, żeby zainteresować go sobą, sprawić, by spojrział na nią z tym seksownym uśmiechem i powiedział: Bardzo dobrze!

- Popatrz na kolor, Cher.

Dostrzegła niezgodność w chwili, gdy zwrócił jej na to uwagę.

- Ma lekki srebrzysty połysk.

Wszystkie tworzywa, z którymi miała dotąd do czynienia były prawie czarne. W procesie utwardzania grafitowe włókna nadawały materiałowi odcień bardzo ciemnego brązu.

Conor uśmiechnął się ponownie, oczy błyszczały mu podnieceniem.

- Cały czas wracałem do danych lotu, ogromnego naprężenia na skrzydła. Co mogłoby wytrzymać taki napór?

Uśmiechnął się szerzej i lewy kącik ust znalazł się dobry centymetr wyżej niż prawy. Lori nie pomyliła się. Facet miał w sobie coś.

- Myślę, że to nanorurki - powiedział.

Chwilę trwało, zanim skojarzyła nazwę. Większość inżynierów nigdy nie słyszała tego terminu. Ale ona go znała, oczywiście! Dzięki współpracy z Erikiem.

Nowoczesne tworzywa zespolone stanowiły dziedzinę, która nabrała szczególnego znaczenia w ostatnich dwudziestu latach. Zaczęło się od włókna szklanego, plastyku wzmocnionego szklaną nicią. Potem zastąpiono je grafitem, podobnym do tego, który Erie wykorzystał przy produkcji XC-23

WingMaster i w innych przedsięwzięciach. Jednak przyszłość należała do syntetycznego metalu.

R. Buckminster Fuller był amerykańskim wynalazcą, filozofem, pisarzem i matematykiem, który zasłynął koncepcją Ziemi - statku kosmicznego oraz jako pionier kopuły geodezyjnej, stylu architektonicznego. Cząsteczka karbonu 60, sześćdziesiąt atomów węgla zamykających mikroskopijną przestrzeń, stała się teraz przebojem z racji swego geodezyjnego kształtu. Sformułowano hipotezę, że można przeciąć tę sferę na pół i dodać dziesięć atomów węgla w formie pasa biegnącego przez jej środek. Umieściwszy te atomy między połowami wydłużało się sferę do kształtu jajka i osiągało karbon 70. Dodając kolejne pasy po dziesięć atomów, jeszcze bardziej rozciągało się sferę i tworzyło rurkę, włókno ciągłe.

Nazwano je nanorurkami. Były mocniejsze niż wszystko, co dotychczas wynaleziono. W zasadzie było to włókno diamentowe. Gdyby zastosować je w epoksydach zamiast włókna węglowego, otrzymałoby się coś, co w języku potocznym zwie się - ze względu na

swój srebrzysty połysk -metalem syntetycznym. To tworzywo było kilka razy mocniejsze i sztywniejsze, a także znacznie lżejsze niż materiały wytwarzane na bazie grafitu.

Tyle że nikt nie potrafił wytworzyć nanorurki dłuższej niż ułamek milimetra. Produkowanie dłuższych było jak na razie niemożliwe.

- Długie włókno? Szkoda gadać! - powiedziała.

- Co właściwie Erie kazał ci robić w Marquis?

- To rzeczywiście były materiały zespolone. Ale nic wielkiego. -

Erie i Rosjanie doszli jedynie do wytwarzania nanorurek nie dłuższych niż ułamek milimetra. - Mieszali je z epoksydami, próbując stworzyć nowe włókno. Erie chciał, żebyśmy znaleźli sposób na przewyciężenie tych trudności. Mieliśmy opracować model strukturalny i stwierdzić, jak ten materiał mógłby zostać wykorzystany w konstrukcji samolotu.

Obróciła w dłoni kawałek srebrzystego tworzywa.

- Ale moje badania wykazały, że użycie wiskerów nie przynosi specjalnych korzyści. Miałam nadzieję, że program będzie kontynuowany, że zbadamy inne możliwości, ale pojawił się XC-23 i program skasowano.

Ujął jej dłoń i przytrzymał mocno w swojej.

- A jeżeli Erie dotarł o wiele dalej niż do wiskerów, nad którymi kazał ci pracować? Jeżeli on i jego Rosjanie odkryli sposób wytwarzania włókna sztucznego z nanorurek?

- To niemożliwe - wyszeptała. - Otrzymałby tworzywo odpowiednie do budowy samolotu. Metal syntetyczny.

- Więc pracuje w twojej firmie, sprawdza zakres zastosowania wiskerów, a jednocześnie prowadzi własne badania. Może Rosjanie znaleźli sposób łączenia nanorurek.

Cherish potrząsnęła głową. To było niemożliwe...

Pamiętała, kiedy po raz pierwszy usłyszała o nanorurkach. Arthur C Clarke w jednej ze swoich książek opisał windę, która kursowała między Ziemią a kosmosem. Koniec z promami kosmicznymi. Wystarczyło wcisnąć guzik i wysiadało się na następnym piętrze, niższej orbicie ziemskiej. Ta winda chodziła na linie. Książka należała do gatunku science fiction, ponieważ nie istniał materiał, z którego można by wykonać taką linę. Nie było nanorurek.

- Ale skąd to się znalazło w naszym samolocie? - zapytała. - W jaki sposób Reck Enterprises mógł zmienić materiał, nie zawiadamiając nas o tym? To my zaprojektowaliśmy skrzydło!

- Prototyp został wyprodukowany w zakładach Recka. Powiedzieli wam: używamy takiego a takiego tworzywa, podali zestaw właściwości. Wy opracowaliście projekt. Reck mógł zmienić materiał bez waszej wiedzy. Żeby to stwierdzić, trzeba wykonać próby.

Jeszcze raz przyjrzała się odłamkowi. Na pierwszy rzut oka przypominał tworzywo grafitowe. Można by przyjąć, że jest to odmiana typowego materiału. Inżynierom z dochodzeniówki nie

przyjdzie nawet do głowy poddawać go jakimś testom. Mieli dość roboty i bez tego.

Conor pochylił się do przodu, a ponieważ nadal trzymał ją za rękę, musiała wykonać ten sam ruch.

- Zastanów się, Cher. Gdybyś wynalazła rewolucyjny materiał, w jaki sposób próbowałabyś to ukryć?

- Staralabym się, żeby informacja nie wyszła poza macierzysty zakład. Potrząsnął głową.

- Takie rzeczy zawsze się rozchodzą. Szpiegostwo przemysłowe. Przecieki. Ktoś się dowie i rozpoczyna się wyścig na rynek. A gdyby tak ogłosić, że w ogóle nie prowadzi się takich badań?

- Nikt by nie szukał wyników. - Popatrzyła na swoje dłonie. Conor trzymał je w swoich. Dobrze, że chociaż teraz mogą zapomnieć o nieporozumieniach i pracować razem. - Jak byś to ukrył?

- Myślałem o tym. W jaki sposób takie przedsiębiorstwo jak Reck Enterprises mogłoby prowadzić całkowicie tajne badania? Odpowiedzią jest Joseph Kinnard. Człowiek od dziesięciu lat odpowiedzialny za badania, były szef tajnych operacji CIA. Bóg raczy wiedzieć, jakie on ma możliwości. Znają się z Russellem Reckiem od dawna.

Próbowała sobie wyobrazić machinacje, jakich by to wymagało. Kontrakty rządowe były ściśle kontrolowane. Konstrukcja XC-23 WingMaster wymagała mnóstwa papierkowej roboty i całej brygady ludzi.

Ale jeżeli ktoś mógłby to zrobić...

- Głosuję za Josephem Kinnardem - powiedziała.

- Właśnie. I tu wchodzisz ty. Pracujesz z Erikiem nad programem, który nie dość że pachnie pieniędzmi, to pozwoli zdobyć rewolucyjną technologię. Ale on pokazał ci tylko czubek tego, co chował w rękawie. Wiskery okazują się mało przekonujące, niewarte dalszych badań, jeżeli pojawi się coś lepszego.

-I pojawiło się - powiedziała, nie odrywając wzroku od malutkiego kawałka tworzywa. - Najpierw Reck wynajął firmę Erica do prac przy XC-23. Potem dołączono do ekipy Marquisa. To był lukratywny kontrakt i wszyscy byli zadowoleni.

- A kto stworzył tę spółkę? -Kinnard... Reck.

- Może wiedzieli, że Erie jest na drodze do wynalezienia tworzywa z nanorurek, czegoś o wiele lepszego niż wiskery.

- Czujesz smrodek? - zapytała.

- Niewątpliwie. -Co zrobimy?

- My nie zrobimy nic. - Puścił jej dłoń, wstał, zabrał z lady odłamek skrzydła i wrzucił do szufladki przy telefonie. - W każdym razie nie teraz. Jutro przeprowadzę kilka testów u siebie w laboratorium. Wkrótce się dowiemy, co to takiego.

Nie zamierzała z nim dyskutować. Tworzywa to była jego domena; w tej branży robił za eksperta. Ale nie podobał się jej sposób, w jaki wsunął odłamek do tej szuflady. Jakby ona nie miała w tej sprawie już nic do powiedzenia. Ty pójdziesz górą, ja doliną.

- Na czym będzie polegała moja rola?

- Teraz już sam dam sobie radę. - Oparł się o ladę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, James Bond w chwili relaksu. - Zrobiło się trochę późno. Za późno, żeby jechać do ciebie. Wskakujemy do łóżka? Czy mam być dżentelmenem i zaproponować, że będę spał na kanapie?

- Ach, rozumiem! - Strzeliła palcami, jakby nagle ją oświeciło. - Jestem Księżniczką w Opałach. Siedzę tu, i wyłamuję sobie palce i pozwalam, żeby sprawą zajął się mężczyzna, podczas gdy Reck Enterprises robi z Marquisa mielonego. - Zsunęła się ze stołka i ruszyła w stronę telefonu. - Po namyśle postanowiłam jednak zabrać mój fragmencik skrzydła.

Pochwycił ją, zanim dotarła do szuflady, otoczył w talii ramionami i obrócił ku sobie.

- Posłuchaj! Coś tu naprawdę śmierdzi. Zamachy bombowe? Dziwne tworzywa zespolone, o których nikt nie wie? Nie mieszaj się do tego, Cher!

- Już jestem w to zamieszana. - Oparła mu ręce na ramionach i próbowała odepchnąć.

- Nie będziesz, jak długo ja mam tu coś do powiedzenia.

Uniósł ją ku sobie i trzymał, tylko trzymał, potem jego wzrok zsunął się z jej oczu na usta.

Poczuła, że serce w niej zamiera, zwyczajnie przestaje bić.

- Nie rób tego - powiedziała, zdając sobie sprawę, że dyskusja przybrała niespodziewany obrót. I mimo protestu odchyliła głowę. Zrobiła to zupełnie bezwiednie. - O rany!

To było zielone światło. Większej zachęty Conor nie potrzebował.

Pocałował ją. Był to dalszy ciąg ze stołu bilardowego, pchała ich ku sobie ta sama świadomość, że przynajmniej w tym są dobrzy. Była to drobna wyrwa w tamie. Conor wiedział, że wszystko stracone.

Teraz już nigdy się nią nie nasyci.

Cher odsunęła się, zrobiła krok do tyłu, łapiąc oddech.

- Nie zrobię tego, Conor. - Pogroziła mu palcem na znak, że powinien się wstydzić, i postąpiła jeszcze kilka kroków do tyłu. — Sama siebie nie poznaję, jakbym była sobie obca. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Raz jestem rozpalona, raz zimna jak lód. Przy tobie w ogóle nad sobą nie panuję. Zmieniasz mnie w jeden wielki hormon. Musimy nad tym jakoś zapanować!

Szedł ku niej, w parodii tańca. A może był to ich własny prywatny taniec. Ona miała swój punkt widzenia - on swój. Nie chciała go słuchać, nie dostrzegła zagrożenia. Jeżeli faktycznie między Erikiem a Reckiem istniał konflikt, Cherish była brakującym ogniwem, jedyną osobą zaangażowaną w oba programy. Kimś, kto doda dwa do dwóch i wykaże, że to Reck jest czarnym charakterem w tej historii.

Bardziej jeszcze niepokoił Conora Joseph Kinnard. Rządowa persona w stu procentach. Jeżeli Kinnard zapędzi ich w kozi róg, nie będą mieli do kogo zwrócić się o pomoc. W każdym razie nie do policji i nie do FBI.

A Cherish zachowywała się tak, jakby nie istniał powód do zwinienia żagli. Zmusiła go, żeby za nią chodził po barach, patrzył, jak się śmieje, flirtuje i pije z różowego kieliszka, w tej cholernej obcisłej spódnicy. Jak długo mógł siedzieć i patrzeć na jej długie nogi i zastanawiać się, razem z resztą mężczyzn na sali, czy uda się zobaczyć coś więcej.

O tak,, niebezpieczeństwo było bardzo realne. Sami je wytwarzali, otaczało ich ze wszystkich stron, pchało ku sobie, jak wtedy po katastrofie, przed półtora rokiem. I nagle zrozumiał, bez cienia wątpliwości, że od tej chwili skończyły się wahania temperatury w ich związku. Koniec z zabawą zimno, ciepło. Od tej chwili będzie gorąco. Cała naprzód!

Chwycił Cherish za rękę.

- Chodź tutaj, Cher.

Zobaczył, jak oczy jej ogromnieją w nagłym zrozumieniu tego, co się dzieje. Gorąco. Upalnie. Trzy tysiące stopni. Musiał z nią być. Cher rzuciła na niego czar. Tymi niekończącymi się listami. „Nie puszczę cię, Conor. Nie ułatwię ci tego! Nie tym razem!”

Uwolniła dłoń z jego uścisku i umknęła. Z lady porwała jego kluczyki od wozu i pobiegła do drzwi. Ale był tuż za nią, chwycił siatkowe drzwi, zanim trzasnęły. Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki samochodu i wyciągnął Cherish na zewnątrz.

- Nie mogę tu z tobą zostać! - Wyrywała się z całych sił.

- Nie masz wyboru.

Dała nura pod jego ramieniem i cisnęła kluczyki do ogródka. Pogonił za nią przez wilgotną trawę. Nie miała butów, co dawało mu przewagę.

Chwycił ją w pól i upadli oboje na ziemię z głośnym stęknięciem. Kopała, ale Conor odwrócił ją i rozłożył na łopatki. Próbowwała zrzucić go z siebie, ale było już za późno. Jego dłonie powędrowały pod jej bluzkę. Ściągnęła ją i cisnęła mu w twarz. Uwolniła się kilkoma ruchami bioder i znowu poderwała do ucieczki. Złapał ją za kostkę u nogi, upadła na trawnik. Odwróciła się, tym razem, żeby go całować. Zaczęła ściągać Conorowi koszulę, a kiedy był w nią omotany, wyczołgała się na wolność. Odrzucił koszulę i złapał Cherish ponownie.

- Nienawidzę cię! - zawołała.

- Wiem - odparł spokojnie.

Znów go całowała, wkładając w to całą siebie. W tym byli dobrzy. W tym byli zawodnikami klasy A. Podnieśli się z ziemi, jednym zgodnym ruchem, nie rozłączając warg. Cherish padła mu w ramiona, owinęła nogi wokół jego talii, rękami oplótła szyję. Tak zaniósł ją do domu.

Nogą zatrzaskał za nimi drzwi. Położył Cherish na podłodze przed kanapą, ona odpięła mu dżinsy, on zdjął jej stanik i majteczki pod skórzaną spódnicą.

- To wariactwo - powiedziała.

Leżał pod nią, oparty plecami o kanapę, mając po obu stronach jej ręce wsparte o brzeg sofy.

- Zawsze tyle mówisz?

Uwolnił się od dżinsów i posadził sobie Cherish na udach. Dłonie miała w jego włosach, na jego twarzy. Czuł jej paznokcie na skórze, kiedy zacisnęła wargi na jego dolnej wardze i zaczęła opuszczać się coraz niżej.

W tym momencie usłyszał jakiś dźwięk, jakby ktoś wciągnął ze świstem powietrze. Otworzył oczy i spojrzał ponad ramieniem Cher.

W drzwiach wejściowych stał jego siostrzeniec, Chris.

Dziesięcioletni chłopiec trzymał pod pachą teleskop, który Conor dał mu w zeszłym roku na Gwiazdkę. Najpierw poczerwieniał jak rak, potem zbladł tak bardzo, że na twarzy wystąpiły mu wszystkie piegi. Oczy miał utkwione w Cherish klęczącej nad Conorem, nagiej, jeżeli nie liczyć minispódniczki.

Potem odwrócił się i wybiegł.

Cherish stoczyła się z Conora na podłogę. Chwyciła z kanapy poduszkę i przycisnęła do piersi. Conor odchylił głowę na kanapę.

- Lepiej idź za nim - powiedziała Cherish.

-Aha.

Wciągnął dżinsy i wyszedł na zewnątrz poszukać koszuli. Narzucił ją na siebie i ruszył przez trawnik do domu siostry. Chciał zapukać, potem pomyślał, że wszyscy i tak są już pewnie na nogach.

Znalazł ich w salonie. Marca, Geenę i Chrisa.

- Wszystko w porządku, Chris? - zwrócił się Conor do siostrzeńca.

- Jasne. - Chłopiec spuścił wzrok, po czym wzruszył ramionami.
- To było takie dziwne. Przepraszam, że wszedłem bez pukania.
Zapowiadali na dzisiaj deszcz meteorytów. Pomyślałem, że może
wyjdziemy popatrzeć.

- Marc, zabierz Chrisa do jego pokoju - powiedziała Geena.
Jej ton, bardziej nawet niż porozumiewawcze mrugnięcie Marca,
zapowiadał scenę. Ale odczekała, aż jej mąż i syn opuszczą pokój,
zanim przystąpiła do ataku.

- Myślałeś kiedyś o zamykaniu drzwi? - Drżała z gniewu.
Przemierzała pokój z rękami skrzyżowanymi na piersiach, tam i z
powrotem, tam i z powrotem. - Jestem zawsze taka ostrożna. Dla ich
dobra. - Tam i z powrotem. -Nigdy nie myślałam, że muszę również
pilnować ich wujka. Niech cię lichy!

- Jesteś wściekła, ponieważ zobaczył kobiece piersi, czy dlatego,
że byłem z Cherish?

Geena przerwała marsz i wbiła spojrzenie w brata. Poczciwa, do
rany przyłóż Geena, ze swoim świdrującym spojrzeniem.

- Masz rację.

Odwróciła się i nie mówiąc już ani słowa, wyszła z pokoju. Po
chwili usłyszała trzaśnięcie siatkowych drzwi.

Marc wrócił z sypialni syna i spojrzał w stronę kuchni, pytająco
unosząc brwi.

-Poszła tam?

Conorowi drgały mięśnie zaciśniętych szczęk. W wyobraźni widział jak siostra maszeruje przez podwórko, lokomotywa pod pełną parą.

- W taki czy inny sposób Geena musi to z siebie wyrzucić - powiedział, ku własnemu zaskoczeniu.

Szwagier poklepał go po ramieniu.

- Chrisowi nic nie jest. Geena jest nadopiekuńcza wobec niego i wobec ciebie. Kurczę, właśnie podpisała zgodę na to, żeby dzieciak uczył się wychowania seksualnego w szkole. - Marc błysnął zębami w uśmiechu. - Teraz może mieć lekcje poglądowe.

- Dzięki, Marc.

Conor zastanawiał się, do którego kontaktu wsadzić palec najpierw. Chris? Cherish? Znał swoją siostrę. I znał Cherish. To będzie piekielna scena. Przeczesał palcami włosy i skierował się do sypialni.

- Porozmawiam z Chrisem - powiedział, po raz pierwszy w życiu pozwalając, by ktoś inny objął ster.

Zanim Geena dotarła do drzwi, Cherish zdążyła się ubrać i siedziała na kanapie, czekając. Nie spodziewała się Geeny. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czego się spodziewa.

Geena obeszła stół do kawy i stanęła naprzeciwko Cherish. Ta ostatnia miała przemożne uczucie, że siostra Conora poddaje ją oględzinom i że wypadły one niezadowolająco. Czyli wszystko po staremu.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedziała Cherish.

- Dlaczego nie zostawisz go w spokoju, do ciężkiej cholery?!
Cherish wiedziała, kim jest ten „on”. To spotkanie nie miało nic wspólnego z synem Geeny.

- Więc od razu przystępujemy do rzeczy? - zapytała. - To bolało. Bardzo. - Nigdy nie aprobowałaś mojego związku z Conorem.

- Kobieto, jesteś jego życiowym błędem.

- Więc musiało ci nieźle ulżyć, kiedy umknął spod ołtarza. - A ponieważ cierpiała, dodała: - Bądźmy ze sobą szczerze, Geena. Nie chodzi ci o to, żeby chronić brata. Chodzi o to, że jesteś o niego zazdrosna. Nagle przestałaś być ośrodkiem jego życia i nie mogłaś tego znieść.

Geena wyglądała tak, jakby dostała w twarz. Cofnęła się o krok. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy sprawił Cherish ulgę. Nie przyjrzałaś się sobie zbyt uważnie, co, staruszek?

Punkt dla Cherish.

Ale Geena nie zamierzała się poddać.

- Nie miałyby to dla mnie znaczenia, gdybyś potrafiła dać mi szczęście.

- Próbowałam.

- No cóż, wygląda na to, że nie sprostałaś zadaniu.

Cherish poczuła wzbierający gniew, brzydki, gorący. Ale nie potrafiła odeprzeć słowami ataku Geeny, nie miała żadnej broni.

- Nie mogę uwierzyć, że siedzę tutaj i tego słucham - powiedziała. Wstała, żeby wyjść.

-Siadaj!

Geena była absolwentką szkoły wojskowej. Cherish usiadła, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. Takiego tonu używa kobieta, która chce ukończyć akademię lotniczą. Niewykluczone, że używa go również kobieta, która jest matką trzyletnich bliźniąt.

Siostra Conora obeszła pokój, z oczami cały czas utkwionymi w Cherish. Ale nie było w nich już tyle gniewu. Geena wydawała się bardzo zmęczona.

- Bardzo się mylisz, jeżeli sądzisz, że ucieszyło mnie wasze zerwanie. Śmiertelnie się przeraziłam. Gdybyś знаła Conora, wiedziałabyś, że nie jest zdolny to zdrady tego rodzaju. Alec tak, ale nie Conor.

- Zabawne. A ja obwiniałam Conora przez te wszystkie miesiące.

- Myślałam, że to przez tę katastrofę - Geena zignorowała sarkastyczną uwagę Cherish. - Dlatego zakochał się w tobie. Nie byłaś w jego typie, chociaż, jeżeli mam być szczerą, nigdy nie miał czasu na życie osobiste. Może uważałam, że nie jesteś dla niego dość dobra. A może rzeczywiście byłam zazdrosna. O to, że nie pozwolił, abym mu pomogła przebrnąć przez ten najtrudniejszy okres po katastrofie. Że zwrócił się do ciebie. - Geena potrząsnęła głową. - Ale kocham mojego brata. Przebolełam to. Chciałam, żebyś mu pomogła. Ty jednak tego nie zrobiłaś. Nigdy ci tego nie wybaczę. Zwrócił się do ciebie, a ty go zawiodłaś.

Cherish zdumiał efekt, jaki wywarły na niej te słowa. Sięgały głęboko i piekły boleśnie. Jakby Geena odnalazła jej najgorsze obawy,

ubrała je w słowa i wyliczyła na głos, odkrywając zbyt wiele: poczucie klęski, którego Cherish nie udało się wymazać listami pełnymi oskarżeń.

To prawda, że Conor potrzebował kogoś po wypadku. Cherish próbowała być tą osobą. I zawiodła, właśnie tak, jak to określiła Geena.

- Ja... - głos się jej załamał, odchrząknęła, próbując się opanować. - Robiłam, co w mojej mocy - powiedziała w końcu, przyznając się do porażki. - I przez jakiś czas myślałam, że mi się uda. Gdyby to był Alec... - Potrząsnęła głową. - Próbowałam.

- Alec? - Geen popatrzyła na nią, zaskoczona. Siostra Conora usiadła na fotelu naprzeciwko telewizora. Wpatrywała się w Cherish bez jednego mrugnięcia. Pochyliła się w stronę dziewczyny. - o mój Boże! Ty nie wiesz, co się stało tamtego wieczora, kiedy mój brat tak cię zawiódł?

- Alec powiedział mi o telefonie od komisji bezpieczeństwa...

- Alec, Alec, Alec. - Geen patrzyła na Cherish, jakby dziewczynie wyrosła druga głowa. - Powiedziałaś to tak, jakbyś mówiła o przyjacielu... o normalnej osobie.

- Posłuchaj, wiem, że miał trudne dzieciństwo. Ale Alec, którego ja znam, pomógł mi przetrwać koszmar. Był jedyną osobą czekającą ze mną na Conora, który się nie pojawił. To dla mnie coś znaczy.

- Chcesz usłyszeć, dlaczego to zrobił? Może powinnaś, bo to najważniejsze w tej historii.

Cherish zacisnęła wargi, dławiąc kolejną ostrą odpowiedź. Na dworze pies sąsiadów zaczął wyc.

- Historia jest długa - Geena rozparła się w fotelu - ale ma cholernie dobry morał. Alec i ja byliśmy kochankami.

Słowa te podziały na Cherish jak kubeł zimnej wody.

- Wyglądasz na wstrząśniętą. Bo to jest wstrząsające. A ty nie wiesz nawet połowy wszystkiego. Znałam Aleca niemal całe swoje życie. Kochałam go, chyba za to, że tak się od nas różnił. Nie był taki poważny jak Conor i ja. My byliśmy zbyt odpowiedzialni, zbyt przeczuleni na punkcie kodeksu moralnego. Alec był odważny, a ja kochałam w nim tę odwagę. Pewnej nocy uwielbienie dla bohatera zmieniło się w coś więcej. Mieliśmy wtedy po szesnaście lat.

Geena nie poruszyła się, nie zmieniła wyrazu twarzy. Równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie. Cherish nie odrywała od niej wzroku.

- Nie obwiniałam go - mówiła dalej Geena. - Ale wiedziałam, że Conor to zrobi. Więc kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, powiedziałam Alecowi. Tylko Alecowi. Błagał mnie, żeby nie mówić nic Conorowi, błagał, żebym poszła na zabieg. Myślę, że zrobiłby wszystko, żeby namówić mnie na aborcję. Z początku próbował po dobroci. Prosił, mamił. Malował słodkie obrazy naszej wspólnej przyszłości. Mówił, jak to się pobierzemy i pokażemy Conorowi, że potrafimy zadbać o siebie, a on się mną zaopiekuje. My kontra świat. Dlaczego psuć to dzieckiem?

Cherish potrząsnęła głową.

- Geena, nie mogę sobie...

- Kiedy to nie podziałało, próbował mnie zastraszyć, mówiąc, że to moja wina. Powinnam była coś wziąć. Myślał, że jestem na pigułkach. W tym był dobry - potrafił tak przedstawić fakty, by posłużyły jego celom. Na pigułkach? - Gniew trwał w niej wciąż, gniew i cierpienie. - Doskonale wiedział, że nie biorę pigułek. Znał każdy szczegół mojego życia. Wiedział, co mnie zaboli najbardziej. Dwa dni później przyłapałam go z moją najlepszą przyjaciółką.

Cherish zamknęła oczy. Och, Alec... to okropne.

- Chciał mnie zranić - powiedziała Geena spokojnie. - Ponieważ ja zraniłam jego, odmawiając usunięcia ciąży. Dopiero wtedy zobaczyłam, jaki jest naprawdę ten mój Alec. Piękny na zewnątrz, pokrecony w środku. Ani ja, ani Conor nie mogliśmy zrobić nic, żeby go zmienić. Kiedy spotkałam Marca, myślałam, że jest taki sam. Uroczy, zbyt przystojny. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Ale on się nie poddał. Kiedy się zakochałam, pomyślałam: „No proszę - zupełnie jak z Alekiem”. Zabawa się skończyła, teraz przyjdzie płacić rachunek. Ale Marc w niczym nie przypomina Aleca. Nigdy nie spisał mnie na straty. Nigdy. .

Sposób, w jaki powiedziała to „nigdy”. Kolejne oskarżenie rzucone Cherish w twarz.

- Co się stało z dzieckiem? - zapytała Cherish cicho.

- W końcu powiedziałam Conorowi. Stał przy mnie murem. Schrząniłam sobie życie... - Zamrugnęła szybko powiekami. - Nie mogłam już iść do akademii lotniczej. Wszystkie poświęcenia

Conora... Wszystko to, co dla mnie zrobił, poświęcił, wszystko, co próbował dla mnie zbudować... Ja to po prostu odrzuciłam. Istniała nawet groźba, że mnie zabiorą do sierocińca, kiedy nasza opiekunka społeczna dowiedziała się o ciąży. Ale Conor przysiągł, że mnie z tego wyciągnie.

Płakała, ale ten płacz nie zmienił spokojnego tonu głosu. Łzy po prostu wzbierały w jej oczach, przelewały się i skapywały na policzki.

- Poroniłam - powiedziała. - I po sprawie.

Geena była w akademii oblatywaczem F-15. Niewielu kobietom się to udało - niewiele miało odwagę. Teraz Cherish zrozumiała, skąd czerpie ją Geena.

- Nie powiedziałaś mu, kto jest ojcem.

- Po co? Żeby wsadzić mu nóż w piersi? - zapytała Geena. - Tego nie byłby w stanie wybaczyć Alecowi. Tej jednej zasady Alecowi nie wolno było złamać. Ale Conor i tak się dowiedział. - Geena pochyliła się, uśmiechnęła. - Zgadnij kiedy. Chcę, żebyś zgadła.

- Nie. - Cherish miała wrażenie, że otrzymała cios między oczy.

- Właśnie, że tak. Tego dnia, kiedy mieliście się pobrać. Zaraz po tym, jak Conor się dowiedział, że stracił prawa pilota, Alec postanowił zrzucić swoją bombę. Możesz to sobie wyobrazić? Conor jest na dnie, a Alec myśli: jak mógłbym to wykorzystać? Conor ma ciebie. Oto nadarza się okazja, żeby to zmienić. Więc raczy go jeszcze jedną informacją, żeby wiedział, że schrzanił również to. Zawiódł jeszcze jedną osobę, poza tymi ludźmi w samolocie. Kiedy Alec

pocieszał cię, pozwalając ci się wyplakać na swoim ramieniu, Conor był tutaj. Rozprawiał się ze mną.

Cherish kręciła głową. Nie, to niemożliwe. Alec powiedział jej o decyzji komisji, powiedział, że Conor nie jest sobą. Usprawiedliwiał Conora. Nie zrobiłby tego, nie mógłby...

- Conor wpadł we wściekłość. - Geena przestała płakać, przestała się uśmiechać. - Chodził po salonie i wrzeszczał na mnie jak szalony. Nigdy go takim nie widziałam. Nigdy. Dlaczego nie powiedziałam mu, że to był Alec, pytał. Przez te wszystkie lata pomagał Alecowi, traktował go jak brata, pozwolił mu mieszkać pod naszym dachem. Wrzeszczał na całe gardło. Jakby naprawdę nie potrafił wybaczyć Alecowi. Chociaż wybaczał mu zawsze.

Geena wzruszyła ramionami, jakby próbowała strząsnąć z siebie ból wspomnień. Nie ma sprawy. Przeszłość.

- Powiedziałam: „Conor, uspokój się. To było piętnaście lat temu”. Ale on nie słuchał. A potem się załamał. Upadł na kanapę i płakał, jakby miało mu pęknąć serce. Szlochał spazmatycznie. Nigdy przedtem nie widziałam go płaczącego. Nie płakał, kiedy powiedzieli mu, że może stracić oko, ani wtedy, gdy dowiedział się o dziecku. Nie płakał, kiedy jeden z jego ludzi zginął w katastrofie F-4. Popatrzył na mnie i powiedział: „Zabiłem ich, Geena. Zabiłem tych ludzi”.

Geena patrzyła w przestrzeń, przywoływała tamten moment, wciągała Cherish w przeszłość, żeby i ona mogła go przeżyć.

- Jakaś część Conora umarła wraz z tymi ludźmi w prototypie. Gdybyś знаła Conora, gdybyś znała go choć trochę, wiedziałabyś, co

to dla niego znaczyło dowiedzieć się, że jest odpowiedzialny za katastrofę.

Oczywiście, pomyślała Cherish, Conor Obrońca. Utalentowany pilot myśliwca.

- Zadzwoił do ciebie następnego dnia rano - ciągnęła Geena. - Pamiętasz? Nie chciałaś z nim rozmawiać. Byłaś zbyt... dotknięta.

Spojrzenie, jakie rzuciła jej Geena. Mówiło wszystko. „Twoja małostkowa duszyczka została zraniona, a świat mojego brata rozpadał się w gruzy”.

Geena wstała. Cherish nie wykonała żadnego ruchu. Miała wrażenie, że została zamrożona od środka.

- Alec nie jest twoim przyjacielem - powiedziała Geena. - Nie próbuje ci pomóc. On nie potrafi dawać. Jest skrzywiony. Jego matka brała narkotyki w ciąży. Może przez to jest z nim coś nie w porządku. Może jego złącza nerwowe się nie stykają i dlatego jest pozbawiony sumienia. Ale Conor! Złotko, miałybyś szczęście, gdyby ci się dostał.

W ciszy, jaka zapadła po tylu słowach, słyszały tylko swoje oddechy. Oskarżenie Geeny dudniło w głowie Cherish. „Nie chciałaś z nim rozmawiać”.

- Zanim ciebie spotkał nigdy, ani razu, nie uchylił się przed odpowiedzialnością. Masz rację, nie lubię cię. W moim przeświadczeniu, zamiast lizać swoje rany powinnaś pójść do Conora i zapytać: Dlaczego, Conor? To do ciebie niepodobne. Otrząśnij się!" Nie, Cherish - użyła jej imienia po raz pierwszy. - Nie zasługujesz na niego. Daleko ci do tego.

- W porządku, Geena, dość tego.

Geena obejrzała się na Conora stojącego w drzwiach. Brat i siostra popatrzyli na siebie w milczeniu.

W Geenie coś jakby zmiękło. Odwróciła się do Cherish, chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnowała i wyszła z pokoju.

Cherish była zdruzgotana. „Nie chciałaś z nim rozmawiać”. Czowała się, jakby miała tę jedną, jedyną szansę i ją zmarnowała. Ale przecież Conor mógł przyjść do niej i porozmawiać! Czy nie pisała do niego co tydzień przez ostatni rok, błagając, aby to zrobił?

- No, pięknie! - Wstała. - To mi się podoba! Wina leży po mojej stronie, bo nie pobiegłam za tobą? Powinnam za tobą gonić, skonfrontować nas?

- Zapomnij o tym, co powiedziała Geena...

- Więc ja zawiniłam, chociaż to mnie porzucono przed ołtarzem?! - mówiła, ale nawet w gniewie nie opuszczało jej poczucie klęski. Powinnam. .. mogłam, myślała. - Ja nie byłam dość dobra, żeby rozwiązać twoje problemy? Nie byłam na tyle wielkoduszna... - głos jej się załamał - na tyle wielkoduszna, żeby dla twego dobra zapomnieć o własnym złamanym sercu.

- Geena stworzyła sobie pewien obraz świata, w którym ja jestem nieomylny.

Ale Cherish miała jeszcze dużo do powiedzenia, bo nie chciała przyznać Geenie racji. Nie chciała, żeby tamte słowa prześladowały ją przez resztę życia. „Przyszedł do ciebie, a ty go zawiodłaś”. Więc to wszystko jej wina. Ponieważ nie wierzyła, by Conor mimo wszystko

mógł się z nią związać na stałe? Oczywiście, że wierzyła! Była zakochana! Dlaczego o niego nie walczyłam?

- Pozwól, że wyjaśnię coś tobie i twojej siostrze. -

Wyładowywała swój ból i gniew, chciała, by ktoś usłyszał jej wersję tej historii. - To ty popełniłeś błąd tamtego wieczora, nie ja!

- Uspokój się. Nie twierdzę, że jest inaczej...

- Było nam dobrze razem. Kochałam cię. I ty kochałeś mnie.

Och, nigdy mi tego nie powiedziałeś. Ale ja to wiedziałam, czułam tu!

- Uderzyła się w pierś.

- Posłuchaj, wiem, że nigdy nie wynagrodzę ci tej krzywdy. Ale przez te tygodnie po katastrofie po prostu nie byłem sobą...

- Nie waż się! - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Nawet nie próbuj !

- Próbuję złożyć te przeprosiny, których domagasz się od półtora roku!

- Nie chcę żadnych przeprosin, do cholery! Chcę ciebie. Zawsze tylko tego pragnęłam. I miałam cię. Przez te parę tygodni byłeś mój, Conor. Nigdy nie uwierzę, że mnie nie kochałeś. Że to, co czułeś, nie płynęło z serca. Niech cię licho! Niech cię licho za to, że ukazałeś mi tego cudownego, namiętnego mężczyznę, bez którego nie mogę żyć!

- Na litość boską, Cher...

- Pamiętasz, kiedy mnie poprosiłeś, żebym za ciebie wyszła? - Podeszła do niego. - Obudziłeś mnie w środku nocy. Widać było, że nie zmrużyłeś oka. Byłeś rozgorączkowany. Spytałeś, czy możemy jechać do Beverly Hills. Kalifornijska wersja prędkiego ślubu. Czy

mam coś przeciwko temu, zapytałeś, żeby tam pojechać tylko we dwoje i wziąć ślub po cichu z Alekiem jako naszym świadkiem?

Powinna była zaprotestować, powinna była wiedzieć. Ta gorączkowa prośba była zbyt nagła, jakby wyczuwał, że zadzwonią z komisji, i chciał się z nią ożenić, zanim to nastąpi.

- Wiesz, ile razy się zastanawiałam, co by było, gdyby wtedy nie zadzwonili?

-Cher...

- A teraz stoisz tutaj i mówisz mi: cóż, nie byłem sobą po katastrofie. Wiesz co, Conor? To był człowiek, w którym się zakochałam. Ten cudowny, wrażliwy człowiek. Więc nie wmawiaj mi, że on nie istnieje, że to wszystko było błędem. Skutkiem ubocznym szoku. Nie mów mi, że prawdziwy Conor Mitchell nigdy nie poprosiłby mnie o rękę po sześciotygodniowej znajomości.

Stała teraz w zasięgu jego ramion.

- Że jest tym zimnym draniem... - z każdym słowem uderzała go pięściami w piersi - ..który nikogo nie potrzebuje... zwłaszcza mnie.

Kiedy wyciągnął ramiona, odskoczyła, potrząsając głową. Nie mogła pozwolić, żeby jej dotknął.

- Wprowadziłeś mnie w ten świat. A potem powiedziałeś, że on nie istnieje. Nigdy ci tego nie wybaczę. Moja wina? Nie, Conor. Nie zawiodłam cię... nigdy bym cię nie zawiodła. I nie obchodzi mnie, co mówi Geena. Potrafiłabym ci pomóc.

Jej słowa sprawiały mu ból, ale nic nie powiedział, stał bardzo spokojnie. To tylko wzmogło jej wściekłość.

- Nienawidzę cię, Conor - powiedziała prawie szeptem. -
Nienawidzę cię. Ponieważ zawsze już będę tęsknić za tym, czym
pozwoleś mi się rozkoszować przez tych sześć krótkich tygodni.
Będzie mi tego brakowało, będę o tym marzyć. I nikt poza tamtym
mężczyzną nie zdoła mi tego dać. To ci zawdzięczam, Conor. Jestem
skończona. Możesz nienawidzić Aleca za to, że wykorzystał Geenę,
naładowany hormonami nastolatek. Możesz obwiniać się za to, że
jesteś tylko człowiekiem i popełniłeś błąd, pilotując ten prototyp.
Możesz wykorzystać to przeciwko sobie, wymazać wszystko, co w
tobie dobre, i powiedzieć, że nie zasługujesz na szczęście. Po co w
ogóle próbować? Ale gdy postawiłeś krzyżyk na nas, zraniłeś nie
tylko siebie.

Tym razem nie próbował jej zatrzymać, kiedy odeszła.

Jaskrawy błękit

Odliczanie: 21 dni, 19 godzin, 35 minut

19

W porządku, myślała Cherish. Przynajmniej w tym jednym Geena ma rację. Niewiele wiedziała o Conorze Mitchellu, kiedy się w nim zakochała.

Teraz chciała poznać fakty. I wiedziała, gdzie je zdobyć.

Zaczęła od biblioteki publicznej w Huntington Beach.

Uznała to za posunięcie czysto strategiczne. Władza poprzez wiedzę. Musiała wyrównać siły, zmniejszyć przewagę, jaką dawały Conorowi jej listy. Oskarżenia Geeny tkwiły w niej jak drzazga.

„Podjęłaś złą decyzję, pozwalając mu odejść. Nie walczyłaś o niego!”

W umyśle Cherish dokonał się przewrót. Przestała spekulować, co by było, gdyby komisja bezpieczeństwa wybrała lepszą porę na ogłoszenie swojej decyzji, a zaczęła się zastanawiać nad tym, co by było, gdyby zechciała wtedy wysłuchać Conora.

Nie zamierzała uciekać przed tym pytaniem. Chciała uzyskać odpowiedź. Niezależnie od tego, czy Geena miała rację czy nie, Cherish nie знаła Conora na tyle, by podważyć oczywisty z pozoru fakt - że została porzucona przed ołtarzem, ponieważ pan młody

stchórzył i postanowił się nie żenić. Uznała, że jest to typowy przypadek, i skupiła się na lizaniu własnych ran.

Następnego ranka po rozmowie Geena poszła do biblioteki. Minęła ceglany dziedziniec, szklane drzwi i weszła do przybytku wiedzy z postanowieniem, że jeżeli fakty z życia człowieka są kluczem do jego duszy, odnajdzie tu skarb. Zamierzała kopać w katalogach tak długo, aż odnajdzie Conora.

Kiedy w końcu opuściła biblioteczne mury, miała dość materiału, by założyć mu teczkę.

Zwłaszcza lokalne gazety kochały Conora, publikując reportaże za reportażem. Jeszcze przed lunchem dowiedziała się, że jego ulubionym kolorem jest niebieski, a potrawą - lasagna Geeny. Poznała wszystkie te drobiazgi, których dowiadujemy się o człowieku z sympatycznych wywiadów prasowych przeprowadzanych w miłej atmosferze. Historia życia lokalnego bohatera. Historia Conora Wielkiego.

W sposób heroiczny zmienił swoje życie; co za człowiek! Osierocony w wieku ośmiu lat przez rodziców, którzy zginęli w karambolu na autostradzie, gdy wracali z wakacji w Big Bear Lake. Wraz z dwuletnią siostrzyczką dostał się w zardzewiałe tryby systemu opieki społecznej. Z początku rodzeństwem przerwcały się babcia i najmłodsza siostra ojca, dwudziestolatka z trudem zdobywająca dyplom kosmetyczki. Obie nie były zachwycone faktem, że muszą się opiekować dwójką dzieci.

Potem nadeszła era domów zastępczych; pasmo nieustannych udręk i rozczarowań: „Zmieniliśmy zdanie... myśleliśmy raczej o noworodkach... załatwiliśmy adopcję”. Wylądowali w stanowym sierocińcu, instytucji zarezerwowanej dla dzieci trudnych i przypadków beznadziejnych.

Ale Conor nie zamierzał się poddać. Gdy kończył liceum, miał już na koncie dwanaście tysięcy dolarów, które zarobił, pracując po szkole. Fakt ten wywarł na sędzi takie wrażenie, że pozwolił siedemnastolatkowi rozpocząć samodzielne życie. Wkrótce potem przyznano mu opiekę nad siostrą i przyjacielem, Alekiem Porterem, dwunastolatkami.

Altruistycznie zrezygnował ze stypendium na uniwersytecie kalifornijskim w Irvine, żeby zostać pełnoetatowym rodzicem. Wstąpił na uniwersytet, na wydział inżynierii dopiero wtedy, gdy jego siostra i Alec dostali się do akademii lotniczej. Później wstąpił do Air Force.

Chciał zostać astronauta. Na zdjęciach prezentował się jak model: amerykański chłopak realizujący swe amerykańskie marzenie.

Fakt, że chciał zostać astronauta, wiele wyjaśniał - smykałkę do oblatywania samolotów, stanfordzki doktorat z tworzyw zespolonych, ciało, które mogło posłużyć do reklam bielizny Calvinia Kleina.

Korpus Astronautów był grupą elitarną. W zasadzie należało wybrać ten zawód, ukończywszy lat dziewięć, a potem pracować nad osiągnięciem celu. Conor był trochę za stary, kiedy wstąpił do Air Force, musiał więc pracować ciężiej niż inni. I z pewnością by mu się

udało... gdyby nie katastrofa. Po decyzji komisji bezpieczeństwa i to marzenie diabli wzięli.

Kiedy bolący krzyż przypomniawszy Cherish, że tkwi w tej samej pozycji od wielu godzin, opuściła bibliotekę. Oczy ją piekły od wpatrywania się w mikrofiszki. Pod pachą dzierżyła grubą tekę z aktami Conora.

Potem zrobiła to, co uczyniłaby na jej miejscu każda rozsądna kobieta.

Pojechała porozmawiać z matką.

Gladys Malone nosiła teraz krótkie włosy, ufarbowane na miedziany, bardzo twarzowy brąz. Zniknął charakterystyczny warkocz zwinięty w kok nad karkiem, fryzura, która postarzała ją o dobrych dziesięć lat. Cherish, choć niechętnie, przyznawała, że uwolnienie się od ojca znakomicie matce zrobiło. Wyglądała teraz zupełnie inaczej i wydawało się, że jest szczęśliwa.

Siedziały w kuchni. Gladys, ubrana w dżinsy i T-shirt z nadrukiem „Jung robił to w swoich snach”, robiła im herbatę. Mieszkała w kawalerce, której okna wychodziły na Belmont Shore, dzielnicę happeningów, kafejek i teatrów. Ostatnimi czasy wolała chodzić do egzotycznych restauracji niż jadać w domu.

Ale wciąż pachniała proszkiem do pieczenia i nadal uwielbiała gotować proste potrawy, które Cherish bardzo lubiła. W kuchni unosiła się woń świeżego ciasta. Gladys piekła herbatniki do herbaty.

- Dzwonił twój ojciec - powiedziała. - Martwi się, że nie poszłaś z nim do kościoła przez dwie niedziele z rzędu.

Cherish próbowała sobie przypomnieć, co robiła w ostatnią niedzielę. No tak, była z Chuckiem i Lori. Opracowywali strategię na poniedziałkowe spotkanie z Reckiem w Newport.

- Może powinnaś do niego zadzwonić. - Matka wsadziła blachę z kolejną porcją herbatników do pieca i wytarła ręce w kuchenną ściereczkę. - Mike powiedział mu o Benie.

Cherish omal nie zakrztusiła się ciastem.

- Rany! - Ben był partnerem jej brata. - I tata jeszcze żyje?

Gladys usiadła po drugiej stronie stołu, sięgnęła po filiżankę i uśmiechnęła się.

- Ledwo, ledwo.

- Kiedy to się stało? - Wprawdzie Mike wspominał, że zamierza powiedzieć ojcu prawdę, ale Cherish sądziła, że najpierw omówi to z nią. Z drugiej strony, ostatnio była trudno uchwytana.

- Wczoraj wieczorem. - Matka sięgnęła nad stołem i uścisnęła jej rękę. - Twojemu ojcu nic nie będzie. Bardziej martwię się o ciebie niż o tego starego kozła. - Uśmiechnęła się, widząc zdumienie na twarzy córki. - Powiedz mamusi, co cię gnębi.

Cherish postukała palcami w filiżankę. Jak dobrze byłoby wypowiadać się przed matką! Ale o tylu sprawach nie mogła jej powiedzieć: „Boję się, że ktoś chce mnie zabić... Samoloty mojej firmy mogą być celem grupy terrorystycznej... Istnieje również możliwość, że tym terrorystą jest Alec”.

Fragmenty skrzydła, dane lotu. Te informacje nie mogą ujrzeć światła dziennego. Musi się skupić na problemach osobistych,

zapomnieć o XC-23 WingMaster, zająć się zbadaniem przyczyn innej katastrofy.

- Mamo, pamiętasz Conora?

Gladys wyprostowała się na krześle. Jeżeli pytanie ją zaskoczyło, nie okazała tego.

- Oczywiście, Cherish. Pamiętam go. Nawet bardzo dobrze. - Słowom towarzyszyło znaczące spojrzenie. - Nie miałaś tak wielu narzeczonych, żebym straciła rachubę, kochanie.

Cherish sięgnęła po aktówkę i wyjęła pękata teczkę. Odsunęła filiżankę, żeby zrobić miejsce na stole.

- Zebrałam o nim trochę informacji. Gladys popatrzyła na teczkę.

- Rozumiem.

- Sporo o nim pisali.

Gladys splotła dłonie na stole. Była to kobieta, która zaakceptowała homoseksualizm syna bez rwania włosów z głowy, pomogła córce otrząsnąć się z koszmarów o katastrofach lotniczych i spokojnie opuściła męża po trzydziestu latach pożycia, gdy tylko uznała, że rodzina obejdzie się bez niej.

- No więc? - zapytała.

- Te tygodnie po katastrofie, kiedy postanowiliśmy się pobrać. Nie znałam go wtedy zbyt dobrze. - Cherish puknęła palcem w stosik papierów. - Sporo mi umknęło.

- O ile pamiętam, byliście praktycznie nierozłączni.

Faktycznie, spędzali razem każdą wolną chwilę. Ojciec Cherish, podobnie jak Geena, nie aprobował ich związku. „A nie mówiłem?” powiedział, kiedy Conor ją rzucił. Tylko matka była tym naprawdę szczerze zmartwiona.

- To o czym właściwie rozmawialiście przez ten cały czas, kiedy byliście razem?

- O czym rozmawialiśmy? - Cherish podniosła wzrok, potem spojrzała na notatki. Czowała, że się czerwieni. - W ogóle nie rozmawialiśmy.

Na tym właśnie polegał problem. Gladys odchrząknęła.

- To bardzo ważne, żeby się dopasować pod tym względem - powiedziała. Właściwie odczytała niedomówienie córki. - Ale czego dowiedziałaś się z tych notatek?

Cherish rysowała na teczce kręgi koniuszkiem palca, potem położyła na niej całą dłoń, jakby istniała groźba, że fakty wyskoczą i rozpierzchną się po kuchni.

- Możliwe, że popełniłam błąd.

Matka wstała i przyniosła sobie okulary do czytania. W milczeniu otworzyła teczkę. Piętnaście minut później zdjęła okulary i położyła je na stole.

- Czy jest za późno? - zapytała.

- To zależy. Musiałabym mu wybaczyć... zaufać. A on musiałby jeszcze raz poprosić mnie o rękę. - Zdawała sobie sprawę, że sytuacja wygląda beznadziejnie. - Nie sądzę, żeby to zrobił, mamó. -

Zmarszczyła czoło na wspomnienie pierwszych chwil po rozstaniu. - I nie sędę, żebym ja tego chciała.

- Musiałaś go bardzo przestraszyć, moja kochana.

- Przestraszyć? Zrobiłabym dla niego wszystko.

- Ale chyba rozumiesz - matka pochyliła się i wzięła ją za rękę - jaki to musiało wywołać zamęt w jego umyśle. Stracił rodziców i jego życie legło w gruzach. Musiał walczyć całe lata, żeby znowu odzyskać nad nim kontrolę. Oszczędzał pieniądze, wstąpił do wojska, stawiał sobie cele, które wymagają bezwzględnych wyrzeczeń. Nie dostrzegasz tego, kochanie? Dlaczego chciał lecieć w kosmos? Bo chciał odnaleźć swoich rodziców. Przez całe życie starał się sięgnąć nieba.

Najwyraźniej matka nadal uczęszczała na kurs terapii w poradni dzielnicowej.

- I trzeba przyznać, że miał spore szanse - ciągnęła Gladys. - Aż do katastrofy. Tego dnia zginęło troje ludzi. A potem ty wtargnęłaś w jego życie. Ze swoją cudowną energią i bezwarunkową miłością. - Potrząsnęła głową. - Z cechami, których nawet twój ojciec nie zdołał wykorzenić.

Przerwała na chwilę, próbowała wziąć się w garść. Nie chciała zaciemniać obrazu własnymi gorzkimi doświadczeniami.

- Poprosił, żebyś za niego wyszła, po sześciu tygodniach znajomości - powiedziała wreszcie. - Świadomość, że życie znów wymknęło mu się spod kontroli, musiała go napawać ogromnym lękiem.

Cherish zmarszczyła brwi. W tym, co mówiła matka, było sporo racji. Zasepiła się jeszcze bardziej.

- Nadal chodzisz na te zajęcia w poradni, prawda, mamó? Matka uśmiechnęła się lekko.

- Za kilka miesięcy uzyskam dyplom. Możesz być moją pierwszą pacjentką.

Cherish zamknęła oczy. Była tak bardzo zmęczona.

- Och, mamó!

Matka podeszła do niej i wzięła w ramiona.,

- To tak boli - wyszeptała Cherish. - Myśl, że on może mnie nie kochać.

- A ja myślę, że powinnaś uciec z domu. Mówię poważnie. Wiesz, skąd się bierze twój lęk przed lataniem? Nie jesteś zbyt mocno zakotwiczona na ziemi. Nie ufasz sobie. To robota twojego ojca. Próbuje wtłoczyć cię w bezpieczne ramki świata, który sam rozumie. Gdybyś czuła się pewniejsza, potrafiłabyś walczyć o Conora. - Spojrzała córce w oczy. - Możesz walczyć o niego teraz.

- Mówisz, jakby to było proste.

Jakby mogła obudzić się pewnego dnia i powiedzieć sobie: „Rany, potrafię wsiąść do samolotu”. Przeżyła straszny szok. Matka i psychologowie, do których Gladys ją posyłała, używali najrozmaitszych terminów naukowych na określenie jej stanu, a ona po prostu cholernie bała się latać.

- Okay, mamó - Cherish wysunęła się z objęć matki. - Jeżeli otworzysz praktykę, spróbuję terapii jeszcze raz.

- Cherish, serce mnie boli, kiedy widzę, jak cierpisz. - Gladys potrząsnęła smutnie głową.

Cherish ucałowała matkę na pożegnanie, zabrała torebkę z ciasteczkami i wyruszyła - używając określenia Lori - na spotkanie smoka. Jechała autostradą wzdłuż wybrzeża, patrzyła na nabrzmiące deszczem chmury nad oceanem i myślała o Conorze. Czy będzie czekał na nią przed drzwiami jej domu? Czy w ogóle próbował ją odszukać po tym, co mu wczoraj powiedziała?

Kiedy piętnaście minut później wjechała na podjazd przed domem, nie dostrzegła toyoty Conora. Nie wiedziała, czy sprawiło jej to ulgę czy rozczarowało. Była zbyt otepiała, by czuć cokolwiek.

Rzuciła aktówkę na stolik do kawy. Poszła prosto do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę wody Evian, starannie omijając wzrokiem stół bilardowy. Zbyt wiele wspomnień. Automatyczna sekretarka mrugała miarowo w przyćmionym świetle sączącym się przez żaluzje. Cherish pociągnęła łyk z butelki i włączyła odtwarzanie.

Michael dzwonił trzy razy.

- Muszę z tobą porozmawiać, siostrzyco. Usłyszała, jak Ben, kochanek brata, woła: -Nowiny! Oddzwon!

O rany! Tata się załamał. Wiadomość od Thomasa.

- Musisz pogadać z tatą. Ale zanim to zrobisz, zadzwoń do mnie albo do Mike'a.

Wiadomość od Lori.

- Masz całkowitą rację. Muszę przestać uganiać się za mężczyzną idealnym. A propos, zabijesz mnie. Przespałam się z Garym. Gdzie jesteś?

Czwartą wiadomość zostawił Conor.

- Spotkajmy się na lotnisku o czwartej popołudniu.

Często widywała Aleca w tym stanie i wciąż napawało ją to lękiem.

Allison podkuliła nogi pod siebie, obserwując go z fotela w kącie pokoju. Z zewnątrz dobiegał ryk oceanu. Fale biły o brzeg w rytm kroków Aleca przemierzającego pokój.

- Conman jej w ogóle nie pilnuje, wystawia na cel. Nie rozumiem. Co on wyprawia, do cholery! Pozwala jej chodzić samopas. Powiedziałem mu, że ją zabiją. Powiedziałem mu! - Przemierzył cały pokój i zawrócił. Przestrzeni starczyło mu na kilka kroków, więc znów zawrócił i ruszył z powrotem tą samą trasą. - Myślałem, że jeżeli istnieje na tym świecie coś pewnego, to właśnie... Niech cię diabli, Conman!

Palił papierosa, zaciągając się raz za razem. Gwałtownym ruchem przeczesał palcami włosy.

- Wszystko się wali - wyszeptał do siebie.

Uzmysłowiła sobie, że Alec tkwi teraz we własnym świecie. Ona już się nie liczyła. Nie była ważna.

- Nie mogę tego ogarnąć. Sydney, papiery jej męża. Nie mam nawet cholernych dokumentów Erica.

- Powiedziałam ci, że mogę je zdobyć. Cierpliwości, Alec. Nie chcę, żeby mnie złapali.

Zatrzymał się i odwrócił. Mrużąc oczy przed dymem, przeszył ją takim spojrzeniem, że skuliła się jeszcze bardziej. Alec zawsze miał mnóstwo energii. Teraz była skierowana do wewnątrz, przydawała mu surowości, do której Allison nie nawykła, ponieważ zwykle nawet sprawy życia i śmierci traktował z żartobliwym dystansem.

Wydmuchał dym i zastygł w bezruchu. Drapieżne zwierzę, które dostrzegło swój łup.

- Nie mam czasu na cierpliwość, Allison.

- Nie pomogę ci, jeśli mnie złapią - powiedziała cicho.

- Te papiery są mi potrzebne. - Mogę je zdobyć.

W dwóch skokach znalazł się przy niej. Chwytał Allison za ramiona i uniósł z fotela.

- Jesteś pewna? Jesteś absolutnie pewna?

- Tak. Dla ciebie zrobię wszystko, Alec. Wiesz o tym. Ale nie mogę pozwolić, żeby mnie złapali. - Rozumiesz to, prawda? Byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy poczekali na odpowiednią okazję.

Puścił ją, pozwolił opaść na fotel. Usiadła jak przedtem, z podkulonymi nogami, i obserwowała go, skubiąc zębami kciuk.

- To ty do mnie przyszałaś - powiedział. - To ty twierdziłaś, że możesz zdobyć papiery. Pamiętasz? Nie prosiłem cię, sama mi to zaproponowałaś.

- Wiem.

- Wszystko się wali. Jestem jak żongler, który wyrzucił w powietrze zbyt wiele piłek. Zaczynam popełniać błędy.

- Nie, to nieprawda. Jesteś genialny, Alec. Nikt nie mógłby dokonać tego, co ty.

Najgorsze było zwątpienie. Musiał wierzyć - w siebie, w swoje plany. Wszystko zasadzało się na wierze. Allison zawsze ją w nim podsycala, wykorzystywała swoje talenty, żeby mu pomóc.

Zrobiła to również teraz. Podbiegła do niego, objęła mocno ramionami. A kiedy ją odepchnął, wróciła i przytuliła się do niego, szepcząc o miłości, o wierze, o wszystkim, co chowała w sercu.

Alec opadł na kolana.

- Nie mogę tego schrzanić. Rozumiesz? Oni ją zabijają. Nie mogę tego schrzanić.

- Zdobędę papiery. Już wkrótce. Zaryzykuję. - Wypowiedziała te słowa kojąco, śpiewnie. Na tym polegała jej rola. Jej sens istnienia. Dać temu mężczyźnie wszystko, czego potrzebuje. Pomóc mu. Było za wcześnie na papiery, ale on wydawał się zdesperowany. Moce zamykały się wokół niego. Wokół nich obojga.

- Papiery, Allison. Papiery Erica.

- Są twoje, ukochany. Zdobędę je dla ciebie. Zwycięzysz, Alec. Pokonasz ich wszystkich.

Conor leciał coraz wyżej, prosto w słońce. Przeciężenie odrzuciło mu głowę do tyłu. Spojrzał na wysokościomierz i sztuczny horyzont, zmniejszył nacisk na drążek sterowy.

Na ułamek sekundy błyskawica eksplodowała pod sklepieniem jego czaszki, zdeorientowała go. W jednej chwili znalazł się znów w sterowanym radiem myśliwcu, rwącym ku słońcu. Przeciężenie odbierało zmysły, dławiło mózg.

Jeszcze jeden błysk... Był teraz na innym niebie, wolnym od chmur. Doskonale warunki, z innego dnia. Absolutna czystość...

Zmrużył oczy. Sięgnął już po maskę tlenową, gdy zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. W ćwiczebnym marchettim, niedaleko wybrzeża, bezpiecznie zawieszony na wysokości siedmiu tysięcy stóp. Obudź się, stary! Spojrzał przez szyby, żeby się upewnić, że - tak! - chmurzyło się coraz bardziej. Pociągnął nieco drążek ku sobie.

Błysk..! I Alec mówiący coś do niego, z tym przemądrzałym uśmiechem na ustach...

Błysk! Czerwone światełko. Utrata wysokości!

Marchetti wspiął się na szczyt pętli i na plecach ześlizgnął w dół. Nieważki. Coraz niżej, niżej...

Ziemia skoczyła w górę... Lecz nie była to kontrolowana figura akrobatyczna. Wycie wypełniło kabinę. Ciśnienie spadało. Alec wrzeszczał: prawy silnik w ogniu! Maszyna ześlizgnęła się w prawo,

wyrwała się spod kontroli pilota. Zwalimy się! Conor szarpnął drążek, kopnął pedał orczyka. Spadamy! - krzyczał Alec.

Straszliwa eksplozja, ogłuszający huk. Samolot nagle opadł i przechylił się na lewe skrzydło. Conor walczył ze sterami. Niech to diabli! Maszyna nie słuchała go.

Krzyk Aleca: wyłącz to cholerstwo, zabije nas! Conor odepchnął drążek, zmniejszył moc silników i trzymał... trzymał...

Czy to prawda, pułkowniku, że jeśli się straci kontrolę, trzeba zdać się na komputer?

Alec, jego twarz zniekształcona grymasem przerażenia... Wyłącz to cholerstwo, to nas zabije!

Przejrzał pan dane dotyczące lotu. To był oczywisty WSPP, wypadek spowodowany przez pilota. Prawda, pułkowniku Mitchell?

Twarz szesnastoletniej Geeny. Nie każ mi mówić, kto jest ojcem, Conor! Nie każ mi tego mówić!

Jękliwy dźwięk systemu ostrzegawczego samolotu przedarł się przez majaki. Conor zamrugał oczami, powracając do terażniejszości. Do diabła! Zamknął gaz.

Marchetti tracił wysokość.

Conor pchnął drążek do przodu. Wiedział, że ma kłopoty. Wysokościomierz przypominał tarczę zegarka przesuwanego do tyłu. Siedem tysięcy stóp, sześć tysięcy. Pędził ku ziemi jak wystrzelony pocisk. Pięć tysięcy. Ściągnął drążek na siebie, unosząc nos maszyny. Cztery tysiące. Dostrzegł horyzont ponad krawędzią. Trzy tysiące. Szarpnął drążkiem z całej siły i dał pełny gaz.

Ziemia pod nim, niebo nad głową, równy, spokojny lot.

Ciężko dysząc, spojrzął na wysokościomierz. Dwa i pół tysiąca stóp. Gdy odzyskał panowanie nad sobą zgłosił się do wieży i zawrócił na lotnisko. Ogarniały go jednocześnie fale gorąca i zimna. Jak tamtego dnia. Utrata panowania nad maszyną wskutek błędu pilota. Czy tak, pułkowniku? Potrząsnął głową.

Dwadzieścia minut później kołował do hangaru szkoły pilotażu. Silnik dawno już zamilkł, a on jeszcze tkwił za sterami, próbując wyrównać oddech.

Błękitna dal zawsze była jego żywiołem, jedynym miejscem, w którym mógł odepchnąć od siebie cały ten świat. Tam, pośród czystego błękitu, mógł zapomnieć o śmierci Henry'ego, Erica, reportera. Mógł uwolnić się od obrazu Cherish płaczącej w jego pokoju. Było nam dobrze razem...

Tam w górze pilot musi się skoncentrować na prowadzeniu maszyny. Wiatr dwa siedem zero. Uwaga na godzinę trzecią, góra. Skoncentruj się. Albo zginiesz.

Poderwało go głośnie stukanie. Zobaczył uśmiechniętą, potem nagle spoważniałą twarz Marca.

Szwagier czekał na otwarcie kabiny. Hej, wszystko w porządku? Było nam dobrze razem, Connor! Zabiłem tych ludzi, Henry'ego i Erica.

- Cononr!

Wypadek spowodowany przez pilota.

Conor otarł twarz dłońmi. Pocił się. Siedział tu, przed hangarem i wpatrywał się w przestrzeń. Nie miał pojęcia, jak długo Marc się do niego dobija.

- Conor! - krzyczał Marc.

- Wszystko w porządku! - Otworzył kabinę i podciągnął się, żeby wyskoczyć z samolotu. Prawdę mówiąc, nic nie było w porządku.

Nie mógł już uciec. Zmory towarzyszyły mu wszędzie. Nawet na niebie.

Czekała na Conora czterdzieści pięć minut. Chyba przysnęła, bo omal nie spadła z krzesła, kiedy trzasnęły drzwi za jej plecami.

Conor wyglądał jak z krzyża zdjęty. Znikł gdzieś niewzruszony spokój oblatywacza, który śmieje się śmierci w twarz.

W pierwszym odruchu chciała go pocieszyć. Ale w porę ugryzła się w język. Lepiej, żeby nie miała nic wspólnego z dawną Cherish Do Rany Przyłóż.

Stanie się jak wosk w jego rękach, wbrew wszystkiemu, co powiedziała wczorajszej nocy.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - powiedziała - że mam coś lepszego do roboty niż czekać tu na ciebie w nieskończoność.

Wiedziała, że nie wygląda dobrze. W dzinsach, wytartej bawełnianej koszulce, bez makijażu. Na szczęście Conor nie wyglądał lepiej. Był nieogolony, miał zmęczoną twarz. Mogła się założyć, że nie zmrużył oka tej nocy.

- Jest czwarta czterdzieści pięć - dodała, widząc jego szkliste spojrzenie. - Umówiliśmy się o czwartej.

Skupił na niej wzrok, po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju.

- Byłem rano w laboratorium - wyjaśnił. - Chciałem przeprowadzić kilka testów poszycia skrzydła. Ledwo zdążyłem ustawić aparaturę, zadzwonił telefon. Powiedziano mi, że jedno z dzieci miało wypadek i siostra czeka na mnie w moim gabinecie.

Wiedziała, że gabinet Conora mieści się w innym budynku niż laboratorium, w którym pracował. Mogła to sobie łatwo wyobrazić: gdy tylko Conor usłyszał słowa „wypadek” i „jedno z dzieci”, wypadł z laboratorium i popędził do gabinetu, zanim jego rozmówca zdążył odwiesić słuchawkę.

- Geeny tam nie było - powiedział Conor - więc zadzwoniłem do domu. Właśnie szykowała bliźniaki do szkoły. Kiedy wróciłem do laboratorium, odłamek zniknął.

- Nie chcę być pesymistką, ale pozwól, że zgadnę. Nie zdążyłeś przeprowadzić żadnych prób?

- Obejrzałem odłamek pod mikroskopem. Do niczego nie był podobny, więc wyciąłem kość próbną do testu na rozciąganie. Próbka znikła, zanim przeprowadziłem test.

Test rozciągania określał wytrzymałość i sztywność tworzywa. Najpierw należało wyciąć płaski kawałek materiału - cienki pośrodku, rozszerzający się ku końcom, w kształcie kości. W środkowej części należało przyczepić urządzenie do pomiaru zwane czujnikiem naprężnooporowym i rozerwać tworzywo na specjalnej maszynie. W

ten sposób uzyskiwało się krzywą wykresu rozciągania. Na podstawie tej krzywej można było określić sztywność badanego tworzywa. Poziom naprężenia, przy którym materiał pęka, określa jego wytrzymałość.

- Coś w tym jest, Cher. I ktoś bardzo nie chce, żebyśmy się tego dowiedzieli. Na dodatek wiedzą już, że tego szukamy.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Czy wiesz, kto?

- Russell Reck. I Kinnard. Nie sadzę, żeby Reck był w stanie to przeprowadzić bez Kinnarda.

- A Alec?

- Kto wie? Może dowiedział się czegoś i przy naszym udziale stara się znaleźć dowody, a może działa z innych pobudek. Może to wszystko - zamach terrorystów, Alec, Reck Enterprises - ma ze sobą ścisły związek, a może żadnego. Może ktoś chce znaleźć kozła ofiarnego i wybrał sobie Aleca. Musimy zacząć od sprawdzenia, co to za tworzywo.

Odczuła jednocześnie zdumienie i strach. Lawina wątpliwości, jaka nastąpiła później, tylko pogorszyła sprawę. Jakie tworzywo mogło wytrzymać natężenie wykazane w zapisie lotu? W jaki sposób pokryli nim skrzydła? Jaki udział ma w tym Alec? Odnosiła wrażenie, że stara się dopasować elementy zupełnie różnych układanek.

- Dzwoniłem do ciebie do pracy. - Głos Conora wydał się jej zbyt spokojny. - Jeździłem dookoła twojego domu. Przeszukałem

nawet parking Marquisa. Nieważne, co sądzisz o mnie, Cher. Musisz zrozumieć...

- Co? — Przez myśl przemknęło jej wszystko, czego się o nim dowiedziała. Co za facet... co za bohater! Mężczyzna, który jej nie kochał. - Próbujesz mi powiedzieć, że jesteśmy na siebie skazani, dopóki nie uznasz, że nic mi nie zagraża?

Znowu przypomniała się jej sztuka Sartre'a Bez wyjścia.

Witaj w mojej wizji piekła.

Wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem przed jego biurkiem. Może nie układało się jej najlepiej z Conorem, ale i tak był jedynym człowiekiem, któremu ufała.

- A co z FBI? - zapytała. - Jest przecież agent Lebredo. Moglibyśmy pójść do niego z tym, co mamy.

- Nie rozumiesz, prawda? - Jego głos stracił beznamiętny ton, teraz brzmiała w nim pasja. - Nie wiem, co się dzieje, ale cokolwiek to jest, rząd bierze w tym udział. Niewykluczone, że Kinnard działa na własną rękę. Jakie ma wpływy? Jest głową najważniejszych instytucji zajmujących się rozwojem technologii. No i ma kumpli w CIA. Dopóki się nie dowiemy, z czym mamy do czynienia, dopóki nie zdobędziemy konkretów, będziemy zdani wyłącznie na siebie.

Opadła na krzesło, przytłoczona wizją, jaką przed nią roztoczył. Rządowi agenci, tajemnicze tworzywa pokrywające samoloty eksperymentalne. Przypomniała sobie czytany niedawno artykuł. F-117 Stealth Fighter spadł na podmiejskie łąki podczas pokazów lotniczych. Mieszkańców poproszono o niezabieranie na pamiętkę

odłamków poszycia skrzydeł, po czym spryskano całą okolice specjalnymi chemikaliami, a wszystko dlatego, że samolot był pokryty specjalnym tworzywem wchłaniającym sygnały radaru.

- Musimy jechać do Rosji, Cher.

Podniosła wzrok, zatopiona w myślach. Zamrugła, nie rozumiejąc.

- Mógłbyś to powtórzyć?

- Tam jest Joystick. Uniosła dłoń.

-Hola! Wróć! Joystick, Rosja, fragmenty skrzydła. Gdzie jest wspólny mianownik?

- Sprawdziłem w Internecie, kiedy zmęczyła mnie już ta zabawa w chowanego z tobą. Joystick nadal istnieje. Przejęli go Rosjanie Erica.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął plik papierów. Wstał, obszedł biurko i rzucił papiery na kolana Cherish.

- Rosjanie odkupili od Recka nazwę firmy, po tym, jak sprzedał ją w kawałkach. Jeżeli chcemy poznać pochodzenie tworzywa, musimy cofnąć się do źródeł, do ludzi, którzy je wynaleźli. Myślę, że to właśnie Rosjanie.

Wpatrywała się w listę rosyjskich nazwisk. Wszystko to wydawało się niewiarygodne.

Potrząsnęła głową.

- Nawet jeżeli Reck ma jakiś syntetyczny metal, jak zdołamy to udowodnić? Ktoś ukradł odłamek.

Sięgnął do kieszeni i wyjął fragment poszycia. Cherish dostrzegła ślad po cięciu. Odłamek był mniejszy od tego, który ukradła. Miał mniej więcej pięć centymetrów średnicy. Wystarczy, żeby poddać go analizie molekularnej. Potrzebny był tylko sprzęt.

- Najpierw przeciąłem go diamentową piłą. Miałem drugą połowę przy sobie, kiedy zadzwonił telefon. Skontaktowałem się już z Bołkońską, ona teraz prowadzi Joystick. Nie powiedziałem, o co chodzi, napomknąłem tylko, że mam coś, co z pewnością chcieliby zobaczyć. Kiedy wspomniałem Erica i Reck Enterprises, wykazała duże zainteresowanie.

- No cóż - Cherish była zdumiona spokojnym brzmieniem własnego głosu. - Sądzę, że nie można wysłać tego pocztą. - Podniosła się z krzesła, nogi pod nią drżały. Zrozumiała już, co trzeba zrobić. - Myślę, że to dobry pomysł, żebyś pojechał do Rosji. Jeżeli to oni wynaleźli tworzywo, którym pokryto WingMaster, będziesz miał punkt zaczepienia. Z przyjemnością pojechałabym z tobą. - Ruszyła w stronę drzwi. - Niestety, nie mogę.

Chwycił ją za rękę.

- Musisz lecieć ze mną, Cher.

Oblała ją fala gorąca. Wbiła oczy w drzwi. Pochylił się ku niej.

- Musisz spróbować, Cher - powiedział niemal szeptem. - Będę cały czas przy tobie.

Nie odrywała wzroku od drzwi.

- Nie mogę wsiąść do samolotu, Conor, wiesz o tym.

- Bzdura!

Zanim się zorientowała, chwycił ją w pól i przerzucił sobie przez ramię. Była jak worek kartofli, zwisała głową w dół, a Conor trzymał ją pod kolana.

Nawet nie protestowała, zapytała tylko bardzo spokojnie, co on wyprawia.

- To śmieszne - odparł. - Alec ostrzegł mnie, że ktoś próbuje cię zabić. Zaczynam rozumieć jego punkt widzenia. Nie wolno mi spuścić cię z oka, dopóki nie uznam, że jesteś bezpieczna. To oznacza, że wsiądziemy do tego samolotu oboje.

Otworzył drzwi gabinetu i wyszedł do recepcji. Minał Geenę i Marca, którzy patrzyli oniemiała jak wynosi Cherish na zewnątrz. Nie broniła się. Na razie wszystko to wydawało się jej nierealne.

- Wiem o twoich koszmarach, Cher. Wiem, że się boisz. Ale jeżeli cię tu zostawię, a ty zginiesz... Sama rozumiesz. Zastanów się, czy nie jest to wystarczająca motywacja, by wsiąść do tego samolotu.

Szedł w stronę płyty. Widziała na pasie samoloty gotowe do startu. Stały w szeregu jak dobrzy żołnierze. Przez chwilę miała wrażenie, że gra w jakimś filmie. Kompletna fikcja. Wisiała głową w dół na ramieniu mężczyzny, podskakując w rytm jego długich kroków.

Ale maszyny były coraz bliżej. Nie czuła już ramienia Conora uciskającego jej biodro. Skupiła wzrok na jednym samolocie, który rósł jej w oczach, niczym straszna bestia.

Conor postawił ją na ziemi. Najpierw coś mówił, potem zaczął nią potrząsać. Nie słyszała ani słowa. Widziała tylko samolot, bestię.

Ziemia zadrżała pod jej stopami, jak przy trzęsieniu ziemi. Zaczęła tracić równowagę i upadłaby, gdyby Conor jej nie podtrzymał.

Popatrzył na nią dziwnie. Odepchnęła go i zaczęła się cofać, przewyciężając słabość w kolanach. Ale on znowu ją chwycił. Nadal coś mówił. Widziała ruch jego warg, ale nie mogła rozpoznać słów.

Potrząsnęła głową. Zrozumiała, że to nie Conor mówi, tylko ona bełkocze, powtarza w kółko to samo zdanie: - Nie mogę wsiąść do samolotu. Nie mogę wsiąść do samolotu.

Conor pozwolił jej odejść. Z wyrazu jego twarzy poznała, że w końcu zrozumiał.

Potknęła się, odzyskała równowagę i cofała się dalej, tyłem, byle dalej od Conora i jego bestii. Nie mogę wsiąść do samolotu! Potem ruszyła biegiem.

Conor patrzył, jak Cherish potyka się, prawie upada, a potem odwraca się i biegnie przed siebie. Wyraz jej twarzy, jej głos, piskliwy i zadyszany -widywał także symptomy u pilotów, którzy wyszli cało z katastrof. Wyglądali tak samo, bełkotali jakieś słowa, rozumiały tylko dla nich.

Dla Conora latanie było równie naturalne jak wciąganie powietrza do płuc. Nawet po takiej wpadce jak dzisiaj, kiedy wspomnienia katastrofy sprawiły, że sknocił zwykłą pętlę, nie odczuwał lęku. Był po prostu zły.

Myślał, że to będzie łatwe. Zamiast zapakować Cherish do marchettiego i powiedzieć: „Widzisz, to nic wielkiego!”, zobaczył, jak

dziewczyna zmienia się w katatoniczkę. Podobnie wyglądała we wraku samolotu, niezdolna nawet rozpiąć pasów i uciec z kabiny, która stawała się czynnym wulkanem.

Dopiero teraz uświadomił sobie obecność Geeny i Marca. Stali po obu jego bokach. Geena dotknęła jego ręki.

- Pozwól jej odejść - powiedziała.

Spojrzał na siostrę, chciał coś powiedzieć. Ale Geena nie patrzyła na niego. Obserwowała Cherish z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Może potraktowałam ją trochę za ostro - mruknęła. Potem zwróciła wzrok na brata. - Pozwól jej odejść, Conor. Nie ucieknie daleko. I myślę, że tym razem wróci. - Ścisnęła jego rękę. - Bądź ostrożny.

Allison wznosiła się coraz wyżej, uczucie radości rosło, w miarę jak zbliżała się do światła. To była energia. Czysta energia.

Coś tam na nią czekało. Ktoś. Wyciągnęła rękę, próbując nawiązać kontakt. I wtedy poczuła przenikające ją na wskroś dotknięcie. Miłość.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nigdy przedtem nie czuła takiej miłości. I nigdy, przenigdy nie chciała jej utracić.

Czuła, jak zmienia się pod tym dotknięciem. Przeinacza. Nadal pozostawała Allison, ale była też kimś innym. Znalazła w sobie ukryty sens, część własnej istoty, o której istnieniu nawet nie wiedziała. Miała wrażenie, że uruchomiła część mózgu, dotąd uspioną.

- Daj mi to - wyszeptała, wiedząc, że otrzyma coś więcej.

To było niemal zbyt piękne. Ujrzała przyszłość. Była jej częścią. Instrumentem. Czowała w sobie innych ludzi i wiedziała, że oni też ją czują. Otaczała ich aura, dzięki której zawsze się rozpoznają.

Ale pragnęła czegoś więcej niż sen. Czegoś więcej niż wspomnienie tego dotknięcia. Czekwała na dzień, gdy ono powróci.

Dopiero wtedy to się stanie. Kiedy powrócą inni, ta miłość stanie się na zawsze częścią jej życia.

- Nie! Nie odchodź. Nie opuszczaj mnie - wyszeptała, gdy światło odplynęło, znikło jak gwiazdy. - Nie odchodź!

Otworzyła oczy.

Znajdowała się nadal w pokoju Aleca. Była noc. Słyszała uderzenia fal o brzeg. Morze było tak blisko, że wilgoć przesycala pościel. Allison wstała i podeszła do okna. Rozchyliła zasłony, żeby popatrzeć na ocean.

Alec jest takim pięknym mężczyzną. Pięknym i fascynującym mężczyzną. Kiedyś stanowiłby spełnienie wszystkich jej dziewczęcych marzeń. Kiedyś.

Westchnęła i wróciła do łóżka. Usiadła po turecku, sięgnęła po telefon, wykręciła numer i czekała cierpliwie.

Na drugim końcu linii odezwała się automatyczna sekretarka.

- Dean, odbierz, proszę. To ja, Allison.

Czekając, wysypała z pudełka papierosy Aleca i ułożyła je na nocnym stoliku jak bierki. Przestraszył ją dzisiaj, tak bardzo, że zrozumiała, co musi zrobić.

- Dean? - powiedziała, kiedy w słuchawce odezwał się znajomy głos. - Muszę mieć te papiery zaraz. Nie mogę dłużej czekać.

Opadła z powrotem na poduszki; Nadal czuła zapach wody kolońskiej Aleca. Uśmiechnęła się.

- Tak czy inaczej, nie mogę dłużej czekać - powtórzyła stanowczo. Odbiorę je za godzinę.

Przerwała połączenie i zaczęła się ubierać.

21

Cherish usiadła przy biurku i pociągnęła łyk dietetycznej coli, którą kupiła na dole z automatu. Po ucieczce z lotniska pojechała wprost do Marquisa. Tylko tutaj Mitchell nie mógł jej sterroryzować. A przynajmniej musiałby pokonać strażę, żeby to zrobić.

Ograniczył się do wydzwaniania co pół godziny. Tłumaczył jej jak dziecku, że musi zostać tam, gdzie jest stosunkowo bezpieczna, w strzeżonych zakładach lotniczych. Kiedy będzie gotowa do wyjścia, powinna zadzwonić do niego, żeby mógł ją „odebrać” i przedyskutować „opcje”.

Przy kilku ostatnich telefonach podnosiła słuchawkę, mówiła „nadal tu jestem” i przerywała połączenie. Miała nadzieję, że jej niedoszłym rozmówcą był Conor.

Żyła z godziny na godzinę. Nie miała pojęcia, co zrobi po wyjściu z pracy. Nie zdecydowała jeszcze, gdzie się ukryje. Nie zadzwoniła ani do Mike'a, ani do ojca, po raz pierwszy zostawiając ich na pastwę ich własnych problemów. Niech sami rozwiązują swoje

kryzysy. Na razie skoncentrowała się na pracy: komunikaty prasowe, memoranda wewnątrz biurowe, katalogowanie. Zaległości.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Wiedziała, że nie może kryć się w biurze w nieskończoność. Gdyby to chociaż przynosiło jakieś korzyści, ale przez ostatnią godzinę zamiast o pracy myślała o Ericu.

Erie Bailas prowadził prywatną kampanię zmierzającą do wyeliminowania rządu z prywatnego sektora badań kosmicznych. Conor był zdania, że badania Erica, prototyp WingMaster i dziwne tworzywo na skrzydłach, są elementami tej samej łamigłówki. A Cherish jest jedyną osobą, która pracowała przy obu programach, chociaż w zupełnie innej dziedzinie. Kimś, kto mógł powiązać tworzywo pokrywające samolot Recka z badaniami Erica.

Bez wątpienia metal syntetyczny to potencjalna kopalnia złota, jak przed kilkudziesięciu laty plastik. Jego zastosowanie w sektorze cywilnym było ogromne, mógł zastąpić wszystko, zrewolucjonizować lotnictwo, produkcję samochodów, nawet budowę statków.

A także komputery. Nowoczesne włókna przewodziły elektryczność równie skutecznie jak nadprzewodniki, mogły więc zostać wykorzystane do produkcji bardzo małych komputerów. Nanorurki sprawiłyby, że sprzęt elektroniczny uważany obecnie za zminiaturyzowany stałby się przeżytkiem.

Cherish była oszołomiona nadmiarem koncepcji i możliwości. Erie robił wszystko, żeby pokonać system. Może komuś zależało na tym, aby mu się nie powiodło?

Westchnęła ciężko. Skoro Conor uważa, że stanowią dla kogoś zagrożenie, trzeba usprawiedliwić tę opinię.

Nie czekając, aż opuści ją odwaga, przyciągnęła ku sobie klawiaturę. Wystukała nazwę dawnego pliku i wcisnęła „enter”.

Komputer wywołał plik. Ale zamiast tekstu na ekranie błysnął napis: „Zainteresowałaś się sprawą, maleńka?”

Siedziała jak sparaliżowana. „Maleńka”. Alec!

Wzięła głęboki oddech i czekała, aż serce zwolni szaleńczy bieg. Alecowi udało się włamać do systemu komputerowego. Przypomniała sobie fałszywy alarm przeciwpożarowy. Nie ulegało wątpliwości, że system zabezpieczeń Marquisa nie stanowił dla niego przeszkody.

- Musiał zaprogramować odpowiedź na hasło „Erie Ballas” - mruknęła do siebie.

Ostrożnie wystukała: „Tak”.

Komputer odpowiedział: „Dzięki Bogu!”. Napis zniknął i przez chwilę ekran był pusty. Potem w samym środku pojawiło się kółeczko, a następnie linie geometryczne, które stały się oczami i ustami uśmiechniętej buzi. Buzia odwróciła się profilem i rozpoczęła marsz po ekranie. Docierała do końca, zawracała i wędrowała w przeciwną stronę. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, coraz szybciej i szybciej.

Ekran na chwilę zgasł, po czym pojawił się napis: „Gdzie, ach, gdzie się podział twój maleńki plik? Gdzie, ach, gdzie on może być?”

- Bawisz się w jakieś gierki, Alec. - Gierki, które mogą kosztować kogoś życie. Już kosztowały, jeżeli Alec jest zamieszany w zamach na WingMaster.

Wystukała: „Gdzie?”

Po chwili pojawiła się odpowiedź: „Nie ma go tutaj? Może jest gdzie indziej?”

Wydało się jej, że rozumie. Zrobiła szybki przegląd katalogów.

Plik zniknął. Skasowano wszystko, co dotyczyło projektu, nad którym pracowała z Erikiem.

Fakt, sam w sobie, nie powinien budzić podejrzeń. Administrator systemu mógł usunąć stare, nieużywane pliki, żeby zrobić miejsce dla nowych. Ale zdarzało się to bardzo rzadko.

Cherish wstała, przypomniawszy sobie, że trzymała wydruk w starych katalogach. W której szafce? Wyciągnęła szufladę i zaczęła szukać.

Dwadzieścia minut później zakończyła przegląd wszystkich szuflad. Wydruk przepadł bez śladu.

A jednak widziała go nie dalej jak tydzień temu. Natknęła się na niego w dniu katastrofy drugiego prototypu, kiedy szukała komunikatu prasowego dla Lori.

Cherish chwyciła torebką, zarzuciła ją na ramię jak plecak i niemal biegiem przebyła drogę dzielącą ją od budynku numer 22. Pracownicy opuścili zakłady przed paroma godzinami, budynki były puste. Cherish rozglądała się na boki z niemiłym uczuciem, że zaczyna cierpieć na manię prześladowczą. Miała wrażenie, że ktoś ją

obserwuje. Niebo się zachmurzyło, deszcz wisiał w powietrzu. Księżyc skrył się za nieprzenikniony kożuch z chmur. Robi się zbyt nastrojowo jak na mój gust, pomyślała. Mżyło, kiedy dotarła do budynku.

Otworzyła drzwi kartą. Marquis przechowywał wydruki przez okres pięciu lat. Polityka zakładowa. A Cherish miała przepustkę i wstęp do wszystkich biur zakładów, również do archiwum.

Zatrzymała się, słysząc jakiś dziwny skrzypiący dźwięk. Nasłuchiwała, czy się nie powtórzy. Może dlatego, że myślała o Ericu, a może dlatego, że ostatnio była gotowa uwierzyć we wszystko, przypominała sobie Stowarzyszenie Milenijne.

- Tego nie wzięliśmy pod uwagę - mruknęła. - To robota kosmitów. Powtórka z Roswell.

Poszła dalej, nasłuchując, świadoma tego, że puszcza jej nerwy.

- Odpowiednia chwila na rozmyślanie o kosmitach, Cherish. W tym miłym opuszczonym gmachu, w drodze do podziemnego archiwum.

Zjechała windą do piwnicy. Na szczęście żaden kosmita nie ukazał się, kiedy wsunęła kartę w szyfrowy zamek w drzwiach. Wystukała cztery cyfry i usłyszała znajome, klik, klak.

Zapaliła górne światła. Archiwum przypominało bibliotekę uniwersytecką, rzędy szarych metalowych szafek katalogowych zajmowały połowę powierzchni pomieszczenia. Wysokie na dwa metry, opatrzone były nazwami i datami projektów.

Znalezienie odpowiedniej szuflady zajęło jej trochę czasu. Rezultat poszukiwań mówił sam za siebie. Wydruk zniknął.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, a potem stłumiony skrzypiący odgłos, jaki wydają buty na twardej podszwie w zetknięciu z linoleum.

Ktoś był w archiwum.

- Halo? - zawołała. Wyszła zza rzędu szafek katalogowych. - Jest tu ktoś?

W tym momencie zgasło światło. Cherish zatrzymała się, wciągając gwałtownie powietrze. Instynktownie cofnęła się o parę kroków. W sali było całkiem ciemno. Tylko napis „wyjście” nad drzwiami rzucał słabą zieloną poświatę.

Znow odgłos kroków. Ktokolwiek był w archiwum, szedł w jej kierunku. I nie czuł już potrzeby ukrywania się.

Cherish odwróciła się i pobiegła przed siebie wzdłuż szafek katalogowych, szukając po omacku drogi. Oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności. Dotarła do końca korytarza, obeszła rząd szafek i ruszyła sąsiednią alejką w przeciwnym kierunku.

Niemal wpadła na potężną postać zagradzającą przejście. Jednym płynnym ruchem ściągnęła torebkę z pleców, wzięła zamach, uderzyła z całej siły. Usłyszała bolesne stęknięcie i przemknęła obok mężczyzny, który je wydał.

Pobiegła wzdłuż następnego rzędu szafek, zawróciła i skierowała się do drzwi. Chwyciła za klamkę, obróciła. Zamknięte!

Za sobą usłyszała dziwny szczeł. Potem coś huknęło głucho. Kącikiem oka dostrzegła krótki błysk.

Odruchowo rzuciła się na podłogę, przylgnęła policzkiem do linoleum. Bez tchu, drżącymi rękoma namacała ścianę przed sobą. Tuż ponad jej głową widniała ciemna plama. Przyłożyła do niej palec. Dziura.

Dziura po kuli.

Poderwała się na nogi i dała nura w czarny labirynt korytarzy. Ktoś ją gonił, nie siląc się już na zachowanie ciszy. Raz po raz rozlegał się strzał, wyraźny, przerażający. Cherish dotarła do końca alejki, okrążyła szafki, starając się biec jak najciszej.

Zbyt blisko!

Rzuciła się naprzód, nie zważając już na hałas, ale nadal zgięta w pół. Biegając, otwierała szuflady, strącała teczki. Może ten, kto ją goni, nadzieje się na taką otwartą szufladę, albo poślizgnie na papierach. Kierowała się w stronę tylnych drzwi, które łączyły archiwum z drugim pomieszczeniem w piwnicy. Miała nadzieję, że jej prześladowca o nich nie wie. Te drzwi mogą być otwarte. Gdyby udało się jej do nich dotrzeć.

Ktoś chwycił ją w pół, szarpnął ku sobie. Czyjaś dłoń zaniknęła się na jej ustach, pchnęła ją na szafkę.

- Pracowita z ciebie dziewczynka - wyszeptał jej Alec do ucha. - Ale nie masz wyczucia czasu. Teraz bądź bardzo cicho.

Próbowała wyrównać oddech, spokojnie nabierać powietrza do płuc. Powtarzała sobie, że jest z nią Alec. Nie jest już sama. Ale musi go słuchać. Musi być bardzo cicho.

Minęli ją dwaj mężczyźni, tak blisko, że mogła ich dotknąć. W ciemności nie dostrzegli jej i Aleca przytulonych do szafek.

Alec pociągnął ją za sobą i pobiegli w stronę drzwi korytarzem, z którego dopiero co wyszli mężczyźni. Cherish zastanawiała się, czy Alec wie, że są zamknięte od zewnątrz, ale nie mogła ryzykować i mówić mu o tym teraz. Zresztą sprawiał wrażenie kogoś, kto wie, co robi. Przy drzwiach wyciągnął z kieszeni kartę, wsunął w szparę między zamkiem a futryną. W zielonkawym świetle neonu ujrzała jego uśmiech. Drzwi ustąpiły.

Strumień bladego zielonego światła wpadł do sali. Światło z holu. Spomiędzy szafek wybiegli dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach. Jeden z nich uniósł rękę...

Alec wypchnął Cherish na korytarz, odgradzając ją sobą od zabójców. Zobaczyła kolejny błysk światła, usłyszała strzał. -W nogi!

Oboje wypadli do holu. Mijając w biegu windy, Alec wcisnął guzik, ale nawet nie przystanął. Cherish dotrzymywała mu kroku, ślepe narzędzie w jego ręku. Tu nie było miejsca na wątpliwości.

Usłyszeli krzyki za plecami.

Runęli w górę schodów. Ręka w rękę pędzili do wyjścia ewakuacyjnego. Alec pchnął drzwi, wyskoczył na zewnątrz. Jakimś cudem jej samochód stał przed wyjściem. Alec zdołał widocznie uruchomić wóz i przeprowadzić go przez bramkę.

Teraz okrążył biegiem samochód i wskoczył na siedzenie pasażera, Cherish osunęła się na fotel kierowcy.

- Pomyślałem, że może nam być potrzebny szybki środek lokomocji - wyjaśnił. - Ruszaj!

Ruszyła z piskiem opon. Przez zakłady wiodła; droga dla samochodów i Cherish wjechała na nią teraz, kierując się w stronę głównej bramy. Dopiero kiedy ujrzała światła szlabanu, odetchnęła pełną piersią.

Pokazała przepustkę strażnikowi, facetowi który nie zainteresował się strzelaniną na swojej warcie. Jedno było pewne, ona nie podniesie alarmu, mając Aleca na przednim siedzeniu.

Strażnik uśmiechnął się i machnięciem ręki kazał jej przejechać. Alec oddychał ciężko.

- Śledzili cię - powiedział - a ja śledziłem ich. Ten eksperyment z kawałkiem poszycia skrzydła... - Uśmiechnął się, potrząsając głową. - Nie należało tego robić.

- Kim są ci „oni”, Alec? Pracują dla Russella Recka czy dla Josepha Kinnarda?

- Nie wiem. To znaczy, nie mam pewności. Przed rokiem, badając przyczyny katastrofy, zrobiłem interesujące odkrycie. Próbowałem pomóc Conorowi. Bardzo się przejął orzeczeniem komisji. Przypadkiem odkryłem prawdę. Od tamtego czasu polują na mnie nieustannie.

Starła się skupić na prowadzeniu, nie tracąc jednocześnie ani słowa z rewelacji Aleca. Jechali po wiejskiej drodze, wzdłuż pól.

- Prawdę? Jaką prawdę? Mówisz o pierwszofazowym prototypie? O katastrofie, w której zginął Erie?

- To nie była wina Conora. Pilot nie popełnił żadnego błędu. Ktoś wysadził samolot, podobnie jak ten drugi prototyp przed dwoma tygodniami.

I jak wysadzi trzeci model, jeżeli Reck się uprze i przeprowadzi lot próbny. - Nie do wiary, ale uśmiechnął się, białe zęby błysnęły w półmroku. - Wybuchnie jak fajerwerk na czwartego lipca.

- Boże! Więc to Russell Reck?

- Dowiemy się tego, prawda? Zatrzymaj się.

Nie dotarli daleko, zaledwie na tyły zakładów. Odwróciła się do Aleca, żeby zaprotestować, i wtedy zobaczyła krew na jego koszuli.

- Jesteś ranny!

Wyskoczył z samochodu. Wyciągnęła ku niemu rękę, ale zatrzasnął jej drzwi przed nosem, oparł się o nie, żeby nie mogła otworzyć od środka. Gestem poprosił, by zsunęła szybę. Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy zasłonił ją sobą. Musiał wiedzieć, że facet ma broń, i że ona znajduje się na linii strzału.

Ujął ją mocno pod brodę.

- Ty, ja i Conor. Musimy dokonać odkupienia. - Pocałował ją ponad krawędzią szyby. - Nigdy bym cię nie zostawił, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Nie zrezygnowałbym z nas, jak to zrobił Conor. Zmusiłbym cię, żebyś mnie kochała. - Uderzył dłonią w dach wozu. - A teraz zmykaj stąd! Natychmiast!

I już go nie było.

Cherish prowadziła wóz trzęsącymi się rękami. Cały czas spoglądała we wsteczne lusterko, zastanawiając się, gdzie są mężczyźni, którzy postrzelili Aleca. Rozpadało się na dobre, krople rozpryskiwały się na przedniej szybie. Z pewnością ją śledzili. Ale nie dostrzegła nikogo.

Strzępki myśli wirowały w głowie. Przypomniała sobie rozmowę z Geeną. „Nie znasz Aleca. On nie potrafi dawać. Jego matka brała narkotyki... nie ma sumienia...”

Ale zasłonił ją własnym ciałem, przyjął kulę przeznaczoną dla niej.

Jechała przed siebie, próbując uporządkować myśli. „To nie była wina Conora. Pilot nie popełnił żadnego błędu”. Nie wiedziała, dokąd jedzie, dokąd powinna dotrzeć. I nagle doznała olśnienia.

Pół godziny później zaparkowała na podjeździe Conora. Zapukała do jego drzwi, potem walnęła w nie pięścią. Była przemoknięta i śmiertelnie przerażona. Kiedy Conor otworzył drzwi, pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie ucieszył jej tak widok żadnego mężczyzny.

- Miałaś rację - powiedziała. - Ktoś próbuje mnie zabić.

A potem, z jakiegoś niepojętego powodu, podłoga wybiegła jej na spotkanie.

Sydney zmagala się z zamkiem u drzwi. W „Jankee Tavern” kupila saiatkę z tuńczyka, na którą wcale nie miała ochoty, i teraz torba z jedzeniem na wynos krępowala jej ruchy. Przeszła przez garaż do pokoju gospodarczego i upuściła mokrą parasolkę na podłogę. Rano służąca się nią zajmie. Weszła do kuchni, rzuciła torebkę na ladę, wsunęła saiatkę z tuńczyka do lodówki, wyjmując przy okazji butelkę wina. Zdjęła buty i nalała sobie kieliszek chardonnay, zbyt zła, by jeść. Russell dzwonił z pracy. „Nie będę na kolacji”. Znowu.

Przeszła na front domu. Weźmie gorącą kąpiel, wypije wino, zapomni o strasznej nocy, jaka ją czeka... I wtedy go zobaczyła.

James, pracownik firmy ochroniarskiej, czekał na nią w salonie. Poczestował się jednym z beczennych cygar Russella, siedział w ulubionym fotelu jej męża, rozparty niby lord. Włosy mokre, ubranie mokre, jakby dopiero co wyszedł spod rynny.

- Wejdz, Sydney. - Uśmiechnął się i wypuścił kółko z dymu. - Wygląda na to, że twój mężuś znowu pracuje do późna. „

- Jak się tu dostałeś? - Przypomniała sobie program telewizyjny o seryjnych zabójcach. Reporter powiedział, że potrafią być czarujący.

- Wpisałem zapasowy kod w twój system alarmowy, ale ci o tym nie powiedziałem. - Znowu się uśmiechnął.

Wstał i ruszył chwiejnie w jej stronę. Czyżby był pijany? Zauważyła, że twarz ma bardzo bladą, ściągniętą bólem.

A potem zobaczyła plamę krwi na jego koszuli, na wysokości ramienia.

- Co ci się stało? - wykrztusiła z trudem.

- Ach, to? - Zerknął na swoje ramię, - Ratowałem dziewczycę w opałach, niestety.

- Powinieneś pójść do lekarza. Do szpitala na ostry dyżur.

Podszedł bliżej, z tym samym seksownym uśmiechem, który już przedtem zrobił na niej wrażenie.

- Mają głupi zwyczaj zgłaszania ran postrzałowych na policję. Czują zapach cygar wypełniający pokój. Twarz mężczyzny była kredowobiała, widziała piegi na jego nosie. Kiedy się zatoczył w jej stronę, podtrzymała go odruchowo, potem zarzuciła sobie jego zdrowe ramię na szyję, objęła go w pasie i zaprowadziła na fotel Russella. Osunął się ciężko. Nie wypuszczając jego ramienia, zajrzała mu w twarz. Nie nosił już szkieł kontaktowych i mogła zobaczyć naturalny kolor oczu, tak ciemnobrązowy, że tęczęwki zlewały się niemal ze źrenicami. Już się nie uśmiechał. Oddychał płytko, nieregularnie, jak ranne zwierzę.

- Chyba oszalałam - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Nie ruszaj się stąd.

Wróciła z domową apteczką i miską wody.

- Kuma jego raz! - mruknął Alec. - Florence Nightingale.

Zignorowała go i zabrała się do pracy. Zsunąwszy koszulę z ramienia,

stwierdziła, że kula przeszła po skórze, ale pozostawiła głębokie koryto. Przyłożyła do rany zmoczony ręcznik i przycisnęła, żeby zatamować krew.

- Myliłem się co do ciebie, Sydney - wyszeptał Alec. - Dlaczego się pomyliłem? Kobiety zwykle nie potrafią mi się oprzeć.

- Nie przeczę, że wydałeś mi się atrakcyjny - przyznała po chwili wahania.

- Ale nie dość atrakcyjny?

- Traktuję przysięgę małżeńską bardzo poważnie.

- Naprawdę? Szkoda, że twój mąż ma inne zapatrywania.

Wciągnął szybko powietrze, kiedy przycisnęła ręcznik trochę za mocno.

- Założę się, że jest z nią teraz - mówił, nie zważając na ból. - Pieprzy się do utraty przytomności, podczas gdy ty siedzisz tu samiuteńka jak palec, niepokalana i lojalna.

Było to zdumiewające, ale zraniły ją jego słowa. Przecież знаła prawdę. A jednak...

Próbowała zapomnieć o Russellu, skoncentrować się na tym, żeby pozbyć się faceta z domu. Za pięć minut rana powinna przestać krwawić.

- Założę się, że jesteś świetna w łóżku - powiedział, odchylając głowę na oparcie fotela. - Ja też jestem świetny w łóżku, wiesz? - Wolną ręką ujął ją pod brodę, zmuszając, żeby na niego spojrzała. Uśmiechnął się szelmowsko. - Na pewno nie zmienisz zdania, kochanie?

Odsunęła jego rękę, spojrzała na zegar. Jeszcze minuta.

- Nie pociąga mnie facet, który włamuje się do mojego domu i mnie straszy - Odjęła ręcznik, stwierdziła, że krwawienie ustało.

Wyjęła z apteczki gazik nasączony płynem dezynfekującym.

Przytrzymał jej rękę, zanim zdążyła oczyścić ranę.

- Mylisz się co do mnie, Sydney, naprawdę się mylisz. Uważasz mnie za łobuza. A prawdziwym łobuzem jest facet, z którym żyjesz.

Uniosła głowę.

- Chcesz, żebym zdezynfekowała ranę?

- Uganiał się za tobą od samego początku, prawda? - zapytał szeptem.

- Zaplanował sobie to uwiedzenie bardzo starannie. Chciał cię mieć, żonę swojego partnera, i koniec dyskusji.

Nie odsunęła się. Była pewna, że nigdy nie wspominała temu człowiekowi o Henrym.

- Dlaczego Henry miałby mieć taką mądrą i ładną żonę? - ciągnął James.

- Dlaczego Henry miałby mieć coś, czego ja nie mam? Takie pytania zadawał sobie ten drań, kiedy niszczył twoje małżeństwo, bo chciał cię dostać. A potem się znudził i znalazł sobie inną. Osaczył cię, Sydney. Z chwilą, gdy po raz pierwszy zdradziłaś Henry'ego, już byłaś jego. Byłaś częścią spisku.

Zamknęła oczy. Spisek. Dziwne, że użył właśnie tego słowa. Spisek. Kiedy Henry umarł, dając jej szansę poślubienia Russella, czuła się tak, jakby popełniła podłość.

- To jak będzie z tą przysięgą? - wyszeptał James. - Dasz się skusić? Odtrąciła jego dłoń. Zabandażowała ramię, potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę cię rozczarować. W tej chwili wydajesz mi się dość odrażający. Skąd to wszystko wiesz i czego chcesz?

Potrząsnął głową.

- Miałem wobec ciebie tyle planów, Sydney. Wobec nas. To smutne, że muszę z nich zrezygnować. Ale teraz chciałbym cię prosić o przysługę. Powiedz Russellowi, że jeżeli coś złego przytrafi się Cherish Malone, zaczniemy grać ostro. Bez pardonu. - Po raz pierwszy mówił i wyglądał poważnie. - Jeżeli to dla mnie zrobisz, obiecuję, że zostawię cię w spokoju.

Wstał, nagle odzyskując siły. Wziął jeszcze jedno cygaro i ruszył do drzwi swobodnym krokiem, jakby nigdy w życiu nie był ranny.

- Lubię cię, Sydney - powiedział z ręką na klamce. - Bardzo cię lubię. Byłem do ciebie podobny. Byłem we władzy człowieka, któremu powinienem ufać, a który mnie ranił, ciągle od nowa. A ja nic na to nie mogłem poradzić. Chciałem ci pomóc.

Patrzyła na drzwi, które za sobą zamknął. Ulga niemal ją obezwładniła. Coś takiego przytrafiło się jej po raz pierwszy w życiu. Mężczyzna śledzi ją, przekrada się do jej domu. I kim jest Cherish Malone? Kobieta sfotografowana przez prywatnego detektywa? Czyżby Russell odbił Jamesowi dziewczynę?

„Powiedz Russellowi, że jeżeli coś złego przytrafi się Cherish Malone, zaczniemy grać ostro. Bez pardonu”.

Nie sprawiało to wrażenia walki dwóch rogaczy o samicę.

Sydney zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy James zjawił się w jej domu przebrany za pracownika firmy ochroniarskiej. Zadał sobie tyle trudu, żeby wpisać zapasowy kod w jej system alarmowy? Dlaczego? Z pewnością nie po to, żeby zjawić się później na niezapowiedzianą pogawędkę.

Sydney zerwała się na nogi. Wybiegła z pokoju, minęła pędem hol i schody. Wpadła do sypialni, dysząc ciężko, zdjęła wielki obraz impresjonisty znad kominka i rzuciła na łóżko. Pod spodem ukazał się mały sejf. Wystukała kombinację cyfr i drżącymi rękoma sprawdziła zawartość.

Wszystko było na miejscu. Pieniądze, które Russ trzymał z myślą o nagłych wydatkach, jego papiery, jej biżuteria. Niczego nie brakowało.

Coś nawet przybyło.

Z początku w ogóle nie zauważyła małej karteczki w głębi sejfu. James napisał: „Lubię mądre kobiety”.

Na drugiej stronie widniał numer telefonu i pagera.

Sydney klapnęła na podłogę przy kominku, trzymając karteczkę w obu dłoniach. Działo się coś dziwnego. Nie sądziła, żeby James powiedział jej prawdę.

Powinna porozmawiać z Russellem. Powiedzieć mu, co się wydarzyło. Pokazać kartkę z dziwną informacją.

„Lubię cię, Sydney... Byłem do ciebie podobny. Byłem we władzy człowieka, któremu powinienem ufać, a który mnie ranił, ciągle od nowa. A ja nic na to nie mogłem poradzić”.

Gapiała się na karteczkę, a te słowa rozbrzmiewały ciągle na nowo w jej głowie. „We władzy człowieka...”

Któremu powinna ufać...

„Rani cię, ciągle od nowa...”

Podniosła się wolno. Podeszła do łóżka na środku pokoju. Po obu stronach stały zabytkowe francuskie nocne stoliczki z marmurowymi blatami.

Wsunęła kartkę do szufladki po swojej stronie łóżka, pod broszurowe wydanie powieści. Tam, gdzie Russell nigdy nie zaglądał.

23

Cherish obudziła się, kiedy Conor otworzył drzwi hotelowego pokoju, obładowany paczkami niby Święty Mikołaj. Zanim zdążyła zapytać, co wywołało ten konsumencki szal - stan, który nie był jej obcy - Conor postawił torby na podłodze i ciężko opadł na łóżko.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jak ktoś, komu całe życie przewinęło się przed oczami.

Usiadła. Nadal miała na sobie wczorajsze ubranie. Poprzedniego wieczora niewiele rozmawiali, bo Cherish była w szoku. Chyba jeszcze z niego nie wyszła.

- Co to za rzeczy? - zapytała, odgarniając włosy z twarzy. -

Przegapiłam wyprzedzą stulecia?

- Kupiłem to i owo. Marc też przyniósł trochę. Jeszcze spałaś. Pomyślałem, że odpoczynek dobrze ci zrobi. To nie wszystko. Muszę skoczyć po resztę. Nie chciałem, żeby chłopak hotelowy się tu kręcił.

Cherish patrzyła za Conorem, kiedy wychodził. Opadła z powrotem na poduszki, przygnieciona wspomnieniami nocy. Kiedy już uczyniła Conorowi ten zaszczyt i padła mu do nóg, a on przywrócił ją do przytomności, zrelacjonowała najświeższe wydarzenia - zaginięcie akt, pojawienie się Aleca, strzelanina w archiwum. Nie powiedziała mu tylko o rewelacjach Aleca: Conor nie spowodował katastrofy, która zakończyła jego karierę zawodową. Odniosła wrażenie, być może mylne, że ani ona, ani Conor nie są gotowi na taką rozmowę. Temat wydawał się zbyt drażliwy.

Więc kiedy Conor zasugerował, że czas zmienić miejsce pobytu, usłuchała, nie wdając się w szczegóły. Z pomocą Marka i - rzecz niewiarygodna! - Geeny udało im się wymknąć niepostrzeżenie z domu. Marc odstawił ich na lotnisko, gdzie wypożyczyli samochód i już tylko we dwoje ruszyli dalej do San Pedro. Zatrzymali się w hotelu w pobliżu portu.

Zanim Conor wrócił z resztą zakupów, zdążyła umyć twarz i przejrzeć zawartość kilku paczek. Znalazła w nich ubrania, przybory toaletowe i środki pierwszej pomocy. Oraz zdumiewającą liczbę zupek „Gorący kubek”.

Cherish pokiwała głową na myśl, ile to musiało kosztować.

- Po co to wszystko? - Otworzyła kolejną paczkę i wyjęła plecak.

- Potrzebne ci ubrania, prawda? Pomyślałem, że niemądrze byłoby wracać do twojego domu, skoro ktoś próbuje cię zastrzelić. Całymi latami kupowałem ubrania dla Geeny, więc uznałem, że sam to załatwię.

Wyciągnęła koronkowy stanik w swoim rozmiarze. -Żegnaj tajemniczości kobieca.

- Napijesz się dietetycznej coli? - Rzucił jej puszkę. - Przyniosę trochę lodu.

- Nie trzeba, jest zimna. - Potrząsnęła głową, patrząc na stos paczek. -Dobrze, że jedno z nas ma głowę na karku.

Wrócił z łazienki z dwoma kubeczkami wypełnionymi po brzegi lodem. Nalał im coli.

- Toastu nie wznosi się puszką. - Uniósł kubeczek. - Za udaną ucieczkę. Musiała się uśmiechnąć, zdumiona tym, że potrafił w tych okolicznościach zachować poczucie humoru. Stuknęła się z nim i upiła łyczek.

- Za udaną ucieczkę. A właśnie! Dokąd uciekamy? Rozkruszył trochę lodu.

- Znalazłem bezpieczny dom. Dotrzemy tam za jakieś dwa dni. Odstawiła kubek na nocny stolik i podeszła do jednego z dwóch krzeseł obciągniętych jaskrawo pomarańczową tapicerką. Usiadła, czując, jak przechodzi ją dreszcz.

- Mam nadzieję, że Alecowi nic się nie stało.

- Więc martwisz się o Aleca?

Z jego tonu wywnioskowała, że nie jest zachwycony taką możliwością.

- Conor, zeszłej nocy Alec zasłonił mnie własnym ciałem. Może być poważnie ranny.

- Nie wierzę w takie szczęście. - Conor przyniósł jej ze stolika kubek z colą. - Słuchaj, w tej chwili stawką są nasze głowy. Myślę, że czas rozważyć pewne opcje.

Upiła kolejny łyk, odstawiła kubek na stół i podeszła do łóżka. Usiadła obejmując się ciasno ramionami. Opcje. Nagle zapragnęła wskoczyć pod prysznic i zniknąć za strumieniem gorącej wody.

Conor przyniósł jej kubek.

- Rozchmurz się! Nie jestem Wielkim Złym Wilkiem. Chciałbym wznieść jeszcze jeden toast.

Podszedł bardzo blisko, blizuteńko. Cherish wbiła wzrok w plastikowy kubek. Nie mogła pojąć, dlaczego po wszystkim, co między nimi zaszło, Conor nadal tak na nią działa.

- Najpierw powinniśmy wyjaśnić parę spraw. Dotyczących nas - powiedział. - Przepraszam.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Przepraszam za wszystko. To są szczerze przeprosiny, Cher. A ponieważ chwilowo jesteśmy na siebie skazani, chciałem ci zaproponować zawieszenie broni. Co ty na to?

Bez wątpienia trafił w sedno.

-Naprawdę jestem na ciebie skazana?

Przytknął kubek do jej warg.

- Wypij. Inaczej przeprosiny się nie liczą.

Napiła się, nadal zlodowaciała w środku, myśląc o tym, co powiedział Alec. Powinna przekazać informację Conorowi w możliwie delikatny sposób. Jeżeli to nie on spowodował katastrofę samolotu, jeżeli nie był to błąd pilota, ostatnie osiemnaście miesięcy ich życia było oparte na pomyłce.

- Dobrze, ale najpierw muszę, ci coś powiedzieć. - Nerwowo oblizwała wargi. - Słuchaj, nie wiem, jak to zrobić, więc powiem wprost, dobrze?

Przyłożył palec do jej warg.

- Nie chcę słyszeć żadnych rewelacji, Cher. Cokolwiek to jest, może poczekać. Teraz chcę zapomnieć o przeszłości i skoncentrować się na przyszłości. Naszej przyszłości.

Otoczył ją w talii ramieniem, zaskakująco czułym gestem.

- Chcę zacząć od nowa, Cher. Razem. Myślisz, że potrafimy? Myślisz, że mamy szansę?

Pocałował ją, och, tak słodko! Zabrakło jej tchu. Nie domagał się tym pocałunkiem niczego, 'a wszystko dawał. Patrzyła na niego i myślała, że ma halucynacje. Wyobraźnia płata jej figle.

Przypomniała sobie, co powiedziała matka po przeczytaniu notatek z biblioteki. „Czy jest za późno?”

- Cher, moja ukochana. Bardzo cię skrzywdziłem. - Odchylił jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy. -1 nie sędzę, żebyś kiedykolwiek mogła mi wybaczyć.

Nie była na to przygotowana. Takiego Conora nie знаła. „Moja ukochana”? Czy naprawdę tak ją nazwał? Uśmiechał się, a ona patrzyła na jego piękne usta, marzycielskie oczy, na bliznę dodającą twarzy charakteru, i brakowało jej tchu w piersiach.

Conor westchnął.

- Musimy ruszać. Nie wiem, czy jesteśmy bezpieczni, biwakując tak długo w jednym miejscu. - Uniósł jej rękę z kubeczkim, zmuszając, by się napiła. - Ciąg dalszy nastąpi, dobrze?

- Dobrze - powiedziała.

- A więc do dna! Dopła colę.

- Chyba nigdy w życiu nie przeraziłem się tak jak wczoraj - mówił Conor. - Kiedy zemdlałaś, zrozumiałem, ile dla mnie znaczysz. - Bawił się jej ręką trzymającą kubek, grzał palce od zewnątrz, podczas gdy lód ziębił wewnątrz jej dłoni. - Potrzebuję cię i przeraża mnie to, zwłaszcza teraz. Po tym wszystkim.

Miała trudności z oddychaniem. Tak długo marzyła, by usłyszeć od niego te słowa. Miała ochotę się uszczypnąć.

- To, co mówiła Geena... To wszystko jest bardziej skomplikowane. Nie chodzi tylko o Aleca i komisję bezpieczeństwa. Nigdy od nikogo nie byłem uzależniony, Cher. Odwrotnie, inni byli uzależnieni ode mnie. Geena, Alec, to oni mnie potrzebowali. A potem zjawiała się ty i wszystko się zmieniło. Po tym telefonie od komisji, kiedy zrozumiałem, że moja kariera się skończyła, nie było już nic, co mógłbym ci ofiarować.

Potrząsnęła głową.

- Nie kupuję tego, Conor. To ja ciebie potrzebowałam. Nie jakiegoś oblatywacza odrzutowców czy bohatera, który uratował mi życie. Zakochałam się w tobie. Mogłeś mi ofiarować tylko siebie.

- Więc okazałem się głupcem. Tak mi przykro.

Przyszły jej na myśl słowa matki o mężczyźnie, który przez całe życie walczył o odzyskanie poczucia bezpieczeństwa, próbował osiągnąć rodziców w niebie.

- Chcę, żebyś mi wybaczyła - powiedział. - Rozumiem, że to absurd skoro nie wiesz nawet połowy tego, co musisz wybaczyć.

Powiedział to z taką szczerością w głosie! W końcu należał do niej. Tak, jak to sobie wymarzyła.

- Wybaczysz mi, Cher?

Skinęła tylko głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Więc wypijmy za naszą przyszłość. Opróżnił swój kubek, nie odrywając od niej oczu.

Upiła mały łycalek. Conor potrząsnął głową z dezaprobatą.

- Do dna! - Miała wrażenie, że hipnotyzuje ją wzrokiem. - Z całego serca, moja kochana.

Opróżniła kubek, jakby rzucił na nią czar.

- Co teraz?

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Jedziemy do Rosji, Cher. Zmarszczyła brwi.

- Niby jak? Można tam dopłynąć statkiem? I jak długo to potrwa? Prototyp końcowy ma wystartować za niecałe trzy tygodnie.

Z tylnej kieszeni spodni Conor wyciągnął bilety lotnicze.

- Marc kupił je dla nas. Mam około dziesięciu tysięcy w gotówce. Wystarczy na podróż w tę i z powrotem.

Cofnęła się o krok, kręcąc głową. Nie rozumiała, po co on to mówi.

- Przecież już to przedyskutowaliśmy. Nie wsiądę do samolotu. Kolana się pod nią ugięły - na myśl o samolocie ale i z innych, niezrozumiałych dla niej przyczyn. Nagle straciła władzę w nogach. Opadła na łóżko.

Conor usiadł obok.

- Gdyby istniał jakiś inny sposób... Ale nie mogę cię tu zostawić. A jechać muszę. Muszę zawieźć tę próbkę poszycia Rosjanom Erica. Potrzebuję cię, Cherish. Musisz powiązać pracę Erica z tym odłamkiem skrzydła. I muszę zapewnić ci bezpieczeństwo.

Strach przyćmił jej umysł.

- Ja nie mogę wsiąść do samolotu. Nie sądzisz, że gdybym mogła, już bym to zrobiła? Jestem dyrektorem public relations w przedsiębiorstwie lotniczym, na miłość boską! Wiesz, ile mnie kosztowało namówienie Lori, żeby przejęła moje podróże służbowe? Próbowałam się leczyć. Próbowałam hipnozy, medytacji i leczenia metodą wizualną. - Język jej drętwiał, miała trudności z mówieniem.

- Tak czy inaczej, jedziesz ze mną.

Z nagłą ostrością zobaczyła walizki na wpół ukryte za łóżkiem. Za sobą miała dużą paczkę. Sięgnęła po nią, przy czym odniosła wrażenie, że ramię należy do kogoś innego. Usunęła bibułkę, odsłaniając panterkę.

- Kupiłeś mi panterkę - stwierdziła beznamiętnie.

- Jedziemy na Syberię. Trochę tam chłodno. Nawet późną wiosną. Traciła ostrość widzenia. Popatrzyła na pusty plastikowy kubek, który nadal trzymała w ręku.

- Co ty ze mną zrobiłeś, Conor?

Wszystkie te piękne toasty, te piękne słowa o miłości. „Do dna, moja ukochana”.

- Geena bierze proszki na migrenę, której normalne środki nie ruszają. Zwykle łyka jedną do dwóch tabletek. Śpi po nich jak niemowlę przez całą noc. Kazałem jej zadzwonić do lekarza. Powiedział, że można bez ryzyka podwoić dawkę. Włożyłem cztery do twojego kubka z lodem, kiedy byłem w łazience. Dałem ci colę z rozkruszonymi tabletkami.

Osunęła się na poduszki. Stopniowo ogarniała ją panika. Coś się stało z głosem Conora. Dudnił, jakby docierał do niej z końca długiego tunelu.

- Tak mi przykro, Cher.

Wsadzi ją do samolotu wbrew jej woli.

- Mam starego przyjaciela z Air Force. Lata teraz w liniach pasażerskich. Powiedziałem mu o twoim lęku przed lataniem, o tym, że mamy ważną robotę w Moskwie. Wyjaśniłem, że będziesz na środkach nasennych. Ustalił z załogą, jak przetransportować cię na pokład. Już na nas czeka.

- Mój paszport? Wizy? - Miała wrażenie, że słowa nie wydostały się poza jej głowę.

- Marc znalazł paszport w twoim nocnym stoliku. Przez cały ranek załatwiałem wizy. Są fałszywe. Dobre i bardzo drogie. Resztą zajmą się nasi Rosjanie. Joystick.

Lot transatlantycki trwał kilkanaście godzin. Działanie tabletek, choćby nie wiem jak silnych, skończy się w połowie. Ogarnęła ją groza, a jednocześnie czuła, jak narkotyk obezwładnia jej ciało.

- Conor, proszę... nie rób mi tego. Nigdy ci nie... wybaczę.... tym razem nie... Przysięgam.

- Wiem. - Patrzył na nią, kiedy traciła przytomność.

Ułożył ją wygodnie na łóżku i sam usiadł obok. Serce łomotało mu w piersiach. Zerknął na zegarek, sprawdzając, ile mają czasu do odlotu. Nigdy w życiu tak się nie bał.

- Boże, błagam, nie pozwól mi jej zabić. Potem zaczął się pakować.

Rozbrzęczał się pager przy łóżku. Alec usiadł, sięgnął zdrową ręką. Kiedy poprzedniej nocy wrócił do domu, Allison unieruchomiła mu ramię na temblaku. Przysunął pager do oczu, żeby odczytać numer. Uśmiechnął się.

- To ona - powiedział do Allison. - Sydney.

- Oczywiście - odparła Allison.

Jaka kobieta oparłaby się Alecowi, kiedy już postanowił, żeby ją zdobyć?

Russell wydeptywał marmurową posadzką w swoim gabinecie. Poranna gazeta leżała na biurku, otwarta na artykule o strzelaninie w Marquis Aircraft.

- Nie sądzisz, że można to było zrobić dyskretniej ? - zapytał Josepha. - Musiałeś urządzać strzelaninę w zakładach?

Ale Joseph Kinnard zachował niewzruszony spokój. Stał przed oknem sięgającym od podłogi do sufitu i spoglądał na przystań Newport.

Russell czuł narastającą panikę. Ostateczny prototyp miał zostać przetransportowany na lotnisko Edwards w przyszłym tygodniu. Lot próbny zaplanowano pod koniec miesiąca, za niecałe trzy tygodnie. Jeżeli dotrzymają terminu, zainkasują następną dotację z Kongresu, okrągłą sumkę pół miliarda dolarów. Prototyp musi wzbić się w powietrze, tymczasem Kinnard i jego ludzie podkładają się prasie, ryzykując wszystko.

- Joseph, posłuchaj - Russell starannie dławił gniew. - Czy naprawdę musimy podejmować takie ryzyko? Mówiłeś, że przede wszystkim chcesz dostać Portera. Gdzie on jest, u licha?

Jezu! Tego tylko brakowało, żeby ktoś powiązał wczorajszą strzelaninę z Reck Enterprises!

- Więc twoim zdaniem panna Malone nie stanowi dla nas zagrożenia? - Joseph skinął głową, jakby sam sobie przyznawał rację. - Tak, pamiętam, powiedziałeś coś takiego po katastrofie pierwszego prototypu. Użyłeś, zdaje się, terminu „kompletne zero”. Powiedziałeś, że ona się nie liczy.

Nieskazitelnie ubrany Joseph odwrócił się od okna, żeby spojrzeć na Russella zimnymi, bezbarwnymi oczami. Skinął głową na Leo Sharpsa, który zajmował gościnny fotel przed biurkiem Russella.

- Powiedz mu, Leo.

- Co ma mi powiedzieć, na litość boską?! - zdenerwował się Russell. Nie lubił konspiracji we własnych szeregach. Leo Sharps, idiota, bo idiota, ale był pracownikiem Reck Enterprises. Russ nadal wypłacał mu pensję, no nie? Chryste! Powinien pozbyć się go wiele lat temu. Teraz, kiedy Leo patrzył na Kinnarda czekając wskazówek, Russ musiał zakwestionować lojalność własnego szefa ochrony. Ale Leo wiedział, gdzie są pogrzebane firmowe trupy, i ta wiedza stanowiła jego gwarancję bezpieczeństwa.

Leo Sharps rzucił Russellowi pytające spojrzenie: „Ile chcesz wiedzieć?”

- Ta babka, Malone, ukradła kawałek poszycia skrzydła z hangaru w Edwards. Dała go swojemu chłopakowi do zbadania. Na szczęście dostaliśmy cynk od ludzi Josepha. Jednemu z nich udało się odzyskać odłamek, zanim Mitchell zdążył przeprowadzić testy. Ale teraz.

Leo Sharps potrząsnął głową, spoglądając na Josepha z takim obleśnym uśmieszkiem, że Russell miał ochotę strącić tupecik ze świecącej łysej czaszki.

- Jada do Rosji - dopowiedział Joseph Kinnard. - Mitchell i ta kobieta.

- Moi ludzie widzieli, jak szwagier Mitchella kupował bilety - dodał Sharps. - Dwa. - Założył nogę na nogę, uosobienie pewności siebie. - Posadziłem im na karku kilku chłopaków.

Russell opadł na fotel, kompletnie zdezorientowany. Rosja?

- Odszukają Joystick.

- O, tak - powiedział Joseph. - Chcą się porozumieć z Jekateriną Bołkońską. Z kolejną kobietą, której nie doceniłeś.

Russell podniósł wzrok, gotów zaprotestować. Po śmierci Erica Joseph i jego ludzie mieli równy udział w grze. Teraz Kinnard zwał całą odpowiedzialność na niego?

Cholera! Jakie to ma znaczenie, czyja to wina? Russell już o to nie dbał. Teraz chciał tylko rozwiązać problem i mieć sprawę z głowy.

- Co zrobimy? - zapytał.

Leo Sharps pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Tam jest pieprzony Dziki Zachód. Mają mafię i wysoki poziom przestępczości. Dwoje martwych turystów nie zrobi im żadnej różnicy.

24

Cherish spadała, wsysana przez ziemię, spadała coraz szybciej i szybciej, wiedząc że się zabije.

Obudziła się przerażona, z dziko bijącym sercem, szeroko otwartymi oczami. Siedziała w fotelu, zaciskając dłonie na oparciu. Tym razem koszmar się nie skończył wraz z przebudzeniem.

Była w samolocie.

Leciała.

- O Boże! Obożebożeboże!

-Nie panikuj, Cher. Wszystko będzie dobrze. Odwróciła się do Conora, który siedział na fotelu od strony przejścia. Byli w DC-10, poznała to natychmiast po układzie wnętrza.

- Nie będzie dobrze - powiedziała. A potem głośniej. - Nie będzie dobrze!

Zakrył jej usta dłonią.

- To bezpośredni lot do Paryża. Zaraz będziemy na miejscu.

Sięgnęła do zapięcia pasów.

-Wysiadam! Chwycił ją za rękę.

- Zostań na miejscu!

Dała mu sójkę w bok i rozpięła pas. Zanim zdążył opanować ból, była w przejściu.

Czuła pod sobą samolot, znajome wibrowanie, którego miała już nigdy nie zaznać. Ruszyła przed siebie czepiając się foteli, niby ofiara wypadku stawiająca pierwsze kroki na oddziale rehabilitacji. Ludzie się na nią gapili. „Kim jest ta obłąkana kobieta w przejściu?”

Szarpnięcie, jak czkawka. Podłoga zaczęła drżeć pod jej stopami.

Turbulencje.

- Cher?

Odwróciła się. Conor stał za nią. Wyciągał rękę jak ktoś, kto próbuje uspokoić dzikie zwierzę.

- Wszystko będzie dobrze, Cher. Tylko wróć na miejsce.

Usłyszała cichutki dzwoneczek zwracający uwagę pasażerów na napis

„zapiąć pasy”. Co kilka rzędów zwisał z sufitu ekran telewizyjny, zalewając kabinę upiornym światłem. Ale Cher widziała inny obraz. Samolot spada. Reporter z „Aviation Weekly”. Groza w jego oczach. Samolot nurkuje i staje dęba. Zaraz umrzemy!

Przez intercom dobiegł głos kapitana informujący pasażerów, że czeka ich niewielka turbulencja. Nic groźnego. Mają tylko pozostać na miejscach aż do wygaszenia napisów.

Nic groźnego.

- Cher - Conor postąpił kilka kroków w jej stronę.

Zza jego pleców ukazała się zaniepokojona twarz stewardessy.

- Musicie państwo wrócić na swoje miejsca.

- Weź mnie za rękę, Cher - powiedział.

Cofnęła się niezdarnie, potrząsając głową. Nadal była otumaniona lekami. Turbulencje sprawiły, że samolot zadrżał po jej stopami.

- Muszę wysiąść.

- Nie ma odwrotu, Cher. Wiesz o tym. Oboje o tym wiemy.

Więc pozwól sobie pomóc.

- Ja nie mogę tu być!

- Weź mnie za rękę, Cher.

Odwróciła się, potknęła i pobiegła przed siebie. Dotarła do wręgi w ogonie, gdzie mieściły się toalety. .

- Wydostań mnie stąd. Nie mogę tego zrobić. - Mocowała się z drzwiami ubikacji. Musiała otworzyć drzwi, jakiegokolwiek drzwi.

Wydostać się. -Nie mogę tu być.

Podłoga umknęła jej spod nóg. Cherish wpadła do toalety i zatrzasnąwszy drzwi, oparła się o nie plecami. Wewnątrz metalowego kokonu poczuła się lepiej. Ale nadal nie mogła oddychać.

Za chwilę zemdleje.

Drzwi się otworzyły i poleciała do tyłu. Conor wepchnął ją z powrotem i zamknął drzwi na zasuwkę. Nad umywalką wisiało lustro. Toaleta zbudowana została przy boku kadłuba, więc dach opadał łukiem nad głową Cherish. Widziała wszystko w lustrze przed sobą. Conor stał tuż za nią, próbował wziąć ją w ramiona.

Odwróciła się i zaczęła go bić, wkładając w to całą energię. Wmawiała sobie, że nie trafiła do piekła. Że nie ma tu tej małej umywalki z nierdzewnej stali z instrukcją obsługi w trzech językach ani papierowych ręczników wypadających z pojemnika i zaśmiecających podłogę. Że ona nie leci! Musi się tylko skoncentrować na tym, żeby bić Conora, i wszystko zniknie.

- Co mi zrobiłeś, ty draniu! Jak mogłeś mi to zrobić?!

Chwycił ręce Cherish i unieruchomił za jej plecami. Przycisnął dziewczynę do blatu i trzymał w ciasnej przestrzeni między sobą a umywalką. Łazienka z trudem mieściła ich oboje.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - powtórzyła.

- Przysięgam, nie miałem wyboru, Cher. Wiem, jakie to dla ciebie straszne. Ale musimy tam dotrzeć, ponieważ tylko tam znajdziemy odpowiedzi. A ty musisz pomóc mi je uzyskać.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - Łapała powietrze w otwarte usta, zaciągała się nim głęboko. Widziała swoją twarz w lustrze, oczy o

dzikiem wyrazie. Kobieta dotknięta obłędem. - Jak mogłeś mi to zrobić?

- Posłuchaj! Uspokój się...

- Jak mogłeś mi to zrobić?!

- Ciiii. - Puścił ją, by ująć w dłonie twarz dziewczyny.

Pocałował ją. - Proszę cię, kochana. Proszę, nie!

Chwyliła rękami krawędź umywalki. Zamknęła oczy.

- Nie mogę oddychać. Conor, pomóż mi. Nie mogę oddychać.

- Otwórz oczy, Cher. - Nadal trzymał jej twarz w dłoniach. -

Popatrz mi w oczy.

Zrobiła, co kazał.

- Nie mogę oddychać. - Jej głos przeszedł w pisk.

- Rób tylko to, co ja, Cher. Nabierasz powietrza... o tak! -
zademonstrował, co ma robić. - Teraz je wydychasz. Opróżniasz
płuca. Wdychasz przez nos i wypuszczasz ustami. Spróbuj nie
nabierać więcej, niż możesz wypuścić.

Wypełniała instrukcje. Turbulencje ustały. Mała tabliczka z
lewej zgasła.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - Nadal wdychała i wydychała
powietrze w rytm jego płuc i w ten sposób trzymała na uwięzi strach,
przyczajony i gotowy przejąć nad nią kontrolę.

- Musiałem przewieźć cię do Moskwy. Nie znam innego
sposobu.

- Nie chcę jechać do Moskwy. Znowu ją pocałował.

- Tak, wiem. Wiem, ukochana.

- Nie nazywaj mnie tak! Wcale tak nie myślisz. - Łzy napłynęły jej do oczu. Nie chciała płakać. Chciała się stąd wydostać. Nie chciała być tu, w chmurach, skąd lada chwila mogła spaść, rozbić się, umrzeć.
- Mówiłeś to wszystko, żebym wypła tę colę.

Opuścił klapę sedesu, usiadł i posadził sobie Cherish na kolanach. Zanurzył twarz w jej włosach. Czowała prąd powietrza na ramieniu, słyszała szum silnika zmieszany z cichym posykiwaniem klimatyzacji i wszystko to mówiło: „Tak, Cherish, naprawdę jesteś w powietrzu!”

- Nienawidzę cię - wyszeptała, przywierając do Conora całym ciałem. - Dopiero teraz nienawidzę cię naprawdę. Wiem, że pisałam o tym w listach. Wiem, że już ci to kiedyś mówiłam. Ale prawdziwą nienawiść czuję dopiero teraz.

-Widzę.

- To, co mówiłeś mi w hotelu, żebym wypła colę... Nienawidzę cię, Conor. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię...

Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Wiedziała tylko, że Conor huśta ją w ramionach. Po chwili zapukała stewardesa.

- Wszystko w porządku?

- Jeszcze minuta - odkrzyknął Conor.

Samolotem znów zaczęło rzucać, tym razem naprawdę mocno. Cherish widziała, jak podłoga na przemian wznosi się i opada. Przestała oddychać. Samolot wpadł w korkociąg. Przedmioty fruwały w powietrzu.

- Przestań, Cher. - Conor trzymał w dłoniach jej twarz, zmuszał, by na niego patrzyła. - Nie zapalili nawet napisów, wyobrażasz sobie turbulencje. Nic się nie dzieje.

- Niech to się skończy! Proszę, niech to się skończy. Proszę, proszę, proszę....

- Posłuchaj mnie! Tylko posłuchaj. Musisz być dzielna. Oboje musimy być dzielni. Byłem tchórzem. Zawsze byłem tchórzem, kiedy chodziło o ciebie. Ale ty jesteś odważna.

Potrząsnęła głową.

- Jesteś bardzo odważna, Cher. Musisz mi pomóc, żebym też był dzielny.

- Nie. Nie jestem odważna. Jestem tchórzem. Nie mogę być odważna.

- Możesz. Z całą pewnością możesz. Jesteś taka dzielna teraz. Ja też spróbuję. Wszystko, co mówiłem w hotelu, było prawdą. Mówiłem tylko to, co czuję, co boję się czuć. Jesteś moją miłością i nie wyobrażasz sobie, jak się boję to przyznać. Ale przeraża mnie wiele rzeczy. Wymienię ci je po kolei, dobrze? Wysłuchasz wszystkich. I pomożesz mi przestać być tchórzem.

Próbowała zrozumieć, co on mówi, skupić wzrok na jego oczach, użyć ich jak tonący koła ratunkowego, oddychać w rytm jego oddechu. Wdech przez nos, wydech przez usta.

- Dobrze. - Skoncentrowała się na oddychaniu. Wdech przez nos. Wydech ustami.

- Boję się pajaków. Naprawdę! Boję się jak cholera. Geena wymiata je z mojego mieszkania. Boję się zwłaszcza tych tłustych, włochatych. Marc uważa, że to idiotyczne.

- Coś innego.

- Nie lubię pływać. Boję się zanurzyć ciało w wodzie.

- Zmyślasz.

- Słowo honoru! Pływam tylko wtedy, gdy muszę. Na treningach. Nigdy nie kąpię się w wannie, zawsze pod prysznicem. I bałem się za każdym razem, gdy siadałem za sterami samolotu eksperymentalnego, przed lotem próbnym. Bałem się, że tym razem maszyna na pewno się pode mną rozleci. Ale robiłem to wiele razy, żeby przywyknąć. Przywyknąć do tego, że się boję. Ale wiesz, czego naprawdę się boję? Przed czym uciekałem, zamiast stawić temu czoło? Bałem się być tym mężczyzną, którego kochałaś. Mężczyzną, który pozwolił się sobą opiekować. Bałem się, że będę cię potrzebował. I bałem się przyznać, że zakochałem się tak prędko. Uważałem, że to uczucie nie może być prawdziwe, skoro narodziło się z dnia na dzień. Jak mogłem mu ufać?

Skinęła głową, starając się słuchać, oddychać.

- Dalej.

- Tylko że upłynął rok, a ten głód ciebie nie mija, nie staje się mniej dokuczliwy. Zacząłem szukać w telewizji relacji z twoich konferencji prasowych, żeby zobaczyć cię choć na sekundę. Zacząłem przeglądać gazety z myślą, że a nuż ktoś zacytuje twoje słowa. Czekałem na każdy czwartkowy list i bałem się go, właśnie dlatego że

na niego czekałem. Nazwałem twoim imieniem kobietę, z którą próbowałem się kochać. W ogóle jej nie znałem, ale poszedłem z nią do łóżka, bo minęło tyle czasu, że zacząłem podejrzewać, że coś jest ze mną nie w porządku.

Próbowała myśleć tylko o jego słowach. Nie ma mnie tutaj. Jesteśmy w hotelu. On do mnie mówi. Mówi te wszystkie cudowne rzeczy w bezpiecznym pokoju hotelowym.

- Ale ja po prostu potrzebuję ciebie, i tylko to jest ze mną nie w porządku. Nie chcę żadnej innej kobiety. Jednak odtrąciłem cię. Było za późno na żal, więc próbowałem sobie wmówić, że tak jest lepiej. Że i tak nie mieliśmy szans. Ale trzymam twoje listy, wszyściuteńkie, w szafce przy łóżku. Odczytuję je, śmieję się, martwię, czytałem je tyle razy, że znam na pamięć całe fragmenty. Powiedziałaś, że już nikt nie będzie dla ciebie dość dobry. Że chcesz człowieka, którym byłem przez te tygodnie. To mnie śmiertelnie przeraża. Nigdy nikogo nie potrzebowałem. A tamten Conor potrzebuje ciebie.

Tulił ją. Bez wahań, bez gniewu. Zaspokajał po prostu głęboką potrzebę, dawał jej powietrze, dawał jej tlen. Robiła to samo dla niego.

On był powietrzem w kabinie. Był jej odwagą.

Odsunęła się, pociągnęła nosem.

- Chyba nigdy w życiu nie wypowiedziałeś tylu słów naraz.

- To też mnie przeraża. Boże, Cher! Wiem, kim byłem, zanim cię poznałem. A potem nagle katastrofa, komisja bezpieczeństwa, małżeństwo. Sam już nie wiedziałem, kim jestem.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Musicie państwo wrócić na miejsca. Podchodzimy do lądowania. Conor uniósł ku sobie jej twarz.

- Jesteś gotowa? - A kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Bądź odważna dla mnie.

W tej chwili nie wiedziała, co to znaczy odwaga.

- Masz jeszcze te proszki? - zapytała.

- Całą fiolkę.

Wzięła głęboki oddech, wstała, przytrzymując się Conora i umywalki.

- Dzięki Bogu!

Sydney zobaczyła Jamesa siedzącego przy stoliku w kącie restauracji. Powiedział jej, że spotkają się w „Ruby's Diner”, restauracji u wejścia na molo w Huntington Beach, surfingowej stolicy świata. Restauracja w kształcie rotundy wynurzała się z wody niby koło ratunkowe. Można stąd było pooglądać horyzont. Kelnerki i kelnerzy ubrani w stylu lat pięćdziesiątych podawali jedzenie na plastikowych tacach.

Sydney zdjęła okulary słoneczne i usiadła na krześle naprzeciwko Jamesa.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś - powiedział. - Spróbuj krążków cebulowych. Są pyszne.

Odsunęła kartę.

-Nie mam ochoty najedzenie. - Zauważyła, że James porusza ręką bez oznak bólu. - Jak ramię?

Uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym uśmiechem.

- Rany przysychają na mnie jak na psie.

- Zadzwoiłam, bo chciałam ci powiedzieć, że nie przekazałam Russellowi wiadomości o twojej przyjaciółce. Nie znam twoich planów, ale nie stanę się ich częścią. I uważam opatrzenie twojego ramienia za błąd. - Zaskoczyła go. - Kiedy Russell dowie się, kim jesteś i czego chcesz, z twoich planów zostaną wióry. Mój mąż potrafi być nieustępliwy.

- Słucham cię bardzo uważnie.

- Napomknąłeś coś o zmianie planów. Może mi powiesz, na czym polegała pierwotna wersja? Co konkretnie miałeś na myśli? Chciałeś wzbudzić we mnie zazdrość? Nakłonić do tego, żebym rozwiodła się z Russellem i zabrała mu wszystkie pieniądze?

Wsunął sobie krążek cebulowy do ust i jadł z uśmiechem, a oczy płonęły mu rozradowaniem.

- Po części.

Aż zaiskrzyło od jego zmysłowości. Namiętne spojrzenie, zarozumiały uśmiech. Biedny chłopiec, strasznie się napalił.

- Jeżeli twój plan zakładał, że się szaleńczo w tobie zakocham, musisz dokonać korekty - dodała.

- Kurczę, Sydney! Straszna szkoda!

- Daruj sobie! - Miała tego serdecznie dość. Miała dość mężczyzn wykorzystujących ją i miała dość siebie, wiecznej ofiary roniącej łzy. Poślubiła Henry'ego, bo myślała, że go kocha, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie urzekła jej aura władzy, jaka go

otaczała, bezpieczeństwo, jakie zapewniał. A potem Russell i ten wielgachny dom, w który kazał jej przetaczać własną krew. Ile łez wylała z powodu Russella?

Teraz była wyschnięta na wiór. Już nigdy nie będzie płakać.

- Nie chcę słuchać miłosnych bredni, James. Chcę usłyszeć, jaki masz plan. Chcę się dowiedzieć, co robisz mojemu mężowi. -

Odchyliła się do tyłu, gniew czał się w niej jak zwierzę. -1 chcę ci w tym pomóc.

James przyglądał się jej z namysłem. Nagle wydał się starszy. Zawsze uważała, że ma dwadzieścia parę lat, teraz odniosła wrażenie, że jest niewiele młodszy od niej.

- Dlaczego tu przyszłaś? - zapytał.

Namyślała się nad odpowiedzią. Jak zmusić go do tego, żeby mi zaufał? W końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- Kiedy wspomniałeś o ludziach, którzy mają nad tobą władzę i którzy cię krzywdzą, po raz pierwszy dostrzegłam w tobie szczerłość.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę cię lubię, Sydney.

- O co chodzi, James? - zapytała łagodnie. Musiała się tego dowiedzieć. - Czego chcesz ode mnie?

Nachylił się nad stołem, skoncentrowany wyłącznie na niej. Szklą kontaktowe nadały jego oczom żółtawozieloną barwę.

- Słuchaj bardzo uważnie, kochanie. A gdybym ci powiedział, że Russell zabił twojego pierwszego męża?

Odebrała to jak policzek. Czegoś takiego się nie spodziewała. Nie mógł mówić poważnie. Sięgnęła już po torebkę, żeby wstać i wyjść. Niech się bawi w te absurdalne gierki z kimś innym. Ale coś kazało jej zostać. Czuła, że musi poznać prawdę.

- Henry zginął w katastrofie samolotu eksperymentalnego — powiedziała. James potrząsnął głową, jakby litował się nad głupotą Sydney.

- Russell chciał cię zdobyć. Za każdą cenę. Przypadkiem wiem, że katastrofa prototypu była mu na rękę. Ale scenariusz zakładał, że na pokładzie znajdą się przedstawiciele wszystkich firm zaangażowanych w budowę samolotu. Russell mógł wybrać kogokolwiek. Wybrał twojego męża, swojego wspólnika. Może przekonał sam siebie, że powinien to być ktoś postawiony wysoko w hierarchii firmy. Ja jednak uważam, że upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Śmierć Henry'ego oczyszczała Reck Enterprises z podejrzeń, a Russellowi dawała kobietę, której pragnął, nie wspominając o wyłącznej kontroli nad całą firmą.

Kłamiesz. Henry nigdy nie był zagrożeniem dla Russella. Robił, co Russ mu kazał. A Russ już mnie miał. Byliśmy kochankami. Po co miałby zabijać Henry'ego? Nie miał motywu.

- Czyżby? Nie zanosilo się na to, żebyś w najbliższej przyszłości wystąpiła o rozwód. Zresztą, byłoby to niekorzystne dla firmy.

Pokręciła głową. To, co mówił, było zbyt okropne.

- Sydney, kochanie, żyjesz z Russem. Śpisz z nim. Znasz go na wylot. Powiedz, czy to nie brzmi prawdziwie? Czy nie byłaś ukochaną

żoną Henry'ego, aż do chwili, gdy Russell zaczął cię osaczać?

Wytrwale, dzień po dniu, aż zdobył to, czego pragnął?

Siedziała bez ruchu, przetrawiając straszne słowa Jamesa. Jego teoria miała wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Zrozumienie powinno wywołać w niej burzę emocji, ale stwierdziła, że nie czuje nic. Żadnego szoku, paniki, ani kropli smutku. Była jak kamień, niezdolna odczuwać niczego poza żalem po Henrym. Żalem i wstydem.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała cicho.

- Wiem dużo, lecz nie potrafię udowodnić, że Russell Reck jest mordercą. Ale ty, Sydney - uśmiechnął się - ty jesteś jego żoną. Wiesz, jak pracuje jego umysł. Gdzie ukryłby swoje sekrety, gdzie popełniłby błąd. Jesteś bardzo mądrą kobietą. Co ty na to, Sydney? Rozejrzysz się?

Przyszła tutaj, żeby rozmawiać o podstępie i zemście. To, co usłyszała, było gorsze od najgorszych przypuszczeń.

Sydney Shanks Reck wstała. Nie powiedziała ani słowa. Po prostu założyła okulary przeciwsłoneczne i odeszła.

25

Przestronny pokój hotelowy pamiętał lepsze czasy, ale trzymał się nieźle. Oznaki upadku - wystrzępiona tapicerka krzeseł i wyblakła tapeta na ścianie - nie rzucały się w oczy. Podobnie jak cała Rosja, pokój przystosował się do nowych warunków. Obok szafy znajdował się minibar, a w łazience brytyjskie przybory toaletowe.

Cherish ochlapała twarz wodą i skorzystała z ręcznika, którego w domu użyłaby jako ściereczki do naczyń. Kątem oka ujrzała odbicie własnej twarzy w łazienkowym lustrze.

- Dziewczyno - powiedziała - można tobą straszyć małe dzieci.

Przyjechali z Paryża wczesnym rankiem. Conor mógł odetchnąć, fałszywe wizy okazały się warte swej ceny. Zdążył już wysłać faks Jekaterinie Bołkońskiej, stacjonującej gdzieś na arktycznej północy, w pobliżu placówki handlowej o nazwie Wanawara. Według przewodnika, który kupił Conor, były tam znakomite tereny do wspinaczki górskiej. W tym celu należało się udać na południe od stacji kolejowej. Wspinaczka górską na Syberii?

Za dwa dni mieli wsiąść do pociągu transsyberyjskiego. Conor obiecał, że nie będzie więcej samolotów, aż do powrotu do Los Angeles, oczywiście. Cherish miała jeszcze dziesięć tabletek Geeny.

Kiedy wyszła z łazienki, zobaczyła Conora, który siedział przy stoliku do kawy i jadł pierogi z kapustą, kupione od ulicznego sprzedawcy. Na stoliku przed nim leżało jeszcze kilka paczek owiniętych gazetą i kilka butelek wody.

- Zjesz coś? - zapytał.

Potrząsnęła głową i podeszła do okna. Mieli wspaniały widok na Plac Czerwony. Kopulasta cerkiew Wasylego, podświetlona niby zamek Śpiącej Królowej, wyglądała na główną atrakcję parku rozrywki.

- Nie krępuj się - odezwała się. - Nie mam ochoty najedzenie.

Powinna go nienawidzić - powiedziała mu, że to właśnie do niego czuje. Oparta o parapet, przyglądała się Conorowi. Może w tej chwili nie miała po prostu energii na tak silne doznania. Może będzie go nienawidzić później.

Odłożył pierożki i otworzył jedną z butelek.

- To chociaż się napij. - Wyciągnął butelkę w jej stronę.

Popatrzyła na wodę mineralną.

- Masz jakieś podejrzenia? - zapytał.

- Nazwijmy to uzasadnioną nieufnością. - Podeszła do stolika i opadła na fotel z owalnym oparciem, naprzeciwko Conora. - Nie chciałabym, żebyś odniósł mylne wrażenie. Nie wybaczyłam ci. Wybaczenie nie leży w moim charakterze. Kłamała.

- Nadal jestem na ciebie zła - ciągnęła. - Fakt, że byłeś taki miły w samolocie, że zwierzyłeś się ze swoich słabości, w ogóle tego nie zmienia.

Kolejne kłamstwo. Fakt ten miał ogromne znaczenie i wszystko zmieniał.

- Czekam tylko, aż odzyskam siły. Potem zamierzam zbić cię na kwaśne jabłko. A jeżeli nie zdołam, wyręcą mnie w tym moi bracia.

- Który z nich? - zapytał. - Gej czy ten malutki?

Wiedziała, że tylko stara się być przykry. Był w dobrych stosunkach i z Mikiem, i z Thomasem.

- Politycznie niepoprawnie.

- Co mogą mi teraz zrobić?

Nie mówił o jej braciach. Mówił o rządzie. Dymisja oznaczała, że stracił rangę wojskową.

Znowu pomyślała o tym, co powiedział Alec. „To nie była wina Conora”. Miała wrażenie, że działo się to wiele lat temu.

Rozejrzała się po pokoju, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę tu jest, że przenieśli swoją historię do Moskwy. Uciekała, aby ratować życie, z mężczyzną, który już raz je ocalił, a potem zostawił ją przed ołtarzem, złamał jej serce. Nadal je łamał.

Sięgnęła po wodę, którą jej wcześniej proponował, i napiła się prosto z butelki. Woda była gazowana i miała słonawy smak.

- Rany! Wykradli to z zakładów chemicznych czy jak? -

Odstawiła butelkę. - I co teraz?

Conor odchylił się wraz z krzesłem, balansując na jego tylnych nogach.

- Moglibyśmy się upić wódką. Wejść w lokalny klimat.

Patrzyła, jak kończy drugi pieróg, tym razem nadziewany ryżem. Wstał i przeciągnął się. Obiektywizmu zostało jej akurat tyle, by wiedziała, że on nie może być aż tak pociągający, jak jej się wydaje. Rysy twarzy miał nieregularne, szczękę za szeroką, nos zbyt wydatny. Blizna... no cóż, to po prostu blizna, deformacja. Tylko w jej oczach dodawała uroku jego twarzy.

Nafaszerował ją środkami nasennymi, wprowadził... To powinno wystarczyć, żeby przestała go lubić,

A jednak - przez wybryk wyobraźni, a może tajemniczy proces chemiczny, jaki tylko Conor w niej uruchamiał - nadal wydawał się jej nieprzyzwoicie przystojny.

Conor chwycił małą poduszkę z łóżka i przeniósł się na ogromny fotel z otomaną.

- Trzeba złapać trochę snu - powiedział.

- Spałam kamiennym snem przez ostatnie szesnaście godzin, dzięki magicznym tabletkom Geeny. Nie jestem zmęczona.

Rozłożył się w fotelu, nogi oparł na pikowanej otomanie.

- Jutro będzie długi dzień.

Zamknął oczy i wyglądało na to, że naprawdę zaraz zaśnie.

Cisza w pokoju zdawała się ją ogłuszać. Jej życie pograżyło się w chaosie, oddała Conorowi całkowitą kontrolę na swoim losem. A teraz on wymykał się w świat snu, gdzie nie mogła za nim podążyć.

W samolocie mówił do niej całymi godzinami. Odślonił duszę, zmuszając ją do przetrwania tych okropnych chwil, kiedy pigułki przestawały działać i dostawała się w szpony strachu. Mówił o swoim dzieciństwie, dzielił się wspomnieniami o rodzicach, jego monotony, kojący głos zdawał się przenosić ją w stan względnej normalności. Opowiadał o złych latach z niesłychaną szczerością. Mówił o tym, jak bawili się w komórki do wynajęcia z rodzicami zastępczymi, o tym, jak poznali Aleca w stanowym sierocińcu, gdzie w końcu wylądowali.

Mówił o poronieniu Geeny. To chyba było najgorsze. Geena naprawdę pragnęła tego dziecka. Wtedy po raz pierwszy zrozumiał, w jaki sposób śmierć rodziców odbiła się na psychice jego siostry.

Geena miała zaledwie dwa lata, kiedy zginęli w katastrofie samochodowej. Nigdy nie miała prawdziwej rodziny. Dla niej wyjście za mąż i wychowywanie dzieci było celem i sensem egzystencji.

Dlatego tak bardzo nalegała, żeby Conor się ustatkował. „Zaznała małżeńskiego szczęścia i próbuje mnie uraczyć tym samym”. To właśnie powiedział Cherish w samolocie, podczas jednej z wielu rozmów, kiedy trzymał jej głowę na swoim ramieniu i próbował ją pocieszyć. Opuścił roletę w okienku, żeby nie widziała, co jest na zewnątrz, i dzięki temu mogli udawać, że są zupełnie gdzie indziej. „Wbiła sobie do głowy, że jest odpowiedzialna za moje starokawalerstwo. Jakbym zużytkował całą energię na wychowanie jej i nie miał już sił na założenie własnej rodziny. Tylko dlatego, że opiekowałem się nią i Alekiem”.

Cherish pamiętała wszystko - każde słowo, każdą znaczącą pauzę. Strzegła ich jak skarbu.

I pamiętała ciche wyznanie w łazience: „Tylko że upłynął rok, a ten głód ciebie nie mija, nie staje się mniej dokuczliwy... Czytałem twoje listy tyle razy, że znam całe fragmenty na pamięć”.

A teraz siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, z zamkniętymi oczami i oddychał głęboko.. Zostawiał ją samą.

- Wolałam, kiedy do mnie mówiłeś - odezwała się.

Podeszła, patrząc, jak leniwie otwiera oczy. Podczas lotu wzięła dość tabletek, by utrzymać mniej więcej równy poziom półświadomości, i przez to wszystko wydawało się trochę nierealne.

Teraz chciała wypróbować tę intymność, sprawdzić, czy jest rzeczywista.

- Pamiętasz dzień, kiedy pierwszy raz się kochaliśmy? -

Podchodziła coraz bliżej, pytała o coś, o co nie śmiała zapytać nigdy przedtem. -W drzwiach mojego domu. Przestałam do ciebie wydzwaniać, bo uznałam, że działam ci na nerwy. A ty zjawiałeś się w progu i ni stąd, ni zowąd zacząłeś mnie całować.

- A ty w końcu zrozumiałaś. - Przypatrywał się jej badawczo. - Nie chciałem, żebyś wielbiła we mnie bohatera, który uratował ci życie. Przynajmniej do czasu, gdy komisja mnie oczyści.

Spojrzała mu w oczy.

- Więc dlaczego przyszedłeś?

- Nie byłem w stanie trzymać się od ciebie z daleka. - Mówił z zupełnym spokojem, patrzył na nią z taką tęsknotą. Jak w samolocie. - Brakowało mi twoich telefonów... cholernych ciasteczek. Brakowało mi ciebie, Cher.

Zepchnęła stopy Conora z otomany. Uklękła przed nim, rozsunęła mu nogi, żeby być bliżej. Objąć go. „Brakowało mi ciebie, Cher”.

Przypomniała sobie, jaka była szczęśliwa przez te parę tygodni po katastrofie, kiedy Conor należał do niej ciałem i duszą, kiedy mogła go obejmować, dotykać, chłonać ciepło skóry opuszkami palców. Był cudowną tajemnicą, którą powoli odkrywała. Ciało mężczyzny.

Teraz przesunęła dłonie w górę jego ud, delikatnie zaciskając palce. Był potężnie zbudowany, rozpostartymi dłońmi nie obejmowała nawet połowy jego ud.

Nie dotknął jej, nie poruszył się. Tylko patrzył, czujny, spięty. Wyciągnęła mu koszulę ze spodni, rozpięła guzki i westchnęła cicho, dotykając klatki piersiowej.

Rozpostarła na niej dłonie. Poprzez ciemne włosy przebijała oliwkowa skóra. Uwielbiała jej odcień.

- Jesteś pewna, że tego chcesz, Cher?

- Jeżeli będziesz do mnie mówił, - Uniosła się, żeby sięgnąć ustami od jego piersi, pocałować brodawkę. - Musisz mówić.

Wsunął dłonie w jej włosy, przesiewał je między palcami z nieopisaną delikatnością, potem ujął ją mocno, niemal boleśnie za głowę. Wstali razem, wolno zdjęli z siebie ubrania. Conor wziął Cherish na ręce i ułożył na łóżku, nie odrywając się od niej ani na chwilę.

- Nie mogę znieść ciszy - powiedziała. - Już nie. Nakrył ją swoim ciałem. Czowała jego erekcję.

- A co mam mówić? Uśmiechnęła się.

- Na pewno coś wymyślisz.

Rozchylił jej nogi i przyłgął dłońmi do wnętrza ud, tam gdzie skóra wydaje się wrażliwsza, jakby ośrodki nerwowe znajdowały się bliżej powierzchni. Miejsce, które rzadko zaznaje takiego dotyku. Conor miał odciski. Na dłoniach, na opuszkach palców. To były twarde dłonie.

- W moich marzeniach - zaczął - zawsze tak z tobą robię. - Była na niego gotowa, kiedy w nią wszedł, gładko, płynnie. - Spełniamy się tak razem. - Pocałował jej ramię. - I już nie czuję się samotny.

Rytm był piękny, spokojny, jak taniec. Zamknęła oczy, opasała Conora nogami, przyciągnęła go bliżej. Jeszcze bliżej.

- I wtedy wypowiedam twoje imię. - Przysunął wargi do jej ucha. - Moja Cher. Raz za razem. Ma chere. Ma chere.

Nadal miała zamknięte oczy.

- Po francusku?

- Tak. Ponieważ jesteś mi taka droga.

- W samolocie - szepnęła, otwierając oczy - powiedziałeś do mnie „moja ukochana”.

- Tak, Cher. Zawsze.

Wsunął dłonie pod jej pośladki, żeby ją unieść i posadzić na swoich udach. Nadal opasywała go nogami, czuła Conora głęboko w sobie.

- Dlaczego nie może tak być zawsze? - Oparła policzek o jego ramię.

- Ciii.. - Ujął w dłonie twarz Cherish, pieścił kciukami policzki. — To ja mam mówić.

Rozchylił wargami jej usta. Jego pocałunki były zarazem łagodne i namiętne. Czuła, że do niego należy. Że nigdy go nie zapomni. Że już nikt nie będzie jej tak całował.

- Pamiętam - mówił z wargami na jej ustach - że twoje oczy są koloru nieba i wydają się takie ciemne, kiedy się spełniasz. Pamiętam

pierwszy raz. Jaka byłaś zdziwiona... I szczęśliwa. Płakałaś potem w moich ramionach i powiedziałaś, że to się stało pierwszy raz.

Zsunął dłonie na jej piersi, niespiesznie przemknął kciukami po brodawkach, patrząc, jak twardnieją pod tym dotknięciem.

- Myślę o twoich piersiach w moich dłoniach. O tym, jak idealnie je wypełniają. - Nakrył jej piersi dłońmi, potem odchylił Cherish do tyłu, żeby pocałować brodawki. Wziął jedną w usta i zaczął delikatnie ssać.

Jego usta, miękkie i ciepłe, wywołały dreszcz rozkoszy. Był tak głęboko w niej. Czują, jak orgazm wzbiera w niej, wraz z łagodnym naporem jego warg, uwodzicielskim brzmieniem słów.

- Pamiętam, jak smakujesz - wyszeptał jej do ucha.

Ponownie położył ją na łóżku, rozchylił jej nogi i zbliżył wargi do miejsca, gdzie przed chwilą tak cudownie ją wypełniał.

- Nigdy nie zapomnę. - Nadal ją całował, a ona umierała z rozkoszy.

I wtedy się spełniła, pulsując w rytm jego pocałunków. Trwała w tej rozkoszy, pozwalając zalewać się fali, nadal czując jego dłonie na sobie.

Pochylił się nad nią, zanim jeszcze uciszyły się drgania. Nic nie mówił, odgarniał tylko włosy z jej twarzy. Łzy wezbrały w jej oczach, kiedy wszedł w nią ponownie. Całował jej szyję, tuż poniżej uszu.

- Jeszcze raz, Cher - wyszeptał.

Tym razem przyłgnęła do niego, opasała go ciasno ramionami. Chciała zawołać: „Proszę, nie odbieraj mi tego, Conor. Nie rań mnie”.

Ale zagryzła usta, dławiąc słowa i tylko przyjęła go w siebie, uczyniła z niego cząstkę siebie na tak długo, jak jej pozwoli.

- Boże, jak mi tego brakowało - powiedział.

Spełnili się razem i pozostał w niej, żeby czuć, jak pulsuje jeszcze długo po tym, jak uspokoiły się ich oddechy, a dobre słowa rozplynęły w ciszę. Potem przetoczył się na bok, pociągając ją ze sobą.

- Dzięki tobie nie oszalałam przez te tygodnie po katastrofie - Cherish przerwała ciszę. - Ale odrzuciłeś to. - Czego ci brakowało?

Ujął kosmyk jej włosów i okręcił sobie na palcu.

- Zadzwonili do mnie tego popołudnia. Z komisji bezpieczeństwa lotów. Powiedzieli, jaką wydadzą opinię. Że był to błąd pilota. To oznaczało, że odbiorami uprawnień. Może masz rację. Może uważałem, że na ciebie nie zasługuję.

- Byłabym egoistką i spróbowałabym wyszarpać dla nas tyle szczęścia, ile by się dało - powiedziała z pasją w głosie. - Ani przez chwilę nie zastanawiałabym się, czy nie lepiej zostawić cię i poszukać sobie kogoś bardziej wyjątkowego. Zostałabym z tobą i myślała: Ale ze mnie szczęściara.

Uśmiechnął się, gładząc jej włosy, obrysowując kciukiem kształt ucha.

- Naprawdę byś tak zrobiła?

Wsparła głowę na poduszce, tuż przy jego twarzy. Ale powiedział, że Conor nie ponosi winy za katastrofę, i ona mu

uwierzyła. Aż do tej chwili nie wiedziała, jak powiedzieć o tym Conorowi.

Ale teraz słowa zabrzmiały głośno w jej głowie, same cisnęły się na usta.

- Myślałeś kiedyś, że to mogła nie być twoja wina? - zapytała szeptem. Zmarszczył czoło i wyjął rękę z jej włosów. .

-A gdybyś się dowiedział, że komisja się pomyliła - mówiła jednym tchem, bez przestanków - że to nie była twoja wina.

Ujrzała błysk bólu w jego oczach. Uświadomiła sobie, jak wiele dowiedziała się o tym człowieku przez ostatnie dwa tygodnie. Wiedziała, co oznacza jego zasepiona twarz.

- Alec powiedział mi, że zaraz po katastrofie przeprowadził śledztwo na własną rękę - ciągnęła. - Zrobił to, ponieważ wiedział, jakim ciosem było dla ciebie orzeczenie komisji. Powiedział, że coś odkrył i dlatego ktoś próbuje go zabić. Dlatego uciekał przez ostatni rok, dlatego ucieka teraz.

Widziała, że chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej, ale się boi. W końcu zapytał:

- Co ci powiedział?

- To nie był błąd pilota, Conor. - Wzięła go za rękę, wiedząc, że ta chwila nie będzie dla niego łatwiejsza niż dla niej podróż samolotem. - To nie była twoja wina.

Przetoczył się na bok i usiadł. Widziała krągły zarys jego ramion, kiedy się pochylił i oparł dłonie o uda.

- Przeprowadzono dochodzenie - powiedział. - Komisja orzekła błąd pilota.

Przycupnęła obok niego na łóżku, objęła go ramionami.

- Gdyby nie dowiedzieli się o bombie, orzekliby, że przyczyną katastrofy drugiego prototypu była wadliwa konstrukcja skrzydła. Może ktoś chciał ukryć prawdę, więc pozwolił, by pilot posłużył za kozła ofiarnego, dla ratowania projektu.

Conor potrząsnął głową.

- Komisja orzekła, że było to „wahnięcie pilota”. Wiesz co to znaczy? Zdarza się, że pilot przedobrzy, za mocno pchnie ster pionowy, żeby naprawić coś, co postrzega jako drobny przechył. Rozumiesz? Wydaje błędną komendę, sprzeczną z komputerem. Samolot przechyla się w drugą stronę, jeszcze bardziej niż przed korektą. Pilot wpada w panikę, wykonuje przechył na drugą stronę. Parę takich ruchów i samolot zachowuje się jak samochód w poślizgu, całkowicie poza kontrolą.

- Nie zrobiłeś tego - powiedziała stanowczo.

- Nie wiesz, jak to jest pilotować te samoloty. Trudno sobie cokolwiek przypomnieć. Wszystko dzieje się tak szybko. Człowiek kwestionuje własną pamięć. Myślałem... myślałem... - Potrząsnął głową, potem przeczesał palcami włosy. - Tamten samolot nie reagował na komendy. Robił coś zupełnie odwrotnego. Powiedziałem im, że nawalił komputer. Ale okazało się, że sprawdzili oprogramowanie. Potem pokazali mi zapis przebiegu lotu.

Próbowałem go sprawdzić, dopasować do tego, co zapamiętałem. I nie mogłem.

Odwrócił ku niej głowę. Oczy miał bardzo ciemne.

- Nie ma wątpliwości, Cher. To była wina pilota, od początku do końca. Musiałem się przyznać do błędu.

Przygarnął ją do siebie, jakby zamierzał przykuć do swojego boku. Czuła jego oddech na skórze, uderzenia serca tuż przy swoim. Po długiej chwili sięgnęła po jego rękę i ich palce splotły się ze sobą.

Zrozumiała, że Conor jej nie uwierzył, że nadal wini siebie. Błąd pilota, od początku do końca. Zastanawiała się, co by było, gdyby potrafił sobie wybaczyć. Co by to oznaczało dla nich, gdyby Conor przyznał sobie prawo do szczęścia.

Obudziła się, kiedy czyjaś dłoń opadła jej na usta, dławiąc krzyk.

W przyćmionym świetle padającym przez okno ujrzała Conora stojącego nad łóżkiem. Kompletnie ubrany, wskazywał na drzwi. Ktoś ostrożnie naciskał klamkę.

Cherish wkładała bieliznę, tylko to, co miała w zasięgu ręki, podczas gdy Conor układał koce na poduszkach, stwarzając wrażenie, że ktoś nadal jest w łóżku. Dali nura w ciemny kąt za szafą w chwili, gdy drzwi się uchylły.

Cherish wyczuła dotknięcie zimnej stali na udzie i spojrzała w dół. W świetle księżyca sączącym się przez szparę w zasłonach zobaczyła pistolet w ręku Conora. Trzymał go z dużą wprawą.

Do pokoju wślizgnęła się ciemna postać, przygięty cień, który zniknął na moment na tle ciemnej plamy drzwi, by po chwili

wypłynąć obok stolika z kwiatami. Cherish wstrzymała oddech, nakazując sobie całkowity spokój. Żadnego ruchu, żadnego głębszego oddechu. Cień zbliżył się do jednego z foteli, podniósł małą poduszkę, którą zostawił tam Conor.

Wycelował w łóżko. Dwa strzały, oddane przez poduszkę, były niemal bezgłośnie. Pierze frunęło w powietrze, łapiąc księżycowe światło niby drobiny kurzu.

Cherish wzdrygała się bezwiednie po każdym strzale. Conor rzucił się naprzód, zgięty w pół. Mężczyzna postąpił krok w stronę łóżka. Odrzucił kołdrę i w tej chwili Conor go dopadł.

Chwycił napastnika za rękę i zmusił do opróżnienia magazynka w łóżko; cztery strzały, jeden po drugim. Cherish patrzyła jak dwa cienie zlewają się w jedną ruchliwą masę. Usłyszała ciche przekleństwo, a potem chrobot metalu o metal. Pistolet Conora upadł na podłogę. Conor odskoczył, po czym wykonał klasyczny wyskok połączony z kopnięciem. Pistolet zamachowca frunął w powietrzu.

Mężczyzna wyciągnął nóż zza cholewy buta. Cherish widziała pistolet Conora, półtora metra od niej, obok stolika z kwiatami. Mężczyźni turlali się teraz po podłodze, szepieni ramionami. Ale napastnik znieruchomiał, gdy tylko poczuł lufę pistoletu na karku.

- Wstawaj - wyszeptała Cherish i przesunęła lufę pod policzek. Sięgnęła za siebie i zapaliła światło. Trzymała na muszce pryszczatego, pobladłego mężczyznę, który pachniał czosnkiem. Jasne włosy zwisały w tłustych kosmykach na ramiona okryte skórzaną

kurtką. Conor nadal klęczał, próbując złapać oddech. Patrzył na Cherish z dziwnym wyrazem twarzy. Może był w szoku.

- Brat nauczył mnie strzelać. - Rzuciła Conorowi znaczące spojrzenie. -Gej.

Jednym płynnym ruchem spuściła wazon, który trzymała za plecami, na głowę mężczyzny. Zwalił się na podłogę.

- Ale wolę strzelać do tarczy niż ludzi - dokończyła.

Wprawnym ruchem zabezpieczyła pistolet, podczas gdy Conor trwał nieruchomo na podłodze, nie odrywając od niej wzroku.

Parsknęła pogardliwie.

- Rozneglizowana kobieta z pistoletem w ręku coś w sobie ma, prawda, kowboju? - Rzuciła mu broń. - Tylko nie mów do mnie „mała”.

Potrząsnął głową i wsunął pistolet za pasek spodni.

- Będę o tym pamiętał.

- Powiedz mi, że facet działał w pojedynkę i reszta nie czeka na nas na dole - poprosiła, pomagając Conorowi przetoczyć zamachowca na plecy.

- Nie słyszałaś nigdy wyrażenia: „Na pęczki taniej”?

Związali mężczyznę paskami od hotelowych szlafroków, potem posadzili opartego o łóżko. Conor sprawdził jego kieszenie i wyciągnął portfel. W środku znajdował się gruby plik studolarowych banknotów.

- Dolce ze starej dobrej Ameryki. Honorarium. Wygląda na to, że ktoś nie chce sobie brudzić rąk, więc wynajął rosyjskiego zabójcę.

- Russell Reck.

Conor skinął głową i schował pieniądze do kieszeni.

- Uciekajmy stąd, zanim jego znajomi przyjdą sprawdzić, czemu nie wraca.

Cherish wlepiała oczy w Conora.

- Zabierasz forszę?

- Kurde, tak!

Dał jej tylko minutę na ubranie się i spakowanie plecaka.

Przebiegli bezszelestnie korytarz i stanęli u szczytu schodów. Hotel pochodził z czasów carskich, hol z przełomu wieków był elegancki, pełen złocień i marmurowych kolumn. Przy drzwiach stali trzej mężczyźni ubrani według hollywoodzkiej mody mafijnej, w futrzane czapy i długie czarne płaszcze. Jeden z mężczyzn spojrział na zegarek, mówiąc coś do koleśków.

- Znajomi - stwierdziła Cherish.

- Kiedy nasz facio się nie zjawi, wejdą na górę sprawdzić, co się dzieje - dodał Conor.

- To jest miejsce publiczne. Nie ośmielą się do nas strzelać na oczach ludzi!

Conor rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Co? - syknęła.

- Beze mnie nie przeżyłabyś tu ani jednego dnia.

- Chyba zapomniałeś, że nie byłoby mnie tu bez ciebie. Jak jest „aparat fotograficzny” po rosyjsku?

- Dlaczego pytasz?

Spojrzała na niego z politowaniem.

- Bawimy się w dwadzieścia pytań?

- Spróbuj „foto”. To uniwersalne słowo.

Zbiegła ze schodów, zanim zdołał ją zatrzymać. Robiąc możliwie dużo hałasu, sięgnęła do plecaka i wydobyła aparat fotograficzny. Podeszła prosto do boya hotelowego drzemiącego przy recepcji. Conor, chcąc nie chcąc, podążył za nią.

Używając pantomimy, udało się jej namówić mężczyznę, by zrobił jej zdjęcie na schodach przed hotelem. Brudny śnieg pokrywał ziemię, było przeraźliwie zimno.

- Nieźle - wyszeptał Conor, pozując z uśmiechem do zdjęcia. Kiedy boy hotelowy oddał Cherish aparat, dodał półgębkiem: - Bierzemy nogi za pas!

Pobiegli ulicą, gonieni okrzykami. Przy wejściu do stacji metra, Conor przepchnął Cherish przez grupę Cyganów i zbiegli na łeb na szyję po słabo oświetlonych stromych schodach. Przy bramce Conor wsunął zielony żeton w otwór i przepchnął się wraz z Cherish.

- Tędy! - zawołał, znów chwytając ją za rękę.

Ich kroki odbijały się echem od łukowatych sufitów i ścian wyłożonych mozaiką. O tej godzinie metro było prawie puste, na ławkach i pod ścianami siedzieli tylko bezdomni, którzy uniknęli policyjnej łapanki. Nie można się było zgubić w tłumie i wkrótce w opustoszałych korytarzach dały się słyszeć kroki pogoni.

Dopadli peronu w chwili, gdy zamykały się drzwi wagonu. Conor rzucił się w malejącą szparę i drzwi rozsunęły się, napotkawszy

opór. Pociąg ruszył ze stacji. Dysząc ciężko, patrzyli przez okno, jak trzech mężczyzn wypada na peron.

Cherish osunęła się na siedzenie, lodowate powietrze zdawało się rozrywać jej płuca.

- Wspaniale! Znowu mamy tylko to, co na grzbiecie. Skąd wzięłeś pistolet?

Conor stał nad nią, studiując mapę metra na ścianie wagonu. Broń miał zatknęta za pasek spodni, ukrytą pod panterką.

- Na rosyjskim czarnym rynku można kupić wszystko. Zadrzała.

- A więc to prawda. - Oddech wydobywał się z płuc w obłoczkach pary. - Ktoś próbuje nas zabić.

- Przykro mi, Cher.

Ujął mocno jej dłoń. Potrafiła już nieźle czytać z jego twarzy. Conor martwił się, że przeniósł ją z deszczu pod rynnę. Nie wiedziała, czy tak rzeczywiście jest, ale fakt, że trzymał ją w ten sposób za rękę, wszystko zmieniał.

- No dobrze, panie pilocie, co teraz?

Conor patrzył przed siebie.

-PlanB.

26

Pomocy! - Cherish strząsnęła z rękawa piórko kurczaka wtulonego ufnie w ramiona kobiety siedzącej naprzeciwko niej w przedziale kolejowym. - Utknęłam w filmie braci Marks.

Po bezsennej nocy w nadrzecznym hotelu o wątpliwej reputacji (czy te kobiety w holu to były prostytutki?) wsiedli z Conorem do pociągu relacji Moskwa-Władywostok. Dotarcie do celu, jakiegoś odludnego miejsca w samym środku Syberii, miało zająć cztery dni i pięć stref czasowych. Po dwudziestu godzinach nieustannego przewracania się na pryczy, gapienia na niekończący się, ośnieżony las Cherish popełniła poważny błąd i wyszła na korytarz.

Baba z kurczakiem tylko na to czekała.

Wepchnęła się do przedziału, ledwie Cherish otworzyła drzwi. Kobieta była stara, ale dość żwawa, by zagonić do przedziału nie podejrzewającą nic złego Cherish i zaprezentować jej towar.

Z tego, co Cherish udało się zrozumieć, babina prowadziła handel wymienny. Pokazała jej owinięte w gazetę wątpliwej jakości mięso, kielbasy i kawior, który nadałby się może jako przynęta na górskie pstrągi, a który tutaj uchodził za białogę.

Conor pozostał obojętny na zabiegi babci mające skłonić go do zakupu. Wzruszeniem ramion, ruchem głowy - i palca, wskazującego stanowczo na Cherish - pozbył się kłopotu. Teraz siedział w kącie, oparty plecami o wibrującą ścianę pociągu. Skrzyżował ramiona na piersi i zamknął oczy.

Kobieta nękała Cherish po rosyjsku, podczas gdy woń zachwalanych produktów powoli wypełniała przedział. Ale Cherish wiedziała, że Conor przysłuchuje się chciwie każdemu słowu. Od czasu do czasu usta drgały mu od powstrzymanego śmiechu.

W końcu, za pomocą dwóch butelek piwa i dziesięciu dolarów Cherish udało się pożegnać gościa i zamknąć za nim drzwi przedziału.

- Pociąg transsyberyjski. - Opadła na ławkę, która w nocy służyła za łóżko, i oparła głowę o poduszkę. - Trochę inaczej go sobie wyobrażałam. Miały to być przedziały z czasów carskich.

Przedział był funkcjonalny, ale urządzony po spartańsku. Cherish wyobraziła sobie, jak setki, tysiące bliźniaczych wagonów wyjeżdżają jeden po drugim, z jakiejś wschodniemieckiej fabryki.

Z westchnieniem naciągnęła rękawy swetra na dłonie, zatknęła końce za kciuki i skrzyżowała ramiona. Płaty mokrego śniegu opadały na szybę, za którą majaczyły zarysy artretycznych sosen i brzóz. Cherish miała na sobie polarną bieliznę i gruby sweter, ale nadal marzła.

Naciągnęła golf na brodę i skuliła palce w butach do wspinaczki górskiej. Conorowi udało się odzyskać większość ich rzeczy za pomocą prostego podstępu. Kupił na Arbacie mundur sowieckiego generała, razem z medalami za dwadzieścia pięć dolarów, i odniósł pełen sukces.

Na szczęście! Paszporty były im niezbędne. A kiedy już rozlokowali się w przedziale, uprzejmy steward poinformował ich, że ma na pokładzie zapas jedzenia na jeden dzień. Cherish odstawiła pusty kubek na składany stolik pod oknem; resztki sproszkowanej zupy dosychały na dnie. Teraz już wiedziała, dlaczego Conor zrobił zapas „gorących kubków” w San Pedro. W pociągu transsyberyjskim w obfitości występował jedynie wrzątek z ogromnego samowara na

końcu wagonu. Zastanawiała się, jakie szkody wyrządzi jej organizmowi regularne picie piwa i jedzenie zup w proszku.

Podkuliła nogi na siedzeniu, ale nie mogła znaleźć wygodnej pozycji. Była po prostu głodna. I zmarznięta. Ale nade wszystko była przestraszona tym, co ich czeka na końcu podróży.

Wyciągnęła nogę i trąciła stopą Conora.

- Wiesz co? Mam już dość służenia ci za rozrywkę.

Mówiła do siebie od bladego świtu. Po miłosnej nocy elokwentny Conor wykonał odwrót i zniknął ze sceny, zdawałoby się bezpowrotnie. Z początku myślała, że jest po prostu skoncentrowany na tym, żeby dostać się do pociągu. Z chwilą, gdy znaleźli się w przedziale, cisza zagościła na dobre, rozprzestrzeniła się i zaczęła ją dławić. Spojrzała za okno. Ogromne połacie bieli przygnębiały ją. Chciała rozmawiać, przerwać ciszę. Więc monologowała. Jedynym wkładem Conora w rozmowę były okazjonalne pomruki.

- Wiesz co? - zagadnęła znowu. - Posiedzę sobie teraz bardzo cichutko. - Skuliła się na siedzeniu, podkładając pod głowę panterkę. - Będę siedziała i słuchała. Jestem pewna, że jeżeli będę bardzo, bardzo cierpliwa, doczekam chwili, gdy się odezwiesz.

Conor się uśmiechnął.

- Opowiedzieć ci dowcip? - Nawet nie otworzył oczu.

- Niezupełnie o to mi chodziło - powiedziała.

- Jak nazywa się blondynka ufarbowana na brąz? Cherish

zacisnęła usta.

- Nie radzę, Conor!

- Sztuczna inteligencja. Jest jeszcze jeden. Dlaczego blondynka je ziemię?

Cherish wsadziła palce do uszu i zaczęła nucić „God Bless America”. Głośno.

- Bo grunt to zdrowie.

Wstała, kierując się do drzwi. Woląca już towarzystwo babci z kurczakiem.

Conor znalazł się w przy niej, zanim dotarła do drzwi. Zrobił to tak szybko, że nawet się nie zorientowała. Chwytał ją za przegub, uniemożliwiając sięgnięcie do klamki. Twarz miał bardzo poważną.

- Trzymamy się razem, pamiętasz?

- Ta blondynka musi iść do toalety. - Popatrzyła na jego rękę. - Masz coś przeciwko?

Dopuszczała możliwość, że motywem postępowania Conora jest gniew. Nie sądziła, że po tym, co wydarzyło się ostatniej nocy, znów stanie się zimny i daleki.

Puścił ją, więc rozsunęła drzwi przedziału i wyszła.

- Wyślij kawalerię, jeżeli nie wrócę za dziesięć minut - powiedziała już z korytarza.

Korytarz był pełen ludzi. Niektórzy patrzyli na pierwotny las, pozbawiony wszelkich oznak życia, inni pociągali z butelek słodkie gruzińskie wino, rozmawiali przyciszonymi głosami. Ubrani byli w futrzane czapy i getry wciągnięte na spodnie od piżamy, ludzie świadomi pociągowej rzeczywistości. Na końcu korytarza stała kolejka do samowara.

Cherish poczuła skurcz żołądka i pomyślała z tęsknotą o „gorącym kubku”. A niech tam! Następnym razem zaszaleje i zrobi sobie rosół z makaronem!

Zajrzała do ubikacji i miała właśnie iść wytłumaczyć na migi stewardowi, że w damskim wychodku zabrakło „Prawdy”, kiedy go zobaczyła.

Podobnie jak mężczyźni w hotelowym lobby wyglądał na statystę z filmu Francisa Forda Coppoli. Ciemny wełniany płaszcz niemal do kostek, futrzana czapa spuszczone nisko na czoło. Sumiasty wąs przyprószony siwizną. Patrzył na nią, podczas gdy steward tłumaczył, że o papier toaletowy musi się postarać we własnym zakresie. Mężczyzna blokował jej drogę do Conora, nie wiedziała, celowo czy przypadkiem.

Ruszyła w przeciwnym kierunku, w stronę drzwi oddzielających wagony. Zapomniała o potrzebach fizjologicznych, całkowicie pochłonięta nadzieją, że się myli. Cierpi na paranoję.

Niestety, mężczyzna poszedł za nią.

Dotarła do drzwi i otworzyła je z trudem, pokonując opór pneumatycznych sprężyn. Zatrzasnęły się za nią automatycznie. Lodowate powietrze buchnęło jej w twarz wraz z pyłem węglowym, dławiąc. Podłoga pod stopami wibrowała, tworzące ją płyty rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Lodowata klamka niemal oparzyła jej skórę, kiedy otwierała drugie drzwi. Z trudem łapała oddech, ale zaczęła biec, gdy tylko znalazła się w wagonie.

Mężczyzna dopadł ją w restauracyjnym. Walczyła rozpaczliwie, próbując się oswobodzić. Krzyczał coś do niej po rosyjsku. Ponad jego ramieniem zobaczyła Conora. Tuż za nim stał mężczyzna, klon jej własnego napastnika, i trzymając dłoń w kieszeni długiego płaszcza, przyciskał coś do boku Conora. Obsługa restauracyjnego zainteresowała się sceną, ale wystarczyło kilka wyszczekanych rozkazów, by powróciła grzecznie do swoich zajęć. Cherish czytała gdzieś, że Rosją rządzi mafia.

Przestała się wyrywać i popatrzyła na mężczyznę, starając się zrozumieć, co mówi.

- Po angielsku - powiedziała. Ciekawe, co będzie dalej.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni płaszcza. Cherish zapomniała nabrać powietrza do płuc. To koniec, pomyślała, napotykać spojrzenie Conora. Czekala na wystrzał.

Ale mężczyzna wyjął legitymację ze zdjęciem.

- Nazywam się Wiktor Pietrow - powiedział płynną angielszczyzną, choć z chropawym akcentem. - Reprezentuję rząd okręgu irkuckiego. Oboje jesteście aresztowani pod zarzutem nielegalnego przewozu tajnych technologii.

- Mówię panu po raz ostatni - nie jestem szpiegiem.

Cherish osunęła się na oparcie drewnianego krzesła, wyczerpana. Po dwóch dniach spędzonych w tym samym przedziale z Wiktozem i świtą dotarli na stację Tajszet, gdzie w bladym świetle poranka czekał samochód. Zawieziono ich do Bratska, miejsca, które każdy miłośnik naprawdę dużych tam powinien wpisać na listę

obiektów godnych zainteresowania. Tamtejsza hydroelektrownia jest świadectwem sowieckiej pomysłowości. Tama ma kilometr długości, a jej szczytem biegnie szosa i tory kolejowe. Po drugiej stronie zespół fabryk wyrzuca kominami truciznę do atmosfery.

Zatrzymali się w niewielkiej osadzie na brzegu „Morza Bratskiego”, sztucznego jeziora, które jest efektem ubocznym budowy hydroelektrowni.

Wprowadzono ich do prymitywnego budynku, przypominającego niewinny bungalow. Wystarczyło jednak przestąpić próg, by rozpoznać specyficzną więzienną aurę. Był to niewątpliwie miejscowy posterunek policji, wyposażony nawet w izbę wytrzeźwień z jednym hałaśliwym lokatorem.

Wiktor przesłuchiwał Cherish przez godzinę w zimnym pokoju. Siedziała na bardzo twardym krześle, przywołując niejasne wspomnienia z Archipelagu Gułag.

- O szóstej trzydzięci wieczorem pani towarzysz wysłał faks do Jekateriny Bołkońskiej. Wiemy, że przeprowadza ona eksperymenty delikatnej natury. Istnieją przepisy regulujące międzynarodowy handel technologią.

Z ogorzalej twarzy mężczyzny spoglądały na nią kaprawe niebieskie oczka. Zdumiewające, ile pasji potrafił włożyć ten facet w zwykłe pytanie. Powtarzał je od godziny.

Cherish rozejrzała się po pokoju, pustym, jeżeli nie liczyć dwóch krzeseł, stołu, biurka i lampy, która mrugała ostrzegawczo, gotowa lada chwila zgasnąć. Jeżeli budynek miał jakiś system ogrzewania, w

tej chwili nie działał. Ludzi nie było prawie widać spod futrzanych czap, szalików i płaszczy. Pomyślała, że Wiktor hoduje ten sumiasty wąs dla ciepła. Kiedy czekał na jej odpowiedź, wąs podrygiwał jak futrzane zwierzątko. Kilka razy miała ochotę go pogłaskać.

- Znam przepisy regulujące transfer technologii - powiedziała ze znużeniem. - Niczego tu nie zamierzam kupić.

- Więc może powie mi pani, co robi na Syberii? Popatrzyła na niego tępo.

- Uprawiam wspinaczkę. Wąs zadrgał.

- Panno Malone, nie przepadam za dowcipami.

- Jaka szkoda! Słyszałam w pociągu kilka doskonałych kawałów.

Boki zrywać.

Skwaszony Wiktor faktycznie wyglądał na kogoś, komu przydałaby się odrobina poczucia humoru. Ale Cherish siedziała tu zbyt długo, zbyt długo martwiła się, jak radzi sobie Conor z klonem Wiktora. Traciła cierpliwość, robiła się zgryźliwa.

Bruzdy wokół wąsów Wiktora pogłębiły się.

- Zaprowadzę teraz panią do jej towarzysza.

Odetchnęła z ulgą i poszła za nim korytarzem, uważając, by się nie potknąć na nierównej podłodze. Biura były spartańskie, za toaletę, jak miała już okazję się przekonać, służyła zwykła dziura w ziemi. Odniosła wrażenie, że ostatnie sprzątnięcie odbyło się tu za rządów Gorbaczowa.

Otuliła się szczelnie panterką. Było przeraźliwie zimno i pomyślała przelotnie, że meble porąbali pewnie na opał. Najwyraźniej

do wiosny było jeszcze daleko. Oddech wydobywał się z ust w obłoczkach pary. Próbowwała sobie przypomnieć, co wie o gułagach.

Wiktor zaprowadził ją do pokoju, w którym stały stół, biurko i kilka krzeseł. Conor siedział na jednym z nich, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Nie golił się od wyjazdu z Moskwy, pod oczami miał sine kręgi. W tej chwili wydał się jej najpiękniejszym człowiekiem na ziemi.

- Nie chcieli słuchać twoich dowcipów - powiedziała.

- Co za niespodzianka!

- Skontaktowaliśmy się z doktor Bołkońską- oznajmił Wiktor od drzwi, wypuszczając z ust obłoczki pary. Gestem dał znać swojemu klonowi, żeby wyszedł za nim na korytarz. - Czekaj w mieście na wasz przyjazd. Sprawdzimy, jak się zapatruje na waszą obecność.

Kiedy zostali sami, Cherish podbiegła do Conora, usiadła mu na kolanach i wtuliła się w jego ciało. Był niewiarygodnie ciepły pod panterką. Pomyślała, że musi mieć wyższą temperaturę ciała niż większość ludzi. Zauważyła to już wcześniej, kiedy razem spali. Jej własny grzejniczek.

- Już przedtem myślałam, że się boję - wyszeptała. - Ale tak naprawdę boję się dopiero teraz.

Zsunął jej kaptur z głowy i pogładził po włosach. Nie dotykali się od chwili aresztowania, a już czuli niezwykłość takiego zbliżenia.

- Przynajmniej do nas nie strzelają.

- Jak myślisz, o co tu chodzi?

Westchnął, otaczając ją ramionami przez bezkształtną panterkę. W pokoju było bardzo niewiele światła, jedna naga żarówka zwisała z sufitu. Żadnych okien.

- Mam wrażenie, że Wiktor ma coś przeciwko Bołkońskiej i Joystickowi. Para amerykańskich szpiegów spadła mu jak z nieba.

Oparła mu głowę na ramieniu. W pociągu tylko drzemała, nękana swoim koszmarem. Spadający samolot, Erie wygłaszający ciągle tę samą tajemniczą informację, której nie mogła sobie przypomnieć po przebudzeniu. I Alec. Dużo o nim myślała. Bała się, że to, przed czym uciekali z Conorem, jego już dopadło.

- Ciagle myślę o Alecu- powiedziała. Czuła, jak Conor sztywnieje pod pokładami ubrań. - Proszę cię - wyszeptała. Tylko posłuchaj. Z każdym dniem bardziej mu wierzę.

Zajrzała Conorowi w oczy. Niestety, nie podzielał jej optymizmu. Próbowwała go przekonać.

- Jeżeli to, co mówił jest prawdą, to znaczy jeżeli faktycznie odkrył jakiś spisek czy tajny plan, może znajdować się w takim samym niebezpieczeństwie jak my.

- Jeżeli koniecznie chcesz się martwić, martw się o...

Zakryła mu usta dłonią, ponieważ mówił ze złością, nie starając się nawet ukryć uczuć.

- Byliście ze sobą tak blisko. - Czuła ciepło jego warg na palcach. Przesunęła rękę, by dotknąć blizny. - Teraz go nienawidzisz. Z powodu Geeny. - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Twierdzi, że nie mógłbyś wybaczyć takiej zdrady.

- A ty byś mogła?

- Zdziwiłbyś się, ile potrafię wybaczyć - powiedziała. A potem pocałowała go w usta.

Kiedy się odsunęła, patrzył na nią bez słowa. Wydawał się tak bardzo zmęczony, z tymi ciemnymi kręgami pod oczami. Nawet blizna stała się bardziej widoczna, jakby i ona ciążyła mu bardziej niż zwykle.

Drzwi się otworzyły. Cherish i Conor wstali, kiedy Skwaszony Numer Dwa wszedł do pokoju.

- Proszę za mną.

Zerknęła na Conora, skinął głową. Ramię w ramię wyszli na korytarz, ich kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki. Gdzieś w połowie korytarza Conor wziął ją za rękę.

Zaskoczył ją. Wszystko będzie dobrze, mówiło to dotknięcie. Ja cię obronię.

Wprowadzono ich do kolejnego biura. Kwaśnolicy Wiktor siedział za biurkiem, o wiele większym niż wszystkie oglądane dotychczas. W rogu pokoju stała kobieta, tyłem do drzwi. Odwróciła się, kiedy weszli.

Zdawała się ginać w białym kombinezonie, najwyraźniej mrozoodpornym, z kołnierzem obszytym futerkiem. Tuż przy twarzy miała pasemko siwizny, reszta włosów, atramentowoczarna, spływała do ramion i sprawiała, że oczy wydawały się bardzo szare i bardzo przenikliwe.

Podeszła do Conora, uściskała go serdecznie i całując w oba policzki powiedziała coś, co brzmiało jak „gesundheit!” Zanim w Cherish zdążyła zrodzić się zazdrość, kobieta zostawiła Conora i zaczęła się witać z nią, równie wylewnie.

- Jak dobrze was znowu widzieć - powiedziała bezbłędną angielszczyzną. - Mówiłam właśnie temu idiocie, że aresztował moich gości.

- Macie jakieś dokumenty? - warknął Wiktor. Kobieta otworzyła papierową teczkę.

- Mam pozwolenie władz Irkucka, a także Moskwy, wystawione dla doktora Mitchella i jego asystentki. Mają podjąć ze mną współpracę.

Wiktor przejrzał papiery, skrzywił się i schował z powrotem do teczki. Wąs drgał mu spazmatycznie. Sięgnął po słuchawkę telefonu i odbył krótką rozmowę, najprawdopodobniej sprawdzając ważność dokumentów. Odwiesił słuchawkę i wręczył papiery kobiecie.

- Pewnego dnia przyłapię was, Jekaterino Bołkońska.

Tylko się uśmiechnęła.

- W swoich snach, Wiktorze - odparła.

Na zewnątrz czekały trzy motocykle z bocznymi przyczepami. Jakiś mężczyzna nalewał benzynę z baniaka, drugi machał ku nim przyzywająco. Wszyscy ubrani byli w identyczne białe kombinezony. Jekaterina wsiadła na motocykl, mówiąc coś przyjaźnie do wyższego z mężczyzn, tego, który nalewał benzynę. Wsiadł na drugi motocykl, a Jekaterina wskazała gościom przyczepy.

- Przedstawiam wam Misze Zielińskiego. - Był to ten wysoki blondyn. -1 Georgija Sijagina. - Mężczyzna skinął głową, a jego serdeczny uśmiech zginął w wielkiej czarnej brodzie. - Georgij poczeka na wasze bagaże, o ile coś z nich zostało po inspekcji tych szczurów Wiktora. Mój mąż czeka na nas w laboratorium. Wie, że sama poradzę sobie z Wiktorem. - Wymamrotała coś pod nosem po rosyjsku. Ton wypowiedzi kazał sądzić, że jest to epitet w rodzaju „z tą marną gnidą”.

Uśmiechnęła się smutno do Cherish.

- Prawdę mówiąc, zmieniła się tylko ekipa, zasady pozostały te same.

- Jak pani to zrobiła? - zapytała Cherish, wdrapując się na przyczepę motocykla Jekateriny. - Skąd wzięła pani te papiery?

- To drobnostka. - Założyła gogle i wręczyła drugą parę Cherish. Zapaliła silnik. - Gdyby Erie Ballas żył - zawołała przekrzykując hałas - mielibyście paszporty dyplomatycznie i limuzynę z szoferem, kawiozem i szampanem. Trzymajcie się! To będzie długa jazda.

Zanim Cherish zdążyła odpowiedzieć, Jekaterina nacisnęła pedał gazu i motocykl pognał w stronę ściany lasu.

Russell skoncentrował się na ruchach pędzelka. Lakier do paznokci firmy Chanel miał cudowny odcień pomarańczy. Kazał sekretarce go kupić pod wpływem kaprysu, mówiąc, że to dla Sydney. Wiedział, że Allison będzie nim zachwycona.

Odsunął się, podziwiając swoje dzieło. Allison poruszyła palcami u nóg. Paznokcie połyskiwały jak kamienie szlachetne.

- Mógłbym cię zjeść - powiedział Russell. Jego spojrzenie powędrowało od stóp dziewczyny w górę jej ud. Pozwoliła mu wygolić włosy łonowe w kształt serca. - Teraz druga noga.

- Allisson wyciągnęła stopę z niepomalowanymi paznokciami. Ale on odstawił lakier. Pomyślał, że dokończy później, dużo później. Zaczął masować poduszczkę stopy, tuż poniżej dużego palca. Dziewczyna nie odrywała od Russella spojrzenia przenikliwie niebieskich oczu.

- Bardzo przyjemnie - powiedziała.

- Prawda? - Przyciągnął ją do siebie, potem włożył sobie w usta jej duży palec i zaczął ssać. Allison przymknęła oczy.

W tej zupełnie niestosownej chwili zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - Allison przysunęła się bliżej, oplótła go nogami w pasie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie olać sprawy. Ale telefon dzwonił i dzwonił, i Russell wiedział, kto jest po drugiej stronie linii. Wiedział, że musi odebrać.

- Tak? - warknął do słuchawki.

Dzwonił Leo Sharps. Najwyraźniej Russell nie był dostatecznie ważny, żeby otrzymywać telefony bezpośrednio do Kinnarda. Leo przekazał złą wiadomość.

Russell odwrócił się od Allison, klnąc w słuchawkę.

- Co to znaczy, że ich zgubiliśmy? - zapytał. Zamknął oczy, czując ostry ból w piersiach. - Wiem, że to kurewsko duży kraj. Jezu Chryste! Są już pewnie w połowie drogi do Joysticka!

Słuchał, starając się uspokoić oddech. Jeżeli nie będzie ostrożny, dostanie ataku serca w tym cholernym pokoju hotelowym. Wyobraził sobie twarz Sydney w chwili, gdy się dowiaduje, że umarł w łóżku z kochanką.

- Do diabła, Leo! Został niecały tydzień... - Zmusił się, by słuchać dalej. Kinnard miał plan. Jego ludzie nad tym pracują. Jacyś faceci z kontrwywiadu. Mitchell i Malone już się nie wymkną. Nie tym razem.

- Informujcie mnie na bieżąco - warknął i rzucił słuchawkę na widełki. Głowa bolała go tak, jakby mózg miał lada chwila eksplodować. Może ma w niej guza. Chryste, tak właśnie się czuł.

- Co się stało? - Allison przytuliła się do niego.

- Nie możemy odwołać tego lotu - Russell mówił do siebie. Potrząsnął głową, opierając się o poduszki. - Teraz wszystko w rękach tego łobuza. - Miał na myśli Kinnarda.

Dla Josepha Kinnarda był to najwyższy sens istnienia. Dogmat. Polityka. Władza. Zapewnić gospodarce i armii Stanów Zjednoczonych należne im pierwsze miejsce w świecie, utrzymać supermocarstwo. I Josheph chciał, żeby to było jego zasługą, by generałowie przychodzili do niego po najnowsze technologie.

Russell pragnął tylko Pegaza. Zadowoli się królestwem telekomunikacji.

- Macie jakieś kłopoty z lotem? - Allison odwróciła się i sama kończyła malowanie paznokci. W ciągu ostatniego tygodnia trochę ją

wtajemniczył w swoje sprawy, ale ona rzadko interesowała się czymś poza uszczęśliwianiem swojego mężczyzny.

- Wszystko będzie dobrze. - Próbował uspokoić ją, a przy okazji i siebie. - Mamy mały problem z terrorystami - powiedział, podając jej scenariusz Kinnarda.

Zdecydowali już, jak załatwią sprawę Mitchella i tej baby Malone, jeżeli dotrą do Joysticka. Joseph był przekonany, że uda mu się zrobić z nich współników Portera - członków grupy Marduk. Przeżyli przecież razem katastrofę, a potem byli praktycznie nierozłączni. A jeżeli Mitchell i ta kobieta nie będą się mogli bronić... tym lepiej.

Joseph to załatwi. Takie sprawy wchodziły w zakres jego obowiązków. Dla niego to nie pierwszozna.

- Wyśledziliśmy terrorystów - powiedział do Allison. Wyjął jej z ręki lakier i odstawił buteleczkę na nocny stolik. - Musimy tylko mieć oczy otwarte. Drobnostka. - To właśnie powiedział mu Leo przez telefon. - Jeżeli spróbują wjechać do kraju, odpowiednio ich przywitamy.

Korkociąg płaski

Odliczanie: 10 dni, 9 godzin, 45 minut

27

Wieczorem kawalkada motocykli dotarła do Ust-Lenska, rezerwatu obejmującego tysiące kilometrów kwadratowych tundry wraz z ciągle zamrożniętym ujściem rzeki Leny. Wczesnym rankiem następnego dnia wsiedli na pokład specjalnie wyposażonego poduszkowca i przez dwadzieścia godzin mknęli wzdłuż skutej lodem Angary i pokrytych śniegiem zmarzlin. Cherish zaczynała rozumieć, że Rosjanie Erica nie mają tu łatwego życia.

Zatrzymali się w Wanawarze, placówce w pobliżu laboratorium Bołkońskich, gdzie spędzili noc. Następnego ranka wsiedli na skutery śnieżne i ruszyli do laboratorium.

Dom Bołkońskich skojarzył się Cherish z barakiem wojskowym, choć w rzeczywistości był dziełem sztuki budownictwa modularnego, wyposażonym w telefon satelitarny, ogniwa słoneczne i zestaw generatorów, mogących obsłużyć niewielką wioskę. Stał na drewnianych balach, odporny na polarne mrozy i zawieruchy. Wkrótce po przyjeździe mąż Jekateriny zabrał ich na tak zwany teren zero. Jekaterina chciała spędzić trochę czasu z córeczką, którą nadal

karmiła piersią. Zwierzyła się Cherish, że może wprawdzie ściągać mleko ręcznie, ale nie mając dziecka, żeby „się oczyścić”. Wyrażenie to podsunęło Cherish dość alarmujący obraz - dziecko w charakterze ludzkiego odkurzacza.

A teraz stali nad wielką misą bieli. Przed tygodniem opuścili Moskwę i w końcu stanęli u progu Wielkiej Syberyjskiej Tajemnicy.

Teren został ponownie zalesiony, nowe drzewa przebijały się przez śnieg. Ale kikuty starych sterczały jeszcze tu i ówdzie, martwe, połamane pnie świadczyły o sile, jaka zwała się na ziemię przed prawie stu laty. Cherish czytała gdzieś, że badania słoju wykazały wzmożony wzrost drzew po roku tysiąc dziewięćset ósmym, dowód przemawiający za tym, że eksplozja miała charakter atomowy.

Może była to ekspedycja z kosmosu, zamierzająca zbadać niezwykle urozmaicone życie w pobliskim Bajkale? Za tą teorią opowiadał się Misza. Rodowity moskwiczanie był wielkim zwolennikiem teorii kosmicznej i zarzucał Cherish dowodami zebranymi przez ekspertów na przestrzeni lat.

Głównym dowodem było zdjęcie zrobione przez Kulika podczas wyprawy w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku. Czy nie tak samo wyglądały drzewa w Hiroszynie po wybuchu bomby? Również owalny kształt wgłębienia, naszkicowany przez ekspertów Zigela i Krinowa, przemawiał za tym, że obiekt, który uderzył w ziemię, zawierał materiał zdolny rozsądzić chroniącą go powłokę. Takim obiektem mógł być właśnie statek kosmiczny.

Spoglądając na spustoszoną ziemię, Cherish miała wrażenie, że znalazła się na planie Archiwum-X. Kosmici, metale syntetyczne, mordercy strzelający z ukrycia. Brakowało tylko spisku rządowego. O, pardon! Joseph Kin-nard spełniał znakomicie ten warunek, dziękujemy bardzo!

Walery Bołkoński, mąż Jekateriny, przywiózł ich na wzgórze, skąd mieli widok na miejsce katastrofy. Niemal nienaturalna cisza sprawiała, że krajobraz wydawał się trochę surrealistyczny.

Walery stał obok Cherish, tupiąc nogami dla rozgrzewki. Bołkoński był całkowitym przeciwieństwem dynamicznej Jekateriny. Nieśmiały, łysy, z zaczątkiem brzuszka, nie bardzo pasował do atrakcyjnej kobiety, którą poślubił. Ale jego ciepłe powitanie i namiętny pocałunek Jekateriny wystarczyły, by wzbudzić w Cherish zazdrość.

Jak to jest mieć kogoś, kto na ciebie czeka? Kogoś, kto jest gotów pójść za tobą na koniec świata, w to odludne, dzikie miejsce?

Widząc jej spojrzenie, Walery uśmiechnął się.

- Katia przychodzi tu zbierać próbki - powiedział. - Robiła to również dla Erica. Ja wolę ciepłe laboratorium. Chodźmy, Katia powie wam więcej.

Ale Cherish nie poszła za nim od razu. Stała jak wrośnięta w śnieg, czując zarazem zmęczenie i jakieś nerwowe napięcie. Misza powiedział jej, że latem teren staje się bagnem, żerowiskiem dla komarów i muszek. Wyglądało na to, że nawet podczas krótkich miesięcy ciepła Tunguska nie jest gościnnym miejscem. Dla Cherish

była czymś zupełnie obcym, jak obraz z filmu science fiction. Był to zupełnie inny świat.

Zatupała nogami, czując jak palce wracają do życia. Myślała o teoriach Miszy.

- Co się stało? - Conor stanął obok niej. Zadrzała, ale nie z zimna.

- Nic. Chodźmy.

Jekaterina zetknęła się z teorią miniwłókien węglowych, kiedy badała próbki ziemi z Tunguskiej. Prace Jawnela, Krinowa i Florenskiego pozwalały sądzić, że w zmarzlinach tundry naprawdę spoczywały materiały pochodzenia pozaziemskiego. Od innych naukowców różniła się tym, że nie interesował jej sposób, w jaki te materiały dostały się na ziemię. Było jej obojętne, czy są to szczątki lodowej komety czy statku kosmicznego. Widziała w nich narzędzie, motor poszukiwań rewolucyjnego materiału. Od tamtej pory prowadziła systematyczne badania tunguskiej ziemi.

- Erie dowiedział się o moich badaniach - powiedziała.

- Interesował się metalami syntetycznymi i myślał, że jestem... - szukała właściwego słowa - na tropie. Pracował wtedy z Deanem White'em. -Zmarszczyła czoło. - Dean twierdził, że ma dostęp do starego archiwum KGB. Były tam podobno raporty z badań nad statkiem kosmicznym. Próbowałam ignorować ten aspekt pracy Erica. Interesowały mnie jedynie odkrycia, jakich mogę dokonać tu, na ziemi.

-I tak odkryłaś miniwłókna? - zapytał Conor. Skinęła głową.

- Zagrzebane w zmarzlinach, radioaktywne skałki. Walery badał je na miejscu pod mikroskopem elektronowym. - Okręciła się na obrotowym krześle, poszperała w szafie i wyciągnęła ciężki segregator. Ustawiła go na biurku przed Cherish i Conorem, kartkując powoli strony wypełnione zdjęciami.

Cherish patrzyła ze ściągniętymi brwiami na fotografii, które przypominały zdjęcia rentgenowskie bąbelków płynu do kąpieli.

- To są rezultaty pracy Walerego.

Conor wyciągnął rękę i dotknął fotografii niemal z czcią.

- Miniwłókna.

- Są jak diamenty. Najtwardszy materiał na świecie - uzupełniła Katia.

- Tyle że na poziomie molekularnym. Gdybyśmy mogli odkryć sposób ich łączenia i produkować masowo...

- Otrzymalibyście bardzo zaawansowane tworzywo. Metal syntetyczny - powiedział Conor.

- Parę lat temu pracowałam przy wspólnym programie Joysticka i Marquisa - odezwała się Cherish. - Wtedy Erie miał tylko wiskery, nie miał włókien.

Jekaterina odchyliła się na oparcie krzesła, skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Tak daleko zaszły nasze badania. Nie potrafimy łączyć włókien. Potrzeba nam więcej próbek. - Skubnęła ciasteczko, pokręciła głową. - Ale trudno znaleźć próbki ziemi zawierające włókna ciągle. Sprawdziłam teren o powierzchni stu kilometrów. -

Wzruszyła ramionami. - Wyniki badań wskazują, że powinno ich być dużo więcej, a stanowią prawdziwą rzadkość.

Może to dzieło tundry, latem zmarzliny wsysają wszystko jak gąbka. W każdym razie materiał stał się prawie nieosiągalny.

Rozpaczliwie potrzebowałam nowych próbek, żeby kontynuować prace.

- Traciliśmy już nadzieję. - Walery podniósł się i otoczył żonę ramieniem. -1 wtedy Alec Porter przysłał nam formułę, którą odkrył Reck Enterprises.

Cherish zabrakło tchu. Zaraz, chwileczkę! Alec? W Reck Enterprises?, krzyknęło jej coś w mózgu. Próbowwała przełknąć kęs ciastka, ale zaschło jej w ustach.

- Pracujecie z Alekiem Porterem? - Conor opadł wolno na krzesło. Walery i Katia popatrzyli na siebie, jakby nie rozumieli pytania. Walery powiedział coś do żony po rosyjsku. Cherish czekała, czekała na jakieś prawdopodobne wyjaśnienie, ale wiedziała, co usłyszy.

- Myśleliśmy, że wiecie - powiedziała Katia. - Przecież to Alec uprzedził nas, że przyjedziecie. To było przed paroma miesiącami. - Walery ponownie wtrącił coś po rosyjsku. - Dlatego udało nam się załatwić papiery dla tej świni Piętrowa - przetłumaczyła słowa męża. - Alec Porter poinformował nas, że się ze mną skontaktujecie. Że przyjedziecie i że przywieziecie kawałek tworzywa do analizy.

Cherish zakrztusiła się, z trudem przełknęła kawałek ciastka. Alec powiedział Bołkońskim, że przyjadą, i było to przed paroma

miesiącami? Uprzedził ich, że przywiozł kawałek poszycia skrzydła. Kilka miesięcy temu! To znaczy przed katastrofą.

- Powiedźcie nam, co jeszcze zrobił - poprosił Conor.

- Przysłał nam wzór reprodukcji włókien. Reck Enterprises wykorzystał moje badania - w porównaniu z panem Russellem Reckiem Wiktor Pietrow to sympatyczny gość. Alec uważa, że Russell Reck zabił Erica. Nie miałam więc wielkich obiekcji wykradając własne badania, chociaż to im udało się odkryć wzór reprodukcji włókien. Alec zapowiedział, że przywieziecie kawałek tworzywa. Dowód, jakiego potrzebujemy, by udowodnić Russellowi Reckowi zabójstwo Erica. Reck chciał zdobyć formułę Erica.

Ponownie zerknęła na męża. Kiedy skinął głową, pochyliła się nad stołem, spoglądając z napięciem na Conora i Cherish.

- Przywieźliście je, prawda? Kawałek tworzywa z prototypu? XC-23 WingMaster?

Cherish piła wódkę. Dymitr zapewnił ją, że to najlepszy gatunek. Stolicznaja, zalakowana fabrycznie, dzięki czemu można było mieć pewność, że w środku znajduje się wódka, a nie samogon.

Dymitr mówił łamanym angielskim, pomagając sobie językiem znaków, i jedną nogą kolebał drewnianą kołyskę ze śpiącym aniołkiem, Ericą. Zdumiewające, pomyślała Cherish, pociągając kolejny łyk wódki. Dziecko było podobne do ojca, ale u dziewczynki te same rysy wyglądały uroczo.

- Strach pomyśleć, jaki potencjał intelektualny odziedziczyłaś - zwróciła się do Ericki i pociągnęła łyk ze szklanki.

Dymitr mruknął potwierdzająco, jakby zrozumiał, co powiedziała. Był wysoki, ubrany w krótką marynarkę i spodnie ze skóry reniferów, jedynych zwierząt, w które tundra zdawała się obfitować. Tatuaż na czole Dymitra przypominał wieniec, nadając mu dziwny, egzotyczny wygląd i odróżniając od reszty zespołu.

Powiedział, że był szamanem. Czytał jej z ręki. Nie starała się nawet zrozumieć, ale on wydawał się zadowolony z tego, co tam zobaczył. Zważywszy jej obecną sytuację, uznała, że gość nie może być ekspertem w branży przepowiadania.

Napiła się wódki. Alec od kilku miesięcy wiedział, że przyjadą tu z Conorem i przywiozą kawałek poszycia skrzydła.

Katia opowiedziała im całą historię, za namową męża odwołała się do swoich notatek. Było oczywiste, że Walery ufa Alecowi mniej więcej tak samo jak Conor, Katia zaś traktuje go jak narzędzie w swojej walce o sprawiedliwość dla Erica.

Jekaterina wyjaśniła, że Alec skontaktował się z nią przez Internet, a rok temu przyjechał na Syberię. Powiedział, że był drugim pilotem samolotu, który uległ katastrofie, w której zginął Erie. Twierdził, że ta śmierć nie była przypadkowa. Od tamtego czasu współpracował z Katią i jej mężem, próbując zdobyć dowody morderstwa.

- On jest bardzo utalentowany - oznajmiła Katia. - Zwłaszcza w dziedzinie komputerowej.

O tak, pomyślała Cherish.

Udało mu się włamać do chronionego systemu Recka. Jak? Nad tym Cherish wołała się nawet nie zastanawiać. W rezultacie Alec dostarczył dane wskazujące, że Reck Enterprises wykorzystał badania Erica i wynalazł na ich podstawie metal syntetyczny, materiał, z którego - zdaniem Conora - zrobiono poszycie skrzydła XC-23 WingMaster.

Katia nie kryła, że mając najgorszą opinię o Niszczycielu, człowieku, który przejął firmę Erica pod pozorem „pomocy” i rozsprzedał ją w kawałkach, kiedy sprawa przycichła. W pierwszej zaś kolejności unieważnił kontrakt rosyjski, płacąc pięć milionów dolarów kary.

- Zapytałam go, dlaczego to zrobił - mówiła Katia. - Przecież prowadzimy ważne badania i mamy rezultaty. Nie darmo nas trzyma. Ale on tylko się uśmiechnął i powiedział, że firma Erica jest bezwartościowa. Bezwartościowa - syknęła. - Zapytałam, czy skoro firma nic dla niego nie znaczy, mogę odkupić nazwę. Zaproponowałam pięćdziesiąt dolarów. Sprzedał z radością.

W głosie Katii przebijał gniew. Cherish dobrze ją rozumiała. Była dumna, a musiała znosić protekcjonalizm Niszczyciela.

- Kontynuowaliśmy prace Erica w okrojonym składzie. Z całego zespołu zostało nas pięcioro - powiedziała. - Nawet Dymitr - skinęła głową w jego stronę - nauczył się obsługiwać aparaturę i przygotowywać próbki do analizy.

- Myślę, że wiem, dlaczego was sprzedał - powiedział Conor, ale niczego nie wyjaśnił. - Mogłabyś pokazać mi ten e-mail, który otrzymaliście od Aleca? Ten o Reck Enterprises?

Tą rozmowa odbyła się przed wieloma godzinami. Od tamtej pory Cherish wypła z Dymitrem morze wódki.

Pokręciła głową, myśląc o tym, czego się dowiedziała. Spisek mający na celu zabójstwo Erica i przejęcie jego badań? Alec szukający miesiącami dowodu winy Recka? Katastrofa, która zrujnowała im wszystkim życie. Alec staje się celem zabójców, Conor żyje w poczuciu winy za śmierć trzech osób, a ona...

Ze zmarszczonym czołem przyglądała się szklance wódki. Co katastrofa uczyniła z jej życiem?

Sprawiła, że jestem samotna, pomyślała opróżniając jednym haustem szklanę.

Poczuła dotknięcie dłoni na ramieniu. Popatrzyła w twarz Conora. Ogolił się po przybyciu do laboratorium Bołkońskich. Zdała sobie sprawę, jaki jest jej drogi. I jak bardzo cierpiałaby, gdyby miała go ponownie utracić.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, żeby odpędzić przykre myśli. Wódka ją rozkleiła.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytała.

Przykucnął obok jej krzesła, spoglądając na kołyskę, którą Dymitr trącał delikatnie stopą.

- Nie rozumiem, jak on to zrobił - powiedział. - To nie do pojęcia. Jakie on musi mieć dojścia, kontakty...

- Czego się dowiedziałeś? - powtórzyła pytanie.

- To jest tajny projekt. - W jego wzroku malowała się niezbita pewność. - Nie ma innego wytłumaczenia. Zakamuflowali go kontraktem na XC-23 WingMaster. Pracowałem już przy takich programach, orientuję się w procedurze. Dokumenty, które Alec przesłał e-mailem z Reck Enterprises, mają wszystkie znaki rozpoznawcze tajnego programu.

Podniósł się z ciężkim westchnieniem, jakby ta informacja go przytłoczyła. Cherish czuła się podobnie.

- To dlatego Reck zerwał kontrakt Joysticka z Bołkońskimi - powiedział. - Musiał utrzymać wszystko w macierzystej firmie, zachować ścisłą kontrolę. - Widać było, że Conor nadał nie może w to uwierzyć. - Zdumiewające. Dostaje całą kasę, jakiej potrzebuje, poza Kongresem, i wykorzystuje ją na własne potrzeby.

Cherish pomyślała, co to oznacza w praktyce. Tajny program wart miliardy dolarów, dający wojsku kontrolę nad niezwykle nową technologią. Technologią niedostępną dla komercyjnego świata, z której czerpałby korzyści wyłącznie Reck Enterprises i jego rządowi kontrahenci.

Russell Reck popełnił morderstwo, by to zdobyć.

Katia podeszła do Cherish, wzięła ją za rękę.

- Pewność zyskamy dopiero po przeprowadzeniu analizy. Ale to, co mówi Conor o tajnym projekcie, ma sens. - Popatrzyła na Walerego. - Zaczniemy jutro z samego rana. Cherish może pracować z

Walerym. Jeżeli kluczem do prawdy jest ten fragment skrzydła, mój mąż go znajdzie.

28

Budynek, w którym mieściło się laboratorium Joysticka, miał trzy sypialnie na piętrze. Misza i Georgij oddali wielkodusznie swój pokój Conorowi i Cherish, i przenieśli się do Dymitra. Alec napomknął widocznie Katii o łączących ich stosunkach, uznała bowiem za oczywiste, że będą spali razem.

I spali. Może Cherish wypła za dużo wódki, a może wypła za mało, w każdym razie gnębiące ją wątpliwości straciły nagle znaczenie. Dystans narastający między nimi po tej niewiarygodnej nocy w Moskwie przestał istnieć. Chciała leżeć nago przy Conorze, czuć jego skórę, jego ciepło. Chciała, żeby się z nią kochał i rozproszył chłód, który zagnieździł się w niej tak głęboko, że kwestionowała wszystko.

Potem leżeli obok siebie, przytuleni. Głaskał ją palcami po ramieniu.

- Coś nie w porządku? - zapytał szeptem.

- Jeszcze pytasz? - Mieli morderców na karku, próbowali odkryć tworzywo, które zrewolucjonizowałoby każdą gałąź przemysłu, i nadal się zastanawiali, jaki udział ma w tym Alec. Powiedział Katii, że przyjedziemy, przed paroma miesiącami!

- Wydajesz się jakby nie z tego świata - powiedział.

- Nie z tego świata? - Wsunęła rękę pod głowę i zapatrzyła się w sufit. Był biały, ścięty pod ostrym kątem. - Zabawne, że użyłeś właśnie tego określenia.

Uśmiechnął się. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby wyczuć ten uśmiech palcami, pocałował jej rękę.

- Masz rację. Dobrze się czujesz?

- Nie jestem chora, jeżeli o to ci chodzi. - Wsunęła się pod kołdrę. Ledwo mieścili się na łóżku. W pokoju było drugie, ale woleli ścieścić się w jednym. Miała tylko nadzieję, że nie zarwie się pod nimi w środku nocy.

- Wracając do tego określenia - powiedziała. - Nie z tego świata. - Obróciła się na bok, twarzą do niego. - Myślałam o Stowarzyszeniu Milenijnym.

-Co myślałaś?

- Niesamowite, jak to się wszystko zazębia. Jesteśmy tutaj, w środku Syberii, zaledwie godzinę drogi skuterem śnieżnym od największej tajemnicy naszych czasów. Tak się składa, że niektórzy naukowcy uważają, że rozbił się tu statek kosmitów. Erie nawiązuje współpracę z Rosjanką badającą próbki pozaziemskiego materiału, który wykopuje z miejsca katastrofy. Nie wspominając o tym, że sam Erie jest kumplem Deana White'a, który twierdzi, że ma kontakty z kosmosem.

- To wcale nie jest takie dziwne. Erie szukał tworzywa spoza naszej technologii. Dean obiecał mu jakieś tajne rosyjskie dokumenty, które opisywały takie właśnie tworzywo. Jekaterina szuka tego

samego - pozaziemskich fragmentów, które mogą doprowadzić do odkrycia metalu syntetycznego. To zrozumiałe, że Erie nawiązał kontakt z obojgiem: Katią i Deanem.

- Tak, ale potem Erie umiera. Katia i Alec uważają, że zabił go Russell Reck, sabotując samolot. - Zmarszczyła brwi. - Więc kto jest terrorystą? Ten, kto wysadził w powietrze drugofazowy prototyp? I dlaczego Dean White otrzymał list z żądaniami? ,

- Mógł to być Alec. Zauważ, że to on jest wspólnym mianownikiem. Słyszałaś, co powiedziała Katia. Już kilka miesięcy temu wiedział, że przyjedziemy tu z kawałkiem skrzydła.

- Nie. Powiedział tylko, że dostarczymy kawałek tworzywa z XC-23. To wcale nie dowodzi, że przewidywał katastrofę, prawda? Mogliśmy zdobyć ten kawałek tworzywa na wiele sposobów, kiedy już wiedzieliśmy, czego szukamy.

- Ale jeżeli przyjmiemy, że Alec jest terrorystą, wszystko znajduje swoje wytłumaczenie - powiedział.

Cherish usiadła, oparła się plecami o ścianę i naciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- Czy Alec podłożyłby bombę w samolocie? - Potrząsnęła głową, drżąc. - Mam nadzieję, że istnieje jakieś inne wytłumaczenie, jakiegokolwiek inne wytłumaczenie. - Zadrżała ponownie.

Conor usiadł przy niej.

- Hej! o co chodzi?

- To miejsce. Tu jest tak dziwnie. Tak białe i zimno. I te ogromne przestrzenie. Zupełnie jakby...

Jakby co? Ściągnęła brwi.

- Jakby tu naprawdę stało się coś dziwnego. Człowiek niemal w to wierzy.

- W kosmitów? - Uśmiechnął się, zaskoczony. Oparła głowę o ścianę.

- Zaczynam gonić w piętę, fakt!

Conor przyciągnął ją do siebie i ucałował czubek głowy.

- Wcale nie.

Siedzieli w milczeniu, pogrążeni każde we własnych myślach.

Po chwili Cherish przytuliła się mocniej.

- Ty tego nie zrobiłeś - powiedziała bardzo cicho. Jeżeli nawet ją usłyszał, nie odpowiedział.

Zaczynała wierzyć, że Alec powiedział prawdę o Conorze. Błąd pilota nie był przyczyną katastrofy, w której zginął Erie Ballas. I jeżeli tworzywo ze skrzydła jest częścią prac Erica - a tego dowiedzą się jutro, obejrzawszy je pod mikroskopem elektronowym - okaże się, że Russell Reck miał motyw zabójstwa.

- Nie chcesz o tym mówić, prawda? - Spróbowała jeszcze raz. Bardzo chciała z nim porozmawiać.

-Nie.

- W porządku. - Więc ja z tobą rozmawiam. - Milczał. - Może o tym, co będzie z nami, z tobą i ze mną, kiedy już opuścimy wielką tundrę?

Nie odsunął się. Trzymał ją nadal w ramionach, pieszcząc palcami jej ucho. Ale nie patrzył jej w oczy. I nie odpowiedział.

- Może to nierozsądnie z mojej strony, ale przyznam, że się w tobie zakochałam.

No, już! Odkryła przed nim straszną prawdę. Przed nim i przed sobą. Teraz piłeczka znalazła się na jego połowie boiska.

Conor westchnął. Nagle wciągnął ją do łóżka, tuląc gwałtownie. Ale się nie odezwał.

- Nie powiesz tego, prawda? - zapytała cicho.

- To nie najlepsza pora na rozmowy. Wszystko jest zbyt skomplikowane. Stanowczym ruchem wysunęła się z jego ramion.

- Posłuchaj. Wiem, jak trudno ci zmienić sposób myślenia. Ten ostatni rok był zupełnie inny, niż nam się wydawało. Nie spowodowałeś katastrofy prototypu i nikogo nie zabiłeś. Pozwoliłeś natomiast, by owładnęło tobą z wątpienie.

Wydawał się całkowicie bezbronny, kiedy tak leżał i spoglądał na nią. Pragnęła się poddać, przytulić go i powiedzieć: „Już dobrze, Conor. Nic nie musisz mówić. Posiedzę tylko przy tobie, będę czekać i mieć nadzieję, że tym razem nam się uda”. Ale zagryzła wargi. Tym razem nie wolno jej było wypełniać słowami jego milczenia.

Pamiętała ostrzeżenie Geeny. „Jeżeli go naprawdę kochasz, będziesz o niego walczyła”.

A niech to! Była gotowa.

- Nie jestem taki jak ty, Cher - odezwał się w końcu. - Dla mnie nie ma prawd oczywistych. Nie ma impulsu, który zapala światełko w mojej głowie i mówi, proszę, oto jest prawda. - Teraz w jego głosie pobrzmiwał gniew. - Musisz dać mi więcej czasu.

Nie zamierzała odpowiadać gniewem na gniew.

- To naturalne, że się boisz, Conor - powiedziała spokojnie. - Czasem niełatwo przyznać, że się kogoś kocha. Myślisz, że się nie bałam, kiedy poprosiłeś, żebym za ciebie wyszła? Ale jeszcze bardziej bałam się życia bez ciebie. - Czuła, że traci wątek. Ogarnęła ją desperacja.

- Więc o to chodzi? - Był nadal zły, gniew napędzał sam siebie. - Chcesz usłyszeć kolejną propozycję małżeńską? Nie wystarczy, że raz cię zawiódłem?

- Może wtedy zanadto się pośpieszyliśmy. Może powinniśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Przecież już rozumiesz, że tak naprawdę to ja od ciebie odeszłam. Może teraz, jeżeli wejrzysz w swoje serce, dojdiesz do wniosku, że mamy szansę. Że tego właśnie chcesz.

-I zdecydujemy o tym teraz? Dzisiaj? W środku tej całej afery? Jezu, Cher! Dlaczego mamy to robić teraz?

- Ponieważ tutaj nie ma dokąd uciec. Tym razem będziesz musiał przedyskutować ze mną swoje wątpliwości.

- Chcesz, żebym to zrobił teraz, kiedy jestem taki wściekły? Kiedy mogę powiedzieć coś, czego będę potem żałował?

- Co za pomysł, dobry Boże!

- Posłuchaj! - W jego głosie zabrzmiała nuta desperacji, która powiedziała jej, że trafiła kosa na kamień. - Chcesz, żebym mówił? W porządku. Kiedyś myślałem, że opiekuję się siostrą - zaszła w ciążę z Alekiem. Pod moją opieką. Rozumiesz? No i mamy Aleca, chłopca,

którego praktycznie wychowałem. Myślałem, że trzeba mu po prostu dać szansę. Teraz podkłada bomby w samolotach. Myśl, co chcesz, że jest to robota ufoludków! Ja wiem swoje. Widzę to zupełnie jasno. Alec chciał tych pieniędzy. Swoich dwóch milionów z kawałkiem.

Więc teraz kwestionuje wszystko, pomyślała, nawet swoją miłość do mnie. Doświadczenie mówiło mu, że kiedy popełnia błąd w ocenie, konsekwencje dotyczą nie tylko jego, ale również ludzi, których kocha. Bał się popełnić kolejny błąd.

- Zrobiłeś dla Geeny wszystko, co możliwe - Starła się zdjąć mu z ramion odrobinę ciężaru. - To ona popełniła błąd, nie ty. Ludzie popełniają błędy, Conor, nawet wtedy, gdy bardzo staramy się ich chronić. Nie masz dowodu, że Alec jest terrorystą. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, mógłby po prostu zaszantażować Recka. Miał dość informacji. - Potrząsnęła głową. - Chodzi o coś więcej. Oboje to wiemy.

- Na przykład o zielone ufoludki?

- Nie mów do mnie protekcyjnym tonem.

- Okay, więc uważasz, że nie wykazuję w tej sprawie zdrowego rozsądku, tylko poddaje się samozwątpieniu? Porozmawiajmy o tym. Po katastrofie wydawało mi się, że wiem, że nie zabiłem tych ludzi. Sześć tygodni później byłem pewien, że to zrobiłem. Przez rok ponosiłem za to odpowiedzialność. Moja wina - położył nacisk na ostatnie słowo. - A teraz wydaje mi się, że muszę pomyśleć. Więc odpuść sobie.

Milczała. Współczuła i sobie, i jemu.

Conor odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Zdążyła chwycić go za rękę.

- Nie - powiedziała. - Nie rób tego. Zamknął oczy i położył się przy niej.

- Nie chcę znowu popełnić błędu, Cher - wyszeptał. - Nie chcę cię zranić.

- Wiem - powiedziała, odwracając głowę, żeby nie widział jej twarzy. Połykała słowa, których nie mogła już wypowiedzieć na głos.

Ale i tak rozbrzmiewały jej w głowie, ciągle od nowa. Przed półtora rokiem wiedziała, że on ją kocha. Teraz straciła tę pewność.

Może ojciec miał rację. Nie należy ryzykować. Powinna odejść, zanim serce jej pęknie.

Obudził Cherish w środku nocy i kochał się z nią w ciemności. A potem wziął ją w ramiona. Czowała jego oddech, zanim powiedział dwa słowa: Dobrze, dobrze.

Tylko tyle.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu te dwa słowa przyniosły jej pociechę.

Kiedy Sydney poślubiła Henry'ego Shanksa, mąż miał tylko jedną kardynalną zasadę.

- Sydney - powiedział. - Nie jestem młodym człowiekiem. - Był od niej o dwadzieścia trzy lata starszy. - Pewnego dnia zostaniesz sama na świecie. Musisz wiedzieć wszystko, ale to wszystko, co trzeba, żeby móc o siebie zadbać.

Więc wprowadził Sydney w zagmatwaną dziedzinę swoich finansów. Henry nie miał rodziny. Była jego pierwszą żoną, nie miał dzieci. Chciał, żeby Sydney wiedziała o jego tajnym kontakcie, które trzymał na wszelki wypadek. O ubezpieczeniach na życie, obligacjach państwowych, o jego testamencie i kodycyłach - o wszystkim, co zostało wystawione na jego nazwisko.

Trzymał dokumenty w komputerze i pokazał jej, jak się do nich dostać. Znał parę trików, których nauczył się od Russella.

Była z Henrym prawie pięć lat. Postępowanie spadkowe po jego śmierci przebiegło bez żadnych zakłóceń.

Ale wychodząc za Russella, straciła dostęp do dokumentów zmarłego męża.

- Po co miałabyś zajmować się takimi rzeczami, Sydney? - zapytał Russ kiedy wspomniała o swojej umowie z Henrym. - Płacę ludziom bająnskie sumy, żeby zajmowali się moimi finansami. Jeżeli coś mi się stanie, będą wiedzieli, co robić.

Poczuła się trochę dotknięta. Odstawiona na bok. Z drugiej strony, Russell miał gromadkę dzieci i dwie byłe żony. Rozumiała, dlaczego jest powściągliwy.

Tak więc poślubiwszy Russella, Sydney przeistoczyła się, radośnie i bez obaw, z zastępcy kustosza muzeum Norton Simon i równorzędnego partnera swojego męża w trofiejną żonę i dekoratorkę wnętrz. Była aż tak głupia.

Po rozmowie z Jamesem w „Ruby's Diner” Sydney otworzyły się oczy. Długo rozmyślała o tym, co powinna zrobić. Tamtej nocy

usiadła przy biurku Russella w domowym biurze i włączyła jego komputer. Świetnie sobie radziła ze sprzętem biurowym. Kolekcja w Norton Simon była całkowicie skomputeryzowana. Do obowiązków Sydney należało uzupełnianie danych o zbiorach.

I pamiętała wszystko, czego nauczył ją Henry. Pamiętała te małe triki, których Henry nauczył się od swojego drogiego przyjaciela i partnera w interesach, Russella Recka.

Sydney spędziła pięć dni w gabinecie męża. Pilnowała, żeby opuścić pokój przed jego powrotem do domu i nie pozostawić po sobie śladów. W ciągu tych pięciu dni odwiedziła również Reck Enterprises, pogawędziła sobie z asystentką Russella i z jego osobistą sekretarką. Russell był bardzo zajęty przy XC-23. Ostateczny prototyp miał się wzbić w powietrze za tydzień. Russell w ogóle nie bywał w biurze.

A ona, dzięki Henry'emu, wiedziała, gdzie szukać.

Teraz, po prawie tygodniu ciężkiej pracy, zamknęła się w sypialni i rozłożyła dowody na ogromnym łóżku z baldachimem, którego Russell nie lubił.

Zapaliła papierosa i oparła się o poduszki. Skończyła jednego papierosa i zapaliła drugiego. A potem następnego.

Jeżeli istnieje niebo, Henry z pewnością tam jest. Miała nadzieję, że ją widzi, modliła się, żeby mógł jej wybaczyć.

A jeżeli istnieje piekło, Sydney Shanks Reck zadba o to, żeby Russell tam trafił.

Rozmawiała z Erikiem, znowu. Henry Shanks przysłuchiwał się ze swojego miejsca przy oknie, podczas gdy Cherish wpatrywała się w usta Erica, próbując odczytać słowa z ruchu warg. Wychyliła się z fotela, prosząc o powtórzenie.

Przeszkadzał jej jakiś stłumiony dźwięk. Hałas silników? Nic nie słyszała, zupełnie jakby miała watę w uszach. Patrzyła na wargi Erica, próbując wyłapać pojedyncze słowa. Złożyć je w całość. I nagle:

- Myśli, że wygrał. - Głos Erica dotarł do niej przez ryk silników, jakby złapała wreszcie stację w eterze. - Że usmaży mnie w tym samolocie jak plaster bekonu. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. - Erie ledwo mógł powstrzymać chichot. Henry też się uśmiechał. - To cholera się rozpada!

Cherish usiadła na łóżku, całkowicie wybudzona.

- Co się stało? - Conor usiadł również. - Rzuciałaś się jak ryba wyjęta z wody. - Otoczył ją ramionami. - Znowu śniła ci się katastrofa?

Przez chwilę trwała w milczeniu, łapiąc oddech. Czuła się, jakby przebyła wir, który wyrzucił ją na łóżko.

- Nie, to nie była katastrofa. Tym razem samolot się nie rozbił. Przytuliła się do Conora, jeszcze pełna tamtych obrazów. Erie i Henry, tacy witalni, żywi. Zamknęła oczy, oddychała spokojniej.

Kiedy znów je otworzyła, Conor siedział oparty plecami o ścianę i nadal trzymał ją przy sobie. Cherish spojrzała na zegarek. Szósta

rano. Była wyczerpana. A po zmianie czasu nie potrafiła się połapać w porach dnia. Ranek, wieczór, noc zaczynały zlewać się w jedno.

- Nie śpisz. - Conor wyczuł ruch jej głowy. - Myślałem, że się zdrzemnęłaś.

- Nie. - Myślała dalej o swoim śnie. - To takie dziwne miejsce.

- Mówisz to po raz piąty, odkąd tu przyjechaliśmy. - Ułożył ją przy sobie na łóżku. - Postaraj się zasnąć, Katia obudzi nas, kiedy nadejdzie pora.

- Tak. Kiedy nadejdzie pora. Ale już nie zasnęła. *

Patrzyła na puste łóżko obok, myśląc: Ile razy śniłam ten sam koszmar i nie mogłam sobie przypomnieć słów Erica? Nie miałam nawet pojęcia o czym on mówi.

Oplotła stopami nogi Conora, wsłuchiwała się w rytm jego oddechu. Ale myślała o Ericu. O tym, jak się uśmiecha i mówi: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni! Henry Shanks siedzi obok i wygląda, jakby i on miał w tym swój udział.

Cherish pamiętała każde słowo.

Allison patrzyła, jak Alec rozwija papiery. Ręce mu drżały.

Usiadł na łóżku, uśmiechnięty od ucha do ucha. A potem opadł na prześcieradło i wyrzucił w górę ramiona, ciągle z dokumentami KGB w ręku. Cieszyła ją ta jego radość.

Usiadł i wziął Alison w ramiona.

- Kocham cię, wiesz. Kocham cię. - Pocałował ją namiętnie. - Czy tym razem mi wierzysz?

Oddała mu pocałunek.

- Tak, Alec. Tak.

Opadł z powrotem na łóżko.

- Wiesz, co mogę z tym zrobić? Masz pojęcie, ile pieniędzy to jest warte? Zmarszczyła czoło.

- Oczywiście - powiedziała z wahaniem. - Ale Stowarzyszeniu nie o pieniądze chodzi - przypomniała mu.

Spojrzał na nią, potem wziął znowu w ramiona, pieścił ustami, dłońmi, robił to, co tak bardzo lubiła.

- Czy tylko o tym myślisz? O swoim ukochanym Stowarzyszeniu Milenijnym? O swoim guru Deanie?

- Tak - odparła. - Wiesz o tym. Przesunął dłońmi w dół jej pleców.

- Kochasz mnie, Allison? Naprawdę mnie kochasz? Bardziej niż wszystko?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Alec, zawsze wiedziałeś, czego chcę. Sprawiedliwości dla Erica. Dla twoich przyjaciół. Ty też tego chcesz, prawda?

Czekała, przestraszona wahaniem, jakie dostrzegła w jego oczach.

- Co z twoimi przyjaciółmi, Alec? - wyszeptała. - Mają kłopoty. - Uśmiechnęła się, starając się ukryć strach. - Chcesz im pomóc? Conorowi i Cherish? Chcesz, prawda?

Patrzył na nią przez zmrużone powieki, nadal gładząc jej plecy. Potem westchnął i odsunął się.

- Prawda. Oto cały ja. Zawsze gotów pomóc przyjacielom w potrzebie. - Z uśmiechem założył ręce za głowę i wyciągnął się na łóżku. - Ale czy to nie byłoby wspaniałe? Ty, ja i pół miliarda dolarów?

Popatrzyła na niego z powagą.

- Tu nie chodziło o pieniądze.

Roześmiał się.

- Wiem, kotku. Boże, dobrze o tym wiem! - Uniósł papiery. - Nie martw się, Allison. Nigdy nie pożałujesz, że mi je dałaś.

- Masz rację - odparła z pełnym przekonaniem. - Nie pożałuję. Zerknęła na zegarek.

- Musisz już iść - powiedziała.

Pocałowała go i delikatnie wyprawiła z pokoju. Ale kiedy odszedł, oparła się o drzwi, rozczarowana aż do bólu. Próbowwała. Przez ten ostatni rok naprawdę próbowała.

Podeszła do telefonu, wystukała numer. Kiedy po drugiej stronie linii odezwał się mężczyzna, powiedziała:

- Miałaś rację. Alec, wielki symulant.

Conor przytrzymał rękę Cher, zanim upuściła filiżankę. Omal nie wylała sobie herbaty na kolana.

- Ostrożnie - powiedział.

Siedzieli przy stole w kuchni, tuż obok laboratorium. Conor obserwował Cherish przez ostatnie dziesięć minut. Był zaniepokojony.

Kiedy nie zareagowała, pomachał jej dłonią przed oczami.
Zamrugwała, jak zbudzona ze snu.

- Omal nie wylałaś herbaty.

- O! - Popatrzyła na filiżankę. - Tak. - Odstawiła ją na stół.

Conor patrzył, jak Cherish marszczy brwi, wpatrzona w filiżankę niby w szklaną kulę. Znowu odpłynęła.

Przez cały ranek zachowywała się jak półprzytomna. Nie zwracała uwagi na otoczenie.

Było to dziwne, zwłaszcza po ostatniej nocy, kiedy nareszcie doszli do porozumienia. Cherish dręczyła go tak długo, aż w końcu zaczął słuchać. Więc dlaczego odpłynęła we własny świat, zachowując się tak, jakby to zdumiewające spotkanie umysłów nigdy się nie zdarzyło?

Może źle zinterpretował to, co się między nimi wydarzyło? Może ona nie widzi spraw w tym samym świetle? Nie! Był pewien, że go zrozumiała.

Kiedy zasnęła, przemyślał wszystko, co mu powiedziała. „Może nie był to dla nas odpowiedni czas... może teraz, gdybyś wejrzał w swoje serce, wiedziałbyś na pewno?” Leżał w ciemności i rozmyślał o zbiegach okoliczności. Rodzice jadący autostradą z Big Bear, on i Cher, katastrofa prototypu.

W ogniu dyskusji powiedział jej, żeby nie naciskała, że musi to jeszcze przemyśleć. Na spokojnie. Ale w gruncie rzeczy znał prawdę - wiedział. To znaczy wiedział przed katastrofą.

Latanie było czymś, co po prostu umiał i czego nie kwestionował. Zawsze miał niezbędny do tego instynkt. Dlatego był dobrym oblatywaczem. Dlatego zaszedł tak daleko i tak szybko, mimo że wstąpił do szkoły pilotów oblatywaczy jako trzydziestolatek, o wiele za późno. Wczorajszej nocy Cherish wypowiedziała na głos pewne rzeczy, o których starał się nie myśleć. Alec, katastrofa, komisja bezpieczeństwa lotów - wszystko to kazało mu zakwestionować ten instynkt, na którym polegał przez całe życie.

W tamtym okresie wątpił we wszystko.

Więc kiedy Cherish usnęła, zrobił to, o co go prosiła. Leżał obok niej i pozwolił, by ta wiedza wróciła. Nie był zaskoczony rezultatem. Kochał Cher. Bardziej niż wszystko na świecie. Nie zawiedzie jej po raz drugi. Nigdy więcej.

Ogarnął go ogromny spokój. Obudził ją z głębokiego snu, kochał się z nią i powiedział jej: dobrze. Żeby wiedziała, że już doszedł ze sobą do ładu. Że jej potrzebuje i że już nigdy nie odejdzie.

Myślał, że zrozumiała.

Do kuchni zajrzała Katia.

- Walery coś znalazł - powiedziała szybko i zniknęła.

Conor obserwował Cherish, czekał. Wczesnym rankiem pracowała z Walerym, przeglądała tomy danych, porównując je z tym, co robiła dla Erica. W przerwie poszła do kuchni na herbatę i tam znalazł ją Conor, zapatrzoną w przestrzeń.

Zaczesał jej kosmyk włosów za ucho; podskoczyła z przestachu.

- O co chodzi, Cher?

Tylko zmarszczyła czoło, mamrocząc coś pod nosem. Brzmiało to jak: „usmaży mój tyłek w tym samolocie”. Conor położył dłonie na jej ramionach.

- O czym ty mówisz? Zamrugła, potem potrząsnęła głową.

- Nieważne. Przypomniał mi się fragment wczorajszego snu.

Przepraszam. Chciałeś coś ode mnie?

- Katia tu była. Powiedziała, że Walery coś znalazł. Natychmiast się ożywiła.

- Chodźmy zobaczyć. - Podniosła się z krzesła.

Znaleźli Walerego w głównym pokoju przy monitorze mikroskopu elektronowego. Wyjaśnił, jak udało mu się ustalić molekularne wiązanie tworzywa i w jaki sposób naukowcy Recka powiązali miniwłókna węglowe w liny wystarczająco długie, by utwardzić materiał. Było jasne, że stworzyli go na podstawie wzoru przesłanego przez Aleca, choć starali się ukryć między warstwami bardziej typowego tworzywa zespolonego. Jeżeli pominąć niezwykle połysk, na który zwrócił uwagę Conor, materiał niczym się nie wyróżniał, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Oto była prawda, na którą czekał Conor. Fakt, że skrzydło zostało zrobione z tworzywa bazującego na miniwłóknach, potwierdzał wszystkie podejrzenia. W grę wchodził tajny program, prowadzony pod przykrywką XC--23 WingMaster. To wyjaśniało wszystko.

A także rodziło pytania. O motyw Recka, udział Aleca, o kompleks winy, w którym żył Conor od czasu katastrofy.

Odkrył, że nie ma to już dla niego takiego znaczenia. Może pogodził się ze swoją przeszłością. Może właśnie wczorajszej nocy stawiał czoło demonom, pozwolił, by władzę nad jego życiem znów przejął instynkt. Mówił mu, że od początku miał rację. Z jakichś przyczyn komputer pokładowy nie słuchał jego poleceń.

- Spójrz tutaj, Conor... - Walery popukał w ekran, wyrrywając Conora z zamyślenia. - Zwłaszcza tutaj widać, jak...

- A jeżeli to się rozpada? - wyrzuciła z siebie Cher.

Odwrócili się, żeby na nią spojrzeć. Niemal wykrzyknęła te słowa, przerywając Waleremu.

Rosjanin zmarszczył brwi.

- Co się rozpada?

- Włókna - ciągnęła Cher. - Czy one mogą się rozpaść? Walery potrząsnął głową.

- Według formuły, jaką przesłał Alec, to niemożliwe. To tworzywo...

- Nie, czekaj! - Katia podbiegła do innego komputera, na tyłach laboratorium. Jej palce biegały po klawiaturze. Podeszli do niej.

Powiedziała coś po rosyjsku do Walerego, który natychmiast spojrzął na ekran. Katia przeskakiwała kolejne strony, zatrzymując się na niektórych wykresach, obliczeniach.

- O co chodzi? - zapytał Conor, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jekaterina odwróciła się ku nim, podczas gdy Walery dalej sprawdzał

dane komputerowe. Oczy Katii były bardzo jasne, uśmiechała się szeroko, nie kryjąc podniecenia.

- Mówiłam wam już, że powinno tu być o wiele więcej próbek. Przez pięć lat prowadziłam skrupulatny zapis miejsc, w których odnajdywałam tworzywo. - Chwyciła rękę Cherish i uściśniła mocno. - To genialne i tak proste, że to przeoczyłam. Zmarzliny nie wchłaniają włókien. Nie dlatego nie mogłam znaleźć próbek, chociaż według obliczeń powinno ich być zatrzesienie. One się rozpadają!

Pracowali bez przerwy, w ogromnym napięciu. Ale o ostatecznych wynikach przesądziła współpraca Bołkońskich, Conora i Cherish. Przez noc udało im się potwierdzić teorię Cherish. Materiał, którym Reck pokrył skrzydła, warstwa z miniwłókien, rozpadała się.

Cherish udowodniła raz na zawsze swoją wartość jako inżyniera. Cokolwiek sądził ojciec o jej uzdolnieniach, wiedziała, że się nie myli. Pod pewnym naprężeniem, na przykład podczas manewrów na dużych wysokościach, materiał pękał. Najprawdopodobniej to właśnie stało się ze skrzydłem WingMaster podczas lotu próbnego.

Cherish osunęła się na oparcie krzesła, starając się przyjąć to wszystko do wiadomości. Alec znał prawdę i chciał ją podać do wiadomości publicznej. Cherish popatrzyła na Katię i jej męża, potem przeniosła wzrok na Conora. On też musiał to rozumieć.

- Alec wiedział - powiedziała. - Dlatego twierdził, że na pokładzie jest bomba. Chciał ich w ten sposób powstrzymać przed wysłaniem samolotu w powietrze. Wiedział, że tworzywo się łamie.

Katia huśtała córeczkę na kolanach i słuchała Cherish. Walery pograżył się w myślach. Natomiast twarz Conora była nieprzeniknioną maską. W pewnej chwili odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Cherish była zaskoczona tym milczącym odwrotem. Walery wymruczał coś po rosyjsku, jakby pytał: o co chodzi? Tylko Katia zdawała się rozumieć.

- Idź za nim - powiedziała do Cherish. Popatrzyła na męża. - Alec tak właśnie działa na mężczyzn.

Cherish kiwnęła głową.

Conor siedział przy stole w kuchni i wpatrywał się w ścianę z ogłupiałym wyrazem twarzy. Cherish przysunęła sobie krzesło i również usiadła.

- Nadal łudzisz się nadzieją, że Alec odgrywa w tym rolę bohatera - powiedział, nie patrząc na nią.

Nie zraził jej ostry ton głosu ani kamienny wyraz twarzy. Wzięła jego dużą dłoń w obie swoje dłonie. Kochał się z nią zeszłej nocy, a potem powiedział „dobrze”. Cóż, może przywiązywała do tego zbyt dużą wagę, ale naprawdę czuła, że coś się między nimi zmieniło. Byli ze sobą bardziej związani.

- Ta teoria ma sens - powiedziała. - Z pewnością większy niż założenie, że Alec wysadza samoloty. Dokonał jakiegoś odkrycia. Pomyślał: kurczę, jaki to pomyślny zbieg okoliczności dla firmy Recka, że Eric zginął i Reck Enterprises dostał w spadku badania

Joysticka. Dlatego nawiązał kontakt z Katią. Dzięki niej dowiedział się reszty. Conor tylko pokręcił głową.

- Może więc wyjaśnisz, po co mu te dwa miliony dolarów? Bo o nie mu właśnie chodzi. Zrobił to bardzo dowcipnie, jakby się chciał podpisać pod żądaniem terrorystów. 2532. To jego numer telefonu, czytany wspak.

- Przecież demaskując Recka, angażując nas, zaprzepaścił szansę dostania tych pieniędzy - argumentowała z coraz większym przekonaniem. - Alec nie jest terrorystą. To Reck ponosi za wszystko odpowiedzialność. A my musimy go powstrzymać. Niszczyciel wyśle ten samolot w powietrze. Myśli, że wystarczy sprawdzić, czy na pokładzie nie ma bomby. Nie wie o wadzie tworzywa i to my musimy mu o tym powiedzieć. Ostateczny prototyp ma na sobie dwa razy więcej tworzywa niż ten poprzedni. Sam w sobie jest bombą.

Conor z westchnieniem spuścił głowę.

- Masz rację. Ktoś musi powstrzymać wylot tego prototypu. Ale ty tu zostaniesz. Z Katią i Walerym. - Twarz mu złagodniała. - Przyjadę po ciebie, kiedy wszystko się wyjaśni.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Conor! - Pochyliła się i odwróciła ku sobie jego twarz. Chciała się upewnić, że słucha. - Ten człowiek odebrał mi wszystko. To przez niego mam te koszmary. Myślisz, że będę tu siedzieć i czekać, gdy ty będziesz odgrywał dzielnego rycerza w lśniącej zbroi? Że będę się zastanawiać, czy już cię zabili czy jeszcze żyjesz? Sam tam nie

pojedziesz. Mowy nie ma. Poza tym będę ci potrzebna, czy ci się to podoba czy nie.

- A co z podróżą powrotną do Los Angeles? Przecież boisz się latać. Uśmiechnęła się, chociaż już drżała na myśl o podróży samolotem.

- A niech tam! Mam jeszcze dziesięć pigułek Geeny.

Russell źle zniósł odprawę.

Przemierzał pokój, rycząc jak tygrys. Co ona właściwie ma na myśli, mówiąc: skończone? Nic tu nie jest skończone, do kurwy nędzy! Jest przecież Russellem Reckiem. A Allison? Kim ona jest, do cholery, myślał, biegnąc po hotelowym pokoju, podczas gdy Alisson siedziała spokojnie na łóżku. Nikim. Nikim!

- Chciałabym już wyjść, Russell.

Mówiła cichym, stanowczym tonem. Reck stanął jak wryty. Chciała go zostawić. Naprawdę myślała, że może to zrobić.

- Allison! - Podszedł do niej, chwycił za ramiona i potrząsnął z całej siły. - Co w ciebie wstąpiło?!

- Nigdy nie mówiłam, że to będzie trwały związek - powiedziała tym cholernym, opanowanym głosem. - Nigdy nie zamierzałam zostać następną panią Russellową Reck.

Ubodło go to tym bardziej, że właśnie zamierzał jej to zaproponować. Chryste! Przez ostatnie tygodnie piekła Allison była dla niego jedyną ostoją. Nigdy o nic nie prosiła, dawała, nie żądając nic w zamian. A teraz, kiedy potrzebował jej najbardziej, próbuje wystawić go rufą do wiatru?

Zacisnął dłonie na jej ramionach. Miał ochotę ukreć tę smukłą szyjkę baletnicy.

- To boli!

Jego dłonie powędrowały wyżej, palce oplótły piękną szyję. Reck ujrzał strach w oczach dziewczyny. No i bardzo dobrze, powinna się bać. Chwyła go za przeguby. Wiedział, że ściska za mocno.

- To... boli...

- Wiem. - Mówił dziwnie nieobecnym tonem. - Zadaję ci ból, Allison, taki sam, jak ty mnie. Nie możesz teraz odejść. - Zaskoczyły go własne słowa. - Nie mogę ci na to pozwolić. Nie teraz. - Nie teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebuje. Przy niej czuł się wspaniale. Tylko przy niej zapominał, choćby na małą chwilę, w jakie gówno się wpakował. Była jego pociechą... jego przyszłością. Ona i satelita Pegaz. Wielkie zadośćuczynienie po tych wszystkich wyrzeczeniach.

Niespodziewanym ruchem wybiła mu ręce od spodu, uwalniając szyję. Nie wiedział, jak tego dokonała. Pewnie posłużyła się jakimś chwytem, których uczą w tych cholernych szkołach samoobrony dla kobiet. Rozmasował sobie przeguby w miejscu, gdzie go uderzyła.

- Grozisz mi? - zapytała.

Czuł, że traci oddech. Wrócił ostry ból w piersiach. Jezu, ona mówi serio. Skończyło się.

- Allison, proszę! - zawołał błagalnie. Kurde, naprawdę ją błagał! I było to silniejsze od niego. Potrzebował Allison. -

Przechodzę ciężki okres. - Wiedziała o tym. Wiedziała dobrze, co się

dzieje. Niczego przed nią nie ukrywał. Prawdę mówiąc, był cholernie niedyskretny, pozwalając, by wysłuchiwała jego rozmów z Kinnardem. - Żyję w ogromnym stresie. Proszę, Allison. Tylko z tobą jestem w stanie to przetrwać.

Patrzyła na niego tymi elektryzująco niebieskimi oczami. Była niemal niematerialna, chudziutka, taka drobina. Nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów wagi i sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. A patrzyła na niego z bezdenną pogardą.

- Idź do domu, Russell - powiedziała, zarzucając torebkę na ramię. -Do swojej żony. Może przyjmie cię z powrotem. Nie możesz mi grozić. Jesteś na to za słaby.

Patrzył z niedowierzaniem, jak wychodzi. Spodziewał się, że zawróci i powie, że to był błąd. Usiadł, trzęsąc się jak osika. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Kurde, nie mógł w to uwierzyć!

Wtedy zadzwonił telefon.

- Co jest?! - warknął do słuchawki, wiedząc doskonale, kto jest po drugiej stronie linii. Ostrzegł Sharpsa, że wolno mu dzwonić tylko w nagłym przypadku. Myślał, że będzie się kochał z Allison, że na kilka błogosławionych godzin ucieknie od rzeczywistości.

Wiadomość, jaką przekazał Sharps, całkowicie zmieniła sytuację. Allison przestała być jego największym problemem.

- W porządku. Spotkamy się w biurze.

Drżącymi rękami odwiesił słuchawkę. Zbierało mu się na płacz. Ciężka cholera! Wszystko rozłaziło się w szwach. A Allison go zostawiła. Jego!

Przypomniał sobie Sydney. Piękną, wybaczącą Sydney. Jak mógł o niej zapomnieć? Jaki urok rzuciła na niego ta Allison?

Może nie jest za późno. Może jeżeli się naprawdę pokaja, uda mu się odzyskać Syd. Przecież została z nim aż do tej pory. Wybaczała zdrady, wybaczała wszystko.

Jak mógł być tak głupi? Jak mógł zapomnieć o Syd?

Ręce drżały mu ciągle, kiedy wykręcił numer recepcji i kazał się połączyć z kwiaciarnią. Wysłał dwa tuziny cieplarnianych róż do domu z karteczką „Wybacz mi”.

Zrobiło mu się trochę lżej na duszy. Kochana, wierna Sydney. Była z nim na dobre i na złe. A wszystkie Allison tego świata niech idą do diabła. Siksy o gorących ciałkach. Może je mieć w każdej chwili. Kiedy zechce.

Wyczucie czasu

Odliczanie: 1 dzień, 12 godzin, 23 minuty

30

Podróż powrotna była gorsza niż w najgorszym koszmarze. Koniec końców, nie wzięła magicznych tabletek Geeny. To by było zbyt proste. Conorowi powiedziała, że musi odbyć tę podróż bez środków uśmierających. Dzielna, mała Cherish. Odparł, że jest z niej dumny. Uściskał ją, pocałował w czoło i pokazał uniesiony kciuk. Dzielna dziewczynka.

W połowie drogi błagał, żeby wzięła pigułki. Więcej, podsuwał jej fiolkę z błagalnym wyrazem twarzy, szepcząc słodkie, kuszące obietnice. „Łyknij, Cher, to cię zwali z nóg. Nie musisz przez to przechodzić”. Słowa „ja też nie” zawisły w powietrzu, niewypowiedziane. Ale musieli przez to przejść. I to jak jeszcze!

Cherish nie uległa. Kurde blaszka, nie łyknęła sobie nawet dla kurażu!

Kiedy w końcu wylądowali w Los Angeles, przedstawiała sobą żaloszny widok. Nie była już superkobietą, gotową stawić czoło Niszczycielowi. Była galaretą, napastowaną przez demony. Z trudem przeszła przez odprawę, niezdolna nawet odebrać bagażu. Odmówiła

fotela na kółkach przez zwykłą dumę. Miała straszny ból głowy i czuła się chora.

Po odprawie czekała ich następna niespodzianka, w postaci agenta specjalnego Lebredo i jego dwóch współpracowników.

Lebredo poinformował ich, że są aresztowani pod zarzutem działalności terrorystycznej. Nikogo nie zdziwiło, że Cherish zemdląca, po raz drugi w życiu. Stres nie miał z tym jednak nic wspólnego. Boże wielki, gdyby to był tylko stres!

Później, kiedy już ją ocucono i posadzono w jakimś lotniskowym biurze, chwilowo rozkuta, zaczęła rozmyślać nad ironiczną stroną życia. Ona i Conor wykazali się złym wyczuciem czasu przed półtora rokiem, za to tamtej pamiętnej nocy w Moskwie zgrali się doskonale.

Była w ciąży.

- Są z Lebredo na lotnisku - powiedział Kinnard. Siedział naprzeciwko Russella, całkowicie zrelaksowany. - Skontaktowali się z Joystickiem, co dla nas stanowi bardzo niefortunną okoliczność. Chyba musimy coś z tym zrobić. Ta przeklęta baba może nam narobić kłopotów nawet na Syberii.

Russellowi zimny dreszcz przeszedł po plecach. Nigdy by nie przypuszczał, że ci nieudacznicy Rosjanie Erica wrócą, żeby go nękać. Zostali przecież zagrzebani wraz z firmą w syberyjskiej tundrze.

- Mitchell i ta jego babka rzucają rozmaite oskarżenia - ciągnął Kinnard.

- Jakie oskarżenia?

- Twierdzą, że istnieje nieautoryzowany tajny program, w ramach którego konstrukcja drugiego i ostatecznego prototypu XC-23 została wzmocniona specjalnym tworzywem. Metalem syntetycznym.

Russell zamknął oczy, żegnając się ze swymi marzeniami. Koniec. Stało się. Postawił wszystko na Pegaza i potrzebował tworzywa, by powołać go do życia. Teraz nastąpił koniec. Jezu, wsadzą go pewnie do więzienia. Na jak długo, będzie zależało od tego, ile odkryją.

Śmiech Kinnarda zupełnie go zaskoczył.

- Żal na ciebie patrzeć, Russell. Już moczysz spodnie. Przestań się martwić o Mitchella i tę blond kurewkę. Już się nimi zająłem. - Pochylił się, nagle poważniejąc. - Martwi mnie tylko to, co mówią o tworzywie. Że się rozpada.

Russell wlepił wzrok w Josepha, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Nie ma mowy - powiedział z absolutną pewnością. - Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe testy. Samolot jest gotowy do startu. Co chcesz zrobić z oblatywaczem i tą dziewczyną?

Kinnard zapalił cygaro.

- Cóż, wygląda na to, że miałem rację, podejrzewając ich o współpracę z terrorystą, Alekiem Porterem. Katastrofa pierwszego prototypu... - Potrząsnął głową ze smutkiem, pozwalając, by Reck dopowiedział sobie resztę. - To ich wspólne dzieło. Nie chcieli, żeby nasz projekt odniósł sukces. Projekt, przez który ci dwaj mężczyźni - obaj związani z panną Malone - stracili prawo wykonywania zawodu.

Wygląda na to, że byli gotowi umrzeć, byleby tylko wstrzymać prace nad XC-23 WingMaster.

Russell zmarszczył czoło.

- Jak to się stanie?

Joseph wstał i podszedł do okna.

- Na pokładzie tego samolotu będzie bomba, a jakże! - Zaciągnął się dymem cygara. - Znakomite rozwiązanie. Żadnych technicznych problemów, żeby program nie ucierpiał. Dostaniemy następny przydział pieniędzy, a nasi terroryści będą martwi i pogrzebani.

- A Porter?

- Chce pieniędzy - postawił sprawę zupełnie jasno. Może pora mu je dać. I kulkę między oczy na dodatek.

Russell pokręcił głową nad taką lekkomyślnością.

- Naprawdę chcesz zniszczyć samolot za pół miliarda dolarów, żeby zabić Mitchella i dziewczynę?

- Tępienie szkodników - spojrział na koniuszek cygara - jest czasem bardzo kosztowne.

Conor objął Cherish. Pochyliła się, i wsunęła sobie głowę między kolana. Usłyszał, jak wciąga głęboko powietrze i cicho pojękuje. Wyglądała jak śmierć na chorągwi.

Jeżu! Nie powinien pozwolić jej wsiąść do tego samolotu bez tabletek Geeny. Ale była nieugięta. Początkowo przyznał jej rację, był dumny, że opanowała lęk.

Wkrótce zaczął się koszmar. Już podczas startu była blada jak ściana. Trzymała się kurczowo oparcia fotela, zlana potem. Później

zapadła w nerwową drzemkę, ale budziła się raz po raz, z ustami otwartymi do krzyku. Kryła twarz na jego piersi, mamrocząc: „Nie ma mnie tu, nie ma mnie tu. Proszę, nie pozwól, żebym tu była”. Pomógł jej wykonać ćwiczenie relaksujące - coś o świetle wypełniającym jej ciało - ale to nie odniosło żadnego skutku.

Teraz, patrząc, jak półprzytomna ze strachu rozpaczliwie walczy z histerią, żałował, że nie wykazał więcej uporu w kwestii tabletek.

Lebredo siedział po drugiej stronie biurka, wprawdzie bez marynarki, ale w eleganckim krawacie w kolorze burgunda.

- Mam uwierzyć, że istnieje jakiś rządowy spisek wokół programu XC--23 ? - zapytał cicho.

Tkwili nadal w biurach lotniska; stan Cherish wykluczał przewiezienie jej do siedziby FBI. Conor uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak zaryzykować i zaufać agentowi. Jeżeli właściwie ocenił sytuację, mieli bardzo niewiele czasu. Opowiedział już o programie WingMaster i fragmencie tworzywa zbadanym w Joysticku.

Lebredo wszystko skrupulatnie notował, ale nie kupił tej historii.

- Mam nadzieję - powiedział Conor, starając się jednocześnie pomóc Cherish i przekonać Lebredo - że sprawdzi pan moje informacje.

Aresztowanie przez FBI nie wróżyło niczego dobrego. Dowodziło jedynie udziału Kinnarda, a on mógł sprawić, że Conor Mitchell i Cherish Malone po prostu znikną z powierzchni ziemi.

Cherish uniosła głowę z takim wysiłkiem, jakby był to ciężar ponad jej siły.

- Przecież to nie ma sensu. Po co miałabym wysadzać samolot mojej własnej firmy? Przez ostatnie osiemnaście miesięcy wypruwałam sobie żyły dla Marquis Aircraft. Niech pan zadzwoni do Chucka Odella albo Lori Sweeny w Marquisie. Nie jestem terrorystką. A może Joseph Kinnard już spreparował profil psychologiczny, żeby wykazać moje skłonności terrorystyczne?

Twarz Lebredo pozostała nieprzenikniona. Jednak nie kazał ich skuć i nie wyrzucił od razu, co dawało pewną nadzieję.

- Pamięta pan ten Wieczór, kiedy wpadliśmy na siebie w hangarze? - Cherish wyprostowała się. - Wzięłam kawałek poszycia skrzydła, żeby Conor mógł go zbadać. W ten sposób skojarzyliśmy badania Erica z katastrofą.

- Kiedy Erie Ballas zginął, Reck Enterprises przejął jego firmę, a potem ją odsprzedał - podjął Conor. - Teraz, osiemnaście miesięcy później, okazuje się, że tworzywo na skrzydłach XC-23 WingMaster zostało wyprodukowane na bazie prac Ballasa. Z tym, że podwykonawca odpowiedzialny za projekt skrzydła, Marquis Aircraft, nie miał pojęcia o istnieniu tego rewolucyjnego materiału. Na papierze on nawet nie istnieje jako część wspólnego programu rządu i głównego wykonawcy. Daj spokój, Lebredo! Wie pan przecież, jak wyglądają te tajne projekty. To jedyne wytłumaczenie.

Lebredo uśmiechnął się po raz pierwszy, ukazując równe, białe zęby.

- Myślę, że mógłbym znaleźć lepsze. Zdymisjonowany oblatywacz Air Force szuka zemsty, bo katastrofa eksperymentalnego samolotu położyła kres jego karierze. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego dziewczyna pracuje przy budowie nowej wersji tego samego samolotu.

- Wewnętrzna robota - dokończył Conor. Podszedł do biurka i wskazał ryzę tworzywa, które przygotowali z Katią, by zmusić Recka do odwołania lotu próbnego prototypu. - Niech pan to da swoim ekspertom. - Pochylił się nad biurkiem, wsparty rękami o jego krawędź. - Proszę zadzwonić do Bołkońskich. Albo jeszcze lepiej! - Podniósł słuchawkę i podał ją Lebreto. - Niech pan wykona parę telefonów, zada kilka pytań. I koniecznie proszę napomknąć o XC-23 WingMaster i Kinnardzie - zasugerować, że coś tu śmierdzi. Że chce pan przeprowadzić śledztwo. Jeżeli nie ma pan z tym nic wspólnego, zostanie pan uciszony tak gruntownie i szybko, że nie zdoła pan nawet zawołać „ciamusiu!”. Coś tu jest mocno nie w porządku. Pan to wie, ja to wiem. - Napierał, dostrzegając cień wahania w oczach Lebreto.

Ale nie dane mu było poznać reakcji agenta, ponieważ w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Drugi agent, młody mężczyzna z ciemnymi włosami przyciętymi najeża i śladami po ospie, skinął na Lebreto.

- Luis, mamy kłopoty - powiedział.

Drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju wkroczyła kobieta w eleganckim granatowym spodniemie, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu. Za nią wtoczył się ogromny mężczyzna w źle skrojonym

garniturze, który górował wzrostem nawet nad Conorem. Kobieta rzuciła jakieś urzędowe pismo na biurko Lebrede.

- Chwileczkę! - Lebrede przebiegł wzrokiem treść dokumentu, wyraźnie niezadowolony. - Jedną chwileczkę! Ja prowadzę to śledztwo. - Uderzył dłonią w papiery. - Co to jest, u diabła?

- Twoje przeniesienie - powiedziała kobieta, odbierając mu papiery. Wyjęła parę kajdanków. - Już się tym nie zajmujesz. Przejmujemy ich.

- Nie tak prędko! - Lebrede zastąpił kobiecie drogę do Cherish. - Nikt nie opuści tego biura, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

Ale wkrótce otrzymał potwierdzenie rozkazu. Conor obserwował jego rosnącą frustrację, kiedy każdy kolejny telefon przynosił tę samą odpowiedź: „Nie kwestionować rozkazów, wykonać je!” Conor nie spuszczał oczu z agenta, starając się nawiązać kontakt wzrokowy za każdym razem, gdy mężczyzna rzucał słuchawkę na widełki. Ale do działania przystąpił dopiero wtedy, gdy dostrzegł wyraz rezygnacji na twarzy Lebrede.

Rzucił się do drzwi, w ten sposób, by ominąć drugiego agenta i trafić na Lebrede. Cherish zrobiła swoje, upadając na ziemię i jęcząc, co zwiększyło zamieszanie. Conor wyszarpnął dyskietkę z tylnej kieszeni dzinsów, back-up materiałów na biurku, i wcisnął ją Lebrede do ręki. Stawiał dolary przeciwko orzechom, że wydruk zniknie w przeciągu godziny.

-Zachowaj dyskietkę-wyszeptał. - Wszystko na niej jest. I dalej zadawaj pytania.

Ktoś oderwał go siłą od Lebrede. Jasnowłosy gigant wykręcił mu boleśnie ręce na plecach i założył kajdanki. Conor nie odrywał wzroku od Lebrede, uśmiechał się.

- Jesteś zaskoczony, Luis - zwrócił się do agenta po imieniu. - Zaczynasz mieć wątpliwości?

Gigant wywlókł Conora z pokoju, Cherish poszła za nimi. Conor odwrócił się i krzyknął:

- Hej, Lebrede! Zaufałem ci. Nie zawieź nas!

Ale kiedy znalazł się w holu, między dwoma agentami, doznał nieprzyjemnego uczucia, że ich czas się skończył.

Kobieta powiedziała Cherish, że zabiorą ich w bezpieczne miejsce. Twierdziła, że siły antyrządowe dowiedziały się o ich próbie powstrzymania terrorystów. Dopóki owi terroryści nie zostaną ujęci i postawieni w stan oskarżenia, ani Cherish, ani Conor nie są bezpieczni.

Było to oczywiste kłamstwo. Nie istniały żadne siły antyrządowe, a największym zagrożeniem dla Cherish i Conora byli Reck i Kinnard. Ale nie pozostawiono jej wyboru.

Teraz Cherish czekała, sama w maleńkim pokoiku w jakimś obskurnym domu u podnóża wzgórz. Nie wiedziała, co się stało z Conorem. Leżała na łóżku, z podkurczonymi nogami, z dłonią na brzuchu. Za drzwiami stał strażnik, co nie rokowało dobrze.

- Więc tak wygląda ciąża? - Jeszcze nigdy nie czuła równie silnych mdłości.

Kiedy dotarli z powrotem do Moskwy, okres spóźniał się jej już o dwa dni. A cykle miała regularne, niemal co do godziny. Liczyć też potrafiła.

Mimo to chciała dotrzeć do domu przed lotem próbnym. Wsiadła więc do samolotu i odmówiła wzięcia tabletek Geeny, na wszelki wypadek. Ale pewność zyskała dopiero po omdleniu na lotnisku. Była w ciąży.

Popijając ciepławy 7-Up i pogryzając krakersa, myślała o tym, że dołączyła do grona tych szczęśliwych kobiet, które zaczynają chorować dwanaście godzin po zapłodnieniu. Przyjechała do tego domu przed dwoma dniami i jej stan pogarszał się z godziny na godzinę. Jeżeli agentka Broomhilda zauważyła, że coś jest nie w porządku, nie dała tego po sobie poznać, a Cherish nie czuła ochoty do zwierzeń.

Kim byli ci ludzie? Wykonawcami jakiejś tajnej operacji? Pracownikami jednej z agencji rządu? Może kontrwywiadu? Kinnard, podsekretarz stanu, z pewnością miał do dyspozycji agenta lub dwóch. Jeżeli koncepcja Conora była słuszna, gra toczyła się o ogromną stawkę.

Już sama myśl o tym przerażała Cherish. Jej rząd - lub jakieś potężne siły w jego strukturze - realizował tajny projekt pod przykrywką legalnych kontraktów. Jak daleko to zaszło? Weźmy choćby TWA lot 800. Swego czasu uważano, że samolot został zestrzelony. Teraz nasuwało się inne rozwiązanie. Możliwość, że cywile są wykorzystywani do testowania eksperymentalnych

materiałów w ramach tajnych programów - że mogą zginąć jako świnki doświadczalne - nie wydawała się już wcale taka absurdalna.

- A ja leżę tu jak wieloryb wyrzucony na brzeg - powiedziała, sięgając po następnego krakersa. Niepokój o Conora nie poprawiał jej samopoczucia.

Wylądowali w Los Angeles w niedzielę. Od tamtego czasu nie widziała Conora, chociaż przypuszczała, że jest przetrzymywany w tym samym domu. Był wtorek rano, dzień lotu próbnego. Na długo przed świtem Broomhilda zapukała do drzwi i kazała Cherish się ubrać. Pół godziny później Cherish leżała na łóżku i zastanawiała się, co będzie dalej.

Minęło kolejne trzydzieści minut, zanim Broomhilda ukazała się w drzwiach i gestem kazała Cherish iść za sobą. Tym razem zapakowano ją do czarnego cadillaca, który czekał na popękany betonowym podjeździe. Ku swojej uldze, w środku dostrzegła Conora.

- Rany, ale się cieszę, że cię widzę - powiedziała.

- Jak się czujesz, Cherish?

Wyglądał tak, jak ona się czuła. Nie golił się od dwóch dni. Przytuliła się do niego, ocierając policzkiem o jego szorstką twarz. Miała wrażenie, że powraca do życia. Westchnęła.

- Skoro to są ci dobrzy, dlaczego jesteśmy w kajdankach?

- To nie są ci dobrzy.

- Obawiałam się, że to powiesz.

Jechali bardzo długo, nie pytając o cel podróży. Nie rozmawiali, boleśnie świadomi obecności kierowcy i mężczyzny na siedzeniu

obok. Cherish była taka zmęczona, że w pewnym momencie odpłynęła w sen.

Kiedy się obudziła, słońce wychylało się właśnie znad linii horyzontu. Podniosła wzrok na Conora. Uśmiechnął się i wyszeptał: Dzień dobry. Uzmysłowała sobie, że nie powiedziała mu o dziecku. Chciała najpierw zyskać pewność. A teraz... Przytuliła się do niego, a on pocałował ją w czoło. Zateęskniła za dniami, kiedy jej największym zmartwieniem było to, czy Conor zamierza uczynić z niej porządną kobietę.

- Myślisz, że oni nas zabiją? - zapytała tak cicho, że tylko on mógł ją usłyszeć.

- Ciii... - Pocałował ją w usta. - Za dużo mówisz, Cher. Powiedział to z uśmiechem. To był taki piękny uśmiech. Gdyby nie fakt, że miała ochotę wyrzygać żołądek, ten uśmiech z pewnością dodałby jej otuchy.

Godzinę później znaleźli się w bazie sił powietrznych Edwards. Kimkolwiek byli ludzie w samochodzie, posiadali wszystkie potrzebne upoważnienia. Przepuszczono ich bez żadnych pytań.

Dużą niespodzianką okazał się XC-23 WingMaster. Gotowy do startu, a jakże! Wszystko wskazywało na to, że z Conorem i Cherish na pokładzie.

Wprowadzono ich do samolotu, posadzono na skrzyni kratowej, przykutych do siebie w ten sposób, że stykali się plecami. Jeden z agentów przełożył łańcuch przez kajdanki i przymocował go za pomocą kłódki do ramy kadłuba. Cherish pomyślała: No to koniec.

Znajdowali się w tylnej części ładowni, za ścianą regałów ze sprzętem do zapisywania danych. Regały przytwierdzono do podłogi. Co interesujące, nie było śladu inżyniera obsługującego sprzęt - szczególnie, o jaki zadbał Kinnard albo Reck. Pilot i załoga w kokpicie mogli nawet nie wiedzieć o obecności Cherish i Conora na pokładzie.

Mimo to krzyczeli aż do ochrypnięcia, kopali w kadłub. Bez rezultatu. Conorowi udało się nawet uderzyć butem w ścianę dzielącą ładownię od kabiny. Nic. Wkrótce zaś huk silników zagłuszył wszystko.

Piętnaście minut później Conor z zapamiętaniem próbował otworzyć kajdanki za pomocą wsuwki do włosów.

- Wydawało mi się, że to jest możliwe tylko w filmach. - Cherish przełknęła gulę, która utkwiała jej w gardle.

Ale Conor pracował dalej. Znalazł wsuwkę pod poduszką kanapy w swoim pokoju i przesznuł w bucie. Łańcuch, którym byli przykuci do kadłuba, dawał mu akurat tyle luzu, by wydobyć szpilkę z buta i przystąpić do pracy nad kajdankami.

- Dobrze cię czujesz, Cher? - zapytał.

Z całej siły zaciskała powieki. Już brakło jej tchu, a wibracje dawały przedsmak tego, co ją jeszcze czeka. Po ruchu samolotu poznała, że kołuje na pas startowy.

- Trzymaj się, proszę! - powiedział Conor, energicznie dłubiąc wsuwką w zamku.

Cherish wciągała powietrze ustami, wydychała przez nos. To ją powinno odprężyć, ale nie przynosiło żadnego efektu.

- Nadal jesteś nastawiony optymistycznie?

- Średnio - przyznał. - Spodziewałem się, że wsadzą nas na pokład. Jeżeli samolot się rozleci, powiedzą, że byliśmy parą terrorystów, którzy prześlizgnęli się przez ochronę.

Rozleci się!

- Conor, poczekaj chwileczkę-próbowała opanować mdłości. Naprawdę próbowała. - Chyba zaraz zwymiotuję.

Odchylił się do tyłu, żeby miała większą swobodę ruchów, i Cherish zwymiotowała na podłogę. Po chwili wyprostowała się na skrzyni, plecami przytulona do Conora. Przy tych mdłościach i poziomie adrenaliny szumiącej w żyłach myśl o wylecieniu w powietrze nie budziła jej większego sprzeciwu.

- Jezu, Cher! Jest coraz gorzej.

Miał na myśli jej lęk przed lataniem. Nie powiedziała mu przecież o dziecku.

-Na to wygląda. Jeżeli wyjdziemy z tego żywi, będę się leczyć. Naprawdę.

Conor zabrał się z nowym zapalem do swoich kajdanków, a Cherish próbowała wziąć się w garść. Zmieniał co chwilę kąt nachylenia spinki, wyjmował ją i wsuwał znowu w otwór zamka.

W pewnej chwili usłyszała, jak pojękuje z wysiłku. Znowu zbierało się jej na wymioty ale wiedziała, że nie jest to odpowiednia pora - coś się działo. To znaczy, Conor robił sporo hałasu, co uznała za dobry znak. Próbowała robić głębokie wdechy. Conor wygiął się ku niej, wciskając wsuwkę w zamek.

- Cher - powiedział. - Chyba...

Wygięta wsuwka wyprysła mu z palców z cichym świstem i poszybowała w powietrzu. Wylądowała na podłodze ładowni, w odległości metra od skrzyni.

- Kurde! - zawołał. - Kurde!

Cherish z trudem przełknęła ślinę, widząc że stracili ostatnią szansę.

- Wszystko będzie dobrze, Conor, dobrze.

Sądząc z położenia samolotu, właśnie odrywali się od ziemi. - Wszystko dobrze. O Boże! Dobrze! Dobrzedobrzedobrze... -Posłuchaj mnie! - powiedział stanowczo. - Nie umrzemy. Rozumiesz? Coś wymyślę. Wyciągnę nas stąd, Cher. Przysięgam!

- Dobrzedobrzedobrze... - jej głos przeszedł w pisk.

- A co z tymi ćwiczeniami wizualnymi, które robiłaś w samolocie? -Podczas lotu z Moskwy pomagał jej w ćwiczeniach relaksujących. - Białe światło, które wypełnia cię ciepłem. Pamiętasz? - Osunął się na kolana i zaczął zdejmować but. - Możemy zrobić je teraz. Możemy spróbować.

Usłyszała dziwny dźwięk, jakby Conor wyciągał sznurowadło.

- Słuchaj, daj mi swoje buty.

- O Boże! - Ona też uklękła i pomogła Conorowi ściągnąć jeden but, potem drugi. Zacisnęła mocno powieki. Zapomniała o mdłościach pod wpływem okropnej paniki, kiedy samolot nabierał prędkości. - o Boże!

- Postaraj się ze mną współdziałać. Zamknij oczy i słuchaj, co mówię. - Wyjął sznurowadła również z jej butów. - Mam pomysł. Omówimy katastrofę krok po kroku, tylko że tym razem damy jej szczęśliwe zakończenie.

- Boże, pomóż mi!

- Zamknij oczy, Cher.

- Mam zamknięte oczy. - Przełknęła z trudem. - Chyba nie dam rady.

- Cher, wyobraź sobie samolot. Wyobraź sobie, że sunie gładko po niebie.

- O Boże! Dobrze. Sunie gładko. O Boże!

- Bardzo dobrze, kochanie. Sunie zupełnie gładko.

- Gładko. Bardzo gładko. Gładko jak po lodzie. Głaaadko.

Wypowiedziała to słowo tak, jakby je smakowała. Conor zamknął oczy.

Nie chciał niepokoić Cher, ale obawiał się, że tym razem są ugotowani.

Nie miał pojęcia, jak wydostać się z pułapki. Ktoś z pewnością postarał się o to, żeby ten samolot nie wylądował, nawet jeżeli tworzywo wytrzyma. Tylko dlatego Reck wysłał prototyp w powietrze, mimo że otrzymał od Lebrede alarmujące informacje o wytrzymałości metalu. Dwoje terrorystów z głowy. Żadnego więcej zagrożenia dla programu Recka.

Ale Cher nie powinna o tym wiedzieć. Pracując za jej plecami, związał razem wszystkie sznurowadła w długą linkę, a potem

przymocował jeden koniec do tenisówki Cher, o wiele lżejszej od jego adidasa.

- No dobrze, więc jesteśmy w samolocie. - Nie chciał, by cierpiała więcej niż to konieczne, a wiedział, co dla niej znaczy pobyt w samolocie. - Rozmawiasz z Erikiem. - Rzucił but, trzymając sznurowadło jak żyłkę wędkarską, ale tenisówka wylądowała daleko od wsuwki. - Wszystko idzie wspaniale. Potem zaczynają się turbulencje... - Przyciągnął but i przygotował się do następnego rzutu. Niewiele brakowało, a otworzyłyby cholerne kajdanki. Potrzebował tej wsuwki.

- O Boże! Turbulencje! Zrozumiał swój błąd.

- Tylko że tym razem ustają niemal natychmiast - dodał prędko.

- Nie. Wcale nie ustają! Cały samolot się trzęsie!

- Ustały, Cher. Wyobraź sobie, że sunie gładko po niebie.

- Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę oddychać. - Chwyliła go za rękę. - Samolot drży. Wpada w korkociąg! Henry roztrzaskuje się o ścianę. Reporter! o mój Boże, on nie ma głowy! Conor, on nie ma głowy!

- W porządku, nie ma cię w tym samolocie! - wrzasnął Conor, żeby ją przekrzyczeć.

Sam przeżył ten jej koszmar, widział bezgłowe ciało przypięte do fotela, kiedy wyciągał Cherish z płonącej kabiny. Całym sercem pragnął uratować ją znowu, teraz, choćby tylko przed koszmarem.

- W porządku, Cher. Masz rację. Wszystko się pochrzaniło i to cholerstwo rozpadło się na kawałki. - Uznał, że ten fragment lotu

omówią pokrótce i przejdą od razu do bezpiecznego lądowania. -
Stało się to najgorsze i lecisz w dół.

-Lecę w dół!

-I nagle coś zatrzymuje ten upadek. Rozumiesz? - Zmyślał na poczekaniu, mając nadzieję, że jeżeli Cherish dotrze bezpiecznie na ziemię, weźmie się w garść. - Już nie spadasz, Cher. Nie... Szybujesz! o właśnie! Szybujesz powolutku ku ziemi.

- Lecę w dół!

-Nie! Wcale mnie nie słuchasz. Szybujesz. Spływasz łagodnie ku ziemi. - Czuł, jak samolot wyprostowuje się, nabrawszy wysokości. Ponownie rzucił butem. Tym razem wylądował bliżej wsuwki, co dawało pewną nadzieję. Przyciągnął go z powrotem. - Szybujesz po pięknym, błękitnym niebie, Cher. A to niebo, mój Boże! Jest takie czyste i błękitne, że aż razi w oczy.

- Lecę w dół!

- Nie, Cher. Szybujesz.

-Lecę w dół!

- Cholera, Cher nie spadaj, tylko szybuj!

- Szybuj. W porządku, szybuj. Muszę szybować.

- Bardzo dobrze, kochanie. Szybujesz.

- Szybować. Nie spadać. Szybować.

Ale w wyobraźni nadal leciała bezwładnie w dół. Próbowwała skoncentrować się na jego słowach, na tembrze głosu. Szybować. Jak by to było pięknie - szybować teraz. Dla dziecka, pomyślała nagle. Tak, dla rosnącego w niej dziecka. Musiała szybować dla dziecka.

- Wokół ciebie nie ma nic, tylko to czyste błękitne niebo - mówił Conor.

- Błękitne. - Oblizła wargi. - Dużo błękitu. - Moje dziecko i ja szybujemy w błękitcie.

-A wokół płyną puszyste białe chmurki. Są wszędzie wokół ciebie jak... jak kłębki bawełny.

- Puszyste chmurki. - Oddychała głęboko, bardzo starannie, starając się utrzymać równy rytm wdechów i wydechów. - Puszyste i białe. Mnóstwo błękitu. Będę miała dziecko, Conor. - To będzie chłopiec. Ponieważ widzę mnóstwo błękitu.

- Właśnie - powiedział Conor, szczęśliwy, że słyszy pozytywną nutkę w jej głosie. Rzucił butem, tym razem nachylając się, żeby zwiększyć zasięg. Ale łańcuch ograniczał mu swobodę ruchów. But wylądował daleko od spinki.

Conor starał się opanować panikę. Skup się!

- Wyjdziemy z tego, Cher. - Próbował natchnąć ją otuchą. Ją i siebie. -A potem się pobierzemy i będziemy mieli mnóstwo dzieci.

- Błękit. Mnóstwo błękitu.

Nagle, dość niespodziewanie i po raz pierwszy, naprawdę ujrzała to bezkresne błękitne niebo, które opisywał Conor. I rzeczywiście szybowała, dokładnie tak, jak jej kazał, szybowała ze swoim radosnym, pulchnym bobasem w ramionach.

- Wokół jest mnóstwo pięknego błękitu.

Conor wyczuł, że się uspokoiła. Nawet jej oddech się zmienił. Wyraźnie wyczuwał różnicę. Odprężyła się. Jej plecy dopasowały się miękko do jego pleców.

- Odchyl się w moją stronę - powiedział. - Chcę dostać tę wsuwkę. - Rzucił butem. Po raz pierwszy wylądował na spince. Dzięki ci, Boże! - A ty myśl o tym pięknym niebie... dużo chmur.

Zwijął ostrożnie sznurowadło, przyciągając wsuwkę coraz bliżej. Znajdowała się już niemal w zasięgu jego nogi. Uświadomił sobie, że samolot nie wykonuje żadnych manewrów, co było ze wszech miar korzystne. Gdyby zaczął robić fikołki, mogliby się pożegnać z wsuwką.

- Och, Conor! - zawołała Cherish z podnieceniem. - Jest tu to wielkie białe światło. Pada wprost na mnie, Conor. Rozgrzewa mnie.

Wielkie białe światło? Zdziwił się. Nie dotarli jeszcze do tej części ćwiczenia.

- Ale szybujesz, tak? - Przyciągnął wsuwkę bliżej,

- Rany! Mam takie niesłychane poczucie euforii. To światło! Jest takie krzepiące.

Tym razem Conor nic nie powiedział. Jeżeli sfiksowała, to przynajmniej w miły, sympatyczny sposób. Spinka była tuż. Jeszcze tylko kawałeczek. Ale w ostatniej chwili but przesunął się nad nią. Conor zamknął oczy, starając się nie sfiksować samemu. Pochylił się do przodu. Wycelował, wysunął jak najdalej ramię i rzucił. Bingo!

- W porządku, opowiedz mi o tym świetle.

- Nigdy nic podobnego nie widziałam - powiedziała z lękiem. - To jak z tych opowiadań o śmierci klinicznej. Tunel światła, o jakim zawsze mówią. Umarliśmy?

Jeszcze nie. Przyciągnął spinkę kilka centymetrów bliżej. Pot spływał mu z czoła na oczy.

- Nie, kochanie. Żyjemy. Opowiedz mi jeszcze o tym świetle.

- Czuję taką miłość, Conor. To niesamowite. I wcale się nie boję.

Zamknij oczy. Może ty też je zobaczysz.

Nie zamknął oczu; przyciągnął wsuwkę bliżej skrzyni.

- Już je zamknąłem.

- To światło sprowadza mnie z powrotem na ziemię - w jej głosie brzmiało uniesienie. - Nie rozbijam się, jak w moim śnie. Spływam lekko, łagodnie na ziemię.

Pomyślał, że w tej chwili wielkie białe światło nie wystarczy, żeby poczuł się lepiej. But ponownie prześlizgnął się nad spinką. Conor zgrzytnął zębami. Nie chciał umierać. Nie chciał patrzeć, jak umiera Cher.

Ale Cherish nie zamierzała umierać. Nie dzisiaj. Szybowała ku ziemi ze swoim dzieckiem w objęciach, a światło napępniało ją dobrocią i miłością.

- Rany! - zawołała prawie bez tchu, kiedy w wyobraźni wylądowała bezpiecznie z gaworzącym dzieckiem w ramionach. - To było niesamowite. Po prostu niesamowite.

Powoli światło gasło. Cherish zrozumiała, że znajduje się na pokładzie samolotu, siedzi na skrzyni ze skutymi rękami, przytwierdzona łańcuchem do kadłuba. I wcale się nie boi.

-Conor?

-Tak, Cher?

Uśmiechnęła się.

- Już się nie boję.

- Cieszę się, kochanie. Naprawdę.

- Nie umrzemy, prawda? Nie odpowiedział od razu.

- Nie, jeżeli dostanę tę cholerną spinkę!

Zsunął się ze skrzyni i wyciągnął nogę... Ale spinka była za daleko. Cherish poczuła, jak na ten widok niepokój ogarnia ją na nowo. Nie możemy zginąć. Proszę, nie pozwól nam zginąć.

- To byłby prawdziwy pech - powiedziała bardziej do siebie niż do niego, starannie kryjąc strach. - Właśnie się odnaleźliśmy... Tym razem należy nam się szczęśliwe zakończenie. Nigdy mi nawet nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

Poczuła, jak Conor opada na kratę za jej plecami, dysząc, po czym ponawia próbę.

- Owszem... powiedziałem...-wystękał.

Cherish podniosła wzrok na sufit. Nie mogła już patrzeć, jak Conor z takim zapamiętaniem próbuje dostać wsuwkę, która wciąż pozostaje poza jego zasięgiem. Oblizwała wargi i postanowiła myśleć o czymś innym, nie o śmierci.

- Zaufaj mi, Conor. Zapamiętałabym, gdybyś mi powiedział, że mnie kochasz.

- Tej pierwszej nocy w obozie Bołkońskich. - Wczołgał się z powrotem na skrzynię, z trudem łapiąc oddech. Kątem oka Cherish zauważyła, że szykuje się do kolejnego rzutu butem. - Wtedy ci powiedziałem, po tym, jak się kochaliśmy.

- „Dobrze”? - W końcu pojęła. - „Dobrze” znaczyło Kocham cię?
-Patrzyła, jak celuje. Rzucił trochę za daleko.

- Daj spokój, Cher. Wiedziałaś, co chcę powiedzieć. Miałaś rację. Byłem nieszczęśliwy przez rok i nie mogę bez ciebie żyć.

- A tak, przypominam sobie. Kurczę, nie sądzisz, że to trochę zbyt lakoniczne?

Conor rzucił but. Tym razem wylądował na spince, co zakrawało na cud. Przyciągał go ostrożnie, powoli. Był coraz bliżej.

- Boże, mam nadzieję, że to się na coś zda - powiedział.

Sama miała duże wątpliwości. Już kilka razy wymknęli się śmierci. Jeszcze tylko ten jeden raz, Boże.

Czuła wibrowanie samolotu pod stopami.

- Conor? To się uda, prawda?

Nagle samolot podskoczył, a potem dał nura, rzucając Conora na Cherish. Oboje patrzyli, jak spinka zatacza łuk w powietrzu i ląduje po drugiej stronie samolotu, całkowicie poza zasięgiem.

Conor zamknął oczy.

- W tej chwili to nie wygląda dobrze, Cher.

- Boże! Powiedz mi, że wyjdziemy z tego!

W tym momencie drzwi ładowni otworzyły się z trzaskiem,
- Mam nadzieję! - odezwał się mężczyzna od progu.

Cherish odwróciła głowę. Pilot WingMaster obszedł regał z instrumentami, przykleknął obok skrzyni i zaczął majstrować przy kajdankach.

- Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że masz cholernego pecha do tych samolotów, maleńka.

To był Alec.

31

No to co, chłopcy? - odezwała się Cher tkwiąca nieruchomo w fotelu mechanika. - Co mam teraz robić? Zaserwować wam kawę? Conor zauważył, że mówiąc te słowa, wpijała paznokcie w oparcie fotela. Poza tym, że twarz miała zielonkawą, wyglądała znacznie lepiej. To nie była ta kobieta, która wpadła w histerię podczas lotu do Moskwy. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy widział w samolocie jej normalne, a nie wytrzeszczone ze strachu oczy. Podał jej grubą księgę.

- Wyszukaj w niej częstotliwości radiowe. Rozmawiaj z każdym, kto będzie cię chciał słuchać. Zdaje mi się, że Reck nie chce, aby nasza historia zdobyła szerszą popularność.

Rzucił szybkie spojrzenie na tablicę ze wskaźnikami, sprawdzając wysokość i szybkość.

- Jak w dawnych, dobrych czasach, co? - powiedział Alec, sadowiąc się w fotelu obok.

- Co ty tu robisz, Alec? - spytał Conor. - Jesteś ostatnią osobą, od której mógłbym się spodziewać pomocy.

- Co dowodzi, jak bardzo się mylisz w ocenie ludzi. Conor potrząsnął głową i spojrział na parametry. 190 stopni.

- Daruj sobie. Nie mam pojęcia, jaki cel ci przyświeca, ale gdy to się skończy, dowiem się.

Alec uśmiechnął się.

- Jest tak, jak powiedziałem. Jak w dawnych, dobrych czasach.

Alec powiedział im, że załatwił pilota, a potem zajął jego miejsce w składzie załogi. Ubrany w mundur, nie miał żadnych trudności z przejściem kontroli, gdy zaś już znalazł się na pokładzie, nikt nie podjął dyskusji z jego glockiem. Związał pilotów w kabinie pasażerskiej i tam ich zamknął. Nastawiwszy autopilota na kurs ku Los Angeles, wrócił do ładowni po Conora i Cherish.

- Skoro już kazałeś objechać nam pół świata w poszukiwaniu dowodów, może teraz coś wyjaśnisz? Czy poczekasz, aż to tworzywo się rozleci? Dalej, Alec. Żadnych więcej przedstawień.

- Ty nie rozbiłeś pierwszego prototypu - powiedział Alec, tym razem bez uśmiechu. - Cały czas miałeś rację. To komputer pokładowy. Ludzie Recka zaprogramowali komputer tak, żeby wydawał polecenia sprzeczne z twoimi decyzjami. Na określone polecenie całe to cholerstwo zwariowało. Z zapisu wynikało, że to wypadek spowodowany przez pilota. Odkryłem, co się stało, parę tygodni po wydaniu przez komisję bezpieczeństwa werdyktu

niekorzystnego dla ciebie, ale ktoś miał mnie na muszce. Pomyślałem, że powinienem zniknąć... jeśli chcę żyć.

- A co z tworzywem na skrzydłach tego prototypu? Czy runiemy w dół w blasku chwały?

- Według mojej analizy, nie - rzekł Alec. - Jeśli nie zachce ci się jakichś superakrobacji i superprzeciążeń, powinno być w porządku. -
Znów się uśmiechnął: - Ale jest jeden problem.

- Co tym razem?

Alec spojrział na Cherish. Była zajęta szukaniem kontaktu radiowego. Alec nachylił się, żeby nie mogła go słyszeć.

- Na pokładzie jest bomba - powiedział niemal bezgłośnie. -
Nastawiona na jakąś wysokość albo godzinę, więc nie możemy wylądować, zanim nie dowiemy się czegoś o jej zapalniku. Dowcip polega na tym, że nie mogę tego diabelstwa znaleźć. A daję ci słowo, że próbowałem.

Conor zerwał się z fotela i przeszedł na tył samolotu do ładowni. Alec deptał mu po piętach. Jeżeli Reck lub Kinnard planowali wysadzić ich w powietrze podczas lotu, to tak, żeby nie można im było tego udowodnić. Musieli mieć cholerną pewność, że kawałki, które zbada komisja do spraw bezpieczeństwa, będą zniekształcone nie do poznania. Co oznaczało dwie rzeczy: że mieli mnóstwo paliwa i że Cher i on siedzieli dokładnie nad detonatorem.

Znalazł go dość szybko. W skrzyni, gdzie razem z Cherish był przykuty do ściany kadłuba.

- Co jest? - Cherish wyszła z kabiny. - Co wy tam robicie?

Wspólnym wysiłkiem Alec i Conor zdołali oderwać wieko skrzyni. Bomba spoczywała w kupie trocin. Znieruchomieli spoglądając na niewielki cyfrowy zegar. Conor ocenił, że pod tym mechanizmem leży około trzydziestu funtów plastyku.

- Czy to bomba? - zapytała Cherish, stając za plecami Conora i spoglądając w dół do wnętrza skrzyni. Powiedziała to najzwyczajniejszym tonem, jakby pytała, czy to pudełko z niespodzianką. A potem, klękawszy przy Conorze, zawołała: - To bomba! Connor spojrział na Aleca.

- Nie mam zielonego pojęcia, co z tym zrobić. Może wyrzucić i czekać z zaciśniętymi kciukami, co się stanie?

- Ja bym tego nie ruszał - rzekł Alec, wpatrując się w mechanizm.
- Chyba że masz przemożną ochotę rozczłonkować się na milion drobnych cząsteczek.

Podniósł się i poszedł do kabiny. Wrócił z małym zestawem narzędzi, zwijaną brezentową kieszenią z młotkiem, kombinerkami i śrubokrętem. Cherish chodziła tam i z powrotem, mówiąc do siebie, mruczając coś o bombie, cholernych skurwysynach i skręceniu Reckowi krostowatego karku. Conor miał nadzieję, że będzie miała po temu okazję. Patrzył na cyfry zmieniające się na ekranie zegara. Zostało im niecałe pięć minut.

Alec ostrożnie, nie śpiesząc się, odkręcił śruby. Wyglądał na faceta, który wie, co robi. Nie oderwał się od roboty, dopóki nie rozmontował urządzenia na czynniki pierwsze.

Pod pokrywą ukazały się trzy przewody. Alec zacisnął kombinerki na pierwszym z nich, czerwonym, ale go nie przeciął. Po raz pierwszy się zawahał. Wydawało się, że nad czymś się zastanawiała. Potem powoli zwolnił kombinerki. Przyłożył je do białego kabelka, ale równie szybko zmienił zdanie i powrócił do czerwonego.

Conor nie spuszczał wzroku z ekranu. Została im niecała minuta.

Alec nie mógł się zdecydować. Wpatrywał się w przewody, krople potu perliły mu się na czole, czas uciekał nieubłaganie.

-Tnij! - zawołała Cherish, stając nad nim. -Czemu on tego nie przecina?!

Wyglądał na faceta, który właśnie doszedł do wniosku, że coś mu się pomyliło. Odsunął kombinerki od czerwonego przewodu i zbliżył do białego. A potem znów zacisnął je na czerwonym.

- Tnij go, Alec! Przetnij go! - zawołała Cherish. Na zegarze zostało dziesięć sekund.

Alec spojrział w górę. Conor nigdy nie widział takiego wyrazu przerażenia na jego twarzy. Nie był w stanie podjąć decyzji. Osiem sekund.

Patrząc na Cherish, Alec powiedział:

- Boże wszechmocny! Sześć sekund!

- No, co?! - krzyknęła Cherish. - Na co czekasz?! Pięć, cztery...
To już koniec, pomyślał Conor.

Było to absolutnie nie do wiary, ale na twarzy Aleca pojawił się uśmiech.

- Mam cię - powiedział łagodnie.

Przeciął kabel. Zegar stanął.

Do odliczenia pozostały dwie sekundy.

Cherish osunęła się na kolana. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Położyła się na plecach, zwinęła jak płód w łonie matki.

- Jesteś chory! Jesteś chorym człowiekiem! - Zaczerpnęła parę haustów powietrza. - Jestem zamknięta w samolocie z szaleńcem.

- Nie przesadzaj! - powiedział Conor. - Tylko z zasrańcem! Alec nadal się uśmiechał.

- Nie mogłem się oprzeć.

Conor odwrócił się. Miał dość Aleca i jego wygłupów. Zajął się Cherish.

- Udało ci się złapać jakiś kontakt radiowy?

- Z lotniskiem w Los Angeles. - Usiadła powoli. - Pytali o twój plan lotu. Spróbowałam wyjaśnić im sytuację, ale wzięli mnie za wariatkę. Chcą rozmawiać z kimś przy zdrowych zmysłach. - Wspierała się na kolanach i łokciach. Nie miała sił, żeby unieść głowę. - Wypada na ciebie, Conor.

Conor podał jej rękę i pomógł wstać. Wkrótce znajdą się nad górami otaczającymi zatokę Los Angeles. Lecz kiedy cała trójka dotarła do kabiny, czekała na nich nowa niespodzianka. Prawdę mówiąc, dwie niespodzianki. Myśliwce F-15, po jednym z każdej strony prototypu.

- ...wylądujecie natychmiast - zagrzmiało radio, gdy Conor nałożył słuchawki. - Zajęliście własność rządową. Polecicie za nami do bazy w Edwards albo będziemy zmuszeni was zestrzelić. Powtarzam. Wylądujecie tym samolotem natychmiast albo będziemy zmuszeni was zestrzelić.

Zanim Conor zdążył otworzyć usta, Alec powstrzymał go przed włączeniem mikrofonu.

- Jeśli polecisz za tymi facetami, zginiemy. Za tym wszystkim stoi Kinnard. Ma swoich fagasów, którzy posprzątają takie odpadki jak my.

Conor strącił rękę Aleca.

- Zdążyłem ich poznać. - Włączywszy mikrofon powiedział: - Mówi podpułkownik Mitchell - przedstawił się, używając dawnego stopnia oficerskiego. - Mamy tu szczególną sytuację. Właśnie rozbroiliśmy bombę...

- Wiemy o bombie, Mitchell.

Głos, który zabrzmiał w słuchawkach, nie należał do pilota F-15. Conor rozpoznał go. To był Joseph Kinnard.

- Wiemy, że to ty wniosłeś ją na pokład WingMastera - dodał Kinnard.

- Jest na pokładzie tego cholernego F-15 - powiedział Alec i gwizdnął przez zęby. - Jezu, facet ma jaja!

- Czas się poddać - powiedział Kinnard. - Wiemy wszystko o tobie i powiązaniach panny Malone z grupą Marduka. Wszystko

jedno, z waszą współpracą lub bez niej, i tak sprowadzimy was na ziemię.

- A co z załogą na pokładzie? - spytał Conor. - Macie zamiar ich też zestrzelić?

- Zakładnicy ci nie pomogą, Mitchell. To są wojskowi, jak ty kiedyś. Wiedzieli, na co się decydują, gdy wstępowali do wojska. No, dalej, Mitchell. Jesteście tam przecież we dwoje. Naprawdę chcesz, żeby zginęła wraz z tobą?

- Tu LAX - zaskrzeczało radio, zanim Conor zdążył odpowiedzieć swojemu prześladowcy. - Wchodźcie w sektor o wielkim natężeniu ruchu lotniczego. Macie prywatny samolot startujący z El Monte i 747 na twojej dziewiątej, schodzący przez trzy tysiące. Proszę cię, podnieś się na wysokość pięciu tysięcy stóp i zwiększ prędkość do stu osiemdziesięciu węzłów, współrzędne dwa siedem zero. Możesz to powtórzyć?

Conor spojrział na tablicę, potem na dwa myśliwce. Zastanowił się, co robić, jaki ma wybór. Uznał, że niewielki.

- Do wieży: odmawiam. To samolot Sił Powietrznych XC-23. Prowadzę wojskowy prototyp. Na pokładzie mamy sytuację alarmową związaną z bezpieczeństwem narodowym. Zachowam moją obecną wysokość, prędkość i kierunek, dopóki nie porozumiem się z agentem specjalnym Luisem Lebredo z FBI. Możesz to powtórzyć, wieża? Agent Luis Lebredo. Proszę skontaktować się natychmiast z FBI.

Kątem oka dojrzał, jak Cherish unosi brwi w zdziwieniu. Mówił dalej, tym razem do pilotów F-15 i Kinnarda.

- Pojmujecie teraz sytuację, panowie? Krótko mówiąc niosę swój tyłek powoli i nisko, łakomy kąsek nad zatoką Los Angeles. Możecie sobie postrzelać... jeśli chcecie, żeby ten prototyp spadł na głowy paru setek naszych ukochanych podatników. Chwilowo radzę wszystkim się wycofać. -Zwrócił się do Aleca i Cherish: - Uważajcie, wyłączam autopilota.

Cherish pochyliła się nad instrumentami. Kątem oka zobaczyła, jak myśliwce zwalniają. Przy smukłych F-15 ich prototyp wyglądał jak ogromny wół. Odrzutowce F-15 Eagle nie zostały skonstruowane do powolnych lotów. Aby utrzymać się przy transportowcu Conora, musiały nad nim krążyć.

Prototyp zwolnił do połowy minimalnej prędkości dopuszczalnej dla myśliwców. Patrząc w okno, Cherish widziała, jak zataczają wokół nich koła.

- Jak długo lecimy nad zatoką?- zapytała.

- Możemy się bawić z nimi przez trzydzieści minut - odparł, koncentrując swoją uwagę na tablicy.

Potrząsnęła głową i nałożyła słuchawki.

- Odsuńcie się, chłopcy! - powiedziała. - To jest zadanie dla profesjonalistów. Do wieży Los Angeles. Tu Cherish Malone, dyrektor do spraw public relations firmy Marquis Aircraft. Znajduję się na pokładzie prototypu wojskowego. Jego skrzydła zbudowane zostały przy użyciu eksperymentalnego materiału zespolonego, który właśnie się rozpada. Powtarzam, materiał się rozpada. Pięć tygodni temu prototyp tej samej wytwórni rozbił się w Edwards, wystarczy

przypomnieć sobie nagłówki z komunikatów. Przyczyną tamtej katastrofy nie była, powtarzam, nie była bomba. Jeżeli nie możecie uwierzyć w tę historię, skontaktujcie się z agentem specjalnym Lebrede. On może potwierdzić, z jak niebezpieczną sytuacją mamy teraz do czynienia.

- Nieźle - powiedział Conor.

- Też tak myślę - uśmiechnęła się. - Ale te dwa odrzutowce na twoim ogonie dodały wagi mojej gadaninie. Myślisz, że Lebrede weźmie naszą stronę?

Na to właśnie stawiał Conor. To była ich ostatnia szansa.

- Jeśli jest choćby tylko w połowie takim agentem, na jakiego wygląda, sprawdził, co robiliśmy na Syberii. Może nie znalazł dowodów, które pozwoliłyby mu z miejsca przygwoździć Kinnarda, ale zacznie to i owo podejrzewać. A wyglądał na dość zirytowanego, kiedy tamci ludzie przejęli dochodzenie. Wszystkie te agencje z alfabetu są bardzo wrażliwe w sprawach dotyczących zakresu ich jurysdykcji.

- Obliczyłem, że przy obecnej szybkości mamy paliwa na około dwudziestu minut - powiedział Alec wpatrzony we wskaźnik paliwa.

Radio znowu ożyło.

- Słuchaj mnie! - To był Kinnard. - Jesteśmy na twoim tropie od wielu tygodni, Mitchell! Właśnie dlatego przywitaliśmy cię, kiedy wróciłeś z Rosji. I ty, i ja wiemy, że będziemy zmuszeni zdmuchnąć cię z nieba.

- Zatkaj się, Kinnard! - powiedziała Cherish, przerywając mu w pół słowa. - Ja rozmawiam z kimś ważnym. Do wieży LA! Możecie zlokalizować dla nas agenta Lebredo?

- Namierzyliśmy jego telefon komórkowy.

Czekali. Napięcie w kabinie stało się niemal namacalne. Nagle głos Lebredo zagrział w słuchawkach:

- Co wy, u licha, robicie w tym samolocie?! - krzyczał zdyszany.

- Agencie Lebredo! - zawołała Cherish. - Nie może pan sobie wyobrazić, jaka jestem szczęśliwa, słysząc pana głos. A co do naszej sytuacji...

- Znam waszą sytuację - przerwał jej. - Szukałem was. I połowa agentów, jakich tu mamy. Uważam, że możecie złożyć zeznania w sprawie o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa tego kraju.

- Mam w Bogu nadzieję, że ten facet to dywizjon myśliwców - powiedział Alec spoglądając przez okno na F-15 kołyszące się przed nimi. - Mamy coraz mniej czasu.

Cherish popatrzyła na Conora.

- Czy ten facet myśli to, co ja?

Chodziło jej o Lebredo.

- Możesz tym pudłem wylądować? - zapytał Lebredo, nie rozwijając tematu zeznań.

Conor przejął mikrofon.

- Zależy, gdzie mi każesz posadzić tego ptaszka.

- El Toro - powiedział Lebredo. - Będziemy tam na was czekać.

A propos! Rozmawiałem z waszym przyjacielem, Walarym.

- On ma na myśli Walerego - szepnęła Cherish, wymawiając imię prawidłowo. - On nam wierzy!

- Być może - stwierdził Conor.

- No, no! Spójrzcie tylko na to! - zawołał Alec.

W jednej chwili oba myśliwce zawróciły i pomknęły w przeciwnym kierunku. Conor wprowadził nowe współrzędne.

- Miejmy nadzieję, że to dobry znak - powiedział.

Zwiększyli wysokość i prędkość do 180 węzłów i skierowali się w stronę El Toro. Przez następne dziesięć minut w kabinie panowało pełne napięcia milczenie. Każde z nich pogrążone było w swoich myślach. Kiedy w końcu Conor spojrział na Aleca, ten uniósł kciuk.

- Damy w tyłek temu skurczybykowi. Zobacysz!,

Ale Conor nie był tak pewny. Wiele spraw toczyło się teraz poza ich kontrolą. Wyciągnął rękę do tyłu i uściśnął dłoń Cherish.

- Jak się czujesz?

- Ja? Do licha, po tym wszystkim, co przeszliśmy, nie czuję nawet podniecenia.

- Cała moja Cher!

Nie puścił jej dłoni. Nie wiedział, co ich czeka u kresu tej podróży. Lebedo był ich jedynym zabezpieczeniem. Z agentem FBI na karku Kinnard miał większe trudności z posprzątaniem „odpadków”. Niemniej było to bardzo kruche zabezpieczenie.

Conor rozmyślał o tym, patrząc prosto przed siebie. Bał się. Spróbował skoncentrować uwagę na wskaźnikach instrumentów, na

locie do El Toro. Skoncentrować się za wszelką cenę! Najpierw wyląduj, potem zajmij się Kinnardem. Zmienił częstotliwość radia na El Toro, zniżył lot.

Błyskawica eksplodowała bólem w jego czaszce, tuż za oczami. Zamrugał powiekami, starając się odzyskać ostrość widzenia.

Jeszcze jeden błysk! Potrząsnął głową, poczuł nagłe przyspieszenie pulsu, gwałtowne łomotanie serca. Zupełnie jak tamtego dnia, ponad rok temu. Otrząśnij się! Spojrzał na Aleca, sprawdzając, czy ten coś zauważył.

Błysk! Alec mówi coś do niego, z tym swoim uśmiechem pełnym poczucia wyższości...

Błysk! Czerwone ostrzegawcze światelko. Utrata wysokości!

Zacisnął powieki, wepchnął kostki dłoni w oczy. Zdawało mu się, że słyszy, jak Cher pyta, co się dzieje...

Ziemia pędziła na nich, horyzont zawirował jak bąk. Krzyki z kabiny. Zatkał dłońmi uszy, ciągle jednak słyszał wrzask Aleca: prawy silnik w płomieniach!

Samolot przechylił się na prawo, za mocno! Wymknął się spod kontroli. Uwaga! Przeciągniesz!

Conor pamiętał, że szarpnął z całej siły drążek.

Alec krzyczał: Wyłącz! To cholerstwo nas zabije!

„Czy gdyby pan po prostu puścił stery, pułkowniku, oddał je komputerowi...”

Twarz Aleca, wykrzywiona przerażeniem. „Wyłącz to! To cholerstwo nas zabije!”

-Conor!

Otworzył oczy. Cher była tuż przy nim, jej przeczyste błękitne oczy, ściągnięte niepokojem brwi, jej miękkie dłonie złożone przy jego twarzy...

- Dobrze się czujesz? - pytała. Pogładziła jego twarz, jakby badając, czy nie ma gorączki. - Nie wyglądasz najlepiej, kochany.

- Conor? - zainteresował się Alec.

Odwrócił się do Aleca. Obrazy się zmieniły. Jak w filmie, który zaraz się zerwie, klatki zwalniają i można oglądać każdy ruch we wszystkich jego fazach.

Alec, niecałą godzinę temu siedzący tu, zimny jak góra lodowa. „Później odkryłem, że ludzie Recka zaprogramowali komputer pokładowy... żeby wyglądało na wypadek spowodowany przez pilota”.

Alec w dniu katastrofy, wrzeszczący: Wyłącz to! To cholera nas zabije!

Chodziło mu o komputer! Chciał, żeby Conor wyłączył komputer pokładowy!

- Hej, Conor! Nic ci nie jest? - spytał Alec. - Cherish ma rację, nie wyglądasz zbyt dobrze, chłopie! Nie chcesz, żebym go przejął?

- Nie - odparł Conor.

Półtora roku temu Alec błagał go, żeby wyłączył komputer. Nagle w kabinie rozległ się suchy trzask. Wszyscy troje rozejrzeli się, szukając źródła hałasu.

- Niech to diabli! - zaklął Alec, prawie bez tchu. Trzask!

- Prawa lotka! - wrzasnął Alec.

Samolot zwałił się na prawo i zaczął spadać. Przez moment Conorowi zdawało się, że to jeszcze jedna halucynacja, ale drążek sterowy, który kurczowo ścisnął w dłoniach, był aż nadto rzeczywisty, dziki taniec samolotu na niebie był terażniejszością. Stracił zupełnie kontrolę nad kierunkiem lotu.

Przed sobą, nisko na horyzoncie widział równoległe linie pasów startowych El Toro. Zwiększając moc na przemian to jednego, to drugiego silnika, walczył o utrzymanie bezwładnej maszyny na kursie ku pasom. Lecz samolot reagował jak auto na lodzie, ślizgał się w lewo, w prawo, ściągany masą ogona. Zmuszał pilota do coraz większego rekompensowania ślizgów, coraz bardziej wymykał się spod kontroli.

Conor szarpnął drążek. Żadnej reakcji! Niech to diabli! Ostrożnie zmniejszając moc silników, pozwalał maszynie opadać ku lotnisku. Ale nabierali coraz większej prędkości, spadali zbyt gwałtownie.

- Mówiłeś, że tworzywo wytrzyma! - krzyknął do Aleca.

- Pomyliłem się. Uwaga, wieża El Toro! Straciliśmy lotki.

Kierujemy wykorzystując jedynie różnicowanie mocy silników.

Musimy wykonać lądowanie awaryjne. Powtarzam: proszę o zgodę na lądowanie awaryjne!

Nowy grzmot i ogłuszające wycie wypełniło kabinę.

Rozlatujemy się! Conorowi głowa odskoczyła do tyłu. Coś walnęło go

w czaszkę, aż zobaczył gwiazdy. Nie wyjdziemy z tego... Nie! - pomyślał. Nie tym razem!

Zacisnął dłonie na dźwigniach, aż pobieleły kostki.... Sukinsyn nie chce słuchać...

... musiał lecieć prosto i poziomo... tylko trzy tysiące stóp od śmierci... czuł, że Cherish się trzyma, ale odsunął ten obraz sprzed oczu, skoncentrował się na instrumentach... jeśli odpuści, nawet na sekundę, wpadną w korkociąg, przekoziółkują po pasach startowych i to będzie koniec przedstawienia.

Walczył więc i modlił się, żeby nic więcej nie pękło, i słuchał, jak trzeszcza skrzydła... Ziemia pędzi ku nim za szybko... Alec krzyczał co chwila: alarm! Alarm! Prawa lotka poszła...

Conor zwiększył ciąg lewego silnika, potem prawego... Zmniejszyć moc do lądowania... pas startowy był zaledwie dwadzieścia stopni poniżej horyzontu... dociągnij! Dociągnij! Pas pochylił się ku nim. Jeszcze tylko parę stóp... Jeszcze trochę... tylko trochę... Odjąć moc!

Podwozie rąbnęło o beton, podskoczyło, huknęło w nich od spodu. Odwracacz ciągu! Hamulce! Jazgot maltretowanego metalu przetaczał się przez nich falami. Prawe skrzydło uderzyło w ziemię i zostało na pasie. Przednie koło odpadło i maszyna zaczęła szorować brzuchem po betonie wzdłuż środkowej linii pasa, otoczona snopem iskier. Wielkie ptaszysko przechyliło się na prawo i ześlizgnęło z pasa na trawę.

- Trzymajcie się! - krzyczał Conor.

Tylne koła gięły się pod nimi, ryły ziemię. Nieokiełznane siły miały maszyną we wszystkie strony. Szczątki latały po kabinie. Całą trójkę rzuciło nagle do przodu, potem jeszcze mocniej do tyłu, wgniotło w siedzenia. Samolot znieruchomiał.

- Uciekać! - rozkazał Conor. Widząc wahanie w oczach Cherish, zwrócił się do Aleca: - Wyprowadź ją stąd!

Wyswobodził się z pasów i pobiegł na tył samolotu. Znalazł mechanika i drugiego pilota związanych w ostatnim rzędzie foteli. Mechanik był nieprzytomny, krew ciekła z jego skroni. Conor ukląkł i zaczął rozwiązywać węzły.

- Wydostanę was stąd, chłopcy! - Starał się nadać głosowi przekonujące brzmienie.

Nie wierzył własnym oczom, gdy ujrzał Cherish kłękającą obok drugiego pilota. Sięgnęła do sznura, którym był przywiązany do fotela.

- Co ty tu robisz, do ciężkiej Cholery?! - wrzasnął Conor.

- Próbuję ci pomóc. - Zignorowała go i dalej zmagала się z węzłami.

- Tu jest ponad sześć tysięcy funtów paliwa! Dam sobie radę bez twojej pomocy. Błagam cię, Cher, wyjdź stąd!

Ona jednak nie słuchała i nadal rozwiązywała sznur. Zdawało mu się, że słyszy, jak szepce: ja się nie boję.

Mechanik odzyskał przytomność. Drugi pilot wyzwolił się z więzów i pomógł Conorowi dźwignąć mechanika. Jęczał, gdy kładli

sobie jego ramiona na barki. We dwójkę ponieśli go przejściem między fotelami.

Na zewnątrz usłyszeli wycie syren. Zanim zeszli na ziemię, strażacy zdążyli wylać morze białej piany na kadłub maszyny. Pokuśtykali przez lotnisko, aż znaleźli się w bezpiecznej odległości i mogli położyć mechanika na trawie. Zaczęli machać rękami w stronę ambulansu. Dwaj sanitariusze już ku nim biegli.

Eksplozja przyćmiła blask poranka. Fala gorąca uderzyła w twarze, parząc skórę. Strażacy wykrzykiwali coś, zmieniali kierunek strumieni piany. Drugi wybuch przetoczył się przez lotnisko. Ogień, niczym płynna lawa, trysnął w niebo.

Cherish, oświetlona blaskiem pożaru, zwróciła się do Conora.

- Wcale się nie bałam - powiedziała. Objął ją i przytulił.

-Mój Boże, Cher...

Nie mógł nacieszyć się jej bliskością. Całował ją bez opamiętania.

- A ja tak, kochana. Boże, jak ja się bałam...

32

Sydney podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Halo?

Jej głos był zdyszany, podniecony. Czekwała na ten telefon przez cały dzień.

Zdziwiła się słysząc głos kobiety, a nie Aleca. Później jednak, gdy już odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się i pomyślała: to cały Alec. Oczywiście, musiała w tym tkwić jakaś kobieta.

Usiadła na kanapie, którą kupiła dla męża, w pokoju, który umeblowała, aby sprawić mu przyjemność. Była gotowa.

Jej chwila nadeszła.

Dwie godziny później usłyszała zgrzyt klucza we frontowych drzwiach. Russel wrócił do domu. Wiedziała, że Joseph Kinnard został aresztowany -to oznajmił jej głos w słuchawce telefonu.

Wkrótce przyjdą po Russella.

Usłyszała, jak coś upadło na podłogę. Papiery? Nastąpiła długa seria zniecierpliwionych szeptów. Uśmiechnęła się, wyobrażając go sobie obładowanego swoimi skarbami, tymi wszystkimi rzeczami, których potrzebował, by czuć się wolnym. Russel skierował się do gabinetu. A ona już tu na niego czekała.

Gdy wszedł, Sydney siedziała za jego biurkiem. Na solidnym blacie ułożyła uporządkowane sterty dokumentów, zapis kolejnych przestępstw. Ze złożonymi na piersiach rękami czekała na męża.

- Syd, do licha! Ale mnie przestraszyłaś!

Widziała, jak omiata spojrzeniem cały pokój. Na nią nawet nie spojrział. Była niezauważalna, jak tapeta na ścianie za jej plecami. Na pewno zastanawiał się, jak to wszystko zabierze, gdzie ukryje skarby, ile czasu mu to zajmie. Pod pachami dźwigał już całą kupę segregatorów. Upuścił je na jeden z foteli.

- Posłuchaj mnie, Syd! Kochanie, nie czas teraz...

Przerwał. Patrzył ze zmarszczonymi brwiami na sterty dokumentów na biurku.

-Co, do cholery...

Wtedy ona wymierzyła w niego pistolet.

- Siadaj, Russell!

Zobaczyła, jak ogromnieją mu oczy. Nie była już niezauważalna. Skupiała na sobie całą jego uwagę.

Zrobił, co mu kazała, opadł na drugi fotel.

- Syd, na miłość boską...

- Tutaj jest wszystko, Russell. Dokumenty finansowe, zeznania podatkowe, twój osobisty kalendarz. Ładny zestaw dowodów, ukazujących, jak przekonałeś Henry'ego, że jego biedna żoneczka potrzebuje dodatkowej pomocy finansowej. Więc on robił, co mu kazałeś, przepisał wszystko na moje nazwisko, kupił na mnie dodatkowe udziały. Nic oczywistego, żadnych polis na życie. Henry nie podejrzewał nawet, że mamy romans, nie wiedział, że za dwa tygodnie zginie i że ty zgarniesz wszystko. Ale ty wiedziałeś...

- Syd, na Boga! - kręcił głową. - o czym ty mówisz?!

- A Pegaz? Wsadziłeś w tego satelitę wszystko, co miała firma. A dlaczego? Może wiedziałeś o czymś, czego inni nie byli świadomi? Nie chodzi tu przypadkiem o... - Nie odrywając wzroku od Russa, wyjęła kilka kartek z jego osobistego kalendarza. - ...tajny projekt? o specjalne tworzywo zespolone, które miałeś wynaleźć i poddać próbom, podczas gdy żaden z twoich konkurentów nie wiedział nawet, czego szukać, ponieważ ukryłeś to pod ich nosem, w jak

najbardziej publicznym przedsięwzięciu, w tym całym XC-23 WingMaster?

- Zrobiłem to dla ciebie, Syd! - Powiedział to łagodnie i najwyraźniej szczerze. - Pegaz był naszą przyszłością. A ty nigdy nie opuściłabyś Henry'ego. Przestałabyś się mną interesować, zostałabyś z nim z poczucia obowiązku. On mówił o dzieciach. Więc co miałem robić? Czekać, aż zajdziesz z nim w ciążę? Wtedy nigdy byś go nie zostawiła. Porzuciłabyś mnie. Wpadłem w panikę, Syd. Do tego się przyznaję.

- Jesteś wyjątkowym bydlakiem, Russell - skwitowała jego ohydne tłumaczenie. Zaraz, co Alec powiedział? Dwie pieczenie przy jednym ogniu? Russell miał rację. Przerwałaby ich romans, gdyby zaszła w ciążę, zostałaby z Henrym. - Oszukiwałeś mnie, Russ. To jeszcze zdołałabym ci wybaczyć. - Nie dałeś mi dzieci. Mogłabym z tym żyć. Lecz ty zabiłeś Henry'ego. Nie wierzę, że zrobiłeś to dla nas. Mimo braku charakteru, jaki wykazałam w ciągu tych ostatnich lat, nie jestem aż tak naiwna. Już nie...

Uniosła pistolet, podtrzymała go drugą ręką, gotowa wypalić, przygotowana na odrzut broni.

- Na Boga, Syd! Co ty robisz?

- FBI zaraz tu będzie. - Po raz pierwszy się uśmiechnęła. - A kiedy ty będziesz odsiadywał wyrok w jakimś federalnym więzieniu dla bogatych i potężnych, ja oczyszczę ci konta. Zabiorę ci każdy grosz, każde dzieło sztuki, każdy dom, wszystko, co zdołałeś zabrać swoim poprzednim żonom. Głupiątką podpisywały wszystko, co im

przed ślubem podsunąłeś pod nos. Zostawię cię, potężnego Russella Recka, zupełnie samego, starzejącego się i schorowanego, bez grosza przy duszy. I mam nadzieję, że z takim obrazem przed oczami uporządkuję wreszcie swoje życie. Nie uratowałam Henry'ego, ale przynajmniej powstrzymałam cię przed zniszczeniem innych ludzi.

Trząśł głową, autentycznie przerażony.

- A jeśli ruszysz choćby palcem, najdroższy Russellu, zadowolą się widokiem twojego ciała leżącego w tym fotelu, z kulą między oczami.

Conor znalazł Aleca w jednym z hangarów. Palił papierosa, najwyraźniej lekceważąc niebezpieczeństwo, jakie stanowiły zgromadzone w pobliżu beczki z paliwem. Na widok Conora rzucił papierosa i zdeptał niedopałek czubkiem buta.

-I co mówi ten twój agent FBI?

- Kinnard jest już załatwiony. Bezprawne wykorzystywanie funduszy rządowych, cała kupa przepisów, które naruszył, wykorzystywanie wywiadu wojskowego... Wygląda na to, że teraz, gdy wszystko wyszło na jaw, władze nie mają ochoty słuchać o tych tajnych operacjach. Prezydent zlecił sprawą prokuratorowi generalnemu. Jesteśmy kluczowymi świadkami dla agenta Lebredo. Próbował nas znaleźć, zanim położy łapą na Kinnardzie i zamknie program XC-23.

- Świetnie! - zawołał Alec z ulgą. - Więc wszystko załatwione? Jesteśmy wolni, tak? Oczywiście, będziemy musieli zeznawać. Do

diaska! Skoro już wiadomo, że katastrofa nie była błędem pilota, na pewno przywrócą nas do służby...

- Co zrobiłeś z komputerem?

- Co? - Alec ciągle się uśmiechał. - o czym ty mówisz? o jaki komputer ci chodzi?

- Mówię o oprogramowaniu komputera pokładowego w pierwszym prototypie.

W oczach Aleca pojawił się cień wahania.

- Ach, to nie ja. To ludzie Recka. Mówiłem ci: Kinnard i jego ciemne typy...

- Pracowałeś dla Kinnarda? Byłeś jednym z jego fagasów? - zapytał Conor. I zanim Alec zdążył zaprotestować, dodał: - Przypomniałem sobie, Alec. Tuż przed lądowaniem. Cała katastrofa przeleciała mi przez głowę. I przypomniałem sobie, co wrzeszczałeś kiedy spadaliśmy: „Wyłącz to cholerstwo! To nas zabije!”

Alec nie odpowiadał przez chwilę. Jego oczy zwęziły się, a potem znów się uśmiechnął.

- Powinienem ci kazać przekreślić przełącznik na drążku. Ale wpadłem w popłoch. Nie miałeś pojęcia, że mówię o komputerze.

- Zmieniłeś program w komputerze na fałszywy?

- Tuż przed startem. Zostałem zwerbowany przez Kinnarda kilka lat temu. Najwidoczniej mój charakter mu odpowiadał. Ciągle wpadałem w kłopoty, szukałem ich... Ale jestem cholernie dobrym pilotem...

-I geniuszem komputerowym.

- Mieli na mnie podwójnego haka. Uważali, że jestem łakomy na szmal. - Potrząsnął głową, przeczesał palcami krótkie, utlenione włosy, do których widoku Conor ciągle nie mógł przywyknąć. - Miałem wszystkiego powyżej uszu. Chciałem się z tego wyrwać. - Patrzył na Conora z napięciem, jakby chciał, by ten dobrze go zrozumiał. - Więc powiedziałem im, że podmienię ten program za dwa miliony. Wiedziałem, że wojsko gównem to obchodzi, a ja już nie chciałem się wysługiwać Kinnardowi. Chyba jednak posunąłem się za daleko. - Zrobił krok w stronę Conora, wyciągnął rękę w dziwnym, jakby błagalnym geście. - Posłuchaj mnie! Powiedzieli mi, że samolot będzie mało sterowny, nic więcej. I na tej podstawie kontrakt zostanie zerwany. Uwierz mi, nie miałem najmniejszego pojęcia, że oni chcą spowodować katastrofę tego diabelstwa. Wiesz, że to prawda. Nie próbowałem nas zabić!

- Ale nie miałeś nic przeciwko zrujnowaniu mojej kariery? Nie była więcej warta niż twoje dwa miliony?

Alec nie mógł mu spojrzeć w oczy.

- Czuję się... paskudnie. Do diabła, chciałem się wyrwać z tej organizacji, byłem zdesperowany.

- A gdy wyszedłeś cało z katastrofy, próbowali cię zlikwidować. Musieli to zrobić. Wiedziałeś zbyt wiele. Rzeczywiście ktoś chciał cię zabić. Dlatego zacząłeś podróżować, nigdy nie zatrzymując się na dłużej w jednym miejscu.

- Odpadek... To właśnie ja. Próbowałem wymyślić jakieś rozwiązanie dla nas.

Słuchając jego głosu, Conor zastanawiał się, czy Alec rzeczywiście wierzył w tę fikcję.

- A potem znajduje mnie ta kobieta, Allison. Mówi, że jest ze Stowarzyszenia Milenijnego. Erie był kimś w rodzaju jej mentora. Powiedziała mi, że zna prawdę o katastrofie, o Recku. Zabił Ballasa, żeby przejąć badania Joysticka nad materiałami zespolonymi. Chciała pomścić śmierć Erica. Zaczęliśmy współpracować.

- Joseph Kinnard chciał śmierci Erica? Alec kiwnął głową.

- Erie chciał odciąć się od rządu. Ze swoimi Rosjanami i kumplem ze Stowarzyszenia Milenijnego, Deanem White'em. Chciał sam prowadzić badania. Tego obawiał się Kinnard. I właśnie dlatego go zabił.

- Jak wysoko to zaszło? Alec pokręcił głową.

- Kto wie? Dość wysoko.

- Potworne, Alec! Czy nie tak to nazwałeś?

Słyszając głos Cherish, obaj mężczyźni odwrócili głowy ku bramie hangaru. Cherish weszła do budynku i skierowała się ku nim. Jej krótkie włosy były w nieładzie, na policzkach czerniały plamy sadzy.

- Niech cię piekło pochłonie, Alec! Ja ci ufałam! Jak mogłeś nam to zrobić?! Mnie i Conorowi?! Byliśmy twoimi przyjaciółmi. Gdybyś nas poprosił. .. wyjaśnił... - Kiwała głową z niedowierzaniem, w jej głosie wibrował ból. - Życie bym dała za ciebie. I Conor. Mój Boże, on tyle... tak wiele poświęcił dla ciebie... A ty przez cały ten czas wykorzystywałeś nas. Tylko po to, żeby czuć się bezpiecznie?

- Próbowałem tych ludzi zdemaskować. Wyeliminować ich z gry. Oni by cię zabili, Cherish. Byłaś jedynym łącznikiem między programami. Pracowałaś z Erikiem nad tworzywami zespolonymi. Zawsze stanowiłabyś dla nich zagrożenie, bo tylko ty mogłaś zebrać wszystko do kupy...

- Bzdura! Nie zrobiłeś tego dla mnie - powiedziała zdecydowanie. Wyglądała jak władczyni, gdy głucha na słowa Aleca szła wolno w jego stronę. - Chodziło ci tylko o siebie. To my wykonaliśmy za ciebie brudną robotę, my ryzykowaliśmy. A potem, gdy poczułeś się bezpieczny, raczyłeś wyjść z gry z... Ile to było? Z dwoma milionami? Miałeś nadzieję dostać tę forszę. Lecz wiedziałeś, że nawet gdyby ci ją wypłacili, nie będziesz bezpieczny, dopóki Conor i ja nie zdemaskujemy Kinnarda.

Alec potrząsnął głową, przymrużył oczy. Conor zobaczył, jak sięga ręką za plecy. Niech to diabli!

Zanim Conor zdążył cokolwiek zrobić, Alec wyciągnął pistolet i wymierzył go w Cherish.

- Zrobiłem to dla nas, Cherish! - rzekł do niej i cofnął się. - Kocham cię. Nie widzisz tego, dziewczyno? Wróciłem po ciebie. To był jedyny sposób...

- Zastanów się, co robisz, Alec! - zawołał Conor, idąc ku niemu z rękami wyciągniętymi przed siebie, jakby chciał pokazać, że nie jest uzbrojony. - Nie chcesz zrobić jej krzywdy! Przecież ją kochasz.

Lecz Alec go nie słuchał. Całą uwagę skoncentrował na Cherish, z całych sił pragnął, żeby mu uwierzyła.

- Zawsze wolałaś Conora - powiedział. - Tego dupka zżeranego poczuciem winy, który nawet nie potrafił cię wziąć, gdy mu się narzucałaś. A ja wróciłem po ciebie. On cię nie chciał, a ja zaryzykowałem wszystkim dla twojej miłości. - Był całkowicie nią pochłonięty. - Pamiętasz tamtą noc, prawda? Tę noc, kiedy Conor się nie pojawił... Bo ja... ja nie mogę jej zapomnieć.

- Wszystko się zmieniło - powiedziała.

- Oczywiście! Oczywiście... Lecz dopiero wtedy, gdy was pchnąłem ku sobie. Przedtem było po staremu, no nie? - Okrążył Conora i przesuwiał się ku drzwiom hangaru. Cherish poruszała się razem z nim, ciągle zagrządzając mu drogę. - Czy ty naprawdę go chcesz, maleńka? - Kiwnął głową w stronę Conora. - Takiego idiotę, który sam nie może się zdecydować, czy cię chce czy nie? Nie wolisz mężczyzny, który zaryzykował wszystko, żeby cię odzyskać?

- Myślę, że wolę idiotę - odparła.

Nawet Alec musiał się roześmiać.

- Wszystko jedno...

Ale potem potrząsnął głową, jakby nie mógł zrozumieć.

- Mógłbym cię dziś zostawić w tym samolocie. Miałem wszystko, ale wróciłem po ciebie. Nie pozwoliłem ci zginąć. Ja cię kocham, maleńka! -W jego głosie brzmiało szczere uczucie. - On nigdy nie będzie cię tak kochał.

Lecz ona tylko pokręciła głową.

- Jak mógłbyś mnie kochać? Ty nie umiesz kochać.

Zatrzymał się, jakby wymierzyła mu policzek. W tym momencie Conor skoczył i chwycił rękę z pistoletem. Stopą podciął Alecowi nogę, ten jednak w ostatniej sekundzie zdołał go złapać i pociągnąć za sobą na podłogę. Przez chwilę walczyli o pistolet. Cherish rozejrzała się po hangarze w poszukiwaniu broni, jakiegokolwiek broni, czegokolwiek... Jakiegoś drąga, ciężkiego narzędzia... Nic, do diabła! Zobaczyła wreszcie żelazną rurkę leżącą w kącie i pobiegła w tamtą stronę. Zanim jednak zdążyła się pochylić, ujrzała, jak ramię Aleca zatacza szeroki łuk.

- Nie! Alec! Nie! - krzyknęła.

Alec rąbnął kolbą pistoletu zaskoczonego Conora prosto w twarz. Cherish usłyszała przerażający trzask i zobaczyła, jak Conor rozciąga się na ziemi.

Alec stanął nad nim, ciężko dysząc. Conor jęknął, wspierając się na rękach. Alec jeszcze raz, mocno, uderzył go w tył głowy. Conor upadł na betonie i już się nie poruszył.

Alec wycelował glocka w Cherish. Wolną ręką otarł kilka kropli krwi z kącika ust.

- Okay! - wydyszał. - A więc facet w białym kapeluszu jeszcze raz wygrywa. Ciao, maleńka! Mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz, ile dla ciebie zrobiłem, ładując się na ten samolot.

Ale ona nie mogła pozwolić mu tak odejść. Odwróciła się i podniosła z ziemi rurkę.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziała, stając między nim a drzwiami hangaru. - Najpierw będziesz mnie musiał zastrzelić.

Zmarszczył brwi.

- Zejdź mi z drogi, Cherish!

- Nie! Nie pozwolę ci uciec. Nie tym razem. Tym razem będziesz musiał ponieść konsekwencje.

Nie bała się. Nie wierzyła, że Alec może zrobić jej krzywdę. Człowiek, który zasłonił ją własnym ciałem, który wsiadł do samolotu, wiedząc o dokonanym sabotażu?!

- Co mi zrobisz? - powiedziała, idąc ku niemu z żelaznym drabem w rękach. Odczuła satysfakcję, gdy cofnął się przed nią o kilka kroków. Ruchem głowy wskazała pistolet. - Naprawdę chcesz mnie zastrzelić? Powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Pozwól mu odejść - wystękał Conor. Chciał wstać, potrząsał głową próbując uspokoić świat chwiejący się pod nim. - On nie jest tego wart.

- Zastrzelisz mnie, Alec?

- Cher! - krzyknął Conor ostrzegawczo.

- Do diabła! - powiedział Alec. - Nie mogłaś pozwolić, żebym był choć trochę lepszy?

Nacisnął spust.

Usłyszała nadlatującą kulę, odczuła wystrzał powtórzony echem odbitym od ścian pustego hangaru. Huk nie był głośny - pistolet miał tłumik - przypominał ostre pyknięcie. Niewiarygodne, że mógł przynieść aż taki ból. Musiała minąć chwila, zanim zdołała pojąć, co się stało.

Postrzelił ją. Alec ją postrzelił!

Niczym widz w kinie obserwowała samą siebie, jak osuwa się na kolana, wypuszcza łom, pada na zimny beton, uderza policzkiem w podłogę. Musiała na kilka sekund stracić przytomność, bo gdy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą Aleca.

- Może masz rację, maleńka! - powiedział. - Może on jest rzeczywiście lepszy ode mnie.

Słyszała, jak biegnie, echo jego kroków dudniło w pustym hangarze. Ramię bolało ją niemiłosiernie. Mrugała powiekami, patrząc na stalowe ożebrowanie sufitu. Postrzelił mnie.

Wtedy w polu jej widzenia pojawiła się twarz Conora. Patrzył na nią z troską, badawczo, bez słowa. Klęczał obok i delikatnie ściągał rękaw jej koszuli, aby zobaczyć ranę.

- On do mnie strzelił! - Oddychała szybko i ciężko, z trudem łapiąc powietrze. - Nie mogę uwierzyć, że mnie postrzelił. - Wpatrywała się w Conora, jakby szukając odpowiedzi na pytanie. Jak to się mogło stać? To nie ma żadnego sensu!

Conor zdjął koszulę. Cher widziała, jak połowa jego twarzy puchnie groteskowo, w miejscu, gdzie uderzył Alec. Chciała jej dotknąć, złagodzić ból, ale nie mogła unieść ręki.

- W samolocie - odezwała się, z wysiłkiem mrugając powiekami, aby odzyskać ostrość widzenia - ryzykował życiem, żeby nas uratować. Wiedział, że na pokładzie jest bomba. Dlaczego mnie postrzelił?

Conor owinął jej ramię koszulą.

- Chciał zaryzykować. Ale tutaj zagnałaś go do narożnika. Nie pozostawiłaś mu wyboru.

Oddychała szybko, ciągle miała za mało powietrza w płucach. I ten ból! Nie do zniesienia.

- Ucieknie.

- Na to wygląda! - Conor nachylił się nad nią i podniósł ku wyjściu.

- Kula tylko przeorała skórę, ale mocno krwawisz.

Popatrzyła na niego. Nie była w stanie nawet ruszyć ręką, żeby objąć go za szyję.

- Nie sądziłam, że się mylę w jego ocenie.

- A jednak pomyliłaś się. Tak bywa.

- Conor... Czy mylę się co do ciebie?

Westchnął i spojrzał na nią tymi czystymi, piwnymi oczami, które tak bardzo kochała.

- Nie. Nie mylisz się co do mnie. Nigdy się nie myliłaś.

33

Alec stał na rogu ulicy, za stacją benzynową, oparty o ścianę. O tej porze roku Barstow było jeszcze znośne. Tylko ten ostry, suchy wiatr. W plecaku leżącym u jego stóp były prawie wszystkie potrzebne rzeczy, włącznie z laptopem. Głowę miał odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte. Rozkoszował się promieniami słońca. Czekał już ponad pół godziny. Spóźniała się.

Zastanawiał się, co teraz robią Cherish i Conor. Nie miał wątpliwości, że wzięli ślub. Spojrzenie Conora tamtego dnia, kiedy ostatni raz widział ich razem, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Żadnych. Jej oczy też nie. Mówi się: trudno. Jest po prostu tą kobietą, za jaką ją zawsze uważał. Cherish Mocna. Cherish Piękna. Tak czysta, że żaden sukinsyn nie może jej dotknąć. Jego Walkiria Dobra, zbyt dobra dla niego, jak się okazało.

Boże, to okropne, że musiał ją postrzelić!

W tym momencie mercedes kabriolet wyjechał ze stacji benzynowej i zatrąbił. Siedząca za kierownicą rudowłosa kobieta w szalu i ciemnych okularach pomachała do Aleca ręką. Zatrzymała samochód tuż przy nim. Wskoczył do wozu i natychmiast odjechali.

Oparł się plecami o miękką skórę fotela. Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy, które znów miały naturalny, czarny kolor. Nikogo nie musiał już oszukiwać. Postanowił, że czas wynieść się z miasta. Wtedy właśnie zatelefonowała.

Spojrzał na Sydney. Wyglądała pięknie. Prawdę mówiąc, bardzo pięknie. Była szczęśliwa.

- Zaskoczyłaś mnie, wiesz? Ni stąd, ni zowąd taki telefon... -
Naprawdę? To dobrze, że ludzie potrafią cię jeszcze zadziwić.

- Tak, tak... - Zsunął kapelusz bardziej na czoło. Na przykład Allison. Przez cały rok zachowywała się tak, jakby nie mogła oddychać, żyć dalej niż dwa kroki od niego. A potem nagle znika. W pokoju hotelowym została po niej tylko mała kartka papieru.

„Postąpiłeś słusznie, pomagając swoim przyjaciółom. Dla mnie jednak to nie dosyć”.

Śmieszne, nigdy nie pomyślał, że była z nim dlatego, że postępował słusznie. Ale z drugiej strony, brał odwet za jej drogiego, starego Erica. Może go nabrała. Może cały czas o to jej chodziło...

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał Sydney. - Dlaczego zatelefonowałaś? Powiedziała mu przez telefon, że rozwodzi się z Reckiem i wyjeżdża z miasta. Jedzie w nieznane. Szuka towarzysza podróży. Zainteresowany?

- Wszystko przez to, co mi powiedziałeś tej nocy, kiedy się do nas włamałeś - odparła, nie spuszczać wzroku z szosy. Wiatr rozwiewał jej długie włosy. - Że jestem taka jak ty. Tłamszona przez człowieka, któremu powinnam ufać, a który zadaje tylko ból. - Spojrzała na niego. - Wydaje mi się, że te słowa odmieniły moje życie.

Jest naprawdę piękna, pomyślał Alec. I ma teraz w sobie siłę, jakby zwyciężywszy Recka, mogła piąć się w górę, wykorzystać drzemiący w niej potencjał.

Położył rękę na jej ramieniu.

- Może nie jest jeszcze za późno dla nas, co, Sydney?

Na jej twarzy pojawił się wyraz niechęci, potem nagle roześmiała się.

- Och, Alec! Tu nie chodzi o seks!

Zdjął rękę z jej ramienia, uniósł pytająco brwi.

- Tak? Więc mnie doksztalc!

- Potrzebuję anioła stróża. Szukam przygody. Zanim wyszłam za Henry'ego specjalizowałam się w sztuce przedkolumbijskiej. Kupowałam różne przedmioty dla muzeum. Postanowiłam wyrobić sobie nazwisko jako marchand. Wydaje mi się, że byłbyś dobrą osobą do zajmowania się różnymi sprawami, kimś, kto nie traci głowy w niebezpiecznych sytuacjach.

- Tak, to właśnie ja. 007.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze by ci to zrobiło. Przebywanie z kimś, kto nie uważa cię za atrakcyjnego faceta, dobrze wpłynęłoby na twój charakter.

Skrzywił się, potrząsnął głową i sięgnął do plecaka, czując nagłą potrzebę potrzymania tych papierzysek KGB, tej gęsi znoszącej złote jajka. Chciał na nie popatrzeć, na swoją kopalnię złota. Do diabła z charakterem!

- To ładnie z twojej strony, że chcesz się zająć moim charakterem. -Z dolnej kieszeni wyjął dokumenty, te, które Dean White otaczał taką tajemnicą, analizy pozaziemskiego pojazdu kosmicznego. Zastanowił się, ile może za nie dostać. Ktoś kiedyś wspominał o dwóch milionach? Uśmiechnął się, otwierając kopertę. Teraz myślał o dziesiątkach milionów.

Lecz papiery okazały się idealnie czyste. Tylko na dole pierwszej kartki widniało kilka słów skreślonych ręką Allison: „Masz w sobie zdolność do poprawy. Zawsze będę w to wierzyć”.

Nabrała go. Allison dała mu papiery, a potem je ukradła.

Przez moment siedział jak porażony prądem. Nie będzie żadnej forsy. Ani od Recka, ani za rosyjskie dokumenty na temat UFO.

- Co się stało? - zainteresowała się Sydney. Rzuciła okiem na dokumenty. - Złe wiadomości?

Alec pokręcił głową. Im więcej o tym myślał, tym bardziej chciało mu się śmiać. Cholera, nabrała mnie! Mnie! Roześmiał się.

- Nie, nic takiego. Jeszcze jedna kobieta, która próbuje poprawić mój charakter.

Wyrzucił papiery w powietrze i patrzył, jak wiatr je porywa i niesie coraz dalej od kabrioletu. Zagłębił się w fotelu, zsunął rondo kapelusza na twarz. Śmiejąc się ciągle, zawołał do Sydney:

- Dodaj gazu. Przed nami cały świat!

- Tak, Dean. Ja posłałam te papiery do Joysticka. Allison nakładała złoty lakier na paznokcie.

- Tak, miałaś rację co do Aleca. Chyba się zaangażowałam uczuciowo. Myślałam...

Westchnęła, gdy ogarnęły ją wspomnienia ostatniego roku. Trochę to smutne. Sposób, w jaki się to wszystko zakończyło. Ale mężczyźni tacy jak Russell czy Alec po prostu nie rozumieją. Nie mogą zrozumieć, że nie mają nad nią żadnej władzy.

Dla Allison zawsze istnieć będzie tylko jedna miłość.

- W końcu to nie ma żadnego znaczenia - powiedziała i starła lakier. - Alec spełnił swoje zadanie. Nad tworzywem pracują teraz właściwi ludzie. A kiedy odkryją, jak je replikować, będziemy gotowi...

Gotowi sprostać wyzwaniom przyszłości i tych, którzy spróbują sięgnąć po tę zdobycz. Zawsze będą tacy ludzie jak Russell Reck i Joseph Kinnard. Ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby ukraść nową technologię i wykorzystać ją do własnych celów. Ale Stowarzyszenie Milenijne będzie czuwać. Metale syntetyczne staną się własnością całej ludzkości... kluczem do podróży międzyplanetarnych.

Wyciągnęła się na łóżku.

- Och, Dean! - uśmiechnęła się. - Cóż to będzie za wspaniała przyszłość!

Cherish popatrzyła na brudne skarpety leżące na dywanie, prześcieradło na wpół zsunięte z łóżka, skotłowane po stronie Conora.

- Ach tak! - westchnęła. - Teraz sobie przypomniałam - powiedziała głośno, żeby Conor ją usłyszał. - Jesteś bałaganiarzem!

Podniosła skarpetki i trzymając je w wyciągniętej ręce, zniosła do kuchni. Będzie musiała odbyć krótką pogawędkę ze swoim mężczyzną;

Ale kiedy weszła do kuchni, zobaczyła jak Conor, w samych dżinsach, wpatruje się w zwykłą kartkę papieru opartą o cukiernicę. Rozkaz, który przywracał go do służby.

- Z drugiej strony, jesteś taki przystojny i wspaniały w łóżku, że będę musiała się dostosować - oznajmiła i rzuciła skarpetki za siebie.

- O co chodzi? - Oderwał wzrok od dokumentu.

- O nic - odparła i usiadła mu na kolanach, otoczyła ramionami jego szyję. Siniaki znikwały już z jego twarzy, ciągle jednak... Jej ramię

było jeszcze trochę spuchnięte, ale poza tym czuła się świetnie. - Co pan teraz sądzi o życiu, podpułkowniku Mitchell?

Objął ją w pasie.

- Myślę, że życie jest w porządku.

Wtuliła się w niego. Życie jest piękne. Lebedo współpracował z prokuratorem generalnym prowadzącym śledztwo przeciwko Reckowi i Kinnardowi. Stuprocentowa szansa na awans, powiedział. A dzięki dowodom, które zebrali razem z Conorem, śledztwo nabrało znacznie poważniejszego charakteru niż początkowe dochodzenie w sprawie przywłaszczenia funduszy przez tajne programy Kinnarda. I on, i Russell Reck popełnili morderstwo, żadnych wątpliwości. Lebedo okazał się prawdziwym buldogiem. Nie spoczął, dopóki nie odkrył całej prawdy o ciemnych interesach Kinnarda i jego ludziach. Poczuli dreszcze na myśl, że rząd mógł wykorzystywać ją i innych jako króliki doświadczalne, prowadząc ściśle tajne badania pod przykrywką oficjalnych programów.

- Cher ? - odezwał się Conor. - W samolocie mówiłaś coś o białym świetle. Co to było?

Zadał to pytanie głosem zupełnie obojętnym. Coś nie dawało mu spokoju. Na czole Cherish pojawiła się zmarszczka. To światło w samolocie było dość dziwaczne. Wtedy uznała, że ma związek z ćwiczeniami odprężającymi, ale -prawdę mówiąc - nigdy nie zdołała tego powtórzyć. No i ten dziwny sen, w którym Eric powiedział jej, że tworzywo się rozkłada. Co ma o tym sądzić?

- Nie wiem - potrząsnęła głową. - Dlaczego pytasz? - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Widziałeś je?

- Światło? Nie, światła nie widziałem - zaprzeczył. Spojrzał ponad jej ramieniem, zamyślony, jakby miał coś więcej do powiedzenia. A potem przyznał: - Ale po głowie latały mi błyskawice. Kiedy próbowaliśmy wylądować w El Toro, jakieś fragmenty przeszłości rozbłyskiwały mi w głowie, mieszając się z teraźniejszością. Właśnie wtedy zrozumiałem, że Alec jest jednym z ludzi Kinnarda. Przypomniałem sobie coś, co powiedział tuż przed katastrofą pierwszego prototypu. Zrozumiałem, że wiedział o zamianie programu komputera pokładowego.

- Moja matka powiedziałaaby, że to robota naszej podświadomości. Właściwie, czemu nie? - pomyślała. Jest inżynierem, zrozumienie, że tworzywo się rozkłada, nie przekraczało granic jej wiedzy. A jak to się miało do snu o Ericu? W gruncie rzeczy Erie nie mógł wiedzieć, że materiał jest do niczego, albo że Reck planował mu go skraść. Przynajmniej nie wtedy. Nie podczas lotu. To nie mogły być jego słowa. Uśmiechnęła się, próbując dodać otuchy Conorowi.

- Prawdopodobnie cały czas zdawałeś sobie sprawę, że Alec jest za to odpowiedzialny. Zagrzebałeś to tylko gdzieś na dnie podświadomości, a te przebłyski związane były z napięciem, w jakim się znajdowałeś i z podobieństwem między przeszłą i aktualną sytuacją. Powinnam zapytać o to mamę.

Spojrzeli na siebie.

- A może lepiej nie - zastanowiła się.

- Grzeczna dziewczynka! - pochwalił ją. Wziął kartkę ze stołu i pokazał jej. Nie dokument przywracający go do służby, lecz faks. - To z Joysticka. Katia informuje, że ktoś im przysłał te rosyjskie dokumenty. Jest bardzo podniecona. Chce, żebym jej pomógł.

- Wybierasz się na Syberię?

- Nie! - potrząsnął głową. - Mam jej pomagać stąd, z uniwersytetu. To będzie wspólne przedsięwzięcie. Myślę, że się za to wezmę. Bardzo mi się to podoba.

- Bardziej niż oblatywanie samolotów? Odłożył faks na stół i objął ją.

- Może to nie są loty kosmiczne, ale... Tak, myślę; że odkrycie* syntetycznego metalu, który mógłby zrewolucjonizować świat, jest cholernie ekscytujące.

- Dobra odpowiedź! - Odwzajemniła uścisk. Przytuliła policzek do jego ramienia. - Bo już myślałam, że jeśli nigdy nie zdobędziesz się na oświadczyzny, będę musiała.

Nagle miała to przed sobą. Dokładnie pod nosem. Małe pudełeczko, które Conor wziął ze stołu. Dziwne, że przedtem go nie zauważyła! I jakie ładne stopniowanie: najpierw ten rozkaz, potem faks i na zakończenie pudełeczko.

- Tiffany - rozpoznała charakterystyczny blady błękit. - Jestem pod wrażeniem!

- Tak być powinno.

Otworzyła puzderko. Wewnątrz była szeroka złota obrączka o zaokrąglonych krawędziach. Błyszczał w niej okrągły diament, co najmniej jedno-karatowy.

- Nie taki piękny, jak ten, który podarował mi Pablo - powiedziała, starając się nie rozplakać ze szczęścia - ale ujdzie.

- Geena pomogła mi wybrać.

Uśmiechnęła się, wkładając pierścione. Zdaje się, że Geena zmieniła swój stosunek do byłej narzeczonej brata. Cherish wyciągnęła przed siebie rękę i podziwiała kamień. Bawiła się nim, dając Conorowi czas. Nie skorzystał.

- No dobra, Conor! - powiedziała. - Czekam na słowa. Ale przedtem mała wskazówka. Nie może to być nic zbliżonego do „okay”.

- A więc powinienem powiedzieć coś romantycznego, na przykład: ty jesteś strukturą, a ja tworzywem. Stwórzmy razem coś pięknego...

- Może powinieneś jeszcze trochę popracować nad tym tekstem?

Nie powiedziała mu o dziecku. A właściwie powiedziała, ale w samolocie, kiedy ujrzała to światło. Tylko że Conor był w tym czasie zajęty czymś innym.

W szpitalu, gdzie opatrywano jej ranę, poprosiła o wykonanie próby ciążowej. Trafiona! Więc w ubiegłym tygodniu, gdy Conor wprowadził się do niej, złożyła wymówienie w Marquis. Zawód inżyniera nigdy nie był jej prawdziwym powołaniem. Po prostu

kroczyła śladem ojca i braci. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co chce zrobić z resztą życia. I było to całkiem ekscytujące!

A jednak powinna powiedzieć Conorowi o dziecku. Będzie szczęśliwy. Do licha, nie stawał się przecież młodszy. Najwyższy czas, żeby został ojcem!

Bawiąc się obrączką, wyczuła coś szorstkiego. Zdjęła pierścioneł i podniosła do oczu, żeby obejrzeć krawędzie. Conor pocałował ją w szyję i szepnął:

- Myślałem, że pierścioneł powie wszystko.

Ledwie dostrzegala jakieś ozdobne litery. Zmrużyła oczy i przyjrzała się z bliska. Na wewnętrznej powierzchni obrączki były wygrawerowane dwa słowa: Doskonała synchronizacja.

Uśmiechnęła się.

-O tak!

Objęła go, szczęśliwa aż do bólu. Życie jest piękne. Naprawdę piękne.

- Conor, kochanie - szepnęła. Też miała dla niego niespodziankę.

-Chciałabym rozwinąć tę koncepcję doskonałej synchronizacji.

Spodoba ci się, naprawdę...